

**Hornby Nick**

**Długa droga w dół**

Lekarstwem na nieszczęście jest szczęście,  
a jak kto chce, niech sobie myśli inaczej.

**Elizabeth McCracken,**  
*Niagara Falls All Over Again*

# **CZĘŚĆ PIERWSZA**

## MARTIN

Czy potrafię wytłumaczyć, czemu chciałem skoczyć z dachu wieżowca? Pewnie, że potrafię. Nie jestem, cholera, idiotą. Potrafię, bo to wytłumaczalne. Była to logiczna decyzja, wytwór pewnej myśli. Myśli skądinąd nie całkiem poważnej. Nie kaprysu, ale też — niczego zbyt trudnego ani męczącego. Powiem tak: wyobraźcie sobie, że jesteście, no nie wiem, na przykład zastępcą dyrektora banku w Guildford. I od jakiegoś czasu myślicie o emigracji. I wtedy proponuję wam kierowanie bankiem w Sydney. Cóż, nawet jeśli decyzja wydaje się oczywista, to chyba musielibyście trochę się zastanowić, prawda? Pomyśleć chociażby nad tym, czybyście wytrzymali przeprowadzkę, zostawili kolegów i przyjaciół, wysiedlili żonę i dzieci. Moglibyście usiąść i spisać na kartce wszystkie plusy i minusy. No, wiecie:

***MINUSY***— *starzy rodzice, przyjaciele, klub golfowy.*

***PLUSY*** — *większe pieniądze, wyższa jakość życia (dom z basenem, grill itd.), morze, słońce, zero zakazów emisji „Baa-Baa Black Sheep”, zero dyrektyw Unii Europejskiej w kwestii angielskich wędlin itd.*

Sprawa raczej nie podlega dyskusji. Klub golfowy! Bez przesady. Oczywiście, pomyślelibyście chwilę o rodzicach w podeszłym wieku, ale tylko chwilę, i to krótką. Dziesięć minut później wydzwanialibyście po biurach podróży.

Tak to wyglądało w moim przypadku. Po prostu nie miałem wystarczających powodów do żalu — a powodów, by skoczyć, aż nadto dużo. Na mojej liście minusów ważne były tylko dzieciaki, ale tak czy siak nie wyobrażam sobie, żeby Cindy pozwoliła mi je znów widywać. Nie mam rodziców w podeszłym wieku i nie grywam w golfa. Moim Sydney było samobójstwo. Przy czym absolutnie nie zamierzam tu obrażać pocziwych mieszkańców tego miasta.

## MAUREEN

Powiedziałam mu, że wybieram się na przyjęcie noworoczne. W październiku powiedziałam. Nie mam pojęcia, czy zaproszenia na przyjęcia noworoczne wysyła się w październiku. Pewnie nie. (Skąd mam wiedzieć? Ostatni raz byłam na czymś takim w 1984 roku. Urządzili je June i Brian z naprzeciwka, krótko przed przeprowadzką. I wpadłam tam ledwie na godzinę, dopiero jak zasnął). Ale dłużej czekać nie mogłam. Rozmyślałam nad tym od maja czy czerwca i miałam wielką ochotę go o tym powiadomić. Naprawdę bez sensu. Nie rozumie, na pewno. Każą mi do niego mówić, ale kompletnie nic nie dociera. A zresztą — z czym się tak wyrywać! Ale widać z tego, czemu się tak niecierpliwiłam, prawda?

Zaraz potem chciałam iść prosto do spowiedzi. Bo — jakby nie było — skłamałam. Okłamałam własnego syna. Choć, po prawdzie, popełniłam niewinne kłamstewko: parę miesięcy naprzód powiedziałam mu, że idę na zabawę, zabawę, którą zmyśliłam. A zmyśliłam to całkiem sensownie. Powiedziałam, do kogo idę, dlaczego mnie zaprosili, czemu chcę tam pójść i kto jeszcze będzie. (Przyjęcie urządziła Bridgid, Bridgid z kościoła. A zaprosiła mnie, bo miała przyjechać jej siostra z Corku, która pytała o mnie w paru listach. Chciałam iść, ponieważ siostra Bridgid była z teściową w Lourdes — a mnie to bardzo interesowało, bo miałam zamiar zabrać tam kiedyś Matty'ego). Ale spowiedź nie miałaby sensu, bo wiedziałam, że musiałabym w kółko powtarzać ten grzech, to kłamstwo, aż do końca roku. Powtarzać nie tylko Matty'emu, ale i ludziom w ośrodku i... Choć właściwie to nikogo innego nie ma. No, może komuś w kościele albo w sklepie. W sumie to dosyć komiczne, jakby się tak zastanowić. Zajmując się chorym dzieckiem od rana do nocy, człowiek zupełnie nie ma czasu grzeszyć, więc też od lat nie miałam nic na sumieniu. No i nagle popełniłam grzech tak straszny, że nawet nie mogłam powiedzieć księdzu, bo miałam tak grzeszyć i grzeszyć aż do śmierci, kiedy to zamierzałam dopuścić się grzechu najcięższego. (Skądinąd, czemu najcięższego? Całe życie człowiek słyszy, że po śmierci znajdzie się w cudownym miejscu. Tymczasem właśnie to, co może nas tam przenieść trochę szybciej, sprawia, że nie trafiamy tam wcale. Owszem, jest to takie trochę wpychanie się na siłę. Ale jak ktoś się wpycha do kolejki na poczcie, ludzie nerwowo chrząkają. Albo czasem upo-

mną: „Przepraszam, pani tu nie stała”. Nikt nie powie: „Wieki będziesz się smażyła w ogniu piekielnym”. To by było trochę za mocne). Nie przestałam jednak chodzić do kościoła. Dalej chodziłam — aby przypadkiem sobie ktoś nie pomyślał, że może coś jest nie tak.

W miarę jak się zbliżał wyznaczony dzień, co jakiś czas informowałam go, czego się niby dowiedziałam o noworocznym przyjęciu. Co niedzielę udawałam, że właśnie znów dotarło do mnie coś na ten temat — bo w niedziele widywałam się z Bridgid. „Bridgid mówi, że będą tańce”. „Bridgid martwi się, że nie każdy lubi wino

i piwo, więc chce podać wódkę”. „Bridgid nie wie, ile osób będzie już po kolacji”. Gdyby Matty rozumiał cokolwiek, stwierdziłby pewnie, że ta Bridgid jest szurnięta, skoro aż tak się martwi o byle przyjęcie. Czerwieniłam się za każdym razem, gdy ją widziałam w kościele. I oczywiście interesowało mnie, co naprawdę będzie robić w sylwestra — ale nigdy się nie spytałam. Gdyby planowała wydać przyjęcie, może poczułaby się zobowiązana mnie zaprosić.

Wstyd mi, kiedy sobie teraz o tym myślę. Nie chodzi o kłamstwa: kłamać to ja już przywykłam. Nie. Wstyd mi, bo takie to wszystko było żałosne. Którejś niedzieli powiedziałam Matty'emu, gdzie Bridgid ma zamiar kupić szynkę do kanapek. Ale nie ma co ukrywać, że Nowy Rok zaprzętał mi głowę i jakoś też chciałam o tym mówić — nie mówiąc niczego. I w końcu też chyba sama trochę zaczęłam wierzyć w to przyjęcie, tak jak się czasem wierzy w historię przeczytaną w książce. Od czasu do czasu wyobrażałam sobie, w co się ubiorę, ile wypiję, o której wyjdę. Czy wrócę do domu taksówką,

i tym podobne rzeczy. W końcu już prawie tam szłam. Tyle że zupełnie nie umiałam sobie wyobrazić, że rozmawiam z kimś z gości. Więc zawsze wychodziłam stamtąd bez żalu.

## JESS

Poszłam na imprezę, na dół, do squatu. Była gówniana; pełno tych starych zhipisiałych typów — siedzących na podłodze, pijących jabłecznik, palących wielkie skręty z trawą i słuchających odjechanego reggae. O północy któryś sarkastycznie klasnął w dłonie, dwoje innych zaśmiało się, i tyle — tak wyglądał początek Nowego Roku. Przychodząc tam, można było być najszczęśliwszą osobą w Londynie, a już pięć po dwunastej i tak miałyby się ochotę skoczyć z dachu. A ja jednak nie byłam najszczęśliwszą osobą w Londynie. Wiadomo.

Poszłam tylko dlatego, że ktoś w szkole powiedział mi, że będzie tam Chas — ale go nie było. Sto razy próbowałam go łapać na komórkę, ale miał wyłączoną. Kiedy zrywaliśmy ze sobą pierwszy raz, stwierdził, że go śledzę, ale „śledzenie” to chyba dosyć mocne słowo, prawda? Moim zdaniem nie można nazwać śledzeniem telefonów, listów, maili i stukania w drzwi. A w pracy u niego byłam tylko dwa razy. Trzy — gdyby liczyć przyjęcie gwiazdkowe, ale tego nie liczę, bo powiedział, że i tak miał zamiar mnie tam zaprosić. Siedzenie polega na chodzeniu za nimi do sklepów, jeżdżeniu na urlop i tak dalej, prawda? No, ja do sklepów nawet się nie zbliżałam. Prócz tego sądziłam, że jeśli ktoś jest ci winny wyjaśnienie, to jeszcze nie znaczy, że go śledzisz. Mieć



coś do wyjaśnienia to tak, jak mieć do oddania pieniądze — i to też nie marnego piąta. Co najmniej pięćset, sześćset funtów. Gdyby byli ci winni minimum pięćset, sześćset funtów i ciągle cię unikali, to na pewno pukałabyś do ich drzwi późno w nocy — wiedząc, że muszą być w domu. Przy takich sumach ludzie tracą poczucie humoru. Wzywają poborców i łamią nogi dłużnikom, ale ja tak daleko nigdy się nie posunęłam. Wykazałam jakiś umiar.

Więc chociaż na tej imprezie od razu się zorientowałam, że go tam nie ma, to jakiś czas zostałam. Bo niby dokąd miałam pójść? Było mi przykro. Bo czy to normalne, żeby w wieku osiemnastu lat nie miało się dokąd pójść na sylwestra — tylko na jakąś zaszczaną imprezę w zaszczonym squacie, gdzie się nikogo nie zna? No, ale jakoś sobie dałam radę. Jak co roku. Dość łatwo zaprzyjaźniam się z ludźmi, ale potem ich wkurzam — wiem to, niestety, chociaż nie jestem pewna, z czego się to bierze. Tak że ludzie i imprezy znikają.

Wkurzyłam Jen, co do tego nie mam wątpliwości. Zniknęła, tak jak wszyscy.

## MARTIN

Minione parę miesięcy spędziłem, przeglądając w internecie dochodzenia w sprawach samobójstw — z czystej ciekawości. Otóż prawie za każdym razem koroner stwierdza to samo: „Targnął się na życie w chwili zaburzenia równowagi umysłowej”. Po czym następuje historia takiego biedaka: żona sypiała z jego najlepszym przyjacielem, stracił pracę, kilka miesięcy wcześniej

jego córka zginęła w wypadku... Hejże, panie koroner! Przykro mi, mój drogi, ale nie ma tu żadnego zaburzenia równowagi umysłowej. Według mnie zrobił, co należało. Najpierw jeden koszmar, potem drugi i następny, tak że więcej już znieść nie sposób — i gna się na najbliższy piętrowy parking w rodzinnym combi, ze sporym kawałkiem gumowej rury. Bo chyba tak to naprawdę wygląda. Czy koroner nie powinien raczej pisać: „Targnął się na życie po trzeźwym i rozsądnym przemyśleniu francowatego bagna, jakim się to życie stało”?

Ani razu nie zdarzyło mi się przeczytać w gazecie doniesienia, które by mnie przekonało, że zmarły był walnięty. No wiecie: „Napastnik Manchester United, zaręczony z aktualną Miss Szwecji, osiągnął niedawno bezprecedensowy sukces: jako jedyny człowiek na świecie został w tym samym roku nagrodzony Pucharem Ligi Mistrzów i Oscarem za najlepszą rolę męską. Prawa do jego debiutanckiej powieści właśnie — za nie ujawnioną sumę — nabył Steven Spielberg. Piłkarza wiszącego na belce w jego własnej stajni znalazł jeden z jego pracowników”. No więc w życiu nie widziałem podobnego raportu koronera, ale skoro zdarzało się, że szczęśliwi, spełnieni, utalentowani ludzie popełniali samobójstwo, to spokojnie można było dojść do wniosku, że ta równowaga rzeczywiście musiała się rozchwiać. I nie chodzi mi o to, że bycie zaręczonym z Miss Szwecji, granie w barwach Manchester United i zdobywanie Oscarów ma chronić przed depresją — co to, to nie. Mówię tylko, że takie rzeczy pomagają. Wystarczy spojrzeć na dane statystyczne. Na pewno szybciej wykończy się

ktoś, kto właśnie przeszedł rozwód. Albo ma anoreksję. Albo jest bezrobotny. Albo jest prostytutką. Albo walczył w jakiejś wojnie, albo został zgwałcony, albo kogoś stracił... Istnieje mnóstwo czynników, które pchają ludzi na skraj przepaści i które sprawiają, że mało kto czuje się inaczej, jak tylko całkiem do dupy.

Dwa lata temu Martin Sharp z pewnością nie siedziałby sobie w środku nocy na wąskim betonowym gzymsie, spoglądając trzydzieści metrów w dół na betonowy pasaż i rozmyślając, czy usłyszy trzask swych gruchotanych na kawałeczki kości. Ale dwa lata temu Martin Sharp był innym człowiekiem. Jeszcze miałem pracę. Jeszcze miałem żonę. Nie przespałem się z piętnastolatką. Nie byłem w więzieniu. Nie musiałem rozmawiać z moimi małymi córkami o artykule z pierwszej strony brukowca, artykule z nagłówkiem OHYDA!, zilustrowanym zdjęciem przedstawiającym mnie leżącego na chodniku przed znanym londyńskim nocnym klubem. (Ciekawe, jaki by dali tytuł, gdyby mi się udało. Pewnie: ZBEREŻNIK ODCHODZI! Albo OSTRE ZEJŚCIE!). Trzeba powiedzieć, że zanim to wszystko się stało, mniej miałem powodów, żeby siedzieć na gzymsie. Więc nie mówcie mi, że doszło do zaburzenia równowagi umysłu, bo naprawdę wcale tak tego nie czułem. (Poza tym, co właściwie ma znaczyć „równowaga umysłu”? Czy to termin ściśle naukowy? Czy umysł rzeczywiście przemieszcza się w głowie, w zależności od stopnia stuknięcia?) W moim przypadku potrzeba samobójstwa była stosowną i rozsądną reakcją na szereg niefortunnych zdarzeń, które sprawiły, że życie stało się całkiem nie do życia. O tak, wiem, że lekarze od czub-

ków stwierdziliby, że mogą mi pomóc — i to jest właśnie jeden z głównych problemów tego cholernego kraju, prawda? Nikt nie chce się zająć tym, co do niego należy. Winę zawsze ponosi ktoś inny. Coś strasznego. Tyle że dziwnym trafem należę do tych rzadkich osobników, którzy uważają, że to, że przeleciałem piętnastolatkę, nie ma nic wspólnego z tym, co się działo między mamą i tatą. Jestem przekonany, że przespałbym się z nią bez względu na to, czy byłem, karmiony piersią, czy nie, i nadszedł czas stawić czoło temu, co zrobiłem.

A co takiego zrobiłem? Przesrałem sobie życie. Dosłownie. No dobra, nie tak całkiem dosłownie. Nie zmieniłem życia w gówno i nie przechowałem go w wątrobie czy coś w tym stylu. Ale czułem, że przesrałem życie, tak jak się czasami przepuszcza pieniądze. Miałem życie wypełnione dziećmi, żoną, pracą i tak dalej — i jakoś je tak zmarmoliłem. Nie, jednak nie w tym rzecz. Wiedziałem, co i jak, tak jak się wie, na co idzie forsa, kiedy się ją puszcza. Wcale go nie zmarmoliłem. Roztrwonilem. Rozmieniłem dzieciaki, robotę i żonę na nastolatki i nocne kluby: to wszystko przecież kosztuje, i ja radośnie płaciłem, aż nagle straciłem to życie. Co miałem po sobie zostawić? W sylwestra czułem się, jakbym się żegnał z jakąś nikłą formą świadomości i czynnym w połowie układem trawiennym — wszelkimi oznakami życia, owszem, tyle że pozbawionego wszelkiej treści. Nie czułem się nawet specjalnie przygnębiony. Czułem się tylko bardzo głupio i bardzo źle.

Nie siedzę tu teraz dlatego, że nagle się opamiętałem. Cóż, siedzę tutaj, ponieważ ta noc okazała się

równie zagmatwana jak cała reszta. Nie umiałem nawet skoczyć z pieprzonego wieżowca, nie pieprząc tego po drodze.

## MAUREEN

W sylwestra z ośrodka przysłali po niego ambulans. Trzeba za to było dodatkowo zapłacić, ale nie dyskutowałam. Nie mogłam. W końcu Matty miał ich kosztować znacznie więcej niż oni mnie. Ja płaciłam tylko za noc, a oni mieli płacić za resztę jego życia.

Myślałam, żeby pochować trochę rzeczy Matty'ego, na wypadek gdyby uznali, że to dziwne, ale nikt nie musiał wiedzieć, że należą do niego. Dla nich przecież mogłam mieć mnóstwo dzieci, więc wszystko zostawiłam na swoim miejscu. Przyjechali około szóstej; wywieźli go na wózku dwaj młodzi goście. Nie mogłam się rozplakać, kiedy odjeżdżał, ponieważ wtedy ci dwaj czegoś by się domyślili; z tego, co wiedzieli, miałam go odebrać nazajutrz o jedenastej rano. Pocałowałam go tylko w głowę i powiedziałam, żeby był tam grzeczny, tłamsząc wszystko w sobie, dopóki nie odjechali. Po czym płakałam i płakałam chyba przez godzinę. Zrujnował mi życie, ale nadal był moim synem, a ja miałam go już nigdy więcej nie zobaczyć i nawet nie było mnie stać na prawdziwe pożegnanie. Jakiś czas oglądałam telewizję i nawet wypiałam ze dwa kieliszki sherry, bo wiedziałam, że na zewnątrz będzie zimno.

Czekałam na przystanku autobusowym dziesięć minut, ale potem postanowiłam iść pieszo. Wiedząc, że chcesz umrzeć, jakoś mniej się boisz. Wcześniej do gło-

wy by mi nie przyszło iść tak daleko późno w nocy, zwłaszcza że na ulicach wszędzie pełno pijaków, ale teraz jakież to miało znaczenie? Choć z drugiej strony zaczęłam się martwić, że mogę zostać napadnięta, a nie zamordowana — zostawiona na śmierć, a nie rzeczywiście umierająca. Bo wtedy zabraliby mnie do szpitala i sprawdzili, kim jestem, i dowiedzieliby się o Mattym — i wszystkie te miesiące planów okazałyby się kompletną stratą czasu, a potem wyszłabym stamtąd winna im kilka tysięcy funtów, i skąd niby bym je wzięła? Ale nikt mnie nie napadł. Dwie osoby życzyły mi szczęśliwego Nowego Roku — i tyle. Poza domem nie bardzo jest się czego bać. Pamiętam, że w ostatnią noc w życiu myślałam, że zabawnie jest się o tym przekonać; przez jego resztę bałam się wszystkiego.

Nigdy przedtem nie byłam w Domu Skoczka. Tylko ze dwa razy mijałam go, jadąc autobusem. Nawet nie byłam pewna, czy jeszcze można dostać się na dach, ale drzwi były otwarte, więc po prostu poszłam na górę schodami, tak długo, aż nie byłam w stanie iść dalej. Nie wiem, czemu nie pomyślałam, że nie można tak po prostu skoczyć, kiedy się ma na to ochotę, ale gdy zdałam sobie z tego sprawę, zrozumiałam, że to uniemożliwili. Rozpięli ten drut, strasznie wysoko, no i postawili na górze ogrodzenie z kolcami... Wtedy to wpadłam w panikę. Nie jestem wysoka ani za bardzo silna; poza tym już nie te lata. Nie miałam pojęcia, jak sobie z tym wszystkim poradzę, a musiało się to stać tej nocy, ponieważ Matty został w ośrodku — i w ogóle. Zaczęłam więc przemyśliwać wszystkie inne opcje, ale żadna nie miała sensu. Nie chciałam tego robić w salonie, gdzie znalazł-

by mnie ktoś znajomy. Wolałam, żeby mnie znalazł ktoś obcy. A pod pociąg skakać nie chciałam, bo w telewizji widziałam program o tym, jak ci motorniczowie strasznie przeżywają samobójstwa. Samochodu nie miałam, nie mogłam więc odjechać w jakieś ustronne miejsce, żeby się udusić spalinami...

I wtedy zobaczyłam Martina, zaraz po drugiej stronie dachu. Skryłam się w cieniu i obserwowałam go. Widać było, że się dobrze przygotował: przyniósł składaną drabinkę i szczypce do cięcia drutu — i dzięki temu udało mu się dostać na samą górę. No i siedział tak sobie na gzymsie, kiwając nogami, patrząc w dół, pociągając z piersiówki, paląc i rozmyślając — podczas gdy ja czekałam. Palił i palił, i czekał, i czekał, aż w końcu nie wytrzymałam. Wiem, że to była jego drabinka, ale była mi potrzebna. Jemu nie za bardzo by się przydała.

Nie próbowałam go zepchnąć. Za mało mam siły, żeby spychać z gzymsu dorosłego mężczyznę. Zresztą nawet nie chciałam próbować. Byłoby to nie w porządku; decyzja — skoczyć czy nie — zależała od niego. Podeszłam tylko, przełożyłam rękę przez drut i klepnęłam go w ramię — żeby spytać, czy długo zamierza tam siedzieć.

## JESS

Zanim się znalazłam w tym squacie, wcale nie miałam zamiaru iść na dach. Naprawdę. Kompletnie zapomniałam, że to Dom Skoczka — do momentu gdy zaczęłam rozmawiać z tym facetem. Chyba mu się spodobałam, w czym zresztą nie ma nic szczególnego, biorąc

pod uwagę, że byłam tam jedyną laską poniżej trzydziestki, która się jeszcze trzymała na nogach. Dał mi fajkę i powiedział, że ma na imię Fifa, a jak spytałam, czemu Fifa, odparł, że dlatego, że zawsze pali trawę z fify. Ja na to: „Więc wszyscy tu mają na imię Skręt?”. Ale on, że nie; tamten gościu to Psychiczny Mike. Tamten to Kałuża. A tamten — Nicky Łajno. I tak dalej, dopóki mi nie powiedział imion wszystkich znanych sobie ludzi w pokoju.

Ale te dziesięć minut, które spędziłam, gadając z Fifą, weszło do historii. No, nie typu 55 przed Chrystusem czy 1939. Nie historycznej historii, chyba że któreś z nas wynajdzie wehikuł czasu albo powstrzyma Anglię przed najazdem al-Kaidy, albo coś w tym stylu. Ale kto wie, co by się z nami stało, gdybym się nie spodobała Fifie? Bo zanim mnie sobie zaczął przygadywać, miałam już wracać do domu, i Maureen, i Martin pewnie by teraz nie żyli, i... no, w ogóle by było inaczej.

Kiedy Fifa skończył wyliczać imiona znajomych, popatrzył na mnie i zapytał: „Nie wybierasz się przypadkiem na dach?”. „Nie z tobą, zaćpańcu”. On na to: „Gdyż widzę ból i rozpacz w twoich oczach”. Byłam już nieźle wlana, więc jak sobie to teraz przypominam, to na pewno widział w moich oczach siedem bacardi breezerów i dwie puszki special brew. „Co ty?”, mówię. I on na to: „Taa, widzisz, mam tu pilnować samobójców, wyszukiwać ludzi, co przychodzą tutaj tylko po to, żeby iść na górę”. Ja wtedy: „Co się dzieje na górze?”. Roześmiał się i mówi: „Żartujesz? Dziewczyno, to jest Dom Skoczka. Ludzie się tu zabijają”. A ja w życiu bym na to nie wpadła, gdyby mi nie powiedział. Nagle wszystko nabrało



sensu. Bo chociaż już się wybierałam do siebie, to nie umiałam sobie wyobrazić, co zrobię, jak się tam znajdę, i nie umiałam sobie wyobrazić, jak się obudzę rano. Pragnęłam Chasa, ale on mnie nie chciał i nagle sobie uświadomiłam, że po prostu najlepiej by było skrócić to życie najszybciej, jak tylko mogę. Rozbawiło mnie, że aż tak się to wszystko zgadza: chciałam sobie skrócić życie, a przecież byłam na imprezie w Domu Skoczka. To było jak znak od Boga. No dobra, trochę niefajne ze strony Boga, że miał mi do powiedzenia tylko, żebym skoczyła z dachu, ale nie mam mu tego za złe. Bo niby co innego miał mi powiedzieć?

Odczułam wtedy ciężar wszystkiego — ciężar samotności, wszystkiego, co poszło nie tak. Czułam się jak bohaterka, wspinając się na te ostatnie kilka pięter na szczyt budynku, wlokąc ten ciężar ze sobą. Skok wydawał się jedynym sposobem, żeby się go pozbyć, jedynym sposobem na to, żeby zamiast przeciwko mnie zadziałał na moją korzyść; czułam się taka ciężka, że wiedziałam, że w sekundę walnę o chodnik. Pobiłabym rekord świata w spadaniu z wieżowca.

## MARTIN

Gdyby nie próbowała mnie zabić, to na pewno bym nie żył. Ale każdy ma przecież instynkt samozachowawczy. Nawet jeśli próbujemy się zabić, kiedy się odzywa. Wiem tylko, że poczułem grzmotnięcie w plecy, obróciłem się, złapałem balustrady i zacząłem wrzeszczeć. Byłem już pijany. Pociągałem trochę ze starej piersiówki, a już przed wyjściem zdążyłem nieźle się nagrzać.

(Wiem, wiem, nie trzeba było prowadzić. Ale nie mogłem jechać z tą kurewską drabiną w autobusie). Więc, tak, pewnie trochę się zapomniałem w słowach. Gdybym wiedział, że to była Maureen, gdybym wiedział, jaka ona jest, przypuszczalnie trochę bym przyhamował. No, ale stało się inaczej i chyba nawet użyłem słowa na „pe”, za które przeprosiłem. Jednak musicie przyznać, że sytuacja była wyjątkowa.

Wstałem i obróciłem się ostrożnie, bo nie chciałem spaść przypadkiem — i zacząłem się na nią wydzierać, a ona tylko patrzyła.

— Znam cię — powiedziała.

— Skąd? — stanowczo za wolno myślałem. W całej Anglii ludzie podchodzą do mnie w restauracjach, sklepach, teatrach, garażach i przy pisuarach, mówiąc: „Znam cię”, gdy tymczasem zawsze chodzi im o coś dokładnie odwrotnego, mianowicie: „Nie znam cię. Ale widziałem cię w telewizji”. I chcą albo autograf, albo usłyszeć, jaka naprawdę jest Penny Chambers. Ale tamtej nocy czegoś podobnego się nie spodziewałem. Ten aspekt życia nie miał tam nic do rzeczy.

— Z telewizji.

— Chryste! Chciałem się zabić, ale — co tam — zawsze jest czas na autograf. Masz długopis? A jakąś kartkę? I — zanim spytasz — to nieźła suka, która wciąga w siebie, co się da, i pieprzy się z każdym. Właściwie co ty tu robisz?

— Miałam... Też miałam zamiar skoczyć. Chciałam od ciebie pożyczyć drabinę.

Oto do czego się wszystko sprowadza: do drabinek. No, nie dosłownie; proces pokojowy na Środkowym

Wschodzie nie sprowadza się do drabinek; rynki walutowe też nie. Ale z robienia wywiadów w tym programie wiem na pewno, że najpoważniejsze tematy da się sprowadzić do drobnicy, jakby życie było modelem airfixa. Słyszałem, jak pewien guru przypisywał swoją wiarę popsutej zapadce ogrodowej szopy (w dzieciństwie spędził noc zamknięty w środku — i Bóg poprowadził go przez ciemność); słyszałem, jak jakiś zakładnik opowiadał, że przeżył, bo jeden z jego porywaczy oszalał na punkcie rabatowej karty wstępu dla całej rodziny do londyńskiego zoo, którą ten miał w portfelu. Chce się mówić o istotnych sprawach, ale to zapadki ogrodowych szop i karty wstępu do londyńskiego zoo dają punkt zaczepienia; bez nich nie wiedziałoby się, od czego zacząć. A już na pewno nie, kiedy się prowadzi *Kto rano wstaje z Martinem i Penny*. Nie mogłem rozmawiać z Maureen, czemu byliśmy tak nieszczęśliwi, że chcieliśmy, żeby nasze mózgi rozlały się po betonie jak shake z McDonalda — gadaliśmy więc o drabince.

— Nie krępuj się, proszę.

— Zaczekam aż... No, zaczekam.

— Więc masz zamiar tak stać i patrzeć?

— Nie. Skądże. Pewnie byś wolał zrobić to sam.

— Słuszna uwaga.

— Pójdę tam — wskazała drugi koniec dachu.

— Krzyknę do ciebie po drodze. Roześmiałem się. Ona nie.

— No dobra. To nie było za śmieszne. Wziąwszy pod uwagę okoliczności.

— Chyba nie jestem w nastroju, panie Sharp.

Nie myślę, że chciała być dowcipna, ale jej słowa rozbawiły mnie jeszcze bardziej.

Maureen poszła na drugi koniec dachu i usiadła, oparta plecami o ścianę. Odwróciłem się i znów pochylałem na gzymsie. Ale nie mogłem się skupić. Umknął właściwy moment. Pewnie sobie myślicie: „A ileż to skupienia trzeba, żeby się rzucić ze szczytu wysokiego budynku?”. I tu byście się zdziwili. Przed przyjściem Maureen byłem w strefie; w miejscu, skąd nietrudno by było samemu zeskoczyć. Nie mówiąc o tym, że byłem totalnie skoncentrowany na wszystkich powodach, które mnie tam przywiodły; przeraźliwie ostro widziałem niemożność podjęcia próby dalszego życia na dole.

Ale rozmowa z nią rozproszyła mnie, wciągnęła z powrotem w świat, w chłód i wiatr, i dudnienie basu siedem pięter niżej. Nie umiałem na nowo wejść w nastrój; było tak, jakby któreś z dzieci zbudziło się właśnie wtedy, kiedyśmy z Cindy zaczęli się kochać. Nie rozmyśliłem się i dalej czułem, że kiedyś będę musiał to zrobić. Tylko po prostu wiedziałem, że nie dam rady tego zrobić w ciągu następnych pięciu minut.

Krzyknąłem do Maureen:

— Heja! Zamieniamy się miejscami? Jak ci tam? — i znów się roześmiałem.

Rozkręcałem się, byłem już na tyle pijany i chyba na tyle walnięty, że cokolwiek bym powiedział, zdawało mi się komiczne.

Maureen wyłoniła się z mroku i ostrożnie zbliżyła do dziury w drucianym ogrodzeniu.

— Też chcę być sama — oznajmiła.

— Będiesz. Daję ci dwadzieścia minut. Potem masz mi oddać moje miejsce.

— A jak masz zamiar tu wrócić?

O tym nie pomyślałem. Drabinka działała jednokierunkowo: po mojej stronie balustrady nie było dość miejsca, żeby ją rozwinąć.

— Będiesz musiała ją przytrzymać.

— Jak to?

— Podasz mi górą. Umocuję tuż przy balustradzie. Spokojnie przytrzymasz z tamtej strony.

— Nie utrzymałabym. Jesteś za ciężki.

A ona była za lekka. Była drobna i w ogóle nic nie ważyła; pomyślałem, że może chce się zabić, bo nie chce umierać długo i w bólach od jakiejś nieznannej choroby.

— To będziesz musiała mnie tu znosić.

Poza tym wcale nie byłem pewny, czy chcę się wspinać na drugą stronę. Balustrada wyznaczała teraz granicę: z dachu można było dotrzeć na schody, ze schodów na ulicę, a z ulicy — do Cindy i dzieciaków, Tiny i jej ojczulka oraz do całej reszty, która mnie tu przywiała jak jakąś paczkę chrupek. Na gzymsie czułem się bezpieczny. Nie było tam wstydu i upokorzenia — poza upokorzeniem i wstydem samotnego siedzenia na gzymsie w sylwestra.

— Nie mógłbyś się wynieść na drugą stronę dachu?

— A ty? To moja drabinka.

— Oj, chyba ci brak ogłady.

— Oj, chyba, kurwa, tak. I dlatego też tu jestem. Czytujesz gazety?

— Czasem przeglądam lokalną.

- Więc co o mnie wiesz?
- Występowałeś w telewizji.
- I tyle?
- No, chyba. — Chwilę się zastanawiała. — Byłeś żonaty z którąś z Abby?
- Nie.
- Czy inną piosenkarką?
- Nie.
- Aha. I wiem też, że lubisz grzyby.
- Grzyby?
- Mówiłeś. Pamiętam. W studio raz był taki szef kuchni i dał ci coś skosztować, i powiedział: „Mmmmm, uwielbiam grzyby. Mógłbym je jeść bez przerwy”. To ty byłeś?
- Może. To wszystko, co odgrzebałaś?
- Tak.
- Więc, jak myślisz, czemu chcę się zabić?
- Nie mam pojęcia.
- Wkurwiasz mnie.
- Mógłbyś uważać na język? Dla mnie to obraźliwe.
- Przepraszam.

Ale nie mogłem uwierzyć. Nie mogłem uwierzyć, że znalazłem kogoś, kto nie wie. Zanim poszedłem do więzienia, budziłem się co rano, a pod drzwiami czekały te hieny z brukowców. Chodziłem na spotkania grup wsparcia z agentami, menadżerami i dyrektorami z telewizji. Wydawało się niepojęte, żeby ktokolwiek w Anglii nie interesował się tym, co zrobiłem, głównie dlatego, że żyłem w świecie, gdzie mój czyn był najwyraźniej jedyną znaczącą sprawą. „Może Maureen mieszkała na da-

chu", pomyślałem. Mieszkając tam, nietrudno stracić kontakt z rzeczywistością.

— A twój pasek? — wskazała go kiwnięciem głowy. Dla niej były to najostatniejsze chwile na Ziemi. Nie chciała ich tracić na rozmowę o mej namiętności do grzybów (namiętności, która skądinąd pewnie została wymyślona na potrzeby programu). Chciała dalej robić swoje.

— Co?

— Zdejmij pasek, obwiąż drabinkę i przytroczyć ją po swojej stronie balustrady.

Zrozumiałem, o co jej chodzi, i stwierdziłem, że to niezły pomysł, po czym przez parę minut wspólnie działaliśmy w zgodnym milczeniu; przełożyła drabinkę przez ogrodzenie, a ja zdjąłem pasek, obwiązałem go wokół balustrady i drabinki, mocno ściągnąłem i zapiąłem, sprawdzwszy, czy porządnie trzyma. Naprawdę nie miałem ochoty umierać, spadając do tyłu. Wdrapałem się z powrotem na górę, rozpięliśmy pasek i umieścili drabinkę na poprzednim miejscu.

I kiedy już miałem dać Maureen spokojnie skoczyć, wydarła się na nas ta jebnięta.

## JESS

Powinnam była siedzieć cicho. Źle zrobiłam. No, źle w tym sensie, że przecież chciałam się zabić. Mogłam po prostu podejść, prędko i po cichu, do miejsca, gdzie Martin rozciął drut, wspiąć się po drabince i skoczyć. Ale tak nie zrobiłam. Ryknęłam coś w stylu: „Z drogi, patałachy)", wydając przy tym indiański okrzyk wo-

jenny, jakby to była zabawa — wtedy zresztą traktowałam to jak zabawę — i w pół drogi Martin przyblokował mnie jak w rugby. Następnie przydusił kolanem — twarzą do podłoża pokrytego tym takim żwirkiem, którym się posypuje dachy. Wtedy to naprawdę odechciało mi się żyć.

Nie wiedziałam, że to Martin. Najpierw w ogóle nic nie widziałam, ale jak zaczął wciskać mój nos w ziemię, to zobaczyłam ziemię. No i gdy tylko dotarłam na dach, zorientowałam się, co tam oboje robili. Chyba każdy by się od razu domyślił. Więc kiedy na mnie siedział, spytałam: „To wam się wolno zabijać, a mnie nie?”. On na to: „Za młoda jesteś. Spapraliśmy sobie życie, ty — jeszcze nie”. „Skąd wiesz?”, pytam, a on: „W twoim wieku nikt sobie nie pieprzy życia”. Ja: „A gdybym zamordowała dziesięć osób? W tym własnych rodziców i nie wiem, moje małe bliźniaki?”. On: „Co ty!”. Ja: „Naprawdę”. (Wcale nie zabiłam, tylko byłam ciekawa, co na to powie). On: „No, skoro tutaj jesteś, to chyba znaczy, że jakoś ci się udało? Na twoim miejscu leciałbym zaraz do Brazylii”. Ja na to: „A gdybym tak chciała zapłacić za to, co zrobiłam z własnym życiem?”. Martin: „Zamknij się”.

## MARTIN

Od razu jak przyparłam Jess do podłoża, pomyślałem sobie, że nie chcę, żeby Maureen się wymknęła. Nie chodzi o to, że miałem zamiar ratować jej życie, tylko wkurzyłbym się, gdyby skoczyła, próbując wykorzystać moją nieuwagę. Coś nie bardzo się to wszystko trzyma



kupy; parę minut wcześniej praktycznie oprowadzałem ją po dachu. Ale nie rozumiałem, czemu to nie ona, tylko ja miałbym odpowiadać za Jess, jak również czemu to ona miałaby skorzystać z drabinki, którą ja sam tam zawlokłem. Działalem więc z dosyć egoistycznych pobudek — nic nowego, jak by wam powiedziała Cindy.

Po kretyńskiej rozmowie z Jess o tym, że uśmierciła kilka osób, krzyknąłem do Maureen, żeby przysłała i mi pomogła. Wyglądała na wystraszoną, ale jakoś się do nas wyguzdrała.

— Pospiesz się, cholera.

— Co mam robić?

— Siadaj na niej.

Maureen usiadła na tyłku Jess, a ja przykląknęłam na jej ramionach.

— Puszczaj mnie, stary zboczeńcu. Podnieca cię to, co?

No, wzięwszy pod uwagę ostatnie wydarzenia, na pewno mnie to trochę ukłuło. Przez chwilę myślałem, że Jess może mnie znać, ale aż do tego stopnia zajęty sobą nie jestem. Jakby was ktoś przyblokował w środku nocy w momencie, gdy chcecie się rzucić ze szczytu wieżowca, to raczej byście nie myśleli o prezenterach telewizji śniadaniowej. (Co zapewne zszokowałyby prezenterów telewizji śniadaniowej, których większość głęboko wierzy, że ludzie nie myślą o niczym innym poza śniadaniem, obiadem i kolacją). Byłem dostatecznie dojrzały, żeby się wznieść ponad szyderstwa Jess, aczkolwiek miałem dużą ochotę połamać jej ręce.

— Będziesz grzeczna, jak cię puścimy?

— Tak.

A gdy Maureen wstała, Jess, co rzecz jasna było do przewidzenia, rzuciła się na drabinkę i znów musiałem ją sprowadzić do parteru.

— Co teraz? — spytała Maureen, jakbym był weteranem niezliczonych sytuacji tego typu i świetnie znał się na rzeczy.

— Cholera, nie wiem.

Nie mam pojęcia, dlaczego żadnemu z nas nie przyszło do głowy, że w sylwestra popularne miejsce samobójstw będzie przypominało Piccadilly Circus — ale też w tym momencie pogodziłem się z sytuacją: oto zmienialiśmy doniosłą i intymną chwilę w wieloobsadową farsę.

I właśnie wtedy, gdy to przyjąłem do wiadomości, z naszej trójki zrobiła się czwórka. Słyszając grzeczne chrząknięcie, obejrzelismy się i zobaczyliśmy wysokiego, przystojnego długowłosego mężczyznę, z dziesięć lat młodszego ode mnie, który pod jedną pachą trzymał kask, a pod drugą dwa duże pudła.

— Ktoś tu zamawiał pizzę? — spytał.

## MAUREEN

Nie przypominam sobie, żebym kiedyś spotkała Amerykanina. Nie byłam też do końca pewna, czy to Amerykanin — dopóki nie odezwali się tamci. Bo niby czemu pizzę mieliby dostarczać Amerykanie? No, ale może nie jestem na bieżąco. Nieczęsto zamawiam pizzę, ale zawsze, kiedy to robię, przynosi ją ktoś, kto nie mówi po angielsku. Amerykanie nie dostarczają zamówień, prawda? I nie obsługują w sklepach ani nie sprzedają bile-

tów w autobusie. W Ameryce pewno tak, ale tutaj nie. W ośrodku, gdzie zajmują się Mattym, są Hindusi, Indianie i pełno Australijczyków, ale nie ma żadnego Amerykanina. Toteż z początku chyba uznaliśmy, że jest trochę pomyłony. Nic innego nam się nie nasunęło. Przez te włosy wyglądał trochę nienormalnie. I myślał, że zamówiliśmy pizzę, podczas gdy staliśmy na dachu Domu Skoczka.

— Jak mielibyśmy zamówić pizzę? — spytała go . Jess. Ja i Martin nie zmieniliśmy pozycji, więc jej głos zabrzmiał trochę dziwnie.

— Przez komorę — odparł.

— Co to jest „komora”? — spytała Jess.

— Aha, okay, komórkę.

Mogliśmy zatem szczerze z nim porozmawiać.

— Jesteś Amerykaninem? — zapytała Jess.

— No.

— I co, tak sobie roznosisz pizzę?

— A wy co, tak sobie siedzicie jej na głowie?

— Siedzą mi na głowie, gdyż to nie wolny kraj — odparła Jess. — Nie można robić, na co się ma ochotę.

— A co chciałaś zrobić? Nie odpowiedziała.

— Chciała skoczyć — stwierdził Martin.

— I wy też! Zignorował ją.

— Wszyscy chcieliście skoczyć? — zapytał dostawca pizzy.

Nikt się nie odezwał.

— O, ja — powiedział.

— O, ja — nie rozumiała Jess. — O, ja — co?

— To amerykański skrót — wyjaśnił Martin. — „O, ja” znaczy u nich: „O, ja pier...”. W Stanach są tak zajęci, że nie mają czasu na to słowo.

— Moglibyście się grzeczniej wyrażać? — poprosiłam. — Nie wszyscy chowaliśmy się w chlewie.

Roznosiciel pizzy siadł na dachu i zaczął kręcić głową. Pomyślałam, że może nas żałuje, ale potem powiedział, że chodziło o coś całkiem innego.

— Okay — odezwał się po chwili. — Puśćcie ją. Żadne z nas się nie poruszyło.

— Ej, wy tam! Słyszycie, co, ku..., mówię? Czy mam do was iść i powtórzyć? — wstał i ruszył w naszą stronę.

— Już chyba z nią dobrze, Maureen — rzekł Martin, podnosząc się jakby z własnej woli, a nie dlatego, żeby się obawiał ciosu Amerykanina. Wstał i ja wstałam. Otrzepując się i przeklinając, wstała też Jess — po czym wbiła wzrok w Martina.

— Ty jesteś ten gościu — stwierdziła. — Ten z telewizji śniadaniowej. Co się przespał z piętnastolatką. Martin Sharp. Ja pier...! Siedział mi na głowie Martin Sharp. Ty stary z boku!

Naturalnie nie miałam pojęcia o żadnej piętnastolatce. Takich gazet nie przeglądam, no, chyba że siedzę u fryzjera albo jak ktoś zostawi w autobusie.

— Bez jaj — odezwał się chłopak od pizzy. — Czytałem o tym w „New York Timesie”.

— O Boże — jęknął Martin, najwyraźniej jednak zadowolony.

— Żartowałem — stwierdził ten od pizzy. — Prowadziłeś angielski program telewizji śniadaniowej. W Stanach nikt o tobie nie słyszał. Co ty!

— No to daj nam trochę tej pizzy — poprosiła Jess. — Jakie masz smaki?

— Nie wiem — odparł ten od pizzy.

— To ja zajrzę, co?

— Nie. Bo wiesz... To nie jest moja pizza.

— Znalazł się, piczek-zasadniczek. Naprawdę. Tak się wyraziła. Nie wiem dlaczego.

Schyliwszy się, odebrała mu torbę i wyciągnęła z niej pudła. Następnie otworzyła je i zaczęła grzebać w pizzie.

— Tu jest pepperoni. A to — to nie wiem. Warzywa.

— Wegetariańska — rzekł ten od pizzy.

— Może być — zgodziła się Jess. — Kto ma na co ochotę?

Poprosiłam o wegetariańską. Czując, że pepperoni by mi nie podeszła.

Mówiłem paru osobom o tamtej nocy i — dziwna sprawa — rozumieją to z samobójstwem, ale tego z pizzą nie. Ludzie, zdaje się, na ogół rozumieją samobójstwo, i w większości, nawet jeżeli to coś głęboko skrywanego, umieją sobie przypomnieć pewien moment w życiu, kiedy się zastanawiali, czy naprawdę chcą się obudzić następnego dnia. Pragnienie śmierci jest tak jakoś wpisane w życie. No, w każdym razie opowiadam ludziom o tym sylwestrze — i nikt nie pyta: „Cooooo? Chciałeś się zabić?”. Tylko raczej coś takiego: „A, okay, spinkoliło ci się z kapelą, wypaliłeś się jako muzyk, a całe życie nie chciałeś robić nic innego, do tego jeszcze zerwałeś z dziewczyną, dla której w ogóle jesteś w tym pieprzo-

nym kraju... Jasne, rozumiem, co cię tam wypchało". Tylko że za chwilę chcą wiedzieć, czemu taki facet jak ja zajął się roznoszeniem pieprzonej pizzy.

Okay, nie znacie mnie, więc musicie mi uwierzyć na słowo: nie jestem głupi. Czytam, co się, kurwa, tylko da, wszystko, co mi wpadnie w ręce. Lubię Faulknera, Dickensa, Vonneguta, Brendana Behana i Dylana Thomasa. Na początku tamtego tygodnia — a dokładnie w Boże Narodzenie — skończyłem *Revolutionary Road* Richarda Yatesa: powieść totalnie niesamowitą. I nawet miałem zamiar z nią skoczyć — nie tylko dlatego, że fajnie by to wyglądało i nadałoby mojej śmierci aurę mistycyzmu, ale dlatego, że może wtedy wzięłoby się za nią więcej ludzi. No, ale wyszło, jak wyszło; nie miałem kiedy się przygotować i zostawiłem ją w domu. Chociaż muszę powiedzieć, że raczej nie polecam kończenia jej w Boże Narodzenie, w jakiejś kawalerce z zimną wodą, w mieście, gdzie właściwie nikogo się nie zna. Pewnie też niespecjalnie polepszyła mi nastrój — jeśli wiecie, o czym mówię — bo kończy się strasznie dołująco.

W każdym razie chodzi o to, że ludziom się wydaje, że ktoś, kto w sylwestra objeżdża północny Londyn za minimalną stawkę na głównianym motorowerze, widocznie ma przerąbane, a już na pewno coś mu się porąbało. Okay, przerąbane mamy z definicji, bo roznoszenie pizzy to robota dla przerąbańców. Ale nie wszyscy jesteśmy tacy tępi — bez przesady. Faktycznie, mimo tego Faulknera i Dickensa byłem chyba najgłupszy ze wszystkich w robocie — a przynajmniej najgorzej wykształcony. Są wśród nas afrykańscy lekarze, prawnicy z Albanii, che-

micy z Iraku... Tylko ja nie skończyłem college'u. (Nie rozumiem, jak to się dzieje, że w naszym społeczeństwie nie nasila się przemoc związana z pizzą. Pomyślcie sobie: jesteście w Zimbabwe, przykładowo, wziętym neurochirurgiem czy kimś takim, i nagle musicie jechać do Anglii, bo reżim faszystowski chce wam przybić tyłek do drzewa — tylko po to, żeby o trzeciej rano traktował was z góry jakiś zaćpany nastoletni pojeb, co sobie chce coś przetrącić... No więc, chyba powinniście mieć, kurwa, prawo rozwalić mu szczękę?) Nie tylko przez to można mieć przerąbane.

Tak więc można powiedzieć, że rozwoziłem pizzę, bo Anglia jest do dupy, a konkretnie: do dupy są Angielki, a legalnie pracować nie mogłem, bo nie jestem Anglikiem. Ani Włochem, ani Hiszpanem, ani choćby, kurwa, Finem. Pracowałem w jedynej robocie, jaką mi się udało złapać: Iwanowi, litewskiemu właścicielowi Casa Luigi na Holloway Road, było obojętne, czy jestem z Chicago, czy z Helsinek. A poza tym — gównu pleni się wszędzie i nie istnieje na świecie dziura na tyle ciasna, ciemna, duszna i, kurwa, beznadziejna, żeby się nie dało do niej wcisnąć.

Problem mojego pokolenia polega na tym, że wszyscy się mamy, kurwa, za geniuszy. Nie wystarczy coś stworzyć, coś sprzedać czy czegoś kogoś nauczyć albo chociaż coś zrobić: musimy być k i m ś. To nasze niezbywalne prawo obywateli dwudziestego pierwszego wieku. Skoro Christina Aguilera albo Britney i jakiś palant z *Amerykańskiego idola* może być kimś — to czemu nie ja? Ze niby z czym do gościa? Okay, mam kapelę; w życiu nie usłyszycie w barze lepszego grania na żywo, no

i zrobiliśmy dwa albumy, które się podobały wielu krytykom i nie za wielu zwykłym ludziom. Ale posiadanie talentu nigdy nie wystarcza do szczęścia, prawda? A przecież powinno, bo jest to dar, za który trzeba dziękować Bogu — ale ja nie dziękowałem. Tylko się wkurwiałem, bo za talent nikt mi nie płacił i dzięki talentowi nie trafiłem na okładkę „Rolling Stone'a”.

Oscar Wilde powiedział, że prawdziwe życie to często życie, jakiego się nie prowadzi. Co, kurwa, racja, to racja. Moje prawdziwe życie wypełniały wielkie koncerty na Wembley i w Central Parku, platynowe płyty i nagrody Grammy, a przecież nie tym żyłem, więc może dlatego chciałem się z tym pożegnać. Życie, jakie wiodłem, nie pozwalało mi, nie wiem... być tym, kim się czułem. Nie pozwalało mi nawet porządnie się wyprostować. Miałem poczucie, że idę jakimś tunelem, coraz węższym i węższym, i coraz bardziej mrocznym, i zacząłem się pogrążyć w wodzie, i całkiem się zgarbiłem, i przede mną pojawił się kamienny mur, a za jedyne narzędzie miałem paznokcie. I może czuje to każdy, ale to nie powód, żeby w tym tkwić. Tak czy siak, w tego sylwestra do końca mi to obrzydło. Już całkiem zdarłem paznokcie i opuszki też miałem w strzępach. Dłużej już kopać nie mogłem. Kapela się skończyła, więc teraz, żeby jakoś tam wyrazić siebie, zostało mi tylko wymeldować się z nieprawdziwego życia: miałem, kurwa, zamiar sfrunąć z tego dachu jak Superman. Tyle że, oczywiście, wyszło trochę inaczej.

Parę nieżyjących osób, zbyt wrażliwych, żeby żyć: Sylvia Plath, van Gogh, Virginia Woolf, Jackson Pollock, Primo Levi, rzecz jasna Kurt Cobain. Paru żyją-



cych: George W. Bush, Arnold Schwarzenegger, Osama bin Laden. Postawcie krzyżyk przy tych, z którymi byście chcieli pójść na drinka, a przekonacie się, czy są po stronie żywych, czy umarłych. Aha, możecie uznać, że przekombinowuję; że na mojej „liście żywych” brak paru osób, boby mi rozpieprzyły argumentację: kilku poetów, muzyków i tak dalej. No i możecie też się czepiać, że Hitler czy Stalin nie byli tacy świetni, a już ich wśród nas nie ma. Ale wiecie, o czym mówię, więc jednak przyznajcie mi rację. Wrażliwi mają trudniej.

Stąd też odkrycie, że Maureen, Jess i Martin chcą się wynieść z tego świata szlakiem Jacksona Pollocka, było dla mnie sporym wstrząsem (tak, pewnie: wiem, że Jackson Pollock nie skoczył z dachu bloku w północnym Londynie). Kobieta w średnim wieku o wyglądzie sprzątaczkii, rozwrzeszczana nastoletnia wariatka i telewizyjny prezenter o pomarańczowej twarzy... Kompletnie bez sensu. Nie dla takich ludzi wymyślono samobójstwo. Wymyślono je dla takich jak van Gogh, Virginia Woolf i Nick Drake\*. I ja. Samobójstwo miało być cool.

Sylwester to noc przeznaczona dla sentymentalnych straceńców. Sam się wkopałem. Było oczywiste, że na górze pojawi się jakiś mierny tłumek. Powinie-

**\* Angielski pieśniarz, kompozytor i autor tekstów. W latach 1969-1972 wydał trzy albumy, uznawane przez muzyków rockowych i krytyków za wybitne i ponadczasowe. W kulturze anglosaskiej postrzegany jako subtelny, nadwrażliwy geniusz. Zmarł w 1974 roku z przedawkowania leku antydepresyjnego. (Przypisy pochodzą od tłumacza).**

nem był wybrać coś z większą klasą —choćby 28 marca, kiedy Virginia Woolf weszła do rzeki, albo 25 listopada (Nick Drake). Bo obojętnie, w którą z tych rocznic na dach przyszliby ludzie czujący podobnie, a nie jacyś porypani, co sobie uroili, że koniec roku kalendarzowego jest jakoś tam istotny. Tylko że kiedy dostałem zlecenie, żeby zawieźć pizzę do tego squatu w Domu Skoczka, nie chciałem przepuścić takiej okazji. Postanowiłem wyjść na dach, rozeznąć się w sytuacji i rozpoznać teren, następnie wrócić na dół z pizzą, a potem Zrobić To.

Tymczasem znalazłem się w towarzystwie trojga potencjalnych samobójców, wgapionych we mnie i przeżuwających pizzę, którą miałem dostarczyć do squatu. Najwyraźniej spodziewali się czegoś w stylu orędzia z Gettysburga\* — o doniosłości ich utraconego życia bez celu. Paradoksalnie — bo mnie naprawdę głównie obchodziło, czy któreś skoczy, czy nie. Po pierwsze, w ogóle ich nie znałem, a poza tym nie wyglądali na takich, co to mieliby w znaczący sposób przyczynić się do rozwoju ludzkości.

— Super — powiedziałem. — Pizza. Smaczne co nieco w sam raz na taką noc.

Cytat z Raymonda Carvera, jak pewnie wiecie, ale żadne z nich nie załapało.

— Co teraz? — spytała Jess.

— Jemy pizzę.

— A dalej?

**\* Proklamacja Lincolna z 22 września 1862 roku o zniesieniu niewolnictwa z dniem 1 stycznia 1863.**

— Jeszcze pół godzinki, okay? A potem zobaczymy. — Nie mam pojęcia, skąd mi to przyszło. Dlaczego pół godzinki? I co niby miało być później? — Trzeba trochę pobyc na powietrzu. Co z waszą godnością? Trzydzieści minut? Zgoda?

Najpierw wzruszyli ramionami, a potem przytaknęli — po czym wszyscy w milczeniu dalej przeżuwalismy pizzę. Wtedy to pierwszy raz skosztowałem pizzy Iwana. Była niejadalna, a może nawet trująca.

— Nie będę tu, kurwa, siedzieć pół godziny i patrzeć na wasze ponure gęby — odezwała się Jess.

— Przed sekundą na to przystałaś — upomniał ją Martin.

— I co z tego?

— Jaki jest sens najpierw coś ustalać, a potem tego nie robić?

— Żaden — uznanie tego faktu najwyraźniej nie zbiło jej z tropu.

— Konsekwencja jest ostatnim azylem ludzi pozbawionych wyobraźni — powiedziałem. Znów Oscar Wilde. Nie mogłem się powstrzymać.

Jess rzuciła mi wściekłe spojrzenie.

— Jest po twojej stronie — wyjaśnił jej Martin.

— W ogóle wszystko jest bez sensu, prawda? — powiedziała Jess. — Dlatego tu siedzimy.

Całkiem interesująca filozoficzna dywagacja. Jess stwierdziła, że dopóki siedzimy na dachu — wszyscy jesteście anarchistami. Nie mają tu zastosowania żadne umowy, zasady i reguły. Mogliśmy się nawzajem gwałcić i mordować, i nikogo by to nie obeszło.

— Chcąc żyć poza prawem, trzeba być uczciwym — powiedziałem.

— Do kurwy nędzy, co to znaczy? — chciała wiedzieć Jess.

Wiesz, prawdę powiedziawszy, nigdy do końca nie rozumiałem, co, do kurwy nędzy, to znaczy. Był to pogląd Boba Dylana, nie mój, i zawsze mi dobrze brzmiał. Ale teraz po raz pierwszy znalazłem się w sytuacji, kiedy go mogłem poddać próbie — i stwierdzić, że się nie sprawdza. Żyliśmy poza prawem, toteż mogliśmy kłamać jak najęci, no więc właściwie czemu nie — pomyślałem.

— Nic — odpowiedziałem.

— To się zamknij, jankesie.

I tak też zrobiłem. Zostało nam jeszcze około dwudziestu ośmiu minut.

## JESS

Dawno temu, jak miałam osiem czy dziewięć lat, widziałam w tiwi taki program o historii Beatlesów. Jen lubiła Beatlesów, więc to ona kazała mi oglądać, ale mnie było obojętne. (Chociaż chyba jej powiedziałam, że nie jest mi obojętne. Zdaje się, trochę grymasiłam i wkurzyłam ją). W każdym razie — kiedy dołączył Ringo, poczułam taki trochę dreszczyk, no bo już było ich czterech, gotowych zostać najślawniejszym zespołem świata. I coś podobnego poczułam, gdy na dachu pojawił się z pizzą JJ. Na pewno myślisz: „Aha, mówi tak, gdyż to dobrze brzmi” — ale nie. Wiedziałam, naprawdę. Pewnie, że wyglądał jak gwiazda rocka, z tymi

włosami, w skórzanej kurtce i w ogóle, ale moje odczucie nie miało nic wspólnego z muzyką. Ja po prostu wiedziałam, że go potrzebujemy, więc kiedy przyszedł, zrobiło się jakoś tak fajnie. Ale nie był Ringiem. Był bardziej jak Paul. Ringiem była Maureen, tylko że brakowało jej poczucia humoru. Ja byłam George'em, choć nie byłam nieśmiała ani uduchowiona. Johnem był Martin, chociaż nie był zdolny ani cool. Jak tak sobie teraz o tym myślę, to chyba jednak byliśmy innym zespołem o czteroosobowym składzie.

W każdym razie widać było, że coś się może wydarzyć, coś ciekawego, więc nie mogłam zrozumieć, czemu tak sobie zwyczajnie siedzimy i jemy kawałki pizzy. Tak że stwierdziłam, że może byśmy pogadali, a Martin na to: „O czym, o wspólnym cierpieniu?”. Po czym zrobił taką minę, jakbym powiedziała coś głupiego, więc nazwałam go bucem, a wtedy Maureen westchnęła oburzona i spytała, czy w domu też tak mówię (mówię), więc ją nazwałam torbą, a Martin mnie — głupią i podłą dziewczyną, to go oplułam, czego nie powinnam była robić i czego zresztą obecnie tak za często to nie robię, więc się rzucił, jakby mnie chciał dusić, no i JJ skoczył, żeby nas rozdzielić, na szczęście dla Martina, gdyż nie myślę, żeby mnie uderzył, podczas gdy ja z całą pewnością uderzyłabym go, pobiła i podrapała. Po tym drobnym zajściu siedzieliśmy chwilę, sapiąc i nienawidząc się nawzajem.

I kiedyśmy się wszyscy trochę uspokoili, JJ powiedział mniej więcej coś takiego: „Chyba nic by się złego, nie stało, gdybyśmy się podzielili naszymi doświadcze-

niami", tylko że powiedział to jeszcze bardziej amerykańsko. Na to Martin: „A kogóż obchodzą twoje doświadczenia? Ty tylko roznosisz pizzę". A JJ: „Skoro tak, to może pomówmy o twoich, nie moich". Ale było za późno i z tego, co powiedział — o dzieleniu się doświadczeniami — domyśliłam się, że jest tu z tych samych powodów co my. Więc mówię tak: „Wyszedłeś tu, żeby skoczyć, nie?". Gdy nie odpowiedział, Martin i Maureen spojrzeli na niego. Martin pyta: „Chciałeś skoczyć z pizzą? Bo ktoś ją przecież zamówił". Żart, zdaje się, naruszył poczucie zawodowej dumy JJ'a, który nam oznajmił, że przyszedł tylko na rekonesans i zaraz idzie na dół dostarczyć pizzę, po czym tutaj wróci. Ja na to: „No, ale wszystko żeśmy zjedli". Martin: „Kurczę, nie podejrzewałem, żebyś był z tych, co skaczą", a wtedy JJ: „Słuchajcie, jak należycie do tych, co skaczą, to nie powiem, żeby mi było przykro". Oczywiście w powietrzu narobiło się okropnie dużo, no, tego, złej energii.

Więc spróbowałam jeszcze raz. „Dajcie spokój, pogadajmy", powiedziałam. „Ale bez tego dzielenia się cierpieniem. Tylko, no wiecie, jak się nazywamy i czemu tu jesteśmy. Bo to może być ciekawe. Moglibyśmy się czegoś nauczyć. Zobaczyć jakieś wyjście z sytuacji czy coś takiego". A muszę się przyznać, że miałam taki jakby plan. Wymyśliłam, żeby mi pomogli znaleźć Chasa — tobyśmy się zeszli i by mi się polepszyło.

Ale musiałam poczekać, gdyż chcieli, żeby zaczęła Maureen.

## MAUREEN

Myślę, że wybrali mnie, ponieważ wcześniej prawie się nie odzywałam i z nikim jeszcze nie zadarłam. I może też dlatego, że byłam od nich bardziej tajemnicza. Martina to chyba wszyscy znali z gazet. A Jess, niech Bóg ma ją w swojej opiece... Zналиśmy ją ledwie pół godziny, ale od razu było widać, że ta dziewczyna ma problemy. Nie wiedząc o JJ'u nic, stwierdziłam, że może być gejem, ponieważ miał długie włosy i mówił po amerykańsku. Wielu Amerykanów to geje, prawda? Wiem, że nie oni wynaleźli gejostwo — tylko podobno Grecy. Ale to dzięki nim znowu stało się modne. Gejostwo ma w sobie coś z igrzysk olimpijskich: zniknęło w starożytności, a potem wróciło w dwudziestym wieku. Tak czy inaczej, nie miałam bladego pojęcia o gejach, więc po prostu przyjąłam, że wszyscy oni są nieszczęśliwi i chcą sobie odebrać życie. Ale ja... O mnie na podstawie wyglądu właściwie nic się nie dało powiedzieć, więc myślę, że byli ciekawi.

Nie miałam nic przeciwko temu, żeby mówić, gdyż wiedziałam, że nie będzie to długa przemowa. Żadne z nich nie chciałoby słuchać o moim życiu. Miałam wątpliwości, czy pojną, jakim sposobem już tak długo sobie z nim radzę. Najprzykrzejszy jest zawsze watek toaletowy. Ilekroć jestem zmuszona jęczeć — kiedy na przykład potrzebuję następną receptę na antydepresanty — zawsze wspominam o toalecie, o sprzątaniu, które trzeba robić właściwie codziennie. Dziwne, ale do tego tematu zdążyłam przywyknąć. Nie mogę się pogodzić z myślą, że moje życie jest skończone, bezcelowe, za ciężkie,

kompletnie beznadziejne i bezbarwne — ale mycie podłogi w ogóle mnie już nie trapi. Notabene w tym momencie doktor zawsze sięga po pióro.

— Jasne — stwierdziła Jess, kiedy skończyłam. — To bezmózgowiec. Tylko się nie rozmyśl. Bobyś żałowała.

— Niektórzy sobie radzą — rzekł Martin.

— Kto? — chciała wiedzieć Jess.

— Mieliśmy w programie kobietę, której mąż był w śpiączce dwadzieścia pięć lat.

— I za to niby spotkała ją nagroda: występ w telewizji śniadaniowej?

— Nie. Właśnie mówię.

— Co właśnie mówisz?

— Właśnie mówię, że to jest wykonalne.

— Tylko nie mówisz jak, prawda?

— Może go kochała.

Martin, Jess i JJ rozmawiali szybko. Jak ludzie w operach mydlanych: pach-pach-pach. Jak ludzie, którzy wiedzą, co powiedzieć. Nigdy nie umiałam tak mówić, a już na pewno nie wtedy; oto uświadomiłam sobie, że przez dwadzieścia parę lat nie mówiłam prawie wcale. A osoba, do której mówiłam najczęściej, nie potrafiła odpowiedzieć.

— Jak coś takiego kochać? — powiedziała Jess. — Był warzywem. I żeby to jeszcze przytomnym. Warzywem w śpiączce.

— Przecież nie byłby warzywem, gdyby nie był w śpiączce — rzekł Martin.

— Kocham mego syna — powiedziałam. Nie chciałam, żeby myśleli, że nie.



— Tak — potwierdził Martin. — Naturalnie. Nikt tutaj w to nie wątpi.

— Chcesz, żebyśmy go zabili? — spytała Jess. — Jak chcesz, to tam dziś pójde. Zanim skończę ze sobą. Naprawdę mi nie zależy. Korona mi z głowy nie spadnie. I tak za bardzo nie ma po co żyć, prawda? Gdyby umiał mówić, to pewno by mi podziękował, gnojek jeden.

Łzy napłynęły mi do oczu i JJ to zauważył.

— Czyś ty, ku..., zdumiała? — zwrócił się do Jess. — Zobacz, co narobiłaś.

— Przepraszam. Tak tylko głośno myślę.

Ale ja nie dlatego płakałam. Płakałam, ponieważ jedną jedyną rzeczą, której pragnęłam całym sercem i która mi dodawała chęci do życia, była śmierć Matty'ego. I wiedząc, o co płaczę, zaniosałam się jeszcze większym szlochem.

## MARTIN

Wszyscy, cholera jasna, znali mnie aż za dobrze, więc nie za bardzo mi się to spodobało — i tak też im powiedziałem.

— Ej, spoko, stary — powiedział JJ w ten drażniący, typowo amerykański sposób. Jak to niewiele trzeba, żeby się zirytować przez jankesów. Wiem, że są wobec nas przyjaźni i tak dalej, poza tym szanują sukces — nie to, co niewdzięczni tubylcy tego cholernego wysypiska śmieci — ale ich luzactwo działa mi na nerwy. Szkoda, że nie mogliście go widzieć. Wyglądał, jakby przyszedł na ten dach, żeby promować swój najnowszy film.

W głowie by wam nie powstało, że się może szwendać po Archway z jakąś pizzą.

— My tylko chcemy poznać twoją wersję — rzekła

Jess.

— Nie ma żadnej „mojej wersji”. Byłem, cholera, idiotą i teraz za to płacę.

— Więc nie chcesz się bronić? Bo tu jesteś wśród przyjaciół — stwierdził JJ.

— Dopiero co mnie opluła — zauważyłem. — Tak ma wyglądać przyjaźń?

— Nie bądź dzieckiem — powiedziała Jess. — Mnie przyjaciele ciągle opluwają, a nigdy nie biorę tego do siebie.

— Może powinnaś. Zdaje się, o to właśnie im chodzi. Jess prychnęła:

— Gdybym to brała do siebie, już bym dawno została bez przyjaciół.

Pozostawiliśmy to bez komentarza.

— No więc, czego jeszcze nie wiecie?

— Każda historia ma dwie strony — powiedziała Jess. — Znamy tylko tę złą.

— Nie wiedziałem, że ma piętnaście lat. Mówiła, że ma osiemnaście. I wyglądała na osiemnaście — odparłem. Tyle. To była ta dobra strona.

— Czyli że gdyby była z pół roku starsza, tobyś się tu nie znalazł?

— No, tak przypuszczam. Bobym nie złamał prawa. Nie poszedł do więzienia. Nie stracił pracy, nie dowiedziałyby się żona...

— To mówisz, że miałeś pecha.

— Powiedziałbym, że było to w pewnym stopniu karygodne. — Nie muszę wam chyba tłumaczyć, że wysiliłem się na ironiczne niedomówienie; wtedy jeszcze nie wiedziałem, że Jess jest najszcześliwsza, pływając się w bagnie cholernych oczywistości.

— To, że, kurwa, połknąłeś słownik, nie znaczy, że nie masz nic na sumieniu — stwierdziła Jess.

— No właśnie, „karygodne” zna...

— Bo przecież są tacy żonaci, co by jej nie przerznęli, choćby nie wiem ile miała lat. Do tego jeszcze masz dzieci, co?

— Istotnie, mam.

— Więc pech nie ma tu nic do rzeczy.

— Kurwa mać! To niby czemu, debilko, miałbym teraz siedzieć na tym gzymsie? Spieprzyłem sprawę. Nie próbuję się usprawiedliwiać. Czuję się tak podle, że marzę o śmierci.

— No, mam nadzieję.

— Dzięki. I w ogóle dzięki wam za ten pomysł. Bardzo pomocny. Bardzo... terapeutyczny.

Kolejne wielosylabowe słowo — kolejne wstrętne spojrzenie.

— Chciałbym się czegoś dowiedzieć — rzekł JJ.

— Słucham.

— Czemu to łatwiej skoczyć w próżnię, niż stawić czoło temu, co zrobiłeś?

— No właśnie stawiam czoło temu, co zrobiłem.

— Faceci bez przerwy pieprzą się z młodymi dziewczynami i zostawiają żony i dzieci. I jakoś nie wszyscy skaczą z dachu, stary.

— Owszem. A może, jak twierdzi Jess, powinni.

— Naprawdę? Myślisz, że każdy, kto popełnia taki błąd, powinien umierać? Ejże, to ty masz niezłe nasrane.

Czy rzeczywiście tak myślałem? Może. No, chyba kiedyś tak. Niektórzy z was pewnie wiedzą, że właśnie o czymś takim pisałem w gazetach. Rzecz jasna, zanim wkroczyłem na szlak hańby. Domagałem się na przykład przywrócenia kary śmierci. Domagałem się dymisjonowania, sterylizacji, karania więzieniem, publicznego poniżenia i wszelkiej możliwej pokuty. I może naprawdę uważałem, że mężczyźni, którzy nie potrafią trzymać interesu w spodniach, należy... W tej chwili nie za bardzo pamiętam, jaka konkretnie kara była moim zdaniem najwłaściwsza dla kobieciarzy i seryjnych cudzołożników. Będę to musiał sprawdzić w artykule, gdzie się do tego odniosłem. No, w każdym razie — praktykowałem to, do czego nawoływałem. Skoro więc nie udało mi się utrzymać interesu w spodniach, musiałem skakać. Wpadłem w sidła własnego myślenia. Jako felietonista brukowca, który przekroczył określoną przez siebie granicę — taką to cenę musiałem zapłacić.

— Nie każdy błąd, nie. Jednak ten raczej tak.

— Jeezu — rzekł JJ — ty sobie nie umiesz odpuścić.

— Ale nie tylko to. Chodzi o popularność. Upokorzenie. Radość upokorzenia. Program w telewizji kablowej, który oglądają trzy osoby. Wszystko. Wy... Wyczerpałem się. Nie widzę dla siebie drogi, ani do przodu, ani do tyłu.

Wszyscy pograżyli się w zadumie na mniej więcej dziesięć sekund.

— Dobra — odezwała się Jess. — Kolej na mnie.

## JESS

Zacząłam. Zwyczajnie: „Nazywam się Jess i mam osiemnaście lat, i, rozumiecie, jestem tu, bo miałam pewne rodzinne problemy, w które wolę nie wchodzić. A potem zerwałam z jednym facetem. Z Chasem. I on jest mi winny wyjaśnienie. Bo nie powiedział nic. Po prostu sobie poszedł. Ale gdyby mi wyjaśnił, to myślę, że by mi się polepszyło, gdyż złamał mi serce. Tylko że go nie mogę znaleźć. Szukałam go na tej imprezie na dole, ale go tam nie było. Więc przyszedłam tutaj”.

I wtedy Martin, strasznie sarkastycznie: „Chcesz się zabić, bo Chas nie przyszedł na jakąś imprezę? Chryste”.

Nic takiego nie mówiłam i tak też mu powiedziałam. Na co on: „Okay, jesteś tu, bo ktoś ma ci coś wyjaśnić. I tyle, tak?”.

Próbował mnie ośmieszyć, a to nie było fair, gdyż każdy z nas mógł tak postąpić z drugim. No, na przykład powiedzieć coś takiego: „Ojejku jejku, jaki jestem biedny, bo nigdy już mnie nie wpuszczą do telewizji śniadaniowej. Ojejku jejku, mam syna-warzywo, z nikim nie rozmawiam i muszę z tym zrobić porządek”... No, dobra — Maureen by nie można ośmieszyć. Ale czułam, że nie mieliśmy sobie robić jaj. Można by było porobić jaja z całej naszej czwórki; można robić jaja z każdego, kto nie ma szczęścia, jeśli się jest wystarczająco okrutnym.

Więc mówię: „Wcale nie. Powiedziałam, że wyjaśnienie mogłoby mnie powstrzymać. W ogóle nie mówiłam, że to przez to tu jestem, prawda? Widzisz, mogliby-

śmy cię przykuć do tej balustrady i to by cię powstrzymało. Ale cię tu nie ma, bo nikt cię nie przykuł do balustrady, prawda?".

Na to się zamknął. I bardzo dobrze.

JJ był miłszy. Rozumiał, że chciałam znaleźć Chasa, więc mówię: „Taa, pewnie”, chociaż szkoda, że tak powiedziałam, gdyż on się zachował sympatycznie, a „taa, pewnie” to jednak takie trochę jajcarskie, nie? Ale on zignorował „taa, pewnie” i spytał się, gdzie jest Chas, no to ja powiedziałam, że nie wiem, że chyba na jakiejś imprezie, a on: „No to czemu nie idziesz go szukać, tylko się tu opieprzasz”, na co ja, że mi brak energii i nadziei — i jak to powiedziałam, poczułam, że to prawda.

Nie znam cię. Wiem tylko, że to czytasz. Nie wiem, czy jesteś szczęśliwa, czy nie. Jakoś tak mam nadzieję, że jesteś młoda i smutna. Jeśli jesteś stara i szczęśliwa, to już widzę, jak się do siebie uśmiechniesz, czytając: „Złamał mi serce”. Wspomnisz kogoś, kto złamał ci serce, i pomyślisz sobie: „O tak, pamiętam, co to za uczucie”. Ale nie pamiętasz, zadowolona z siebie starucho. No, może ci się przypomni ten taki przyjemny smutek. Może ci się przypomni, jak słuchałaś muzyki i jadłaś czekoladę w swoim pokoju albo jak chodziłaś nabrzeżem, samotna, w zimowej kurtce. Ale czy pamiętasz, jak przy każdym kęsie zdawało ci się, że się wgryzasz we własny żołądek? Czy pamiętasz smak czerwonego wina, jak ci podchodziło do góry i lądowało w klozecie? Pamiętasz, jak co noc śniłaś, że ciągle jesteście razem, jak łagodnie do ciebie mówił i dotykał cię, tak że budząc się co rano, musiałaś sobie to wszystko przepowiadać? Pamiętasz,

jak wycięłaś sobie na ramieniu jego inicjały kuchennym nożem? Pamiętasz, jak stałaś za blisko torów na peronie metra? Nie? To, kurwa, siedź cicho. Wsadź sobie swój uśmiech w to sflaczałe dupsko.

JJ

Chciałem przyspanować, powiedzieć o wszystkim, o czym wiedzieć powinni — Big Yellow, Lizzie itede. Nie było sensu kłamać. Słuchając ich, poczułem się trochę niewyraźnie, bo rzeczywiście mieli dosyć poważne powody. Jeezu, każdy widział, że Maureen nie miała po co żyć. I pewnie, Martin jakby sam sobie kopał grób, ale nawet mimo to, ten stopień upokorzenia i wstydu... Gdybym był na jego miejscu, to wątpię, czybym tak długo wytrzymał. A Jess była bardzo nieszczęśliwa i ostro szajbnięta. No, więc niby nikt tam z nikim nie chciał rywalizować, ale była w tym wszystkim pewna potrzeba, nie wiem, jak by to nazwać... zaznaczenia terytorium? I może poczułem się trochę niepewnie, bo Martin zdążył obsikać mój zagon. Chciałem być facetem od wstydu i upokorzenia, ale mój wstyd i upokorzenie zaczęły blednąć. On przespał się z piętnastolatką, więc na niego wsiadły i dopieprzały mu brukowce. Tymczasem mnie puściła kantem dziewczyna, a moja kapela znalazła się w ślepym zaułku. To nie ma, kurwa, porównania.

Mimo to nie myślałem, żeby kłamać, dopóki nie wyszedł problem z imieniem. Jess była, kurwa, tak agresywna, że całkiem straciłem zimną krew.

— Więc — zacząłem. — Okay. Jestem JJ

— Od czego ten skrót?

Bez przerwy ktoś chce się dowiedzieć, co znaczą moje inicjały, ale nigdy nie mówię. Nie znoszę swojego imienia. Chodzi o to, że mój tato był jednym z tych, wiecie, samouków i miał w niesamowitym poważaniu BBC, więc spędzał mnóstwo czasu, słuchając u siebie *Wiadomości ze świata* z dużej starej krótkofalówki, i był szajbnięty na punkcie jednego takiego gościa, którego ciągle dawali w radio w latach sześćdziesiątych — Johna Juliusa Norwicha, który był lordem czy kimś takim i pisze miliony książek o kościołach i tak dalej. No, i to właśnie ja. John, kurwa, Julius. Czy zostałem lordem, radiowym źródłem wszechwiedzy, czy chociażby Anglikiem? Nie. Czy porzuciłem szkołę i założyłem zespół? Tak. Czy John Julius to dobre imię dla kogoś, kto rzuca ogólniaka? Nie. Ale JJ jest okay. JJ brzmi całkiem cool.

— Moja sprawa. No, więc nazywam się JJ i jestem tu, bo...

— A ja się dowiem, jak masz na imię.

— Jak?

— Pójdę do ciebie do domu i wszystko przegrzebię, aż w końcu coś znajdę. Paszport, książeczkę czekową czy coś takiego. A jak to mi nic nie da, normalnie ukradnę coś, co kochasz, i ci nie oddam, dopóki nie powiesz.

Jeezu, pocięło ją czy co?

— Zrobiłabyś coś takiego, zamiast nazywać mnie JJ?

— Pewnie. Nie znoszę, jak czegoś nie wiem.

— Nie znam cię zbyt dobrze — zwrócił się do niej Martin. — Ale jeśli cię martwi własna ignorancja, to moim zdaniem co najmniej dwie rzeczy powinny być dla ciebie ważniejsze niż imię JJ'a.

— A cóż to ma niby znaczyć?



— Wiesz, kto to jest minister skarbu? Albo kto napisał *Moby Dicka*?

— Nie — odpowiedziała Jess. — Jasne, że nie. — Jakby każdy, kto wie takie rzeczy, miał być jebnięty. — Ale to nie są t a j e m n i c e, co nie? Ja nie lubię nie znać tajemnic. Tamto to bym sobie mogła w każdej chwili znaleźć, ale nie mam ochoty.

— Skoro nam nie chce powiedzieć, nie musi. Znajomi cię tak nazywają?

— No.

— I to nam wystarczy.

— Mi nie — stwierdziła Jess.

— Siedź cicho, niech wreszcie mówi — rzekł Martin.

Dla mnie jednak ta chwila uleciała. No, w każdym razie — chwila prawdy, hehe. Czuję, że nie będą słuchali jak należy; Jess i Martin wysyłali wrogie fale, które się tłukły o wszystko dokoła.

Wpatrywałem się w nich przez jakąś minutę.

— No więc? — odezwała się Jess. — Wyleciało ci z głowy, czemu się chciałeś zabić, czy jak?

— Oczywiście, że nie wyleciało — odrzekłem.

— To, kurwa, wyrzucić to z siebie.

— Umieram.

Po prostu w ogóle nie myślałem, że jeszcze kiedyś ich spotkam. Byłem przekonany, że prędzej czy później podamy sobie ręce, pożyczymy coś tam szczęśliwego i potem albo zleziemy schodami, albo skoczmy z tego, kurwa, dachu, w zależności od nastroju, charakteru, skali problemu et cetera. Naprawdę nie przyszło mi do gło-

wy, że będzie to wracać i odbijać się jak korniszon z Big Maca.

— Taa, no, nie wyglądasz za dobrze — stwierdziła Jess. — Co masz? AIDS?

AIDS by mogło pasować. Powszechnie wiadomo, że można z tym chodzić miesiącami; wiadomo, że jest nieuleczalne. A jednak... Umarło na to paru moich przyjaciół i z czegoś takiego nie bardzo wypada żartować. Czułem, że, kurwa, AIDS tykać nie powinienem. No, ale — przemknęło mi przez głowę w ciągu trzydziestu sekund po pytaniu Jess — która śmiertelna choroba byłaby odpowiedniejsza? Białaczka? Wirus Ebola? Żadna z nich ci przecież nie powie: „A dobra, nie krępuj się stary. Wcale nie jestem śmiertelna, tylko jaja sobie robię. Nikogo mną nie dotkniesz”.

— Coś mi dolega z mózgiem. Nazywa się CCR. — Jest to, ma się rozumieć, skrót od Creedence Clearwater Revival, nazwy jednego z moich najulubieńszych zespołów i ogromnego źródła inspiracji. Żadne z nich nie wyglądało mi na wielkiego fana CCR. Jess była za młoda. Maureen w ogóle nie musiałem się przejmować, a Martin należał do tych, co wyczuliby pismo nosem, gdybym powiedział, że schodzę na nieuleczalną ABBĘ.

— Czaszkowe Cienio-Cośtam — udało mi się to »czaszkowe". Całkiem dobrze brzmiało. Ale „cienio", Przyznaję, było cienkie.

— Czy nie ma na to lekarstwa? — zapytała Maureen.

— Jasne, że jest — odparła Jess. — Można brać pigułkę. Tylko że jemu się nie chciało, Jeezu.

— Twierdzą, że to od nadmiaru prochów. Prochów i alkoholu. Więc sam sobie, kurwa, jestem winny.

— No, to się chyba czujesz jak kutas — powiedziała Jess.  
— Tak — potwierdziłem — jeżeli „jak kutas” znaczy „chujowo”.  
— Znaczy. Tak czy siak, wygrałeś.  
To ostatecznie utwierdziło mnie w przekonaniu, że zaczynamy rywalizować.  
— Naprawdę? — ucieszyłem się.  
— Pewnie. Śmierć? Kurwa. To jest, no, wiesz... Karo czy piki, czy ten, no, atut! Stary, masz w ręku atut.  
— Moim zdaniem posiadanie śmiertelnej choroby jako tako sprawdza się tylko w tej grze — rzekł Martin — zatytułowanej: „Któremu gnojkwowi szczęście najmniej dopisuje”. Gdzie indziej to nie za bardzo.  
— Od kiedy to masz? — spytała Jess.  
— Nie wiem.  
— Tak w przybliżeniu. Mniej więcej.  
— Zamknij się, Jess — upomniał ją Martin.  
— Co znów nie tak powiedziałam? Chciałam się dowiedzieć, z czym mamy sobie radzić.  
— Nie „my” — sprostowałem. — Ja sobie radzę.  
— Niespecjalnie ci to wychodzi — stwierdziła Jess.  
— No, proszę! I to mówi dziewczyna, która sobie nie radzi, bo ją ktoś puścił kantem.  
Zapadło złowrogie milczenie.  
— No — rzekł Martin — to już wiemy wszystko.  
— Co teraz? — spytała Jess.  
— Przede wszystkim: ty idziesz do domu — powiedział Martin.  
— Już, kurwa, lecę. Bo co?  
— Bo cię tam zaprowadzimy.

— Pójdę pod jednym warunkiem.

— Tak?

— Wpierw mi pomożecie znaleźć Chasa.

— Wszyscy?

— Tak. Albo naprawdę się zabiję. A jestem na to za młoda. Sam mówiłeś.

— Teraz myślę, że może nie miałem racji — odparł Martin. — Jak widzę, jesteś nad wiek rozwinięta umysłowo.

— Więc mogę sobie skoczyć? — ruszyła w stronę krawędzi dachu.

— Masz tu zaraz wracać — powiedziałem.

— W sumie to mi, kurwa, nie zależy — oznajmiła. — Mogę skakać albo szukać z wami Chasa. Wszystko jedno.

I na tym stanęło, bośmy jej uwierzyli. Może inni w inną noc podeszliby do sprawy inaczej, ale nas troje wtedy nie miało wątpliwości. I nie chodzi też o to, że stwierdziliśmy, że naprawdę chce się zabić; czuło się po prostu, że w każdej chwili może zrobić, na co jej przyjdzie ochota, więc jeśli zechce skakać z dachu, żeby się przekonać, jakie to uczucie, to i tak to zrobi. Wobec tego wyłoniło się pytanie, na ile nas to przejęło.

— Ale nie potrzebujesz naszej pomocy — zwróciłem się do niej. — Nie mamy pojęcia, jak się zabrać za szukanie Chasa. Ty jedna jedyna możesz go znaleźć.

— Niby tak, ale samej mi jakoś dziwnie. Robi mi się mętlik. Trochę też przez to tu jestem.

— Co myślicie? — zapytał Martin mnie i Maureen.

— Nigdzie nie idę — odrzekła Maureen. — Nie ruszam się z dachu i decyzji nie zmienię.

— W porządku. Nikt by cię o to nie prosił.  
— Bo będą mnie szukali.  
— Kto?  
— Ci z ośrodka.  
— No i co? — spytała Jess. — Co zrobią, jak cię nie znajdą?  
— Dadzą Matty'ego do jakiegoś straszego miejsca.  
— Tego, co jest warzywem? Jego to chyba wali, gdzie pójdzie, no nie?

Maureen bezradnie spojrzała na Martina.

— To kwestia pieniędzy? — zapytał. — Dlatego rano masz nie żyć?  
Jess prychnęła, ja jednak wiedziałem, o co mu chodzi.  
— Zapłaciłam tylko za jedną noc — odparła Maureen.  
— Stać cię, żeby zapłacić za dłużej?  
— Tak, oczywiście. — Sugestia, że może jej na to nie stać, chyba ją lekko wkurzyła.

— To zadzwoń tam i powiedz, że zostanie na dwie. Maureen znów spojrzała na niego bezradnie.

— Dlaczego?

— Dlatego — odparła Jess. — A tak w ogóle to można tu, kurwa, tyle zdziałać, prawda?

Martin zaśmiał się, jak gdyby.

— Co, nie?

— Nic mi nie przychodzi do głowy — rzekł Martin. — Prócz tego, co wszyscy wiemy.

— A, tego. Dajmy sobie z tym spokój. Jest po czasie. Czuję to. Więc musimy sobie znaleźć coś innego do roboty.

— Przypuśćmy, że się nie mylisz i że już jest po czasie — powiedziałem. — Dlaczego mamy coś robić razem? Czemu by nie pójść do domu i pooglądać telewizję?

— Bo samej mi jakoś dziwnie. Już wam mówiłam.

— A co nas to obchodzi? Pół godziny temu w ogóle cię nie znaleźliśmy. Wisi mi u dupy, że ci samej dziwnie.

— Więc nie czujesz tej takiej więzi przez to, co-żeśmy wspólnie przeszli?

— Nie.

— To poczujesz. Coś mi mówi, że będziemy się przyjaźnili jeszcze w późnej starości.

Zapadła cisza. Najwyraźniej nie wszyscy podzielali ten pogląd.

## MAUREEN

Nie spodobało mi się, że chcieli, żebym wyszła na skąpą. Pieniądze nie miały tu nic do rzeczy. Potrzebowałam jednej nocy, więc zapłaciłam za jedną. A później by musiał płacić kto inny, bo ze mną by się nie mogli skontaktować.

Czułam, że mnie nie rozumieją. To znaczy: rozumieli moje nieszczęście. Nie rozumieli jednak logiki mego postępowania. Widzieli to tak: jeśli bym zmarła, to Matty'ego umieszczono by w jakimś przytułku. Czemu więc samej nie umieścić go w przytułku i umrzeć dopiero wtedy? Bo co to niby za różnica? Ale to właśnie wskazuje, że nie rozumieli mnie ani Matty'ego, ani ojca Antoniego, ani nikogo w kościele. Nikt, kogo znam, tak nie uważa.

Chociaż Martin, JJ i Jess różnią się od wszystkich moich znajomych. Są bardziej jak ludzie z telewizji, jak ci z *East Enders* i innych programów, gdzie każdy od razu wie, co należy powiedzieć. Nie twierdzą, że są źli. Tylko — są inni. Nie martwiliby się tak o Matty'ego, gdyby był ich synem. Nie mają tego poczucia obowiązku. Nie mają kościoła. Stać ich najwyżej na to, żeby powiedzieć: „Czy to nie obojętne?” — i może mają rację, ale nie siedzą we mnie, więc nie wiedziałam, jak im to powiedzieć.

Nie siedzą we mnie, a ja bym się chętnie z nimi zamieniła. No, może nie tak do końca, bo przecież też nie są całkiem szczęśliwi. Ale chętnie bym pobyla którymś z nich — ludzi, którzy wiedzą, co powiedzieć, ludzi, którym jest obojętne. Ponieważ mam wrażenie, że jak się jest kimś takim, to ma się większe szanse, żeby sobie w miarę znośnie pożyć.

Toteż nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć, kiedy Martin mnie spytał, czy naprawdę chcę umrzeć. Oczywiście odpowiedź brzmiała: „Tak, tak, naturalnie, że tak, idioto, dlatego wylazłam aż po tyłu schodach, dlatego ze szczegółami opowiadałam chłopcu — mój Boże: mężczyźnie — który mnie nie słyszy, o wymyślonej przeze mnie noworocznej zabawie”. Choć jest też na to druga odpowiedź, prawda? A brzmi ona następująco: „Nie, naturalnie, że nie, idioto. Powstrzymajcie mnie, proszę. Pomóżcie. Sprawcie, bym stała się kimś, kto pragnie żyć; kimś, komu czegoś może brakuje. Kimś, kto byłby zdolny powiedzieć: «Zasługuję przecież na coś więcej. Niewiele więcej, tyle tylko, żeby wystarczyło, ale nie tak

na pół gwizdka»". Bo właśnie dlatego tam poszłam — trzymałam się już na pół gwizdka.

— No więc: wytrzymasz do jutra wieczór? — zapytał mnie Martin.

— A co powiem w ośrodku?

— Masz do nich numer?

— Jest za późno, żeby dzwonić.

— Ktoś na pewno ma dyżur. Dawaj ten numer — wyciągnął z kieszeni taki malusieńki telefon komórkowy i włączył go. Gdy rozległ się dzwonek, nacisnął guzik i przyłożył aparacik do ucha. Przypuszczam, że odsłuchiwał wiadomość.

— Ktoś cię kocha — stwierdziła Jess, ale ją zignorował.

Adres i numer telefonu miałam zapisane na moim liście. Wyłowiłam go z kieszeni, ale po ciemku nie mogłam odczytać.

— Daj mi — nakazał Martin.

No cóż, poczułam zażenowanie. Był to mój ostatni krótki list, więc nie chciałam, żeby ktoś go czytał w mojej obecności, ale nie wiedziałam, jak to powiedzieć — a zanim na to wpadłam, Martin zdążył podejść i wyrwać mi go z ręki.

— O Boże — powiedział, kiedy się zorientował. Poczułam, że się czerwienię. — To twój list samobójczy?

— Super. Czytaj na głos — poprosiła Jess. — Moje są do du..., ale mogę się założyć, że jej będzie jeszcze gorszy.

— Są do du...? — zdumiał się JJ. — To znaczy, że masz ich dziesiątki?



— Ciągłe je piszę — odparta Jess, wyraźnie rozradowana tym faktem. Tamci dwaj spojrzeli na nią, ale się nie odezwali. Można sobie jednak wyobrazić, co pomyśleli.

— Co? — nie rozumiała Jess.

— Sądzę, że większość z nas napisała tylko jeden

— rzekł Martin.

— Bez przerwy mi się zmienia — oświadczyła Jess.

— Nie widzę w tym nic złego. To poważna decyzja.

— Jedna z najpoważniejszych — potwierdził Martin. — Co najmniej z pierwszej dziesiątki.

Należał do ludzi, którzy czasem sprawiają wrażenie, jakby żartowali, wcale nie żartując, albo nie żartowali, żartując.

— Nieważne. Nie, nie przeczytam tego na głos — zerknął na list, aby odczytać numer, i po chwili go wystukał. Parę sekund później było już po sprawie. Przeprosił, że dzwoni o tak późnej porze, a potem im powiedział, że coś mi wypadło, więc Matty musi zostać jeszcze dzień, i tyle. Powiedział to w taki sposób, jakby wiedział, że nie spytają już o nic więcej. Gdybym to ja rozmawiała, to z pewnością zaczęłabym się gęsto tłumaczyć, dlaczego dzwonię o czwartej nad ranem, no i musiałabym się do tego przygotować wiele miesięcy naprzód — po czym oni by mnie przejrzeni, więc bym się przyznała i zamiast dzień później, pojechałabym po Matty'ego parę godzin przed czasem.

— No, dobra — rzekł JJ — Maureen jest w porządku. Zostałeś jeszcze tylko ty, Martin. Masz ochotę się przyłączyć?

— No a gdzie jest ten Chas? — zapytał Martin.

— Nie wiem — odparła Jess. — Gdzieś na jakiejś imprezie. To to jest takie ważne: gdzie?

— Tak. Wolałbym się, ku..., zabić, niż szukać taksówki w południowym Londynie o czwartej nad ranem

— odpowiedział Martin.

— On nie zna nikogo w południowym Londynie

— poinformowała Jess.

— Dobra — zgodził się Martin. I kiedy to powiedział, stało się oczywiste, że zamiast się zabijać, wszyscy zejdziemy z dachu, żeby szukać chłopaka czy kogo tam Jess. Prawdę powiedziawszy, nie był to za szczególny plan. Ale innego nie mieliśmy, więc musieliśmy spróbować go urzeczywistnić.

— Daj komórkę, podzwonię w parę miejsc — powiedziała Jess.

Gdy Martin podał jej telefon, przeszła na drugą stronę dachu, skąd nie można było jej słyszeć — a my czekaliśmy, aż nam powie, dokąd się mamy udać.

## MARTIN

Wiem, co myślicie, cwaniacy czytujący „Guardiana” i kupujący w Waterstone, dla których oglądanie telewizji śniadaniowej jest równie sensowne jak myśl, żeby kupić dziecku papierosy. Myślicie: „Skądże, to nie było na poważnie. Po prostu chciał, żeby jakiś paparazzi zrobił mu zdjęcie, jak niby woła o pomoc — żeby to potem sprzedać «Sun» na wyłączność, pod tytułem *Moje samobójcze piekło*, i się pod tym podpisać: OBSKURNE ZEJŚCIE SHARPA”. I, moi drodzy, wcale mnie nie dziwi że tak może myślicie. Wdrapuję się po schodach, po

czym, kiwając nogami nad krawędzią, wypijam z piersiówki parę łyków szkockiej, a kiedy rąbnięta laska mnie prosi, żebym jej pomógł szukać chłopaka na imprezie

— wzruszam ramionami i idę z nią w siną dal. Czy tak postępuje samobójca?

Przede wszystkim powinniście wiedzieć, że według internetowej Skali Intencji Samobójczych Aarona T. Becka uzyskałem bardzo wysoki wynik. Założę się, że nie mieliście pojęcia, że coś takiego istnieje. A tu, proszę, istnieje — i na trzydzieści punktów zaliczyłem bodajże dwadzieścia jeden, z czego, nietrudno sobie wyobrazić, byłem bardzo zadowolony. Otóż tak, rozmyślałem o samobójstwie więcej niż trzy godziny wcześniej. Tak, byłem pewien, że umrę, nawet gdyby mi udzielono pomocy medycznej: Dom Skoczka ma piętnaście piętér, a — jak wiadomo — rzecz spokojnie załatwia już dziesięć z kawałkiem. Tak, miały miejsce czynne przygotowania: drabina, szczypce do cięcia drutu i tak dalej. Wszystko jak należy. Bodajże jedyne pytania, gdzie nie uzyskałem najwyższej liczby punktów, to dwa pierwsze, dotyczące — jak to ujmuje Aaron T. Beck

— odosobnienia i wyczucia czasu. Najwyżej punktowane jest „Nikogo w zasięgu wzroku ani głosu”, jak również „Interwencja wysoce nieprawdopodobna”. Moglibyście stwierdzić, że skoro wybraliśmy najbardziej wzięte miejsce samobójstw w północnym Londynie w jedną z najpopularniejszych samobójczych nocy roku, to w zasadzie musiało dojść do interwencji — a wtedy ja bym wam odparował, że byliśmy po prostu durni. Durni albo niemożliwie zajęci sobą — wybór należy do was.

A przecież, rzecz jasna, gdyby nie ten rojny tłum na górze, nie byłoby mnie dziś wśród żywych, więc Aaron X Beck się nie myli. Być może nie liczyliśmy na ocalenie, ale w momencie, kiedyśmy zaczęli na siebie wpadać — niewątpliwie ujawniła się zbiorowa potrzeba {wynikająca nade wszystko z poczucia zażenowania}: potrzeba odłożenia sprawy przynajmniej na tę noc. Żadne z nas nie zeszło na dół w przeświadczeniu, że życie to coś pięknego i cennego; prawdę powiedziawszy, schodząc, czuliśmy się trochę gorzej, niż wychodząc, ponieważ jedyne rozwiązanie rozmaitych naszych problemów nie było nam dane — przynajmniej na razie. Poza tym na dachu zapanowało dziwne podniecenie; przez parę godzin żyliśmy w jakimś niezależnym stanie, gdzie prawa ulicy nie miały już zastosowania. Mimo że zawiodły nas tam problemy, to one same nie bardzo były w stanie wspiąć się po tych schodach, trochę jak mały robot z *Gwiezdnych wojen*. A teraz trzeba było zejść i znowu stawić im czoło. Ale czuliśmy, że nie mamy wyboru — w każdym razie wtedy. Chociaż poza tym jednym nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego, to jedno wystarczyło, by sobie uzmysłować, że absolutnie nic — ani pieniądze, ani status społeczny, ani wykształcenie, ani wiek, ani kultura — nie jest warte funta kłaków. Oto nagle, w ciągu tych paru godzin, stworzyliśmy państwo i na ten czas chcieliśmy być tylko wśród swoich. Właściwie nie rozmawiałem z Maureen i nawet nie znałem jej nazwiska, ale ona rozumiała mnie lepiej niż moja własna żona Przez pięć ostatnich lat małżeństwa. Maureen wiedzia-te5 ze względu na miejsce naszego spotkania, że cierpię, a więc wiedziała, co we mnie najważniejsze; Cindy za-

wsze wprawiało w zdumienie, cokolwiek bym robił czy mówił.

Ale by było przyjemnie, gdybym się zakochał w Maureen, co? Już sobie wyobrażam te nagłówki: SHARP SIĘ NAWRACA! A potem daliby tekst, jak to: Stary Zboreźnik zrozumiał, że zblądził, i postanowił się ustatkować, wiążąc się ze skromną starszą kobietą — zamiast gonić za uczennicami i trzeciorzędnymi aktorkami o sztucznie powiększonych biustach... Aha. Na pewno. Żebyście się nie zdziwili.

JJ

Gdy Jess wydzwaniwała po różnych znajomych, żeby się dowiedzieć, gdzie może być ten jej Chas, stałem oparty o ścianę, patrząc na miasto przez drucianą siatkę i rozmyślając, czego bym w tej chwili słuchał, gdybym miał i-Poda albo discmana. Najpierw przyszedł mi do głowy *Abominable Snowman in the Market (Ohydny bałwan na rynku)* Jonathana Richmana, może dlatego, że to takie słodkie i zabawne, no i przypominało czasy, gdy sam nieraz taki byłem. Potem zacząłem nucić *In Between Days (Bezczas)* The Cure, czyli coś bardziej na miejscu. Nie było dnia dzisiejszego ani nie było jutra; nie było zeszłego roku ani przyszłego i w ogóle cała ta historia z dachem działa się w jakimś zawieszeniu — wzięwszy pod uwagę, że jeszcze nie byliśmy pewni, dokąd mają się udać nasze nieśmiertelne dusze.

Po dziesięciu minutach rozmów z kołami zbliżonymi do Chasa Jess wróciła, by oznajmić, że najprawdopodobniej jest na imprezie w Shoreditch. Pokonawszy

piętnaście kondygnacji i przedarłszy się przez łomot reggae i odór szczochów, zeszliśmy na dół i znaleźliśmy się na ulicy. Tam, trzęsąc się z zimna, czekaliśmy, aż przyjedzie czarna taksówka. Prawie nikt się nie odzywał

\_wyjawszy Jess, która gadała za wszystkich. O tym, czyja to impreza i kto tam pewnie będzie.

— Będzie Tessa i reszta.

— A, reszta — zgodził się Martin.

— I Alfie, i Tabitha, i cała paczka, co chadza w soboty do Oceanu. I Kwachowy Pete, no i ci wszyscy z grafiki.

Martin jęknął. Maureen wyraźnie dostała mdłości.

Przed nami zatrzymał się rozklekotany ford. Kierowca — młody Afrykańczyk — wychylił głowę przez okno.

— Gdzie chcecie jechać?

— Do Shoreditch.

— Trzydzieści funtów.

— Spierdalaj — rzekła Jess.

— Zamknij się — pouczył ją Martin, siadając z przodu. — Ja stawiam. Maureen, Jess i ja siedliśmy z tyłu.

— Szczęśliwego Nowego Roku — powiedział taksówkarz.

Nikt się nie odezwał.

— Imprezka? — zagał.

— Znasz może Kwachowego Pete'a? — spytał go Martin. — Bo chcemy się z nim spotkać. Pewnie będzie wesoło.

— „Wesoło!” — prychnęła Jess. — Ty masz chyba coś z głową.

Przy Jess nie sposób było żartować ani wyrażać się ironicznie, nie uprzedzając jej o tym grubo naprzód.

Zrobiła się już chyba czwarta, ale wokół było pełno ludzi, w samochodach, taksówkach i na nogach. Panowała atmosfera wspólnoty. Gdy czasem ktoś do nas machał, Jess odpowiadała tym samym.

— A ty? — zwróciła się do taksówkarza. — Pracujesz całą noc? Czy idziesz gdzieś na banieczkę?

— Pracuję *toute la nuit* — odpowiedział. — Całą noc

— To fatalnie — stwierdziła. Zaśmiał się ponuro.

— Tak. Fatalnie.

— Co na to twoja panna?

— Słucham?

— Twoja panna. *Lafemme*. Martwi się, że pracujesz całą noc?

— Nie, wcale. Tam, gdzie jest, to na pewno. Każdy, kto ma w sobie wrażliwość, wyczułby, że klimat w aucie robi się nieco ciężki. Każdy, kto czegoś w życiu doświadczył, zdołałby się zorientować, że faceta coś trapi i że to, co go trapi, nie zachęci nas raczej do zabawy. Każdy, kto choć trochę myśli, w tym miejscu by przystopował.

— Aha — rzekła Jess. — To zła kobieta, co? Skrzywiłem się — tak jak zapewne pozostali. Hulajgęba znów atakuje.

— Nie zła. Nieżywa — powiedział to beznamiętnie, jak gdyby uściślając jej wypowiedź. Jakby „zła” i „nieżywa” były często mylonymi przez pasażerów nazwami ulic.

— Jejku.

— Tak. Zabili ją źli ludzie. Ją, jej matkę i ojca.

— Jejku.

— Tak. W moim kraju.

— Jasne...

I wtedy Jess postanowiła zamilknąć: dokładnie w chwili, kiedy milczenie ją demaskowało. Więc jechaliśmy dalej, pogrążeni we własnych myślach. I mógłbym się założyć o milion dolarów, że gdzieś w całym tym gąszczu naszych refleksji kłębiły się identyczne pytania: Czemu nie było go na górze? A może był i też, tak jak my, zszedł na dół? Czy śmiałby się szyderczo, gdybyśmy mu opowiedzieli o swoich kłopotach? I czemu się okazał taki, kurwa, zawzięty?

Kiedy dojechaliśmy na miejsce i Martin dał mu duży napiwek — bardzo się ucieszył, dziękował i nazwał nas przyjaciółmi. Chętnie byśmy zostali jego przyjaciółmi, ale gdyby nas lepiej poznał, to pewnie by nie był aż taki serdeczny.

Maureen nie chciała z nami wejść, ale jakoś się w końcu zgodziła. Poszliśmy schodami na górę, do pomieszczenia wyglądającego prawie całkiem jak strychnia w Nowym Jorku. Pierwszy raz zobaczyłem tu coś takiego. W Nowym Jorku kosztowałyby fortunę, a w Londynie pewnie fortunę plus dodatkowe trzydzieści procent. Choć była już czwarta rano, wciąż kłębił się tam tłum ludzi — i to ludzi, których lubię najmniej: studentów, kurwa, sztuk pięknych. Wprawdzie Jess nas ostrzegła, ale i tak przeżyłem wstrząs. Rzecz jasna, wełniane czapki i wąsy z ubytkami, najnowsze tatuaże i plastikowe Duty... Nie, no naprawdę, jestem facetem liberalnym i nie chciałem, żeby Bush bombardował Irak, i chyba jak każdy lubię sobie przypalić, ale oni mimo wszystko



napawają mnie lękiem i obrzydzeniem, głównie dlatego, że wiem, że nie podobałaby im się moja kapela. Zawsze, jak mieliśmy grać dla studentów, to widząc pod sceną podobny tłumek, od razu czułem, że będzie ciężko. Oni nie lubią prawdziwej muzyki. Nie lubią Ramonesów ani Temptations; lubią Didżeja Ploomky'ego i to jego durne, kurwa, plumkanie. No, albo się wszyscy, kurwa, robią na gangsterów i słuchają hip-hopu o dziwach i ganach.

Więc od samego początku miałem podły nastrój. Bałem się, że się wdam w bójkę — i nawet wymyśliłem, o co: obronię Martina albo Maureen przed szyderczymi uśmieszkami jakiegoś chuja z kozią bródką czy jakiejś baby z wąsami. Ale do tego nie doszło. Dziwnym trafem Martin w tym swoim garniturze i ze sztuczną opalenizną i Maureen w płaszczu przeciwdeszczowym i praktycznych butach od razu się tam wpasowali. Wyglądali tak normalnie, że aż, no wiecie, nieziemsko. Martin z tą swoją telewizyjną fryzurą mógłby być którymś z Kraftwerk, a Maureen — taką odjechaną wersją Mo Tucker z Velvet Underground. Tymczasem ja miałem na sobie spłowiałe czarne spodnie, skórzaną kurtkę i stary T-shirt z napisem „Gitanes” — i czułem się jak, kurwa, dziwoląg.

Było tam tylko jedno zajście, kiedy sobie pomyślałem, że mógłbym komuś złamać nos. Martin stał sobie jakby nigdy nic, popijając wino z gwinta, i wtedy zaczęło się na niego gapić takich dwóch.

— Martin Sharp! Wiesz, ten z tiwi śniadaniowej!

Wzdrygnąłem się. Na dobrą sprawę nigdy nie bywałem w towarzystwie znanych osób i nie pomyślałem,

że pokazać się na imprezie z Martinem to tak, jakby wejść na golasa: okazuje się, że nawet studenci sztuk plastycznych zwrócą uwagę. To jednak było bardziej skomplikowane niż zwyczajne rozpoznanie.

— Aha! Super! — rzekł drugi koleś.

— Ej ty, Sharpy!

Martin uśmiechnął się do nich uprzejmie.

— Pewnie to słyszysz bez przerwy — stwierdził jeden z nich.

— Co?

— No, wiesz. Ej, Sharpy, i w ogóle.

— Cóż, owszem — potwierdził Martin.

— To pech. Bo jak się tak weźmie tych wszystkich z tiwi, to w sumie tylko ty wychodzisz na wała.

Martin wesoło — że: cóż, taki już jego los — wzruszył ramionami i odwrócił się w moją stronę.

— Jest okay?

— Jak w życiu — odparł, patrząc na mnie. Nagle ten wyświechtany frazes nabrał dzięki niemu niesłuchanej głębi.

Tymczasem Maureen normalnie sparaliżowało. Podskakiwała za każdym razem, gdy ktoś się roześmiał, przeklął albo coś rozbił — wgapiona w imprezowiczów, tak jakby oglądała zdjęcia Dianę Arbus\* na stumetrowym ekranie w Imaksie.

— Chcesz drinka?

**\* Dianę Arbus — ekstrawagancka nowojorska artystka, autorka czarno-białych, ponurych i groteskowych fotografii. Popelniła samobójstwo w 1971 roku, zażywając środki uspokajające 1 Podcinając sobie żyły.**

— Gdzie Jess?  
— Szuka Chasa.  
— Jak znajdzie, to wyjdziemy?  
— Jasne.  
— To dobrze. Bo źle się tutaj bawię.  
— Ja też.  
— Jak myślisz, gdzie potem pójdziemy?  
— Nie wiem.  
— Ale wyjdziemy wszyscy razem, prawda?  
— No, chyba. Więc się tak umawiamy, co? Ale wpierw musimy go znaleźć.  
— Mam nadzieję, że go nie znajdziemy — powiedziała Maureen. — Przynajmniej na razie. Napiłabym się sherry, gdybyś był tak miły i mi przyniósł.  
— Wiesz co? Zdaje mi się, że tutaj to tego raczej nie będzie. Nie wyglądają na takich, co piją sherry.  
— A białe wino? Może tu być? Znalazłem dwa papierowe kubki i butelkę z resztką czegoś na dnie.  
— Najlepszego.  
— Najlepszego.  
— Każdy Nowy Rok wygląda tak samo, nie?  
— Co masz na myśli?  
— No, wiesz. Ciepłe białe wino, słaba impreza pełna palantów. A ja sobie obiecywałem, że w tym roku będzie inaczej.  
— Gdzie byłeś w zeszłym roku o tej porze?  
— Na imprezie w domu. Z Lizzie, moją eks.  
— Przyjemnie?  
— Tak, było okay. A ty?  
— Ja siedziałam w domu. Z Mattym.

— Jasne. I czy rok temu myślałaś...  
— Tak — odparła szybko. — O, tak.  
— Jasne. — A że nie za bardzo wiedziałem, o czym dalej mówić, sącząc swoje drinki, przyglądaliśmy się tym palantom.

## MAUREEN

Nie może być higienicznie tam, gdzie nie ma pokoi. Nawet osoba mieszkająca w kawalerce mimo wszystko może korzystać z przyzwoitej łazienki z drzwiami, ścianami i oknem. Mieszkanie, w którym się odbywało przyjęcie, nie miało nawet tego. Znajdowało się tam natomiast coś przypominającego dworcową toaletę, z tą tylko różnicą, że było koedukacyjne i miało tylko taką cienką ściankę, która oddzielała wannę z klozetem od całej reszty. Toteż mimo że musiałam iść za potrzebą — nie mogłam, bo w każdej chwili ktoś mógł tam zajrzeć i zobaczyć, co robię. Nie muszę więc chyba opowiadać z detalami o panującej tam niezdrowej atmosferze. Mama zawsze mówiła, że niemiły zapach jest jak gaz roznoszący zarazki; otóż właściciel tego mieszkania musiał mieć zarazki w każdym jego kącie. Co notabene nikogo od toalety specjalnie nie odstręczało. Kiedy się tam wybrałam, ktoś klęczał na podłodze i wachał sedes. Nie mam bladego pojęcia, w jakim celu miałoby się wachać sedes (i to przy świadku! Nie do pomyślenia!). Ale przypuszczalnie ludzie są ze wszech miar zboczeni. Czego też się spodziewałam, wchodząc tam, słysząc hałas i widząc, co to za jedni. Gdyby mnie ktoś zapytał, czym, moim zdaniem, tacy ludzie mogliby się zajmować w toa-

lecie, to przypuszczalnie bym odparła, że wężaniem sedesu.

Kiedy wróciłam, reszta gości stała w pewnym oddaleniu od naszej grupy, a Jess zalewała się łzami. Jakiś chłopak powiedział jej, że Chas tam był i już wyszedł — z kimś poznanym na imprezie, z dziewczyną. Jess chciała, żebyśmy wszyscy poszli do domu tej dziewczyny, a JJ usiłował ją przekonać, że to nie najlepszy pomysł.

— Okay — powiedziała Jess. — Znam ją. To zdaje się jakieś nieporozumienie. Pewno nie wiedziała o mnie i Chasie.

— A jeśli wiedziała? — zapytał JJ.

— No, to w takim razie nie powinnam odpuścić, co nie? — odparła Jess.

— Jak to?

— Na pewno bym jej nie zabiła, jeszcze nie upadłam na głowę. Ale powinnam jej coś zrobić. Może ją trochę pociąć.

Kiedy Frank zerwał zaręczyny, myślałam, że nigdy się z tym nie pogodzę. Żałowałam go prawie tak samo jak siebie, bo wcale nie ułatwiłam mu sprawy. Byliśmy w Ambler Arms, choć teraz nazywa się to już inaczej, w rogu, przy automacie z owocami, no i kierownik podszedł do naszego stolika, prosząc, żeby Frank zabrał mnie do domu, ponieważ już nikt nie chciał wrzucać monet, bo tak się strasznie darłam i ryczałam — a oni nawet przy małej liczbie klientów mieli z tego automatu dość spore pieniądze.

Wtedy prawie się pożegnałam ze światem, a w każdym razie to rozważałam. Ale stwierdziłam, że jakoś się z tym uporam, że może się polepszy. Pomyślcie tylko, ile

bym sobie mogła oszczędzić kłopotów! Zabiłabym nas oboje: i siebie, i Matty'ego, tyle że naturalnie wtedy tego jeszcze nie wiedziałam.

Te głupoty Jess o pocięciu zupełnie mnie nie obeszły Kiedyśmy się rozstali z Frankiem, miewałam przeróżne nedorzeczne myśli: rozповідаłam, że musiał się wyprowadzić, że chorował na głowę, że mnie bił i że był pijakiem. To wszystko nieprawda. Frank był uroczym człowiekiem, którego jedyny występki polegał na tym, że nie dość mocno mnie kochał, a ponieważ był to występki niewielki — musiałam wymyślić nieco poważniejsze.

— Byliście zaręczeni? — spytałam Jess i zaraz tego pożałowałam.

— Zaręczeni? — odparła. — Zaręczeni? A co to niby: *Duma* z, ku..., *uprzedzenie*? „Ach, panie Darcy Srarsy. Czy mogę wierność ślubować? O, tak, Pindo Zasmarkana, byłbym wprost oczarowany”. — Te ostatnie słowa wypowiedziała niemądrym tonem, czego pewnie nie muszę dodawać.

— Ludzie naprawdę dalej się zaręczają — rzekł Martin. — To nie jest głupie pytanie.

— Ciekawe którzy?

— Ja — powiedziała. Ale za cicho, bo się jej wystraszyłam, więc mi kazała powtórzyć.

— Co ty! Naprawdę? Okay, ale z żywych kto się zaręcza? Nie obchodzą mnie ludzie z Arki. Nie obchodzą mnie ludzie w, tego, butach, płaszczach przeciwdeszczowych i w ogóle.

Chciałam się zapytać, co według niej powinniśmy nosić zamiast butów, ale sama sobie byłam winna.

— A tak w ogóle, to z kim się, ku..., zaręczyłaś? Już dalej nie chciałam w to wchodzić. Człowiek się

stara pomóc i, proszę, do czego to prowadzi.

— Stukałaś się z nim? Założę się, że tak. Jak najbardziej lubił? Na pieska? Żeby nie musiał na ciebie patrzeć?

I w tym momencie Martin chwycił ją i wywlókł na ulicę.

JESS

Gdy Martin wyciągnął mnie na ulicę, to wtedy podjęłam tę decyzję, że się stanę innym człowiekiem. Coś, co mogłam zrobić, kiedy tylko by mi się zachciało. Ma to każdy, jak czuje, że traci nad sobą kontrolę, co nie? No, wiesz: myślisz sobie, okay, jestem taka bardziej książkowa, więc idziesz do biblioteki i bierzesz parę książek, i jakiś czas je wszędzie ze sobą nosisz. Albo, okay, jestem taka bardziej drągowa, i wypalasz kupę zielska. Nieważne. I przez to się czujesz inna. Moim zdaniem, jak człowiek pożycza od kogoś ciuchy albo hobby czy sposób mówienia, to wtedy może trochę od siebie odpocząć.

I wtedy nadszedł czas, żeby się poczuć inaczej. Nie mam pojęcia, czemu gadałam takie rzeczy do Maureen; ja w ogóle chyba mówię o połowę za dużo. Wiedziałam, że przekraczam granicę, ale nie mogłam się powstrzymać. Nieraz się wściekam, a u mnie to jak wymioty. Zaczynam rzygać, aż się całkiem wyrzygam. Dobrze, że mnie Martin wyciągnął. Trzeba mnie było powstrzymać. Absolutnie. Więc sobie powiedziałam, że od tej chwili będę bardziej taka jak za dawnych czasów. Przy-

sięgłam sobie nie przeklinać, haha, ani nie pluć. Przysięgłam sobie, że nie będę pytać niegroźnych staruszek \_\_. ewidentnie mniej więcej dziewczę, czy się stukają na pieska.

Martin naskoczy! na mnie, mówiąc, że się zachowałam jak idiotka i franca, no i zapytał, co złego mi ona zrobiła. Odpowiadałam tylko: „tak, pszepana” i „nie, pszepana”, i „bardzo przepraszam, pszepana”, i patrzyłam na chodnik, nie na niego, żeby pokazać, że mi jest naprawdę przykro. I potem dygnęłam, co — mi się wydaje — było bardzo miłe. A on wtedy: „Co to, kurwa, ma znaczyć: «Tak, pszepana; nie, pszepana»?”. Więc mu powiedziałam, że mam zamiar przestać być sobą i że już nikt nigdy nie zobaczy mojego dawnego „ja” — a on nie wiedział, jak na to zareagować. Nie chciałam im się znudzić. Zauważyłam, że ludzie często tak ze mną mają. Chas, na przykład, się mną znudził. A naprawdę nie mam zamiaru, żeby tak znowu było, inaczej zostanę sama. Jak chodzi o Chasa, to myślę, że po prostu wszystkiego było za dużo; za szybko byłam taką ostrą laską, no i się wystraszył. Chociażby wtedy, w Tate Modern. To była totalna pomyłka. No, bo te klimaty... Okay, część rzeczy tam jest naprawdę niesamowita i głęboka, i tak dalej, ale to chyba nie znaczy, że ja mam być zaraz niesamowita i głęboka. Było to nieodpowiednie zachowanie, jak mawia Jen. Powinnam zaczekać, aż stamtąd wyjdziemy, i puścić tego pawia, gdy już skończymy oglądać obrazy i instalacje.

Jen chyba też wyszłam bokiem.

Poza tym, jak sobie teraz pomyślę, sprawę ostatecznie przesądziła ta historia z kinem. To zachowanie też



było nieodpowiednie. Choć może nie całkiem zachowanie, bo kiedyś musiałam odbyć tę rozmowę — ale niedobre było miejsce (Holloway Odeon) i czas (połowa filmu), jak również głośność (spora). Tamtego wieczoru Chas stwierdził, między innymi, że naprawdę jeszcze nie dojrzałam, żeby zostać matką, i teraz widzę, że chyba przekonał się o tym, kiedy w połowie *Moulin Rouge* wydarłam się, że chcę mieć dziecko.

Ale dobra. Martin najpierw strasznie na mnie naskakiwał, a potem skurczył się tak jak przekłuty balon. „Coś niedobrze, pszepana?” — spytałam, a on zaczął kręcić głową, ale mimo wszystko połapałam się, o co chodzi. Zrozumiałam, że jest czwarta nad ranem, a on stoi przed jakimś domem, gdzie trwa impreza pełna nie znanych mu ludzi, i krzyczy na nieznaną osobę, a parę godzin wcześniej siedział na dachu, rozmyślając o samobójstwie. No pewnie, i na dodatek nienawidziła go żona i dzieci. W każdej innej sytuacji powiedziałabym, że nagle stracił ochotę do życia. Podeszłam i położyłam mu rękę na ramieniu, a wtedy spojrzał na mnie tak, jakbym jednak była osobą, nie problemem — i prawie że nastąpiła między nami pewnego rodzaju Chwila — nie romantyczna chwila w stylu Rossa i Rachel (jak gdyby), tylko Chwila Porozumienia. Ale zaraz nam przeszkadzono, no i Chwila minęła.

JJ

Chcę wam opowiedzieć o mojej starej kapeli — dlatego chyba, że zacząłem myśleć o tej trójce jako o nowej. Było nas czterech i nazywaliśmy się Big Yellow. Najpierw na-

zywaliśmy się Big Pink, w wyrazie uznania dla tego albumu The Band, ale wszędzie brali nas za zespół gejowski, więc zmieniliśmy kolor. W ogólniaku założyłem kapelę z Eddiem i razem pisaliśmy piosenki, i byliśmy jak bracia, aż do dnia, kiedy się to zmieniło. Billy był perkusistą, a Jessie grał na basie i... kurde, dla was to pewnie wszystko jedno, nie? Musicie jednak wiedzieć, że mieliśmy w sobie coś, czego jeszcze nie miał nikt. Może mieli to niektórzy w poprzednim okresie — Stonesi, The Clash czy The Who. Ale z tych, których ja widziałem, to nikt tego nie miał. Szkoda, że nie byliście na jednym z naszych koncertów, bo wtedy byście wiedzieli, że nie zalewam, więc mi musicie uwierzyć na słowo: bywały takie wieczory, że potrafilismy wessać tłum i wypluć go dwadzieścia mil dalej. Do tej pory lubię nasze płyty, ale tak na dobrą sprawę to ludzie pamiętają nas za koncerty; niektóre kapele normalnie wychodzą i grają swoje numery trochę głośniej i szybciej, ale my odkryliśmy coś całkiem nowego; najpierw przyspieszaliśmy, a potem zwalnialiśmy, poza tym graliśmy covery ulubionych rzeczy, w poczuciu, że uwielbiają je też ludzie, którzy przychodzą nas słuchać — i nasze koncerty autentycznie coś dla nich znaczyły, co na koncertach już w ogóle się nie zdarza. Gdy Big Yellow grało na żywo, działo się coś takiego jak w Zielone Świątki; zamiast oklasków, wycia i gwizdów słychać było płacz, zgrzytanie zębów i mówienie językami. Zbawialiśmy dusze. Jeżeli kochacie rock'n'rolla, wszystko, od, nie wiem, Elvisa przez Jamesa Browna do The White Stripes — tobyście chcieli rzucić pracę i przyjść, żeby żyć wśród naszych pieców, aż by wam uszy odpadły. Te koncerty

nadawały memu życiu sens i teraz wiem, że nie jest to metafora.

Nie trzeba było żyć iluzją. Naprawdę. To by pomogło. Ale na stronie internetowej ludzie zostawiali wiadomości, które co jakiś czas czytywałem, i wiedziałem, że oni czują to samo co my; zaglądałem też na strony innych kapel — i one miały całkiem innych fanów. Bo przecież każdy ma fanów, którzy go wielbią — inaczej nie byłiby fanami, prawda? Ale z czytania cudzych stron wiedziałem, że nasi fani wychodzili z naszych koncertów, czując coś szczególnego. Czuliśmy to i my, i oni. Tylko że, zdaje się, nie było ich za wielu. Nieważne.

Po tym, co zasunęła Jess, Maureen zrobiło się słabo — i czy można mieć jej to za złe? Jeezu. Tak samo bym sobie musiał usiąść, gdyby tak mnie przysoliła, a już parę razy w życiu miałem takie zajścia. Zabrałem ją na tarasik na dachu, gdzie najwyraźniej o żadnej porze dnia ani roku nie docierało słońce, ale był tam składany stół i grill. W Anglii wszyscy mają te małe grille, no nie? Dla mnie świadczą one o triumfie nadziei nad rzeczywistością, ponieważ nadają się tylko do tego, żeby na nie spoglądać przez okno, kiedy leje deszcz. Przy stole siedziało dwoje ludzi, ale jak zobaczyli, że Maureen nie czuje się dobrze, wstali i weszli do środka — i my usiedliśmy. Zaproponowałem, że jej przyniosę szklankę wody, ale nic nie chciała, więc po prostu tak sobie chwilę siedzieliśmy. Po czym oboje usłyszeliśmy coś jak syknięcie dochodzące z cienia za grillem, daleko w rogu, i w końcu zorientowaliśmy się, że to jakiś facet. Był młody, miał

długie włosy i cieniaste wąsy. Wzdychając w ciemności, starał się zwrócić na siebie uwagę.

— Przepraszam — wyszeptał głośno, acz nieśmiało.

— Chcesz z nami pogadać, to chodź.

— Nie mogę wyjść z cienia.

— Bo co by się wtedy stało?

— Zabiłby mnie jeden świr.

— Ze mną jest tylko Maureen.

— Ten świr jest wszędzie.

— Jak Pan Bóg — powiedziałem.

Poszedłem na drugi koniec tarasu i kucnąłem obok niego.

— Mogę ci jakoś pomóc?

— Amerykanin?

— Tak.

— To siema, stary. — Jeżeli wam powiem, że go to rozbawiło, to już nic więcej o Chasie nie będę musiał mówić. — Słuchaj, mógłbyś tam zobaczyć, czy tego świra już nie ma?

— Jak on wygląda?

— Ona. Wiem, wiem, ale jest naprawdę groźna. Jeden koleś ją widział i kazał mi się tu schować, aż się nie wyniesie. Raz z nią chodziłem. Nie „pewnego razu”. Tylko raz. Ale przestałem, bo jest święnięta i...

A to ci historia.

— Ty jesteś Chas, co nie?

— Skąd wiesz?

— Koleguję się z Jess.

Żebyście widzieli jego minę. Podniósł się i spojrzał na mur za domem, najwidoczniej szukając tam drogi

ucieczki. Przez sekundę myślałem, że chce się po nim wdrapać jak wiewiórka.

— Kurde — rzekł. — Kurwa. Sorry. Kurde. Pomożesz mi przeskoczyć?

— Nie. Chcę, żebyś z nią najpierw pogadał. Miała... miała kiepski wieczór i może pogawędka ją trochę uspokoi.

Chas roześmiał się. Był to pusty, rozpaczliwy śmiech człowieka, który wie, że chcąc uspokoić Jess, trzeba by ją uraczyć nie jakąś tam pogawędką, a paroma dawkami środka usypiającego dla słońi.

— Pewnie wiesz, że od tej pory, jak z nią byłem, to w ogóle z nikim nie spałem?

— Nie, nie wiem, Chas. Niby skąd? Gdzieś to jest napisane?

— Okropnie się wystraszyłem. Takiego błędu nie mogę więcej popełnić. Nie chcę, żeby następna baba znów na mnie krzyczała w kinie. Nie muszę z nikim sypiać, już mi wszystko jedno. Tak jest lepiej. Mam dwadzieścia dwa lata. A w końcu jak się ma sześćdziesiątkę, chęć na te sprawy i tak mija, nie? A co to jest — czterdzieści lat? Nawet mniej niż tyle. Obejdzie się. Baby są naprawdę pojebane.

— E, no nie, co ty, stary. Miałeś pecha i tyle. Powiedziałem to, wiedząc, że dokładnie to należy

powiedzieć — a nie na podstawie jakichś własnych doświadczeń. Nie było prawdą, że baby są pojebane: rzecz jasna nie są — tylko te, z którymi spałem ja i Chas.

— Posłuchaj. Gdybyś z nią wyszedł pogadać, to co się może stać w najgorszym razie?

— Dwa razy chciała mnie zabić i raz przez nią byłem w areszcie. Poza tym mam szlaban w trzech pubach, dwóch galeriach i jednym kinie. Poza tym dostałem oficjalne ostrzeżenie od...

— Okay, okay. Więc mówisz, że w najgorszym wypadku zejdiesz w ciężkich męczarniach. A ja ci na to, przyjacielu, że lepiej umrzeć jak mężczyzna, zamiast się chować pod grillem jak mysz.

Maureen wstała i zbliżyła się do naszego mrocznego kąta.

— Na miejscu Jess też bym cię chciała zabić — rzekła cicho, tak cicho, że trudno było pogodzić agresję jej wypowiedzi z lękliwie brzmiącym głosem.

— Proszę. Gdziekolwiek spojrzysz — kłopoty.

— A ta, kurwa, to kto?

— Maureen — powiedziała. — A czemu by ci to miało ujść na sucho?

— Co niby? Ja nic nie zrobiłem.

— Z tego, co mówiłeś, wywnioskowałam, że z nią spałeś — odparła Maureen. — No, może nie ująłeś tego tak konkretnie, ale skoro słyszę, że od tamtej pory z nikim nie spałeś, to myślę, że z nią tak.

— No, dobra. Wtedy, raz. Ale ja wtedy nie wiedziałem, że jest jebnięta.

— Czyli że kiedy się orientujesz, że biedna dziewczyna jest pogubiona i nadwrażliwa, to wtedy uciekasz.

— Musiałem uciekać. Goniła mnie. Z nożem. Przeważnie.

— A czemuż to cię goniła?

— Ej, chwila! Czemu ty się w to mieszasz?

— Przykro mi, kiedy inni cierpią.

— A ja? Ja cierpię. Życie mi się kitwasi.

Rzecz jasna, Chas nie mógł mieć pojęcia, że tego typu argument raczej nie trafi do przekonania nikomu z nas — Czwórki z Domu Skoczka. Byliśmy z definicji Królami i Królowymi Skitwaszenia.

Chas zrezygnował z seksu, natomiast my próbowaliśmy rozstrzygnąć, czy dalej się pieprzyć z życiem, czy nie.

— Musisz z nią porozmawiać — rzekła Maureen.

— Spierdalaj — odparł Chas. I wtedy — dup! — Maureen trzasnęła go z całej siły.

Nie potrafię wam powiedzieć, ile razy Eddie walił kogoś w mordę na imprezie czy po koncercie. I on przypuszczalnie powiedziałby to samo o mnie, chociaż — jak sięgnę pamięcią — zawsze byłem Człowiekiem Pokoju i w agresję wpadałem sporadycznie, a on był Człowiekiem Wojny i sporadycznie miewał chwile spokoju i opanowania. Więc okay, Maureen była wprawdzie taką tylko drobną staruszką, ale gdy przysoliła Chasowi, uświadomiłem sobie coś bardzo ważnego.

No więc: Maureen miała w sobie dużo więcej odwagi niż ja. Żyła, żeby się przekonać, jakie to będzie uczucie: nigdy nie przeżyć życia, które sobie zaplanowała. Nie znałem jej planów, ale je miała, tak samo jak każdy, a kiedy pojawił się Matty, czekała dwadzieścia lat, żeby zobaczyć, co za to dostanie w zamian — i nie dostała kompletnie nic. Włożyła w ten cios wiele uczucia, więc zaraz sobie wyobraziłem, jak też kogoś strzelam, będąc w jej wieku. I przez to między innymi postanowiłem nigdy jej wieku nie dożyć.

## MAUREEN

Frank jest ojcem Matty'ego. Śmiać mi się chce, jak sobie pomyślę? że ktoś mógłby sądzić inaczej, bo dla mnie to takie oczywiste. W życiu odbyłam stosunek tylko z jednym mężczyzną; stosunek z tym mężczyzną miałam tylko raz i właśnie z tego jedyne go stosunku w moim życiu narodził się Matty. Jakie to prawdopodobieństwo, co? Jedno na milion? Jedno na dziesięć milionów? Nie mam pojęcia. Ale oczywiście nawet jeden przypadek na dziesięć milionów oznacza, że na świecie istnieje mnóstwo takich kobiet jak ja. Zazwyczaj się tak nie myśli, myśląc o jednym przypadku na dziesięć milionów. Nie myśli się: „To jest mnóstwo ludzi”.

Z upływem lat przekonałam się, że ochronę przed nieszczęściem mamy gorszą, niż w ogóle można sobie wyobrazić. Bo chociaż to się nie wydaje sprawiedliwe, odbyć stosunek tylko jeden raz, żeby potem urodzić dziecko, które nie umie chodzić ani mówić i nawet mnie nie poznaje... Cóż, sprawiedliwość nie za wiele ma tu do rzeczy, prawda? Musi się odbyć stosunek ten jeden raz, aby spłodzić dziecko, każde dziecko. W żadnym prawie nie jest powiedziane: „Wolno mieć takie dziecko jak Matty, tylko kiedy jest się mężatką albo gdy ma się jeszcze dużo innych dzieci, albo jeżeli się sypia z wieloma mężczyznami”. Podobne prawo nie istnieje, chociaż ty i ja sądzimy zapewne, że istnieć powinno. A jak już się urodzi takie dziecko jak Matty, to nie sposób nie myśleć: „Wszystkie nieszczęścia życia w jednym rzucie”. Ale nie jestem pewna, czy ze szczęściem rzeczywiście



tak jest. Matty nie uchroniłby mnie przed rakiem piersi ani też przed napadem. Właściwie to powinien, ale nie może. W pewnym sensie jestem zadowolona, że nie urodziłam drugiego dziecka, normalnego. Wtedy potrzebowałabym od Boga więcej gwarancji, niżby mi mógł zapewnić.

Poza tym jestem katoliczką, więc w szczęście wierzę o wiele mniej aniżeli w karę. W wierze w boską karę jesteśmy naprawdę dobrzy — najlepsi na świecie. Zgrzeszyłam przeciw Kościołowi, więc Matty jest ceną, jaką za to płacę. Może się wydawać ceną dosyć wysoką, ale w końcu te grzechy powinny mieć jakiś sens, prawda? No więc z jednej strony trudno się dziwić, że właśnie to mnie spotkało. Dość długo nawet byłam wdzięczna, ponieważ miałam wrażenie, że zdołam zbawić siebie tu na Ziemi i potem już się obejdzie bez rozliczeń. Ale teraz nie jestem tego taka pewna. Jeżeli cena, jaką trzeba zapłacić za grzech, jest tak wysoka, że koniec końców rozważa się samobójstwo, popełniając grzech jeszcze gorszy, to Ktoś robi błędną kalkulację. Ktoś liczy sobie za dużo.

Nigdy przedtem — w całym życiu — nikogo nie uderzyłam, aczkolwiek nieraz chciałam. Ale tej nocy stało się inaczej. Byłam w stanie zawieszenia, gdzieś pomiędzy życiem i umieraniem, i zdawało się jakby nieważne, co zrobię, do czasu aż wrócę na szczyt Domu Skoczka. Wtedy też po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że mam taki niby-urlop, odpoczywam od siebie. Nabrałam więc ochoty, żeby go trzepnąć ponownie, tylko dlatego, że mogłam — ale się powstrzymałam. Raz wystarczyło: Chas przewrócił się — raczej, przypuszczam, od wstrząsu niż od samego ciosu, bo taka silna to ja

znów nie jestem — po czym klęknął i osłaniając rękami głowę, wsparł się na łokciach

— Przepraszam — powiedział.

— Za co? — spytał JJ.

— Sam nie wiem — odparł. — Obojętne.

— Raz miałam takiego chłopaka jak ty — zwróciłam się do niego.

— Przepraszam — powtórzył.

— To boli. Strasznie jest odbyć z kimś stosunek, a potem zniknąć.

— Teraz to widzę.

— Naprawdę?

— No, chyba.

— Tam z dołu to ty nic nie widzisz — stwierdził JJ.

— Czemu nie wstaniesz?

— Naprawdę nie chcę dostać drugi raz.

— Byłoby fair stwierdzenie, że największym chojrakiem to ty raczej nie jesteś? — zapytał go JJ.

— Odwagą można się wykazać na wiele sposobów

— rzekł Chas. — Jeśli chodzi ci o to, że nie przywiązuję większej wagi do odwagi fizycznej... to owszem, to fair. Jest przereklamowana.

— Wiesz co, Chas? Moim zdaniem to, że okazałeś strach przed taką drobną kobietą jak Maureen, świadczy o pewnej odwadze. Szanuję twoją uczciwość, stary. Maureen, już go nie uderzysz, prawda?

Przyrzekłam, że nie — i Chas podniósł się z ziemi. Dziwnie się czułam, patrząc, jak mężczyzna robi coś Przez wzgląd na mnie.

— Bo co to za życie: chować się pod czyimś grillem, no nie? — stwierdził JJ.

— Mhm. Tylko że jakoś nie widzę za wielu opcji.  
— A jakbyś tak pogadał z Jess?  
— O, nie. Już bym wolał tu siedzieć do końca swoich dni. Serio. Zaczynam się nawet zastanawiać nad przeprowadzką.  
— Co ty: na cudze podwórko? To nie lepszy by był jakiś skrawek zieleni?  
— Nie — odrzekł Chas. — Do Manchesteru.  
— Posłuchaj — powiedział JJ. — Wiem, że jest groźna. Dlatego teraz musisz z nią pogadać. Przy nas. Możemy, no wiesz, pośredniczyć. To chyba lepsza wersja od wyjazdu z miasta.  
— Ale o czym tu gadać?  
— Coś się wykombinuje. Wspólnie. Coś takiego, żeby ci dała spokój.  
— Na przykład?  
— Założę się, że by za ciebie wyszła, jakbyś się jej oświadczył.  
— E, nie, no co ty, tego...  
— Tylko tak żartowałem. Chas, trochę radości, stary!  
— Nie za radosne to czasy. Tylko mroczne.  
— Mroczne w istocie. No bo i Jess, i wyjazd do Manchesteru, i życie pod grillem, i World Trade Center, i w ogóle.  
— No, właśnie. JJ pokręcił głową.  
— Okay. Więc: co byś jej mógł powiedzieć, żeby się wymiksować z tej, ku..., paranoi?  
Następnie poddał mu kilka kwestii, jak gdyby był aktorem w telenoweli — z naszym udziałem.

## MARTIN

Nieraz mam ochotę zrobić coś własnoręcznie. Sam ozdobiłem sypialnie dziewczynek za pomocą szablonów i tak dalej. (Owszem, były przy tym kamery, a producent zapłacił za farbę fluorescencyjną do ostatniej kropli, to jednak w żadnym razie nie umniejsza mego osiągnięcia). Tak czy siak, jeśli też lubicie takie zabawy, to wiecie doskonale, że się zdarzają dziury za duże do kitowania, zwłaszcza w łazience. I w takim wypadku dosyć niechlujnie można je upchać wszystkim, co się znajdzie — połamanymi zapalkami, kawałkami gąbki — co w danej chwili mamy pod ręką. Otóż właśnie tej nocy Chas miał odegrać rolę kawałka gąbki do zatkania szczeliny. Cała ta historia między nim i Jess była, rzecz jasna, śmiechu warta; była trwonieniem czasu i energii, trywialnym dodatkiem do głównego przedstawienia — ale nas wciągnęła i sprowadziła z dachu, tak że nawet ja, słuchając jego nedorzecznej przemowy, doceniłem jej walor. Przekonałem się też, że w nadchodzących tygodniach i miesiącach będziemy potrzebowali dużo więcej kawałków gąbki. Być może bez względu na to, czy mamy skłonności samobójcze, czy też ich nie mamy, wszystkim nam tego właśnie potrzeba. Być może życie jest po prostu zbyt wielką dziurą, aby ją można było zatkać kitem, więc się musimy chwycić wszystkiego, co tylko wpadnie w ręce — szlifierek i strugarek, piętnastolatek, czegokolwiek — ażeby ją wypełnić.

— Cześć, Jess — rzekł Chas, kiedy go wypchano z imprezy na ulicę. Starał się, by zabrzmiało to pogodnie, przyjaźnie i niezobowiązująco, tak jakby liczył, że

w którymś momencie wieczoru natknie się tam na Jess, ogólnie jednak rzecz biorąc, zgubił go brak inicjatywy; trudno wyrazić pogodę, gdy człowiek aż tak się boi nawiązać kontakt wzrokowy. Pomyślałem, że zachowuje się jak drobny gangster z fdmu, który — przyłapany na złodziejstwie u miejscowego ojca chrzestnego — czując, że grunt usuwa mu się spod nóg, rozpaczliwie próbuje się podlizywać, żeby ratować skórę.

— Czemu nie chciałeś ze mną rozmawiać?

— No. Jasne. Wiedziałem, że o to spytasz. Więc sobie o tym myślę. Myślę o tym naprawdę intensywnie, bo, no wiesz, ja... Nie jestem z tego zadowolony. To słabe. To moja słabość.

— Nie przesadz, stary — pouczył go JJ. Najwidoczniej nikt z obecnych nie zamierzał udawać, że będzie to w niewielkim chociaż stopniu rozmowa prawdziwa.

— Nie. Jasne. Więc dobra: po pierwsze, chciałem przeprosić i coś takiego się już nigdy nie powtórzy. A po drugie, bardzo mi się podobasz i mnie inspirujesz, i...

Tym razem JJ ostentacyjnie zakaszłał.

— ...I, no... To nie o mnie chodzi, a o ciebie. — Zadrżał. — Przepraszam. Sorry. Nie chodzi o ciebie, tylko o mnie.

W tym momencie, próbując przypomnieć sobie dalsze kwestie, zauważył mnie.

— Ej, ty wyglądasz jak ten palant z tiwi. Martin Cośtam.

— To jest on — powiedziała Jess.

— Skąd ty go, kurwa, znasz?

— To długa historia — odparłem.

— Oboje byliśmy na dachu Domu Skoczka. Mieliśmy się stamtąd rzucić — oświadczyła Jess, tym samym znacznie skracając długą historię i w istocie opuszczając niewiele znaczących kwestii.

Chas przelatywał tę informację w sposób niemal fizyczny, tak jak wąż połyka jajo: widać było powolną drogę w kierunku mózgu. Z pewnością miał wiele fascynujących przymiotów — wybitną inteligencją jednak się nie wyróżniał.

— Przez tę dziewczynę, co się z nią bzykałeś? I żona, i dzieci cię wyrzuciły, co nie? — spytał w końcu.

— A może byś zapytał Jess, czemu chciała skoczyć? To chyba bardziej na miejscu.

— Zamknij się — rzekła Jess. — To sprawa osobista.

— Tak? A moja nie?

— Nie — odpowiedziała. — Już nie. Wszyscy o tym wiedzą.

— Jaka jest w życiu Penny Chambers?

— To o tym przyszliśmy tu gadać, Chas? — wyszeptał JJ.

— Nie. Jasne. Sorry. Tylko tak trochę mnie rozprasza, że tu stoi ktoś z tiwi.

— Mam odejść?

— Nie — odparła prędko Jess. — Chcę, żebyś został.

— W życiu bym nie pomyślał, że możesz być w jego typie — stwierdził Chas. — Za stary. Poza tym chuj.

Zaśmiał się, a następnie rozejrzał wokół, w nadziei, że ktoś go w tym śmiechu poprze, ale nikogo z nas — a raczej: nikogo z nich, ponieważ nawet Chas nie liczył

na to, że mnie rozśmieszy mój wiek bądź też chujstwo — nie rozbawiło to ani trochę.

— A, jasne. Więc w ten sposób!

I oto nagle, dokładnie w ten sposób, okazaliśmy się od niego poważniejsi, pod każdym względem. Uzmysłowała to sobie nawet Jess.

— Sam jesteś palant — zwróciła się do Chasa. — Spierdalaj mi z oczu.

Po czym go kopnęła staromodnym sposobem: nie zginając nogi w kolanie, w najbardziej mięsistą część tyłka, jakby oboje byli postaciami z kreskówki.

I taki był koniec Chasa.

## JESS

Jak człowiekowi jest smutno — chodzi mi o ten taki prawdziwy smutek Domu Skoczka — to chce być z innymi, co się smucą. Do tamtej nocy tego nie wiedziałam, ale nagle to zrozumiałam, patrząc na twarz Chasa. Nie miała w sobie nic. Była po prostu twarzą dwudziestodwuletniego chłopaka, który w życiu nie zrobił nic, poza połknięciem kilku tabletek ekstazy, i nie myślał o niczym, oprócz tego, gdzie zdobyć następne, i nie czuł nic, oprócz odjazdu. Zdradziły go oczy: kiedy tak głupio żartował z Martina i czekał, że nas to rozśmieszy — tak go to zajęło, że nie miał w oczach totalnie nic więcej. Był to tylko wzrok śmiejący, nie wystraszony albo zmartwiony — jak oczy łaskotanego niemowlaka. Zauważyłam, że kiedy żartowali inni — jeżeli żartowali (Maureen za dowcipna nie była) — to i tak, nawet jak się śmiali, czuło się, po co wyszli na ten dach; mieli w sobie

coś jeszcze, coś, co im nie pozwalało poddać się chwili. I pewnie powiesz, że nie powinniśmy tam iść, gdyż samobójstwo świadczy o tchórzostwie, no i że żadne z nas nie miało wystarczających powodów. Nie możesz powiedzieć, że tego nie czuliśmy, bo czuliśmy wszyscy, a to było o wiele ważniejsze niż inne rzeczy. Chas też nigdy by się nie dowiedział, jak to jest — chyba że też by przekroczył tę granicę.

Bo właśnie cała nasza czwórka przekroczyła pewną granicę. Nie chodzi mi o to, żeśmy zrobili coś złego. Tylko — że stało się coś, co nas oddzieliło od wielu innych ludzi. Nie łączyło nas nic poza miejscem, gdzieśmy wylądowali: betonowym placem wysoko w powietrzu, a to było coś najważniejszego, co w ogóle może kogoś połączyć. Stwierdzenie, że Maureen i ja nie miałyśmy ze sobą nic wspólnego, gdyż ona nosiła płaszcze przeciwdeszczowe i słuchała big-bandów czy coś, było jak powiedzenie, że na przykład z jakąś dziewczyną łączy mnie tylko to, że obie mamy tych samych rodziców. No więc nie miałam o tym wszystkim pojęcia, dopóki Chas nie powiedział, że Martin to chuj.

Poza tym, doszłam do wniosku, Chas mógłby mi wciskać cokolwiek — że mnie kocha, że mnie nie znosi, że go opętali kosmici i że ten dawny Chas, którego znałam, jest na obcej planecie — a i tak nic by to nie zmieniło. Moim zdaniem dalej był mi winien wyjaśnienie, ale co z tego? Co by mi to dało? Wcale by mnie bardziej nie uszczęśliwiło. To było trochę tak jak drapanie, kiedy się ma ospę. Człowiek sobie myśli, że pomoże, ale swędzenie przenosi się tylko coraz dalej. Nagle poczułam, że moje swędzenie jest wiele mil stąd i nie mogłabym



go dosięgnąć, choćbym miała nie wiem jak długie ręce. Tak że się wystraszyłam, że mnie będzie swędzieć w nieskończoność — a tego nie chciałam. Wiedziałam o wszystkim, co zrobił Martin, ale kiedy Chas poszedł, to i tak chciałam, żeby mnie przytulił. I nawet by mi nie przeszkadzało, gdyby próbował czegoś więcej, ale nie spróbował. Zrobił coś jakby odwrotnego; objął mnie tak dziwnie, jakbym była cała owinięta drutem kolczastym.

Sorry, odeszłam od tematu. Przykro mi, że ten gnojek was wyzywał. Martin stwierdził, że to nie przeze mnie, ale ja mu powiedziałam, że jasne że tak, bo gdyby mnie nie spotkał, toby nie musiał przeżywać traumy, że w Nowy Rok nazwano go chujem. Odparł wtedy, że często go tak nazywają. (Rzeczywiście tak jest. Już go trochę znam, więc sama słyszałam, jak z piętnaście osób, zupełnie obcych, nazwało go chujem; bucem chyba dziesięć, kutasem też coś koło tego, a dupkiem bodajże sześć. Poza tym — baranem, klarnetem, złamasem i palantem). Nikt go nie lubi, co mnie trochę dziwi, gdyż jest sławny. Jak można być sławnym, kiedy człowieka nikt nie lubi?

Martin mówi, że to nie ma nic wspólnego z tą sprawą z piętnastolatką; uważa, że właściwie po tym nawet mu się trochę poprawiło, ponieważ ci, co go nazywali chujem, to właśnie tacy, którzy nie widzą nic złego w uprawianiu seksu z nieletnimi. Więc zamiast go wyzywać, wołali do niego rzeczy w stylu: „Dalej, nie żałuj sobie, synu, wal”, itepe. Pod względem osobistych obelg, choć nie pod względem małżeństwa czy relacji z dziećmi, albo kariery, albo zdrowia psychicznego, więzienie

w sumie dało mu coś dobrego. Tylko że sławni są ludzie najróżniejsi, nawet jak w ogóle nie mają fanów. Dobrym przykładem jest Tony Blair. I ci wszyscy prezenterzy z telewizji śniadaniowej i z teleturniejów. Zdaje mi się, że dużo zarabiają, gdyż na ulicy obcy ludzie krzyczą do nich straszne rzeczy. Nawet policjant z drogowki nie słyszy podczas zakupów z rodziną, że jest chujem. Dlatego jedyną zaletą bycia Martinem jest kasa, jak również zaproszenia na premiery filmowe i do podejrzanych nocnych klubów. A w takich miejscach wpada się w tarapaty.

To tylko parę myśli, które mi przyszły, jak żeśmy się obejmowali z Martinem. Ale nic dla nas z nich nie wyniknęło. Na zewnątrz mojej głowy była piąta rano, wszyscy byliśmy nieszczęśliwi i nie mieliśmy gdzie iść.

Klimat był w stylu: „Co dalej?”. To zatarłam ręce, jakbyśmy się wszyscy świetnie bawili i nie chcieli, żeby się noc skończyła — jakbyśmy po balandze w Oceanie jechali na kawę do Bethnal Green albo z powrotem do kogoś, żeby sobie przypalić i się wyluzować. Więc mówię: „Czyja chata? Założę się, że ty, Martin, to masz wypasione. Na pewno jacuzzi, te sprawy. Może być”. Na co Martin: „Nie, tam iść nie możemy. Poza tym okres jacuzzi mam dawno za sobą”. Co przypuszczalnie znaczyło, że się całkiem spłukał, a nie że był za gruby, żeby wchodzić do wanny czy coś takiego. Bo Martin nie jest gruby. Jest na to za nadęty.

Więc mówię: „Dobra, nieważne, jeżeli tylko masz czajnik i trochę kukurydzianych płatków”. Na co on: »Nie mam“, więc ja: „A co masz do ukrycia?”. On na to:

„Nic”, ale tak jakoś dziwnie, jakby się trochę spieszył. I wtedy przypomniałam sobie coś, co mi się wydało stosowne, i zapytałam: „Od kogo miałeś te wiadomości na komórce?”. On — że od nikogo. Więc pytam: „Pan czy może pani Nikt?”. On — że nikt i tyle. No to się zapytałam, czemu nas nie chce zaprosić, a on — że nas nie zna. Więc mówię: „Taa, a tę piętnastolatkę to niby znałeś”. I wtedy on, jakby się zdenerwował: „Okay. Dobra. Idziemy do mnie. Czemu nie?”. No i poszliśmy.

JJ

Owszem, przez chwilę miałem to poczucie więzi z Maureen, kiedy strzeliła Chasa, ale prawdę mówiąc, byłem coraz bliższy konstatacji, że gdybyśmy się wszyscy uwinęli przed śniadaniem, to moja kapela i tak rozpadłaby się z powodów czysto muzycznych. Pora śniadania znaczyłaby, że zdołaliśmy dotrzeć do nowego poranka, nowej nadziei, nowego roku, tralala. I bez urazy, ale ja nie chciałem, żeby mnie ktoś z nimi widział w biały dzień, wiecie, o co mi chodzi, zwłaszcza z... niektórymi. Ale do śniadania i białego dnia było jeszcze ze dwie, trzy godziny, więc stwierdziłem, że nie mam za bardzo wyboru i muszę z nimi iść do Martina. W przeciwnym razie zachowałbym się podłe i niemiło, a poza tym wciąż sam sobie nie ufałem na tyle, żeby móc być długo samemu.

Martin mieszkał w willowej części Islington, o rzut beretem od starego domu Tony'ego Blaira — okolicy, jakiej się raczej nie wybiera w trudnym życiowym mo-

mencie, w którym rzekomo był Martin. Zapłaciwszy taksówkarzowi, poprowadził nas schodami frontowymi do środka. Zauważyłem trzy czy cztery dzwonki, więc ewidentnie nie cały dom należał do niego, ale mnie by nie było stać na mieszkanie tam.

Nim włożył klucz do zamka, zatrzymał się i rozejrzał.

— Słuchajcie — powiedział, po czym zamilkł, więc nadstawiliśmy uszu.

— Nic nie słyszę — odezwała się Jess.

— Nie, nie o takie słuchanie mi chodzi. Tylko: „Słuchajcie, bo chcę wam coś powiedzieć”.

— To już — rzekła Jess. — Wal.

— Jest bardzo późno. Więc... uszanujcie sąsiadów.

— I tyle?

— Nie. — Wziął głęboki oddech. — Pewnie ktoś tam będzie.

— U ciebie?

— Tak.

— Kto?

— Nie wiem, jak by to nazwać. Randka. Obojętne.

— Umówiłeś się wieczorem? — chciałem, żeby to zabrzmiało neutralnie, ale, no wiecie, Chryste, dla niej to musiał być wieczór!... Siedzisz sobie w klubie czy coś w tym stylu, a taki się ulatnia, bo chce skoczyć z wieżowca.

— Tak. Co z tego?

— Nic. Tylko...

Nie trzeba było nic dodawać. Resztę mogliśmy spokojnie powierzyć wyobraźni.

— Do kurwy nędzy — powiedziała Jess. — Co to ma być za randka, co się, kurwa mać, kończy siedzeniem na gzymsie?

— Nieudana — odpowiedział Martin.

— No chyba, że, kurwa, nieudana — stwierdziła Jess.

— Tak — rzekł Martin. — Toteż właśnie ją tak opisałem.

Otworzył drzwi i wprowadził nas do mieszkania — przed sobą, tak że dziewczynę siedzącą na kanapie ujrzeliśmy chwilę przed tym, jak ona nas zobaczyła. Była może z dziesięć, piętnaście lat młodsza od niego; ładna, taka trochę jak te telewizyjne laski-pogodynki; miała na sobie chyba drogą sukienkę i strasznie płakała. Spojrzała na nas, a potem na niego.

— Gdzieś ty był? — chciała, żeby to zabrzmiało lekko, ale nie do końca się jej udało.

— W mieście. Poznałem parę... — wskazał na nas.

— Jaką parę?

— No, wiesz. Parę osób, no wiesz.

— I przez to wyszedłeś w połowie wieczoru?

— Nie. Wychodząc, nie wiedziałem, że się na nich natknę.

— A co to za jedni? — spytała.

Chciałem, żeby na to pytanie odpowiedział Martin, boby mogło być zabawnie, ale Jess się wtrąciła.

— Ty jesteś Penny Chambers — stwierdziła Jess. Zapytana nie odezwała się, chyba dlatego, że już o tym wiedziała. Wbiliśmy w nią wzrok.

— Penny Chambers — powiedziała Maureen. Rozdziawiła się jak jakaś, kurwa, ryba.

Penny Chambers wciąż milczała, z tego co przedtem powodu.

— *Kto rano wstaje z Penny i Martinem* — oznajmił Martin.

Za trzecim razem również zero reakcji. Nie bardzo się znam na gwiazdach angielskiej telewizji, ale pojąłem, o co biega. Jeśli Martin był Regisem, to Penny była Kathy Lee. Angielski Regis przygruchał sobie angielską Kathy Lee, a potem zniknął, żeby się zabić. A to ci, kurwa, komedia!

— Chodźcie ze sobą? — chciała się dowiedzieć

Jess.

— Jego lepiej zapytaj — odparła Penny. — To przecież on zniknął w połowie kolacji.

— Chodźcie ze sobą? — Jess zwróciła się do Martina.

— Przykro mi — powiedział.

— Odpowiedz — rzekła Penny. — Też bym się chciała dowiedzieć.

— To nie jest pora na takie rozmowy — odpowiedział Martin.

— Jak widać, nie jesteś pewny — powiedziała Penny. — A dla mnie to coś nowego.

— To złożona sprawa — stwierdził Martin. — Wiedziałaś.

— Nie.

— Wiedziałaś, że nie jestem szczęśliwy.

— Owszem, wiedziałam. Nie wiedziałam tylko, że przeze mnie.

— Nie byłem... Nie cho... Możemy pomówić później? W cztery oczy?

Przerwał, wskazując trzy wpatrzone w nich pary oczu. Mogę się chyba wypowiedzieć w imieniu nas wszystkich, że potencjalni samobójcy są generalnie zajęci wyłącznie sobą — przez te kilka tygodni naprzód myśli się głównie: ja, ja, ja. Tak więc musieliśmy łykać to gównu: a) bo nie dotyczyło nas i b) ponieważ nie wydawało się prawdopodobne, że ich rozmowa całkiem nas zdołuje. Wyglądało to na chwilową sprzeczkę między parą, więc można się było oderwać od własnych problemów.

— To znaczy kiedy?

— Wkrótce. Chyba jednak nie teraz.

— Dobrze. A o czym pomówimy tymczasem? Z trojgiem twoich przyjaciół?

Nikt nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć. Martin był gospodarzem, więc to on musiał zapodać jakiś wspólny temat. I dobrze mu tak.

— Sądzę, że powinieneś zadzwonić do Toma i Christine — powiedziała Penny.

— Noo. Dobrze. Jutro.

— Na pewno czują się dotknięci.

— Kto to jest Tom i Christine? Jedliście z nimi kolację?

— Tak.

— I co im powiedziałaś?

— Ze idzie do toalety — odpowiedziała Penny.

Jess wybuchnęła śmiechem. Zerkając na nią, Martin odtworzył w myśli swą kiepską wymówkę, po czym z głupim uśmiechem spojrział na swoje buty. Była to chwila dziwnie znajoma. Wiecie, jakie to uczucie, gdy się po raz enty słyszy od ojca, że się jest dupkiem, bo

znów się coś przeskrobało — przy kumplu, który próbuje się nie śmiać? I człowiek unika jego wzroku, żeby się sam nie roześmiał. No, więc to tak wyglądało. Penny dostrzegła ten chłopięcy uśmieszek — i biegiem rzuciła się na chłopię, o którym mowa. Chwycił ją za nadgarstki, żeby uniknąć ciosów.

— I jeszcze sobie z tego beczelnie żartujesz?!

— Przepraszam. Bardzo. Wiem, że w tym nie ma nic śmiesznego. — Chciał ją objąć, ale go odepchnęła i usiadła na dawnym miejscu.

— Powinniśmy się napić — powiedział Martin. — Pozwolisz, że zostaną na jednego?

Przyjmuję drinki zawsze, w każdej sytuacji, tu jednak nie do końca wiedziałem, czy należy. No, ale ostatecznie za bardzo mi się chciało pić.

## MARTIN

Dopiero gdy weszliśmy do środka, przypomniało mi się, że opisałem Penny jako niezłą sukę, która wciąga w siebie co się da i pieprzy się z każdym. Tylko kiedy to powiedziałem? Przez następne pół godziny prosiłem Boga, żeby to się stało przed przyjściem Jess, kiedy jeszcze byliśmy z Maureen sami. Jeśli Jess to słyszała, to nie miałem najmniejszych wątpliwości, że moja opinia na temat Penny zostanie jej przekazana.

A jak się łatwo domyślić, nie była to uwaga zbyt rozsądna. Nie mieszkam z Penny, ale spotykaliśmy się od paru miesięcy, bodaj od czasu, kiedy wyszedłem z więzienia, więc sami rozumiecie, że musiała wtedy znieść niejedno. Nie chcieliśmy, żeby prasa wiedziała



o nas, więc nigdy nigdzie nie chodziliśmy razem, a kapelusze i ciemne okulary nosiliśmy o wiele częściej, niż to było naprawdę konieczne. Miałem — wciąż mam, zawsze będę miał — byłą żonę i dzieci. Zatrudniony byłem tylko częściowo w słabej stacji kablowej. I — o czym pewnie już wspominałem — nie było mi do śmiechu.

Już mieliśmy coś za sobą. Przelotny romans, kiedyśmy wspólnie prowadzili program, oboje jednak byliśmy z kimś związani, więc się to skończyło, boleśnie i smutno. I nagle w końcu, po wielu fatalnie wybieranych momentach i wielu wzajemnych oskarżeniach, zesłaliśmy się, tyle że nie trafiając w czas. Stałem się podrzędnym towarem. Byłem splukany, skończony; wrak człowieka, sięgnąłem dna. Tymczasem ona dotarła do szczytu, piękna, młoda i sławna, co rano występowała przed milionami. Nie wierzyłem, że chce być ze mną nie tylko przez sentyment i litość, ona zaś nie umiała mnie przekonać, że istnieją inne powody. Kilka lat temu Cindy zaczęła chodzić na odczyty jednej z tych koszmarnych grup, gdzie nieszczęśliwe, ukryte, dobrze sytuowane lesbijki najpierw przez pięć minut mówią o powieści, której nie rozumieją, a resztę wieczoru jęczą, jacy to mężczyźni są straszni. No więc Penny przeczytała książkę o zakochanych, którzy przez całe lata nie mogli być razem, a gdy w końcu się zesłi, to mieli coś koło setki. Uwielbiała tę książkę i zmusiła mnie, abym też ją przeczytał, co trwało mniej więcej tyle czasu, ile dobierali się jej bohaterowie, zanim zostali parą. Takie odniosłem wrażenie, tyle że tamci dwoje bawili się dużo lepiej niż ja i Penny. Parę tygodni przed Gwiazdką, w napadzie rozpacz i wstrętu do samego siebie, powiedziałem

jej, żeby się odpiardoliła, więc tego wieczoru poszła gdzieś z jednym z gości programu, szefem kuchni tiwi, i on jej wtedy dał powąchać kokainę — pierwszy raz w życiu — tak że skończyło się w łóżku, po czym wróciła do mnie rano, cała zapłakana. Dlatego właśnie powiedziałem Maureen, że jest niezłą suką, która wciąga w siebie co się da i pieprzy się z każdym. Teraz jednak widzę, że potraktowałem ją trochę zbyt surowo.

Tak oto — po bodaj kilku setkach szczerych rozmów i ataków wściekłości, parudziesięciu rozstaniach i więcej niż jednym ciosie (od razu dodam: z jej strony) — Penny siedziała na kanapie w oczekiwaniu na mnie. Gdyby nie zaimprovizowana impreza na dachu, czekałaby tak pewnie bardzo długo. Nie zadałem sobie nawet trudu, żeby jej o tym napisać, ale dopiero teraz zaczynam przez to odczuwać pewne wyrzuty sumienia. Dlaczego trwaliśmy w żalonym złudzeniu, że ten związek cokolwiek rokuje? Sam nie wiem. Kiedy pytałem Penny, na czym to właściwie polega, mówiła tylko, że mnie kocha, co w moim przeświadczeniu, zamiast cokolwiek wnosić, jedynie gmatwało sprawę. A jeśli idzie o mnie... No cóż, kojarzyłem Penny, chyba całkiem sensownie, z okresem, zanim wszystko zaczęło mi się knocić; okresem sprzed Cindy, sprzed piętnastolatki, sprzed więzienia. Doszedłem do przekonania, że jeśli mi się uda z Penny, to opanuję też inne sprawy — mógłbym się jakoś z tego wywlec, jak gdyby młodość była miejscem, które się odwiedza, gdy przyjdzie na to ochota. Tymczasem — chcę wam bezzwłocznie donieść, że nie jest. Kto by pomyślał?

Na razie jednak przede wszystkim musiałem się zastanowić, jak jej wyjaśnię znajomość z Maureen, JJ'em i Jess. Prawda zraniłaby ją i zmartwiła, a jakoś nie za bardzo było mnie stać na w miarę lotne kłamstwo. Co takiego mogło nas łączyć? Nie wyglądaliśmy na kolegów z pracy, miłośników poezji, klubowiczów ani narkomanów, problem — należy to podkreślić — stanowiła Maureen, w zasadzie pod każdym względem, na ile naturalnie fakt, że nie wyglądała na narkomankę, w ogóle można by traktować jako problem. Zresztą nawet gdyby rzeczywiście byli kolegami z pracy albo narkomanami, to i tak trudno by mi było wytłumaczyć rozpaczliwą potrzebę spotkania z nimi. Ludziom, u których byliśmy z Penny, powiedziałem, że idę do toalety, więc niby czemu miałbym nagle uciekać stamtąd pół godziny przed witanem Nowego Roku, żeby wziąć udział w dorocznym walnym zebraniu nieznanego towarzystwa.

Postanowiłem więc po prostu zachowywać się dalej tak, jakbym nie miał nic do wyjaśnienia.

— Przepraszam. Penny, oto JJ, Maureen, Jess. JJ, Maureen, Jess, oto Penny.

Penny najwidoczniej nie przekonało nawet to, że ich sobie przedstawiłem — jak gdybym już zaczął kłamać.

— Nadal jednak nie wiem, kim są.

— Jak to...?

— No: skąd ich znasz?

— To długa historia.

— Słucham.

— Maureen znam z... Maureen, gdzie myśmy się właściwie poznali? Maureen spojrzała na mnie.

— To już tak dawno, co? Zaraz się nam przypomni. JJ był w dawnym zespole kanału piątego, a Jess to jego dziewczyna.

Jess otoczyła ramieniem JJ'a, w sposób znacznie zabawniejszy, niżbym sobie tego życzył.

— A gdzie byli dziś wieczorem?

— Wiesz, oni nie są głusi. Nie są też idiotami. Nie są to... głusi idioci.

— Gdzieście byli dziś wieczór?

— Na... Tego... Na imprezie — powiedział niepewnie JJ.

— Gdzie?

— W Shoreditch.

— U kogo, Jess?

Jess niedbale wzruszyła ramionami, jakby ta noc była tak szalona, że nie musiało się pamiętać.

— A co cię tam tak gnało? Beze mnie? O wpół do dwunastej? W samym środku kolacji?

— Tego wyjaśnić nie potrafię.

Próbowałem sprawiać wrażenie bezradnego i równocześnie skruszonego. Łudziłem się, że już przekroczyliśmy granicę psychologicznej złożoności i nieprzewidywalności, wkraczając w obszar, gdzie dozwolona jest ignorancja i zmieszanie.

— Masz kogoś, prawda?

Masz kogoś! Jakież by to miało mieć związku z sytuacją? Na jakiej zasadzie z czegoś takiego miałyby wynikać sprowadzanie do domu kobiety w średnim wieku, nastoletniej punkowy i Amerykanina w skórzanej kurtce, z fryzurą na Roda Stewarta? Jakaż by to miała być historia? Po namyśle jednak uznałem, że Penny pewnie

już coś podobnego przeżyta, skutkiem czego uznała, że wytłumaczeniem wszelkiego typu domowych niejasności po prostu musi być niewierność. Gdybym się tam zjawił w towarzystwie Sheeny Easton i Donalda i Rumsfelda — Penny przypuszczalnie po chwili namysłu stwierdziłaby dokładnie to samo.

Aczkolwiek w innych okolicznościach, innego wieczoru konkluzja ta byłaby słuszna; zdradzając Cindy, umiałem się wykazać niekiepską inwencją — nawet jeśli to tylko moje osobiste zdanie. Któregoś dnia wjechałem w ścianę nowiutkim bmw wyłącznie po to, by móc wyjaśnić, dlaczego powrót z pracy zajął mi aż cztery godziny. Cindy wyszła przed dom, żeby skontrolować wgniecenia maski, po czym, patrząc na mnie, powiedziała: „Masz kogoś, prawda?”. Rzecz jasna, zaprzeczyłem. Ale w końcu wszystko — rozbicie nowego auta czy nakłonienie Donalda Rumsfelda, żeby się pojawił w mieszkaniu w Islington wczesnym rankiem Nowego Roku — jest łatwiejsze niż zwyczajne wyznanie prawdy. To spojrzenie, spojrzenie, które nam otwiera oczy i docieramy tam, gdzie przechowuje ona cały ból, wściekłość i odrazę... Komu by się nie chciało przejść paru kroków więcej, aby tego uniknąć?

— No więc?

To, że zwlekałem z odpowiedzią, było wynikiem pewnych dość skomplikowanych mentalnych kalkulacji; próbowałem mianowicie ustalić, która z dwóch różnych sum da mi najmniejszą liczbę ujemną. Co jednak okazało się nieuniknione — zwłokę odebrano jako wyznanie winy.

— Ty skurwielu.

Przez sekundę korciło mnie, by zauważyć, że — od nieszczęsnego incydentu z koką i kucharzem — nie wyrównaliśmy jeszcze rachunków, ale to odwlekłoby tylko jej odejście, a ja nie marzyłem o niczym innym, jak tylko o tym, żeby się upić we własnym domu z nowymi przyjaciółmi. Więc nic na to nie powiedziałem. Gdy wychodząc, trzasnęła drzwiami, wszyscy aż podskoczyli, ale ja przeczuwałem, że się na to zanosí.

## MAUREEN

Zwymiotowałam na dywan przed łazienką. Niby mówię „dywan”, ale tak naprawdę to zwymiotowałam w miejscu, gdzie być powinien, a go nie było. I w sumie to dobrze, bo łatwiej było potem posprzątać. Widziałam mnóstwo tych takich programów, gdzie się pokazuje, jak całkiem na nowo urządzić mieszkanie, i zupełnie nie pojmuję, czemu zawsze każą wyrzucać dywany, nawet całkiem dobre, w ogóle nie wytarte. Ale teraz to się zastanawiam, czy tam się przypadkiem najpierw nie sprawdza, czy mieszkańcy takiego domu często wymiotują, czy nie. Zauważyłam, że wiele młodych ludzi ma gołe parkiety, a oni naturalnie wymiotują na podłogę częściej niż starsi, przez to całe piwo i tak dalej. I może przez te narkotyki, co teraz zażywają. (Czy od narkotyków robi się niedobrze? Chyba tak, prawda?) Stąd część młodych rodzin w Islington prawdopodobnie również nie przepada za dywanami. No, ale może to też dlatego, że niemowlęta wciąż wymiotują gdzie popadnie. Wobec tego Martin pewnie często wymiotuje. Albo może po Prostu ma dużo znajomych, którzy to robią. Jak ja. Zwy-

miotowałam, bo nie jestem przyzwyczajona do picia, jak również przez to, że od ponad doby nic nie miałam w ustach. W sylwestra denerwowałam się za bardzo, żeby coś zjeść, a poza tym i tak przecież by to nie miało większego sensu. Nie ruszyłam nawet tej brei Matty'ego. Czemu służy jedzenie? Jest paliwem, prawda? Daje człowiekowi energię. A mnie ona już nie była do niczego potrzebna. Skok z Domu Skoczka o pełnym żołądku to, moim zdaniem, rozrzutność, tak samo jak sprzedaż samochodu z pełnym bakiem. Toteż kręciło mi się w głowie, już zanim zaczęliśmy pić whisky, od tego białego wina na przyjęciu — a po dwóch szklaneczkach pokój zawirował.

Po wyjściu Penny przez jakiś czas nikt się nie odzywał. Nie wiedzieliśmy, czy mamy się smucić, czy nie. Jess zaproponowała, że ją dogoni i powie, że Martin z nikim się nie spotyka, ale wtedy Martin zapytał, jak ma jej zamiar wytłumaczyć, cośmy tam robili, na co Jess odparła, że przecież prawda nie jest aż taka zła, na co Martin stwierdził, że woli, żeby Penny miała o nim złe zdanie, niż żeby jej musiał mówić, że myślał o samobójstwie.

— Jesteś rąbnięty — rzekła Jess. — Na pewno by jej było przykro, gdyby się dowiedziała, jak żeśmy się poznali. I pewno ze współczucia dałaby się przelecieć.

Martin roześmiał się.

— To chyba nie takie proste, Jess — powiedział.

— A czemu?

— Bo gdyby się dowiedziała, jak się poznaliśmy, bardzo by ją to zmartwiło. Uznałaby, że ma w tym swój udział. Świadomość, że twój facet jest tak nieszczęśliwy,

że chce umrzeć, to coś koszmarnego; to czas na autorefleksję.

— Mhm. Więc?

— Więc musiałbym godzinami trzymać ją za rękę. Wcale nie mam ochoty trzymać jej za rękę.

— I tak by się w końcu dała przelecieć. Ja nie mówiłam, że to by było łatwe.

Chwilami trudno było pamiętać, że Jess także cierpi. Podczas gdy Martin, JJ i ja nadal byliśmy w ciężkim szoku. Nie mieściło mi się w głowie, jakim cudem piję whisky w salonie znanej osoby z telewizji, skoro przecież wyszłam z domu, żeby popełnić samobójstwo — i widać było, że oni obaj też są zmieszani sytuacją. Tymczasem Jess uprzejmości, któreśmy wymienili na dachu, traktowała jako drobnostkę, coś takiego, kiedy człowiek w zamyśleniu drapie się po głowie, siada, wypija filiżankę słodkiej herbaty i wraca do codziennych zajęć. Gdy mówiła o stosunku ze współczucia i tym podobne nedorzeczności, nie sposób było pojąć, z jakiego też powodu zapragnęła wyjść po tych schodach na dach — oczy jej błyszczały, rozpierała ją energia i najwidoczniej świetnie się bawiła. My nie. Nie popełnialiśmy samobójstwa, ale humor nie dopisywał nam bynajmniej. Byliśmy zbyt blisko skoku. Aczkolwiek — z drugiej strony — Jess najbardziej z nas wszystkich była bliska zejścia. JJ zaledwie wyszedł z klatki schodowej. Martin siedział, kiwając nogami nad krawędzią, w końcu jakoś jednak nie zdobył się na odwagę. A ja to nawet nie dotarłam na drugą stronę ogrodzenia. Ale gdyby Martin nie usiadł Jess na głowie, to jestem przekonana, że by to zrobiła.



— Zagrajmy w coś — odezwała się Jess.

— Od... się — rzekł Martin.

Ten nieprzyzwoity język działał na mnie wprost niemożliwie rozstrajająco. Nie miałam zamiaru sama w pewnym momencie zacząć przeklinać, toteż się ucieszyłam, że noc już niedługo minie. Ale to, że do niego przywykłam, coś mi uświadomiło. Otóż zrozumiałam, że w moim życiu nigdy nic się nie zmieniło na lepsze. U Martina mogłam trochę powspominać — siebie sprzed zaledwie kilku godzin — i pomyślałam: „Ach, wtedy byłam inna”. Fajnie jest tak się pomartwić nieprzyzwoitymi słowami! Zestarzałam się nawet podczas tej nocy. W młodszych wiekach człowiek przyzwyczaja się do poczucia, że nagle jest inny. Budzi się rano i nie może uwierzyć, że się durzył w tym kimś albo że słuchał takiej muzyki, nawet jeśli to się działo zaledwie parę tygodni wcześniej. Ale kiedy urodziłam Matty'ego, wszystko stanęło w miejscu i nigdy już nie ruszyło. Przez tę jedną jedyną rzecz umiera się w środku, aż wreszcie przychodzi ochota, by umrzeć też zewnątrz. Wiem: ludzie miewają dzieci z najróżniejszych powodów, ale z pewnością jednym z nich jest to, że ich dorastanie daje poczucie, że życie ma w sobie jakiś pęd — z dziećmiakami to się tak odjeżdża. Ja z Mattym jednak utknęliśmy na przystanku autobusowym. Nie nauczył się chodzić ani mówić, a cóż dopiero czytać albo pisać: co dzień był taki sam i życie co dnia też było identyczne, i ja również bez zmian. Owszem, wiem, że to nic wielkiego, ale nawet słuchanie brzydkich wyrażań powtarzanych setki razy w ciągu jednego wieczoru było dla mnie czymś innym, czymś nowym. Na początku, gdy poznałam Martina, to

wprost fizycznie wzdragałam się, słysząc te słowa, a teraz — po prostu odbijały się one ode mnie, jakbym miała na głowie jakiś kask. I chyba nie ma w tym nic dziwnego? Też byś całkiem zidiociała, gdybyś w ciągu jednego wieczoru wzdrygnęła się trzysta razy. Przez to zaczęłam się zastanawiać, co jeszcze uległoby zmianie, gdybym tak sobie żyła jeszcze choć parę dni. Już nawet komuś przyłożyłam, a teraz piłam whisky z coca-colą. Jak to mówią w telewizji: „Należy częściej wychodzić z domu”, no wiesz. Teraz to do mnie dotarło.

— Podły drań — stwierdziła Jess.

— Owszem — zgodził się Martin. — Dokładnie. Ty ciemniaczko, że się posłużę twoim językiem.

— Co ci się znowu nie podoba?

— Oskarżyłaś mnie, że jestem podłym draniem. Chciałem tylko zauważyć, że w tym szczególnym okresie życia, a ściśle biorąc, tej szczególnej nocy, „podły” to epitet jak najbardziej stosowny. W istocie jestem podłym draniem, co — ufam — wreszcie udało ci się rozpracować.

— Co: dalej? Martin roześmiał się.

— Tak. Dalej. Mimo całej tej rozrywkowej nocy. Co według ciebie się zmieniło w ciągu minionych kilku godzin? Siedziałem w więzieniu. Jak sądzę, mimo wszystko tak. Spałem z piętnastolatką? Niestety, jak widać, w tym względzie również niewiele się zmieniło. Czy moja kariera nadal leży w gruzach i czy dalej nie mieszkam z dziećmi? Niestety, owszem, tak. Mimo że byłem na imprezie w Shoreditch i że nazwano mnie ch... ? Ależ ze mnie malkontent, co?

— Myślałam, żeśmy sobie nawzajem poprawili humor.

— Naprawdę? Naprawdę dokładnie tak pomyślałaś?

— No.

— Rozumiem. Problem wspólny to połowa problemu, a skoro jest nas czwórka, to wychodzi po ćwiartce, tak?

— No, przez was wszystkich mi się polepszyło.

— To dobrze.

— Co to ma niby znaczyć?

— Nic. Cieszę się, żeśmy ci poprawili nastrój. Twoja depresja była, jak widać, bardziej... uległa od naszej. Mniej nieustępliwa. Masz dużo szczęścia. Niestety, JJ nadal ma zamiar umrzeć, Maureen nadal ma głęboko upośledzonego syna, a moje życie to wciąż, ku..., totalny chaos. Prawdę powiedziawszy, nie wydaje mi się, żeby tu miało pomóc parę drinków i partyjka Monopolu. Zagrasz w Monopol, JJ? Pomoże na CCR? Czy raczej nie za bardzo?

Byłam wstrząśnięta, ale JJ wyraźnie się tym nie przejął. Uśmiechnął się tylko i odparł:

— Chyba nie.

— Nie miałam na myśli Monopolu — powiedziała Jess. — W to się gra za długo.

I wtedy Martin wrzasnął na nią, ale nie słyszałam co, ponieważ dostałam torsji — więc zakryłam usta ręką i pobiegłam do łazienki. Jak jednak wspominałam, nie zdążyłam.

— O Chryste, ku..., Panie — rzekł Martin, widząc jak nabrudziłam.

Do tego typu przekleństw, z udziałem Najwyższego, też się nie mogłam przyzwycząić. Nie sądzę, bym kiedykolwiek umiała się z tym pogodzić.

JJ

Zacząłem żałować tego przekrętu z CCR, więc nie było mi przykro, gdy Maureen zarzygała swą whisky z colą jesionowy parkiet Martina. Miałem ochotę się przyznać, ale tym sposobem zacząłbym rok dosyć kiepsko. A już i tak początek roku miałem fatalny, wzięwszy pod uwagę myśl o skoku ze szczytu wieżowca, żeby nie wspomnieć o kłamstwie z CCR. W każdym razie ucieszyłem się, że nagle wszyscy obkoczyliśmy Maureen, klepiąc ją po plecach i proponując szklanek wody — gdyż moment przyznania się minął.

Prawda jest taka, że nie czułem się jak umierający; czułem się jak ktoś, kto chce umrzeć od czasu do czasu, a to jest jednak różnica. Ktoś, kto chce umrzeć, odczuwa gniew i pełnię życia, i rozpacz, i znudzenie, i wyczerpanie, wszystko to jednocześnie; pragnie walczyć ze światem i chce się zwinąć w kłębek, i schować w jakimś kredensie. Chce wszystkich wokół przeproszać i chce, aby wszyscy się dowiedzieli, jak strasznie się na nich zawiódł. Nie wierzę, żeby coś takiego odczuwał umierający, chyba że umieranie jest gorsze, niż mi się wydaje. (Bo niby czemu nie? Co rusz coś się, kurwa, okazuje gorsze, niż myślałem, więc czemu z umieraniem miałyby być inaczej?)

— Poproszę o miętówkę — powiedziała. — Mam w torebce.

— Gdzie ta torebka?

Przez chwilę się nie odzywała, po czym jęknęła cicho.

— Jeśli masz zamiar znowu wymiotować, to, proszę, bądź tak dobra i doczołgaj się te dwa metry do klopa — rzekł Martin.

— Nie o to chodzi — odpowiedziała Maureen. — Chodzi o torebkę. Została na dachu. W kącie, koło tego otworu, co Martin wyciął w ogrodzeniu. Są w niej tylko klucze, miętówki i parę jednofuntówek.

— Znajdziemy ci miętówkę, jeżeli cię to tak trapi.

— Mam jakąś gumę do żucia — powiedziała Jess.

— Coś nie przepadam za gumą — odparła Maureen. — Poza tym źle mi się trzyma mostek. A już nie miałam głowy, żeby go naprawiać, ponieważ...

Nie dokończyła. Nie musiała. Myślę, że wszyscy mieliśmy do naprawienia kilka rzeczy, za któreśmy się nie wzięli — z oczywistego powodu.

— To ci znajdziemy miętówkę — rzekł Martin. — Albo jak chcesz, możesz umyć zęby. Możesz wziąć szczoteczkę Penny.

— Dziękuję.

Podniosła się, ale po chwili znowu usiadła na podłodze.

— I co ja teraz zrobię? Z torebką?

Pytanie było skierowane do nas wszystkich, ale Martin i ja spojrzeliśmy na Jess w nadziei, że odpowie. Czy raczej: znaleźmy odpowiedź, odpowiedź ta jednak musiałaby zostać udzielona w formie kolejnego pytania, a po minionej nocy obaj wiedzieliśmy już doskonale, że Jess jest wystarczająco nietaktowna, aby je zadać.

— To — spytała jakby na nasz znak — ona ci jest potrzebna?

— Och — odparła Maureen, uzmysławiając sobie implikacje związane z torebką.

— Rozumiesz, co mam na myśli?

— Tak. Tak. Rozumiem.

— Jak nie wiesz, czy ci będzie potrzebna, to po prostu powiedz. Bo, wiesz: to poważne pytanie, więc byśmy woleli cię nie popędzać. Ale jeśli wiesz na pewno, że ci nie będzie potrzebna, to lepiej powiedz od razu. Oszczędzi nam to łażenia.

— Ja bym nie prosiła, żebyście ze mną szli.

— A my byśmy chcieli — stwierdziła Jess. — No nie?

— A jeżeli wiesz, że niepotrzebne ci klucze, dziś możesz zostać tutaj — powiedział Martin.

— Nie martw się o te klucze.

— No, tak — rzekła Maureen. — Dobrze. Tak całkiem to... Myślałam, sama nie wiem. Chciałam na parę godzin odłożyć myśl o tej sprawie.

— Okay — zgodził się Martin. — W porządku. Wracajmy.

— I nie masz nic przeciwko?

— Skąd. Bezsensem by było się zabić tylko dlatego, że nie miałaś przy sobie torebki.

Gdy dotarliśmy do Domu Skoczka, uzmysłowiłem sobie, że poprzedniego wieczoru zostawiłem tam motorower Iwana. Już go tam nie było, więc się poczułem okropnie, bo Iwan to w sumie całkiem równy facet, a nie jakiś, kurwa, kapitalista, co się rozbija rolls-roy-

ce'em i pali tylko cygara. Nie stać go na to. Tak samo jeździ po mieście motorowerem. W każdym razie już nigdy nie będę miał odwagi spojrzeć mu w twarz, mimo że jedną z zalet tego typu roboty za minimalną stawkę, płaconej z kieszeni, jest to, że można myć szyby na światłach, zarabiając prawie drugie tyle.

— Też zostawiłem tu auto — powiedział Martin.

— I tak samo go nie ma?

— Drzwi były otwarte, a kluczyki w stacyjce. Miał to być akt miłosierdzia. Więcej się nie powtórzy.

Jednakże torebka znajdowała się dokładnie tam, gdzie Maureen ją zostawiła, w kącie dachu. Dopiero kiedyśmy wyszli na górę, zorientowaliśmy się, że już świta. Świtało zresztą jak należy: z udziałem słońca i błękitnego nieba. Przeszliśmy się trochę po dachu, żeby sobie pooglądać to i owo. Martin, Maureen i Jess urządzili mi małą wycieczkę w stylu „Amerykanin w Londynie” — pokazując katedrę Świętego Pawła, diabelskie koło nad rzeką, jak również dom Jess.

— Wcale już nie jest strasznie — oświadczył Martin.

— Naprawdę? — spytała Jess. — Patrzyłeś nad krawędzią? Ja pierdołę. Według mnie to po ciemku wygląda, kurwa, dużo lepiej.

— Nie chodzi mi o skok — odparł Martin. — Tylko Londyn. Nie wygląda najgorzej.

— Wygląda pięknie — stwierdziła Maureen. — Nie pamiętam, kiedy ostatnim razem aż tyle widziałam.

— I też nie o to mi chodzi. Tylko... Sam nie wiem. Były sztuczne ognie i wszędzie pełno ludzi, a myśmy się tu stłoczyli, bo nie mieliśmy gdzie iść.

— No. Chyba że ktoś miał zaproszenie na kolację. Tak jak ty.

— Nikogo tam nie znałem. Zaprosili mnie z litości. Nie byłem wśród swoich.

— A teraz się czujesz wśród swoich?

— Tam w dole nigdy się nie jest wśród swoich. Wielkie miasto i tyle. Zobacz. On jest sam. I tamta też jest sama.

— Bo, kurwa, kieruje ruchem — powiedziała Jess.

— No właśnie, i jest sama, a dziś ma nawet jeszcze mniej przyjaciół niż ja. Ale wczoraj w nocy pewnie tańczyła gdzieś na stole.

— Pewnie z innymi z drogówki — dodała Jess.

— A ja nie byłem z innymi presenterami.

— Ani zboczeńcami — rzekła Jess.

— Nie. Zgoda. Byłem sam.

— Nie licząc ludzi na imprezie — powiedziałem. — Ale: no, wiadomo, o co biega. Dlatego sylwester jest tak popularny wśród samobójców.

— Kiedy jest następny? — chciała wiedzieć Jess.

— Trzydziestego pierwszego grudnia — odpowiedział Martin.

— No. Jasne. Cha, cha. A następna popularna noc?

— Zdaje się walentynki — odparł Martin. — Czyli kiedy? Za półtora miesiąca? Więc dajmy sobie jeszcze półtora miesiąca. Co wy na to? W walentynki pewnie wszystkim nam będzie koszmarnie.

W zadumie spojrzeliśmy na pejzaż miasta. Półtora miesiąca wyglądało całkiem nieźle. Półtora miesiąca nie wyglądało za długo. W ciągu półtora miesiąca mogłoby się zmienić życie — chyba że się miało pod opieką po-



ważnie upośledzone dziecko. Albo spaloną, kurwa, karierę. No i chyba że się było pośmiewiskiem dla całego kraju.

— Wiesz, jak się będziesz czuł za półtora miesiąca? — zapytała mnie Maureen.

Tak, jasne. I — chyba że się miało śmiertelną chorobę. W tej sytuacji też życie by się za bardzo nie zmieniło. Wzruszyłem ramionami. Skąd niby, kurwa, miałem wiedzieć. Cierpiałem na zupełnie nieznaną chorobę. Nikt nie potrafił przewidzieć jej rozwoju. Nawet ja, choć sam ją wymyśliłem.

— Więc spotkamy się jeszcze przed tym półtora miesiąca?

— Przepraszam, ale... Od kiedy to „my”? — zapytał Martin. — A w ogóle, to po co się mamy spotykać za półtora miesiąca? Dlaczego niby nie zabić się wtedy, kiedy się komu zechce?

— Nikt ci nie zabrania — odparła Jess.

— Przecież wiadomo, że teraz chodzi o to, żeby mnie ktoś powstrzymywał. Wszyscy nawzajem się powstrzymujemy.

— No, do końca tych sześciu tygodni.

— Więc mówiąc: „Nikt ci nie zabrania”, miałaś na myśli coś wręcz odwrotnego.

— Posłuchaj — rzekła Jess. — Jak pójdziesz teraz do domu i wsadzisz łeb do piecyka, to co ja mam wtedy zrobić?

— Dokładnie. Więc właściwie w czym rzecz?

— Pytam, nie? Bo jak jesteśmy prawdziwą bandą, to każde się postara żyć według jakichś zasad. No: jednej, bo jest tylko jedna. Zasada pierwsza: Nie zabija-

my się przez półtora miesiąca. A jak nie jesteśmy bandą, to wiadomo: obojętne. To w końcu jesteśmy bandą czy nie?

— Nie — opowiedział Martin.

— Czemu?

— Bez obrazy, ale... — Martin najwyraźniej liczył, że te trzy słowa, jak również machnięcie ręką w naszą stronę uchroni go przed koniecznością tłumaczenia się. Ja jednak nie miałem zamiaru mu odpuszczać.

Dotąd tak samo nie myślałem, że należę do bandy. Ale teraz byłem w bandzie, za którą Martin nie przepadał — i poczułem się bardzo jej oddany.

— Ale co? — zapytałem.

— Cóż... Nie jesteście, no wiecie, z Mojej Bajki. — Słowo daję, naprawdę tak powiedział. Wersaliki usłyszałem równie wyraźnie jak małe litery.

— Spierdalaj — powiedziałem. — Bo ja to się niby stale zadaję z dupkami twojego pokroju?!

— No, właśnie; i to zamyka sprawę. Powinniśmy podać sobie ręce, podziękować za wielce pouczający wieczór, a następnie oddalić się — każde w swoją stronę.

— I umrzeć — dodała Jess.

— Być może — rzekł Martin.

— Naprawdę tego chcesz? — spytałem.

— No cóż, przyznaję, że pragnienie to ujawniło się niedawno. Ale też nie da się ukryć, że ostatnimi czasy zaczęło mi się polepszać. Przeżywam, jak to się mówi, wewnętrzny konflikt. A tak w ogóle to ci na tym zależy? — zwrócił się do Jess. — Odniosłem wrażenie, że tobie nie zależy na nikim ani na niczym. Tak cię odebrałem.

Jess zamyśliła się na chwilę.

— Znasz te filmy, gdzie się biją na szczycie Empire State Building, na górze albo coś takiego? Zawsze jest tam taka scena, że ten zły spada i główny bohater próbuje go ratować, ale mu się urywa rękaw, no i tamten leci, i słycać jego wrzask aż do samego końca. Łaaaaaa! Coś takiego mi się marzy.

— Chcesz patrzeć, jak się pogrążam w otchłani przeznaczenia.

— Chciałabym mieć poczucie, że podjęłam próbę. Pokazywać później ten urwany rękaw.

— Nie wiedziałem, że jesteś wykwalifikowaną samarytanką — stwierdził Martin.

— Nie jestem. To taka moja po prostu prywatna filozofia.

— Byłoby mi łatwiej, gdybyśmy się regularnie widywali — powiedziała cicho Maureen. — Wszyscy. Poza waszą trójką nikt tak naprawdę nie zna moich odczuć. I poza Mattym. Powiem Matty'emu.

— Na litość boską! — Martin popełnił bluźnierstwo, bo poczuł się pokonany: powiedzenie Maureen, żeby się odpierdoliła, wymagało odwagi cywilnej, jakiej nie miało żadne z nas.

— To tylko półtora miesiąca — powiedziała Jess. — Jak chcesz, zepchniemy cię w walentynki.

Martin pokręcił głową, co jednak wskazywało porażkę — nie odmowę.

— Jeszcze wszyscy będziemy tego żałować — stwierdził.

— Dobra — przytaknęła Jess. — Więc się zgadzacie?!

Wzruszyłem ramionami. Nie żebym miał jakiś lepszy pomysł.  
— Dalej jak sześć tygodni nie wytrzymam — oświadczyła Maureen.  
— Nikt cię nie będzie zmuszał — powiedział Martin.  
— Ale pod warunkiem że od samego początku tak się umawialiśmy  
— dodała Maureen.  
— Tak jest — zgodził się Martin.  
— To super. Umowa stoi — stwierdziła Jess.  
Uścisnęliśmy dłonie, Maureen wzięła torebkę i razem poszliśmy na  
śniadanie. Rozmowa się nie kleiła, ale nikogo to jakoś specjalnie nie  
przejęło.

## **CZĘŚĆ DRUGA**

## JESS

Nasza sprawa zaraz trafiła do gazet. Bodajże dwa dni później. Byłam w swoim pokoju i tato zawołał mnie na dół i spytał, co robiłam w sylwestra. To mówię: „Nic takiego”, na co on: „W gazetach, zdaje się, piszą co innego”. Ja na to: „W gazetach?”. On wtedy: „Taa, wygląda na to, że dadzą artykuł o tobie i Martinie Sharpie. Znasz Martina Sharpa?”. Więc ja, no wiecie: „Średnio, raz go tylko spotkałam na imprezie i właściwie nie znam”. A tato mówi: „Co to, do cholery, za impreza, gdzie można spotkać takich jak Martin Sharp?”. Nie miałam żadnego pomysłu, więc nic mu na to nie odpowiedziałam. I wtedy on: „A były tam...? Czy coś się...”. No, mało nie pękł z ciekawości, więc sobie pozwoliłam: „Pieprzyłam się z nim? Nie! No, gdzie tam! W ogóle! Kurde! Ja? Z Martinem Sharpem! Bueeeeeeeeeee!”. I tym podobne — tak że w końcu dotarło.

To chyba, kurwa, jasne, że podkablował Chas. Już wcześniej, dupek błąd, dzwonił po różnych gazetach, tylko że wtedy nic dla nich nie miał, bo chodziło tylko o mnie. Ale Jess Crichton w zestawie z Martinem Sharpem — to nie do przebiccia. Jak ci się zdaje, ile można

dostać za coś takiego? Parę setek funtów? Więcej? Jak mam być szczerą, na jego miejscu też bym to zrobiła. Spłukał się. Ja tak samo. Gdyby się tylko nadawał do spylenia, to już by dawno żeglował po morzach i oceanach.

Tato rozsunął firankę, żeby zerknąć na ulicę, no i ktoś tam stał. Chciałam go zaraz wykurzyć, ale tato mi nie pozwolił. Powiedział, że by mi zrobili fotę, jak się wściekam, no i bym głupio wyszła i potem żałowała. Poza tym stwierdził, że by to było niegodne, a ze względu na pozycję musimy zachowywać twarz i po prostu ich ignorować. Więc mówię: „Czyją pozycję? Ja nie mam żadnej pozycji”. On na to: „No, jednak tak, czy ci się to podoba, czy nie, pewną pozycję posiadasz”, to odpowiadam: „Ty masz pozycję, nie ja”, na co on: „Tak samo masz pozycję” — i tak to ciągnęliśmy jakąś chwilę. Tylko że oczywiście gadanie na ten temat nigdy nic nie zmienia, a poza tym w sumie wiedziałam, że ma rację. Gdybym nie miała pozycji, nie ciekawiłoby to prasy. Tak naprawdę to im bardziej udaję, że nie mam pozycji, to tym bardziej ją mam — jak wiesz, co chcę przez to powiedzieć. Gdybym tak po prostu siedziała u siebie i czytała albo miała chłopaka na stałe — toby nie było żadnego zainteresowania. Ale gdybym poszła do łóżka z Martinem Sharpem albo rzuciła się z dachu, to by było przeciwieństwo braku zainteresowania. By było zainteresowanie.

Jak trafiłam do gazet parę lat temu, po tej historii z Jen, to myślę, że klimaty były bardziej w stylu Zagubiona niż Zła. W końcu kradzież w sklepie to nie morderstwo, prawda? Każdy przechodzi fazę kradzieży skle-

powej, no nie? Chodzi mi o taką porządną kradzież w sklepie, czyli branie na Winonę: torby z ciuchami, te rzeczy, a nie długopis czy baton. To przychodzi zaraz po kucykach i boysbandach, a krótko przed trawką i seksem- Ale tym razem wiedziałam, że to coś innego, a doszło to do mnie, jak sobie wszystko zaczęłam przemyśliwać. Tak, tak, wiem. Ale lepiej późno niż wcale, co? pomyślałam sobie tak: „Jeżeli to opiszą we wszystkich gazetach, to lepiej, żeby tata z mamą myśleli, że się przespałam z Martinem, i nie wiedzieli, czemu naprawdę żeśmy byli razem. Prawdziwy powód by ich zabił. Może nawet dosłownie. I pewno wtedy bym została jedynym żyjącym członkiem rodziny, ale nawet ja decyduję, co ze sobą robić. Więc gdyby ci z gazet zrozumieli coś na opak, to też nic złego by się nie stało. Jasne, że w szkole byłoby to dosyć upokarzające, bo wszyscy by myśleli, że się pieprzyłam z najobleśniejszym facetem w Anglii, ale to by jednak było korzystniejsze, no bo dwoje rodziców przy życiu.

Tylko że chociaż sobie zaczęłam wszystko przemyśliwać, to nie przemyślałam tak do końca. Mogłabym uniknąć tylu problemów, gdybym się wstrzymała od gadania choćby z dwie minuty. Ale nie. Więc mówię: „Taa-too”. Na co on: „O, nie!”. Spojrzałam na niego i słyszę: »Już lepiej mi wszystko opowiedz”. No to ja: „Nie bardzo jest co opowiadać. Po prostu poszłam na tę imprezę, on tam był, za dużo wypiliśmy, pojechaliśmy do niego i tyle”. A tato: „Tyle i cześć pieśni?”. To mówię: „Nie, tyle i trzy kropki; nie musisz znać szczegółów”. On na to: „Chryste Panie” — i usiadł na krześle.



I właśnie o to chodzi: nie musiałam mówić, że z nim spałam, prawda? Mogłam powiedzieć, żeśmy się całowali, albo że się przymierzał, czy coś takiego, ale się zagapiłam. Powiedziałam: „Jak się ma do wyboru samobójstwo i seks, to lepiej wybrać seks”, ale to nie musiały być akurat te dwie możliwości. Seks był tylko czymś w stylu „jak podawać”, no ale przecież nie musi się robić dokładnie tego, co piszą na opakowaniu, prawda? Jak się chce, to można sobie odpuścić garnirunek — i tak właśnie powinnam była zrobić. („Garnirunek” — dziwny wyraz, nie? Zdaje się, że chyba jeszcze nigdy wcześniej go nie używałam). Ale nie zrobiłam, prawda? Jak również drugiej rzeczy, którą trzeba było zrobić, a której nie zrobiłam: najpierw powinnam kazać tacie sprawdzić, co to był za artykuł w gazecie. Myślałam sobie: „Brukowce, seks...”. Szczerze mówiąc, nie wiem, co myślałam. Jak zwykle, niewiele.

Więc tato od razu zadzwonił do biura i powiedział im, co usłyszał ode mnie, a potem, jak już odłożył słuchawkę, stwierdził, że wychodzi i że mam nie odbierać telefonów, nigdzie się nie ruszać i w ogóle nic nie robić. No to parę minut oglądałam tiwi, a później wyjrzałam przez okno, żeby sprawdzić, czy stoi tam ten facet, no i stał. Ale już nie był sam.

Następnie tato wrócił z gazetą — poszedł kupić poranne wydanie. Wyglądał z dziesięć lat starzej niż przed wyjściem. Rozłożył mi ją przed oczami i zobaczyłam nagłówek: PAKT SAMOBÓJCZY MARTINA SHARPA I CÓRKI MINISTRA OŚWIATY.

Tak więc całe to wyznanie o seksie okazało się totalną, kurwa, stratą czasu.

JJ

To wtedy dowiedzieliśmy się czegoś o pochodzeniu Jess i muszę przyznać, że w pierwszym odruchu stwierdziłem, że jest to, kurwa, dość komiczne. Stoję sobie w sklepie na rogu, kupuję jakieś fajki, gdy nagle Jess i Martin wgapiają się we mnie z lady. Czytając, wrzasnąłem, przez c0\_\_wziąwszy pod uwagę zawartą w nagłówku sugestię o pakcie samobójczym — parę osób rzuciło mi dziwne spojrzenia. Minister!... Oświaty! Ja cię kręcę! Bo trzeba wam wiedzieć, że ta dziewczyna mówiła w taki sposób, jakby się chowała pod okiem młodszej od siebie matki-ćpunka (ledwie) żyjącej z zasiłku. A sposób bycia miała taki, jak gdyby wykształcenie było formą prostytucji, czymś, czego by się chwycił tylko szajbus albo desperat.

Ale jak przeczytałem ten artykuł, to się okazało, że nie jest za śmiesznie. Nie wiedziałem o istnieniu starszej siostry Jess, Jennifer. Nikt z nas o tym nie wiedział. Zniknęła kilka lat temu, gdy Jess miała piętnaście lat — a ona osiemnaście. Pożyczyła od matki samochód, który potem znaleziono nieopodal znanego miejsca samobójstw na wybrzeżu. Trzy dni wcześniej Jennifer zdała egzamin na prawo jazdy, tak jakby właśnie w tym celu uczyła się jeździć. Ciało nie odnaleziono. Nie mam pojęcia, co by jej to dało, lecz chyba nic dobrego. A jej stary-Jeezu! Rodzice, którzy wydają na świat tylko córki samobójczynie, to — jak chodzi o wychowywanie dzieci raczej chyba nie dojdą do za ciekawych wniosków.

No, a następnego dnia zrobiło się jeszcze mniej wesoło. Dali następny tekst, zatytułowany: BYŁO ICH

CZWORO! i zawierający opis jakichś dwóch świrów — to jest, jak się w końcu zorientowałem, niby Maureen i mnie. W ostatnim akapicie był apel do czytelników o dalsze informacje i numer telefonu. I nawet coś o nagrodzie pieniężnej. Wyznaczyli cenę za głowę Maureen i za moją — niesamowite!

Oczywiste, że informację zapodał znany wam palant Chas, bo bez wątpienia to jego jęklwym tonem pobrzmiwały tutejsze jebnięte teksty bulwarowe. Choć trzeba powiedzieć, że w sumie nawet zasługiwał na pewne uznanie. Dla mnie tamten wieczór polegał na spotkaniu czterech żalonych istot, które poniosły sromotną klęskę, próbując zrealizować coś, co, umówmy się, nie jest znowu aż takie strasznie trudne. A Chas wyciągnął z sytuacji zupełnie inny wniosek, stwierdzając mianowicie, że jest to jego historia, coś, na czym by się dało zbić parę dolców. Okay, na pewno wiedział o ojcu Jess, no ale — naprawdę — gościu się nieźle wykazał. Bo przecież musiał to wszystko jakoś złożyć do kupy.

No więc, prawdę powiedziawszy, podjarała mnie ta historia. Czytanie o sobie sprawiło mi niemałą satysfakcję, w sensie ironicznym, bo — jakby się tak zastanowić

— dosyć to wszystko się zgadza. Widzicie, zdołowany byłem między innymi przez tę niemożność zaznaczenia

- swej obecności w świecie poprzez muzykę, co, inaczej mówiąc, znaczy, że chciałem się zabić, bo nie zostałem sławny. Może osądzam się zbyt surowo, bo w końcu coś tam jednak osiągnąłem, no ale na pewno po części tak to właśnie wyglądało. Tak czy inaczej, świadomość, że się totalnie wyczerpałem, doprowadziła mnie na pierwsze strony gazet, więc może wszystko ma swój ukryty cel.

Tak więc w sumie miałem trochę zabawy, siedząc u siebie, pijąc kawę i paląc — czerpiąc radość z przekonania, że jestem jakoś tam sławny, a jednocześnie zupełnie anonimowy. I wtedy zadzwonił, kurwa, brzęczyk domofonu, że aż skoczyłem na równe nogi.

— Słucham?

— JJ? — spytała młoda kobieta.

— Kto tam?

— Moglibyśmy zamienić parę słów? O tamtej nocy?

— Skąd pani ma ten adres?

— Jak się nie mylę, w sylwestra był pan na dachu z Jess Crichton i Martinem Sharpem? Kiedy się próbowali zabić?

— Myli się pani.

Było to pierwsze z wypowiedzianych przez nas zdań nie zakończone znakiem zapytania. Nuta przygnębienia na końcu tej wypowiedzi ulżyła mi jak kichnięcie.

— A w czym konkretnie się mylę?

— We wszystkim. To nie ten dzwonek.

— Nie sądzę.

— Jak to?

— Bo nie zaprzeczył pan, że się nazywa JJ. I spytał, skąd mam ten adres.

Racja. Jak widać, miałem do czynienia z zawodowcami.

— Nie powiedziałem jednak, że to mój adres, prawda?

Nastąpiła chwila przerwy, w czasie której bezbrzeżna głupota tej uwagi zawisła w korytarzu jak mgła.

Kobieta zamilkła. Wyobraziłem sobie, jak stoi na ulicy i z politowaniem kręci głową, słuchając moich ża-

łosnych wykrętów. Uroczyście postanowiłem się nie odzywać, aż w końcu odejdzie.

— Posłuchaj — powiedziała — mieliście jakiś powód, żeby zejść na dół?

— Jaki powód?

— Nie wiem. Coś, co by mogło rozweselić naszych czytelników. Może na przykład ofiarowaliście sobie nawzajem wolę życia.

— Nie bardzo rozumiem.

— Patrząc na Londyn, wszyscy czworo ujrzeliście piękno świata. Może coś takiego? Coś, co by zainspirowało naszych czytelników... ?

Czy nasza wyprawa w poszukiwaniu Chasa miała w sobie coś inspirującego? Jeżeli miała, to ja tego w ogóle nie odebrałem.

— Czy na przykład Martin Sharp powiedział coś, co wskazało wam sens dalszego życia? Jeśli tak, ludzie chcieliby się tego dowiedzieć.

Usiłowałem sobie przypomnieć, czy Martin mówił do nas coś pocieszającego, co mogłaby wykorzystać. Nazwał Jess idiotką, ale to tak bardziej dla poprawienia nastroju, a nie ratowania życia. Powiedział też, że gościł w swoim programie kobietę, której mąż był w śpiączce dwadzieścia pięć lat, to jednak też niezbyt nam pomogło.

— Nie, nic nie przychodzi mi do głowy.

— Zostawię wizytówkę z numerem telefonu, okay? Zadzwoń, gdy będziesz gotów o tym porozmawiać.

Prawie że za nią wybiegłem — już, jak to się u nas mówi, zacząłem za nią tęsknić. Przyjemnie było chwilowo znaleźć się w samym środku wszechświata. Kurde,

fajnie było chwilowo znaleźć się w samym środku siebie, gdyż ostatnimi czasy, jak również po jej odejściu, nie działa się tam za wiele.

## MAUREEN

Tak więc poszłam do siebie, włączyłam telewizor, zaparzyłam herbatę i zadzwoniłam do ośrodka, po czym ci dwaj chłopcy przywieźli Matty'ego, posadzili go przed telewizorem — i znowu się zaczęło. Nie umiałam sobie wyobrazić, jak przetrwam kolejne półtora miesiąca. Wiem, że się umówiliśmy, ale i tak nie wierzyłam, że kiedyś ich jeszcze zobaczę. Owszem, wymieniliśmy telefony, adresy i tak dalej. (Martin musiał mi wytłumaczyć, że jeśli nie mam komputera, to nie mogę mieć adresu mailowego. Nie byłam tego taka pewna. Sądziłam, że może przyszedł w jednej z tych kopert, które się zwykle znajduje w skrzynce). Ale, prawdę mówiąc, nie myślałam, że z nich będziemy korzystać. Wyznam jak przed Panem Bogiem, choć może to zabrzmii, jakbym się nad sobą użalała: pomyślałam, że oni się będą widywali, ale że mnie tam nie zechcą. Byłam dla nich za stara i zbyt staroświecka, przez to obuwie i w ogóle. Te imprezy, kontakt z tymi wszystkimi dziwnymi ludźmi dobrze mi zrobił — ale nic przez to się nie zmieniło. I tak miałam odebrać Matty'ego i nadal nie było dla mnie innego życia jak to tylko, które mnie kompletnie wykończyło. Zastanawiasz się pewnie, dlaczego nie jestem zła? Ależ naturalnie, że jestem. Nawet nie wiem, czemu udaję, że nie. Przypuszczalnie ma to związek z Kościołem. I może też z wiekiem, ponieważ wpajano nam, ażeby nie

zrzę-

dzieć, prawda? Ale czasem — na ogół — chce mi się krzyczeć, wrzeszczeć, niszczyć i mordować. Oj, jest w tym dużo złości. Nie sposób utknąć w takim życiu jak moje i się w ogóle nie złościć. No: nieistotne. Parę dni później zadzwonił telefon i jakaś kobieta o arystokratycznym akcencie zapytała:

— Maureen?

— Tak, słucham.

— Dzwonię z londyńskiej policji.

— Ach, witam — odpowiedziałam.

— Witam. Doniesiono nam, że w sylwestra syn pani wszedł w konflikt z prawem w centrum handlowym. Kradzież sklepową, wacanie kleju, kilka napadów i tak dalej.

— Bardzo mi przykro, ale nie mógł to być mój syn — odparłam jak kretynka. — Jest upośledzony.

— Ma pani pewność, że tego nie udaje?

Tak sobie nawet przez sekundę pomyślałam. No, ale to chyba normalne, kiedy się ma do czynienia z policją. Człowiek chce mieć absolutną pewność co do tego, że mówi najprawdziwszą prawdę, żeby przypadkiem nie popaść w dalsze tarapaty.

— No, to musiałyby być bardzo zdolnym aktorem.

— A pani ma pewność, że nie jest?

— Ależ naturalnie. Jest za bardzo upośledzony, żeby grać.

— A jeśli jednak to gra? Jedyne..., yyy, zaraz, zaraz, jak się na... Jego nazwisko zgadza się z opisem. Podejrzanego.

— Jak brzmi ten opis? — Nie wiem, co też mnie naszło, żeby o to spytać. Chyba jej chciałam pomóc.

— Dojdziemy do tego. Czy może pani powiedzieć, gdzie przebywał w sylwestra? Byliście razem?

Wtedy przebiegł mnie dreszcz. Po pierwsze, nie zarejestrowali daty. Wszystko by się zaraz wydało. Nie wiedziałam, czy mam kłamać, czy nie. Przypuśćmy, że ktoś z ośrodka wziął go do miasta i wykorzystał jako taką przykrywkę? Powiedzmy, któryś z tych chłopców. Wyglądali na nieszkodliwych, no ale to przecież nigdy nie wiadomo, prawda? Przypuśćmy, że kradli w sklepie i schowali coś pod kocem Matty'ego... Przypuśćmy, że wszyscy poszli pić i zabrali Matty'ego, i wdali się w jakąś bójkę, i z całych sił pchnęli wózek na tego, z kim się bili.. -1 policja widziała, jak w kogoś wjeżdża, a nie wiedząc, że sam nie byłby zdolny się popchnąć, uznała, że się włącza... A później po prostu udawał głupiego, żeby uniknąć kłopotów... Bo w końcu, wjeżdżając w kogoś wózkiem, można mu zrobić krzywdę. Na przykład — złamać nogę. Przypuśćmy też, że... Nawet pomimo lekkiej paniki zdumiało mnie, że mógłby sobie poradzić z wączaniem kleju. Takie to myśli przemknęły mi przez głowę. Z poczucia winy zapewne. Nie byłam przy nim, gdy być powinnam, a to dlatego, że chciałam opuścić go na zawsze.

— Nie, nie. Ktoś się nim zajmował.

— Rozumiem.

— Był najzupełniej bezpieczny.

— Zapewne, droga pani. Tyle że, jak się pani domyśla, nie chodzi nam o j e g o bezpieczeństwo, a o bezpieczeństwo osób w centrum handlowym Wood Green.

Wood Green! To on był aż w Wood Green!

— Ach, tak. Przykro mi.



— Naprawdę pani przykro? Tak, ku..., naprawdę bardzo przykro?  
Nie wierzyłam własnym uszom. Wiedziałam, rzecz jasna, że policja wyraża się nieprzyzwoicie. Ale sądziłam, że to się u nich uwydatnia raczej pod wpływem stresu, przy terrorystach i tym podobnych, a nie gdy dzwoniąc do obywateli, zadają rutynowe pytania. Chyba że, ma się rozumieć, przeżywała poważny stres. Czyżby Matty — albo kto go tam popchnął — kogoś zabił? Może dziecko?

— Maureen.

— Tak, wciąż słucham.

— Maureen, nie jestem żadną policjantką. Tylko Jess.

— Ooo — poczułam, jak się czerwienię z głupoty.

— Uwierzyłaś mi, co nie? Ty głupia stara krowo.

— Owszem, uwierzyłam.

Wyczuła po głosie, że się zdenerwowałam, więc nie próbowała brnąć w to dalej.

— Widziałaś w gazetach?

— Nie. Ja do nich nie zaglądam.

— Piszą o nas.

— O kim?

— O nas. No, o Martinie i o mnie z nazwiska. Ale jaja, co?

— Co piszą?

— Ze ja, Martin i dwie, no wiesz, tajemnicze osoby zawarły pakt samobójczy.

— Niemożliwe.

— Akurat! I że jestem córką ministra oświaty.

— A to czemu?

- Bo jestem.
- Aha.
- Tak ci mówię, żebyś wiedziała, co jest w gazetach. Zdziwiłaś się?
- No, cóż, jak na córkę polityka, to wyjątkowo często przeklinasz.
- I jedna dziennikarka była u JJ'a i się go pytała, czyśmy zeszli z jakiejś inspiracji.
- Co to znaczy?
- Nie wiemy. Nieważne. Chcemy urządzić spotkanie grupy wsparcia.
- Kto?
- Nasza czwórka. Wielki zjazd. Może tam, gdzieś jedli śniadanie.
- Ja nie mogę wychodzić.
- Czemu?
- Ze względu na Matty'ego. Przez to między innymi wyszłam na dach. Bo nigdzie nigdy nie mogę chodzić.
- To my przyjdziemy do ciebie.
- Znów się zaczerwieniłam. Nie chciałam ich tutaj gościć.
- Nie, nie. Coś wymyślę. A kiedy się chcecie spotkać?
- Popołudniu.
- Hmm, dziś to ja nie dam rady.
- Więc przyjdziemy.
- Nie, proszę. Mam bałagan.
- To posprzątaj.
- W życiu nie przyjmowałam nikogo z telewizji. Ani córki polityka.

— Nie będę się popisywać, spoko. Do zobaczenia o piątej.

Miałam więc trzy godziny, żeby wszystko poukładać i powyrzucać. Jak się żyje jak ja, to chyba można trochę zwariować. Trzeba być trochę szmyrgniętą, żeby chcieć skoczyć ze szczytu wieżowca. Trzeba być trochę szmyrgniętą, by potem schodzić na dół. Trzeba być bardziej niż trochę szmyrgniętą, żeby znosić Matty'ego, wieczne siedzenie w domu i samotność. Ale ja myślę, że jestem szmyrgniętą tak tylko troszeczkę. Bo gdybym była naprawdę szmyrgniętą, tobym się nie przejęła tym sprzątaniami. A gdybym była tak poważnie szmyrgniętą, toby mi było obojętne, co znajdują.

## MARTIN

Zdaje się brałem pod uwagę, że moja wizyta w Domu Skoczka zainteresuje naszych przyjaciół z brukowców. Na litość boską, skoro trafiłem już na pierwszą stronę za to, że pijany upadłem na ulicy, to musiał się znaleźć ktoś, kto próbę skoku z wieżowca uzna za dużo ciekawszą. Kiedy Jess powiedziała Chasowi, gdzie się poznaliśmy, zastanawiałem się, czy ma dość oleju w głowie, ażeby to sprzedać dalej, ale ponieważ wydał mi się wyjątkowo tępy na umyśle — stwierdziłem, że nie warto z tego powodu wpadać w paranoję. Gdybym miał pojęcie, że już sama Jess zasługuje na uwagę prasy, mógłbym się jakoś na to przygotować.

Zaraz zadzwonił mój agent i wszystko mi przeczytał — w domu nie zawracam sobie głowy niczym prócz „Telegraphu”.

— Jest w tym choć ziarno prawdy? — zapytał.

— Tak między nami?

— Jak chcesz.

— Miałem zamiar skoczyć ze szczytu wieżowca.

— O kurczę.

Mój agent jest młody, elegancki i zupełnie zielony. Po wyjściu z więzienia dowiedziałem się, że w agencji nastąpiła „reorganizacja” i Theo, który dotychczas mojemu agentowi robił kawę, jest jedyną osobą zdolną ocalić mnie od zapomnienia. To właśnie Theo znalazł mi pracę w Żyj z Wigorem — najgorszym kanale kablowym świata. Skończył religioznawstwo porównawcze i wydaje wiersze. Podejrzewam, że może nawet kopie w miejscowej drużynie, ale to też nie za wiele mu daje. Krótko mówiąc, orientuje się w branży jak żółw w chińskiej operze.

— Poznałem ją na dachu. Tamtych dwoje tak samo. Po czym zesliśmy na dół. I tak oto jestem wśród żywych.

— Dlaczego chciałeś się rzucić ze szczytu wieżowca?

— Bo tak mi się podobało.

— Na pewno miałeś powód.

— Rzecz jasna. Żartowałem. Poczytaj moje akta. Zapoznaj się z ostatnimi wydarzeniami.

— Sądziłem, że kryzys minął.

Wzrusza mnie upór, z jakim się posługuje pierwszą osobą liczby mnogiej. Ileż to razy słyszałem: „Odkąd wyszliśmy z więzienia...”, „Odkąd mieliśmy drobny kłopot z nastolatką...”. Jeżeli w ogóle miałbym mieć jakiś powód do żalu po udanej próbie samobójczej, to taki,

że już nigdy bym nie usłyszał, jak Theo mówi: „Odkąd zabiliśmy się...”. Albo: „Od naszego pogrzebu...”.

— Tymczasem się omyliliśmy. Zapadło pełne refleksji milczenie.

— Więc, kurczę blade, co teraz?

— Ty tu jesteś agentem. Sądzę, że masz niepowtarzalną szansę wykazać się twórczą inwencją.

— Pomyślę trochę i jeszcze zadzwonię. Tak przy okazji: próbuje się z tobą skontaktować ojciec Jess. Dzwonił tu, ale mu powiedziałem, że nie podajemy prywatnych numerów. Słusznie zrobiłem?

— Słusznie. Ale w razie czego podaj mu moją komórkę. Na pewno się nie odczepi.

— Chciałbyś do niego zadzwonić? Zostawił numer.

— To dawaj.

W czasie gdy rozmawiałem z Theo, nagrały się: moja była żona i moja eks-dziewczyna. Kiedy mi odczytywał artykuł, nie pomyślałem o żadnej z nich i teraz zrobiło mi się niedobrze. Zaczęła docierać do mnie pewna istotna prawda na temat samobójstwa; otóż porażka jest równie bolesna jak sukces i może wyzwalać jeszcze większy gniew, którego w żaden sposób nie da się rozwodzić żalem. Jak wynikało z tonu obu wiadomości, miałem całkiem przesrane.

Najpierw zadzwoniłem do Cindy.

— Ty pieprzony samolubny kretynie — powiedziała.

— Nic nie wiesz, poza tym, coś przeczytała w gazecie.

— Jak widać, w twoim wypadku zawsze trafiają w sedno. Gdy piszą, że spałeś z piętnastolatką, to śpisz. Gdy piszą, że się pijany przewróciłeś na ulicy, to się

przewracasz. Niczego na twój temat nie muszą wymyślać.

Było to całkiem słuszne spostrzeżenie. Miała rację: wielokrotnie padałem ofiarą błędnej interpretacji lub przeinaczania faktów. Jak się tak zastanowić, był to jeden z najbardziej upokarzających aspektów minionych kilku lat. W gazetach napisano o mnie kupę gówna, a każde słowo tego gówna zawierało prawdę.

— Toteż przypuszczam — ciągnęła — że znowu się nie mylą. Wyszedłeś na szczyt wieżowca, aby się z niego rzucić. Tymczasem jednak zszedłeś na dół z jakąś dziewczyną.

— Tak w dużym skrócie dałoby się to ująć.

— Czyżbyś zapomniał o córkach?

— Wiedzą?

— Jeszcze nie. Ale pewnie dowiedzą się w szkole. Jak zwykle. Co im od ciebie przekazać?

— Może sam z nimi porozmawiam.

Cindy kaszlnęła. Kasznięcie to miało, jak się domyśliłem, zabrzmieć prześmiewcze

— Powiedz im, co chcesz — stwierdziłem. — Powiedz, że tatuś się smucił, a potem znów poweselał.

— Genialne. Gdybyśmy mieli dwulatki, to byłoby wprost doskonałe.

— Nie wiem, Cindy. No, bo jeśli nie mogę ich widywać, to w końcu chyba nie mój problem, co? Sama sobie z tym poradź.

— Ty draniu.

I na tym zakończyła się pierwsza rozmowa. Wskazując, że przez niezgodę na mój udział w wychowywaniu córek Cindy pozostawiła mnie własnemu losowi,

utwierdziłem się tylko, cholera jasna, w tym, co już dawno uznałem za oczywiste. Ale nie szkodzi. Telefon do niej miałem z głowy.

Nie mam pojęcia, co takiego jeszcze jestem winny córkom. Przestałem palić, lata temu, bo wtedy czułem, że tyle mogę im zapewnić. Ale po czymś takim, co narobiłem, papierosy wydają się najmniejszym problemem — toteż na nowo zacząłem palić. To się nazywa wędrówka: od rezygnacji z palenia — bo człowiek chce uchronić własne dzieci przed stratą najdłużej jak to możliwe — aż do kłótni z ich matką, zatytułowanej: jak im najlepiej powiedzieć o własnej próbie samobójczej. Nikt o tego typu rozmowach nie wspominał na zajęciach przedporodowych. Naturalnie cała rzecz polega na dystansie. Oddalałem się coraz bardziej i bardziej, a dziewczynki malały i malały, aż w końcu zmieniły się w dwie kropeczki, tak że całkiem przestałem je widzieć — dosłownie i w przenośni. Przecież nie sposób rozpoznać twarzy, kiedy to tylko takie kropki, nie trzeba więc się martwić, czy są szczęśliwe, czy nie. Przez to właśnie można zabijać mrówki. Tak więc po jakimś czasie samobójstwo staje się wyobrażalne w sposób, jaki by nie był możliwy, gdyby ci codziennie patrzyły głęboko w oczy.

Gdy zadzwoniłem do Penny — wciąż jeszcze płakała.

— Przynajmniej teraz jakoś się to zgadza — powiedziała po chwili.

— Co?

— Że zostawiłeś towarzystwo, żeby iść na ten dach. I potem wróciłeś na dół z tamtymi. Bo dotąd nie rozumiałam, co oni mieli z tym wspólnego.

— Dowiedziałaś się tylko, że jakoś pomogli mi odbyć z kimś stosunek.

— Właśnie. — Prychnęła ze smutkiem.

Penny jest naprawdę w porządku. Nic z franczy. Urocza, dobrotliwa, pokorna, kochająca... Po prostu wymarzona.

— Przepraszam.

— To moja wina, prawda?

— Myślę, że ja mam na koncie więcej porażek. Które są zresztą równe zeru. To znaczy: żadne. To znaczy: w ogóle nie istniały. Byłaś dla mnie cudowna.

— Jak ty się w ogóle czujesz?

Sam nie zadałem sobie tego pytania. Obudziłem się skacowany, gdy zadzwonił telefon, i od tej chwili życie nabrało tempa. Przez cały ranek ani razu nie przyszło mi do głowy, żeby się może zabić.

— No, dobrze. Nie wracajmy do tego, jeżeli tak wolisz.

— A porozmawiasz ze mną, jak ci przyjdzie ochota?

— Tak. O wszystkim.

— Sam nie wiem... Rozmowa chyba jednak tego nie załatwi.

— No, tak, wiem, że ja tego nie załatwię. Tylko że nie chcę być zmuszona czytać o tym w gazetach.

— Stać cię na więcej, Penny. Więcej niż na mnie.

— Nie chcę.

— Rozumiem. A więc nie masz nic przeciwko tej sugestii.



— Mam jeszcze na tyle godności, żeby sądzić, że gdzieś na świecie istnieje jednak mężczyzna, który wolałby witać Nowy Rok ze mną, zamiast się rzucić z wieżowca.

— To może się za nim rozejrzyj.

— A ty byś się w ogóle choć trochę tym przejął?

— Hmm. Przejmować się czymś takim... Wiesz, chyba niezupełnie się teraz do tego nadaję.

— Świetnie. To się nazywa uczciwość.

— Tak myślisz? Ja jednak bym to raczej nazwał oczywistością.

— Więc co, wobec tego, mam zrobić?

— Zdaje się, że za wiele to ty tu nie zdziałasz.

— Zadzwonisz jeszcze?

— Naturalnie.

Tyle ostatecznie mogłem jej obiecać.

Każdy — poza, rzecz jasna, Chrisem Crichtonem

— wie, gdzie mieszkam. Wszyscy mają mój numer stacjonarny, numer komórki i adres mailowy. Kiedy wyszedłem z więzienia, dałem swoje namiary każdemu, kto wykazał choć krztę zainteresowania: potrzebowalem pracy, musiałem więc jakoś zaistnieć. Oczywiście ani jeden drań się potem nie odezwał, gdy tymczasem

— proszę — nagle zaczęli się do mnie dobijać wszyscy. Mówiąc: „wszyscy”, mam na myśli troje czy czworo marnych gryzipiórków, w większości młodych ludzi o spuchniętych twarzach, co to do tej pory dla miejscowego dziennika modzili reportaże ze szkolnych festynów — i teraz nie wierzyli własnemu szczęściu. Przepchałem się przez sam środek tej gromady, mimo że bez trudu mogłem ją obejść z daleka — czworo zziębniętych

ludzi pijących kawę z plastikowych kubków na ulicy trudno by było nazwać nagonką mediów. Aczkolwiek przepychanie to ucieszyło wszystkich zainteresowanych. Ja się poczułem ważny, a oni — jakby znaleźli się w samym centrum zdarzeń. Rozdawałem uśmiechy, mówiąc w przestrzeń: „Dzień dobry”, i odpychając kogoś za pomocą aktówki.

— Czy to prawda, że chciał pan się zabić? — spytała wyjątkowo nieatrakcyjna kobieta w beżowym nieprzemakalnym płaszczu.

Gestem ręki dałem im do zrozumienia, że jestem w znakomitej formie.

— Cóż, jeżeli tak, to najwyraźniej wpadłem w tarapaty — odparłem.

— Zna pan Jess Crichton?

— Kogo?

— Jess Crichton, córkę tego, no, jak mu tam. Ministra. Edukacji.

— Przyjaźnię się z tą rodziną od wielu lat. Zawsze spędzaliśmy wspólnie sylwestra. Być może właśnie stąd wyniknęło to śmieszne nieporozumienie. Nie był to pakt o samobójstwie, tylko przyjęcie z drinkami. Dwie diametralnie różne sprawy.

Zaczynałem się całkiem niezłe bawić. Zrobiło mi się trochę przykro, kiedy wsiadałem do wynajmowanego za olbrzymie pieniądze peugeota, którym zacząłem jeździć, odkąd rozdałem bmw. Bynajmniej nie dlatego, żebym wiedział, dokąd się udaję. Ale już po dziesięciu minutach miałem rozplanowaną resztę dnia: na komórkę zadzwonił Chris Crichton, żeby mnie zaprosić na małą pogawędkę, a zaraz potem, dzwoniąc z tego same-

go numeru, Jess powiadomiła mnie, że wszyscy idziemy odwiedzić Maureen. Zgodziłem się, bo w końcu nic innego nie miałem do roboty.

Nim zastukałem do drzwi Jess, siedziałem chwilę w aucie, analizując własne sumienie. Do ostatniej jak dotąd konfrontacji z rozeźlonym ojcem doszło krótko po nierozsądnym i, jak się okazało, nielegalnym stosunku, który odbyłem z Tiną (metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, dziewięćdziesiąt cztery w biuście, piętnaście lat i dwieście pięćdziesiąt dni, a — możecie mi wierzyć — te sto piętnaście dni naprawdę robi różnicę). Spotkanie odbyło się u mnie, w wielkim, starym mieszkaniu na Gibson Square — rzecz jasna nie dlatego, że ojciec Danielle odpowiedział na serdeczne zaproszenie, a dlatego, że któregoś wieczoru czekał przed domem, kiedy usiłowałem wśliznąć się do środka. Było niezbyt owocne, przez to chociażby, że wdąłem się z nim w dyskusję na temat rodzicielskiej odpowiedzialności, a on próbował mnie uderzyć. Nadal uważam, że miałem słuszość. Z jakiej niby racji piętnastoletnia dziewczyna ma wachać kokainę w męskiej toalecie nocnego klubu Melons we wtorek o pierwszej nad ranem? Ale możliwe, że gdybym tak przekonująco nie obstawał przy swoim, nie poszedłby na najbliższy posterunek, żeby donieść o moim związku z córką.

Toteż tym razem postanowiłem unikać tego rodzaju argumentów. Czuję, że rodzicielska odpowiedzialność stanowi dla Crichtonów kwestię szczególnie drażliwą, wzięwszy pod uwagę zaginięcie, a może i śmierć jednej nastoletniej córki, jak również skłonności samo-

bójcze, a może i obłąd drugiej. Nie mówiąc o tym, że sumienie miałem całkowicie czyste. Do kontaktu cielesnego doszło między mną a Jess jedynie w momencie, kiedy jej siadłem na głowie, z pobudek ze wszech miar aseksualnych. Nie dość, że aseksualnych, to jeszcze bezinteresownych. A nawet heroiczych.

Niestety, Chris Crichton nie chciał mnie witać jako bohatera. Nie podał mi ręki i nie proponował kawy. Zostałem wprowadzony do salonu, gdzie mnie poddano rewizji osobistej, jak byle obserwatora w parlamencie. Najwidoczniej mylnie oceniłem sytuację; trzeba się było dowiedzieć o nazwisko i telefon Jess i do niego zadzwonić. Wykazałem też „brak smaku” — panu Crichtonowi najwyraźniej zdawało się, że jego córka trafiła do brukowców przeze mnie, a to mianowicie dlatego, że tandetne dzienniki piszą o osobach mojej proveniencji. Kiedy mu próbowałem wytykać różne błędy w myśleniu, stwierdził, że zapewne bardzo dobrze na tym wyjdę. I już wstawałem — gdy pojawiła się Jess.

— Miałaś siedzieć na górze.

— No, wiem. Tylko że ja już dawno nie mam siedmiu lat. Mówił ci ktoś kiedyś, że jesteś idiotą?

Strasznie się jej bał; to było widać od razu. Miał jednak na tyle godności, żeby skrywać lęk pod maską ironii i znużenia życiem.

— Jestem politykiem. Niczego innego dotąd nie słyszałem.

— Co ci do tego, gdzie spędzam sylwestra? — O ile wiem, spędzaliście go wspólnie.

— No. Przez przypadek, ty głupi stary draniu.

— Tak się do mnie odnosi — powiedział, patrząc na mnie załośnie, jak gdyby mój długotrwały związek z obojgiem dawał mi prawo do tego, abym go poparł.

— Z pewnością żałujesz, że postanowiłeś się nie izolować, prawda?

— Słucham?

— A jakże. Przecież to, że ją posłałeś do państwowej szkoły, wzbudza powszechny podziw. Ale, wiadomo, jak sobie kto pościele, tak się wyśpi. A ty wyszedłeś na tym jeszcze gorzej.

— Pomimo nadzwyczaj trudnej sytuacji szkoła Jess osiąga bardzo dobre wyniki — odparł Crichton. — Pięćdziesiąt jeden procent uczniów jej rocznika otrzymało oceny dostateczne lub wyższe, w porównaniu z jedenastoma w minionym roku szkolnym.

— Niesamowite. No, to pewnie dla ciebie ogromna pociecha.

Obaj spojrzeliśmy na Jess, która nam pokazała palcem, co powinniśmy zrobić.

— Chodzi o to, że dorastałaś w rodzinie patologicznej — rzekł dumny rodzic.

Zdażyłem już zapomnieć, że Jess traktowała długie słowa tak samo, jak rasiści osoby o ciemnej skórze: nienawidziła ich i chciała je wszystkie posłać tam, skąd pochodziły. Rzuciła mu plugawe spojrzenie.

— Po pierwsze, ma już osiemnaście lat. A po drugie, usiadłem jej na głowie, żeby ją powstrzymać przed skokiem. Co może nie było odruchem rodzicielskim, ale przynajmniej pragmatycznym. Żałuję, że pod koniec wieczoru nie spisałem dla ciebie szczegółowego raportu.

— Spałeś z nią?

— Tato, co ciebie to obchodzi?

Nie miałem zamiaru dłużej tego słuchać. Nie chciało mi się mieszać w spór na temat prawa Jess do własnego życia seksualnego.

— Absolutnie nie.

— Kurde — zwróciła się do mnie Jess — nie musiałbyś tak tego mówić.

-Jak?

— No, jakby ci ulżyło czy coś. Powinieneś się naprawdę cieszyć.

— Zbyt cenię sobie naszą przyjaźń, ażeby ją komplikować.

— Ha-ha.

— Zamierzasz nadal utrzymywać stosunki z Jess?

— Podaj swoje warunki.

— To może najpierw ty swoje.

— Słuchaj, kolego. Przyszedłem tu, bo dobrze wiem, jak cię to martwi. Ale jak mamy tak rozmawiać, to ja wypierdalam do domu.

Leksykalna rasistka wyraźnie poweselała: Anglosas zaczął odpierać ciosy rzymskiego najeźdźcy. Wiadomy wyraz również zrobił swoje.

— Przepraszam — odparł przygaszony. — Ale teraz znasz historię naszej rodziny. Przez to naprawdę nie jest mi lekko.

— Nie mogę. A mnie to niby lekko — powiedziała Jess.

— Wszystkim nam jest ciężko — Crichton najwyraźniej usiłował stanąć na wysokości zadania.

— No, jasne.

— Więc co z tym wszystkim począć? Czy może miałbyś jakiś pomysł...

— Rzecz w tym — odparłem — że mam własne kłopoty.

— No, raczej — rzekła Jess. — Też żeśmy się zastanawiali, po co tam wylazłeś.

— Rozumiem to, Martinie. — Ewidentnie, tak jak inne roboty Blaira, przeszedł kurs, na którym go nauczono, że jako osoba publiczna, kiedy to tylko możliwe, ma się do innych zwracać po imieniu, żeby się za-kumplować. — Mam co do ciebie pewne przeczucia. Mam wrażenie, że podejmujesz w życiu pewne..., pewne niewłaściwe kroki...

Jess prychnęła.

— Ale też nie uważam, żebyś był złym człowiekiem.

— Dziękuję.

— Należymy do jednej bandy — stwierdziła Jess. — Co nie, Martin?

— Tak, Jess — odpowiedziałem z nadzieją, że jej ojciec odbierze to jako silenie się na entuzjazm. — Będziemy przyjaciółmi do grobowej deski.

— Jakiej bandy? — chciał się dowiedzieć Crichton.

— Wszyscy będziemy na siebie uważali. Prawda, Martin?

— Tak, Jess. — Gdybym to powiedział tonem choć odrobinę bardziej znużonym, słowa straciłyby resztkę energii na dotarcie do gardła i wypełnienie na zewnątrz. Wyobraziłem sobie, jak się ześlizgują tam, skąd się dobywały.

— A więc ty również jesteś w rodzinie patologicznej?

— To nie o taką bandę chodzi — odparłem. — „Banda z Patologicznych Rodzin"... Nie brzmi to raczej za mocno, prawda? A czym byśmy niby mieli się zajmować? Napadaniem na Paternalistów?

— Ty się, kurwa, zamknij, i ty, kurwa, też — powiedziała Jess; najpierw do ojca, a potem do mnie.

— Chodzi mi o to — rzekł Crichton — że zawsze gdzieś tam będziesz w pobliżu.

— Obiecał — potwierdziła Jess.

— I mnie to powinno dodać otuchy.

— Jak chcesz — odpowiedziałem. — Ja w każdym razie nie mam zamiaru nikogo pocieszać.

— Rozumiem, że też masz dzieci?

— Tak jakby — rzekła Jess.

— A więc nie muszę ci tłumaczyć, jak bardzo się martwię o Jess i ile dla mnie znaczy świadomość, że mógłby ją mieć na oku ktoś dorosły i rozsądny?

Jess zachichotała w sposób niezbyt pomocny.

— Wiem, że nie umiałbyś... Nie jesteś do końca... Niektóre brukowce pewnie...

— Martwi się, że sypiasz z piętnastolatkami — poinformowała mnie Jess.

— Nie mam ochoty brać udziału w dalszej części rozmowy kwalifikacyjnej — powiedziałem. — Nie chcę tej roboty, więc jeśli zamierzasz mi ją dać, to oświadczam, że się za nią nie rozglądam.

— Chciałbym tylko usłyszeć, że gdybyś kiedyś widział, że Jess pakuje się w kłopoty, to albo spróbujesz ternu zapobiec, albo mnie o tym powiesz.



— Zrobiłby to z radością — rzekła Jess. — Ale się całkiem splukał.

— A co tu do rzeczy mają pieniądze?

— To, że jakby przykładowo musiał mieć na mnie oko, a mnie by się zachciało iść do klubu czy coś, toby go nie wpuścili, bo jest splukany...  
No.

— No, co?

— Mogłabym tam iść i się przekręcić po amfie, I bym umarła, tylko dlatego, że jesteś za wielką sknerą, żeby bulić forszę.

Nagle dotarło do mnie, co usiłuje uzyskać: wynosząca dwieście pięćdziesiąt funtów tygodniowo pensja wypłacana przez najgorzej notowaną stację kablową świata nie tylko rozjaśnia umysł, ale też rozbudza empatię i wyobraźnię. Jess leżąca bezwładnie w jakiejś toalecie tylko dlatego, że chciało się oszczędzić dwadzieścia funciaków... Wizja ta była zbyt upiorna, żeby ją kontemplować, jeśli się kontemplowało w odpowiednim nastroju.

— Ile chcesz? — Crichton westchnął, tak jak gdyby wszystko — tocząca się rozmowa, Nowy Rok na dachu, i moja odsiadka — zostało precyzyjnie uknute, aby doprowadzić do obecnej chwili.

— Ale ja nic nie chcę — odparłem.

— Chcesz — rzekła Jess. — Chce.

— Ile się teraz płaci za wejście do klubu? — zapytał Crichton.

— Za stówę to spoko da się radę — odpowiedziała Jess.

Sto funtów? Czyli poniżaliśmy się za cenę przyzwoitej kolacji dla dwóch osób?

— Nie wątpię, że za sto funtów z łatwością „da się radę”. Ale on nie musiałby sobie z niczym radzić, prawda? Gdybyś przedawkowała narkotyki, potrzebowałby tylko na wstępną. Z pewnością nie miałby ochoty zatrzymywać się przy barze, gdybyś walczyła ze śmiercią w toalecie.

— To znaczy, że moje życie nie jest dla ciebie warte stu funtów. No, ładnie, po tym, co się stało z Jen. Jakoś nie pomyślałam, że masz aż tyle córek na zbyciu.

— Jess, to nie fair.

Drzwi do salonu trzasnęły gdzieś między „nie” a „fair” — i ja z Crichtonem zostaliśmy sami, patrząc sobie w oczy.

— Fatalnie to rozegrałem — powiedział. — Prawda? Wzruszyłem ramionami.

— Chciała wyłudzić pieniądze groźbą. Albo za każdym razem dasz jej tyle, ile zechce, albo za każdym razem będzie wybiegała. A czuję, że może się to stać nieco... Sam wiesz. Deprymujące. Wziąwszy pod uwagę historię rodziny.

— Dam jej, ile tylko zechce, zawsze, kiedy poprosi — oświadczył. — Odszukaj ją, bardzo proszę.

Wyszedłem bogatszy o dwieście pięćdziesiąt funtów; Jess czekała na mnie na końcu podjazdu.

— Mogę się założyć, że ci dał dwa razy tyle, ile chciałeś — powiedziała. — To wychodzi zawsze, jak się wspomni o Jen.

**JESS**

Na pewno mi nie uwierzysz — teraz to sama nie całkiem w to wierzę — ale w moich myślach to, co się stało w syl-

westra, nie miało, kurwa, w ogóle związku z Jen. Ale z rozmów z ludźmi i z tego, co czytałam w gazetach, było widać, że nikt oprócz mnie tak tego nie widział. Mówili tylko: „Ach, rozumiem: twoja siostra zniknęła, więc chciałaś skoczyć z wieżowca”. Ale to nie tak. Na pewno musiało to być takim jakby składnikiem czy coś, ale całym przepisem nie było. Jeżeli ja jestem przykładowo spaghetti bolognese, to Jen jest pomidorami. Albo cebulą. A może samym czosnkiem. No, w każdym razie mięsem ani makaronem to na pewno nie.

Każdy reaguje na coś takiego całkiem inaczej, prawda? Są tacy, co by sobie zrobili grupę wsparcia itede; wiem to, bo mama z tatą bez przerwy mnie chcą zapisywać do jakiejś, kurwa, grupy, głównie dlatego, że tę grupę założył ktoś, kto kiedyś dostał tytuł albo coś w tym stylu od królowej. I są też tacy, co by po prostu siedli, włączyli telewizor i oglądali przez następne dwadzieścia lat. No, a ja się po prostu zaczęłam objąć. Z tym, że objactwo stało się raczej czymś takim jak praca na cały etat, bo wcześniej to było hobby: objęłam się już przed zaginięciem Jen. To powiem uczciwie.

Zanim opowiem dalej, chcę odpowiedzieć na pytania, które stale wszyscy zadają, żebyś tak nie siedziała i rozmyślała, tylko się mogła skupić na tym, co opowiadam. Nie, nie wiem, gdzie jest. Tak, myślę, że żyje. Czemu myślę, że żyje? Bo ta cała sprawa z autem na parkingu wyglądała mi podejrzanie. Jakie to uczucie, kiedy się ma zaginioną siostrę? Już ci mówię. Wiesz, że jak ci zginie coś cennego, portmonetka albo jakiś pierścionek, to się na niczym innym nie jesteś w stanie skupić? No, więc coś takiego się ma codziennie.

Ludzie pytają o jeszcze jedną rzecz: „Gdzie, jak ci się zdaje, może być?”. Co jednak się różni od zapytania: „Czy wiesz, co się z nią dzieje?”. Z początku nie rozumiałam, że te dwa pytania się różnią. Ale potem, jak zrozumiałam, to sobie pomyślałam, że „Gdzie, jak ci się zdaje, może być?” to głupie pytanie. No, bo jakbym wiedziała, tobym poszła jej szukać. Ale teraz rozumiem, że to jest takie bardziej pytanie poetyckie. Gdyż tak naprawdę w tym pytaniu chodzi o to, jaka była. Czy myślę, że jest w Afryce i pomaga ludziom? Albo czy myślę, że jest na wiecznym techno-party albo pisze wiersze na jakiejś szkockiej wyspie, albo sobie jeździ po buszu w Australii? Więc myślę coś takiego. Myślę, że ma dziecko, przykładowo w Ameryce, i jest gdzieś w jakimś miasteczku, gdzieś, gdzie świeci słońce, w Teksasie może albo w Kalifornii, i mieszka z mężczyzną, który ciężko pracuje własnymi rękami i się nią opiekuje, i ją kocha. Tak odpowiadam ludziom, tylko że oczywiście nie wiem, czy im mówię o Jen, czy o sobie.

Aha, jeszcze jedno — zwłaszcza jeżeli to czytasz w przyszłości, kiedy wszyscy już zapomnieli o nas i o tym, co się nam przytrafiło — nie rób sobie nadziei, że ona się pojawi później, żeby mnie ratować. Już nie wraca, okay? I nie okazuje się też, że nie żyje. Nic się nie dzieje, więc daj sobie spokój. No, znaczy: z nią to nie, bo ona jest ważna. Ale z zakończeniem w tym stylu. To jest historia w innym stylu.

Maureen mieszka w połowie drogi między Domem Skoczka i Kentish Town, na jednej z tych takich ciasnawych ulic pełnych starszych pań i nauczycieli. Czy są

nauczycielami, nie jestem całkiem pewna, ale jest tam wszędzie strasznie dużo rowerów; rowerów i pojemników na śmieci do utylizacji. Utylizacja to gówno, no nie? Tak powiedziałam Martinowi, a on na to: „Skoro tak mówisz”. Takim jakby trochę zmęczonym głosem. Na co go zapytałam, czy chce wiedzieć, czemu gówno, ale nie chciał. Tak samo, jak nie chciał wiedzieć, czemu Francja to gówno. Coś chyba nie za bardzo mu się chciało gadać.

Tylko ja i Martin jechaliśmy autem, bo JJ nie chciał, żebyśmy go podwieźli, mimo żeśmy prawie mijali jego dom. Moim zdaniem JJ by pomógł trochę załagodzić rozmowę. Chciałam rozmawiać, bo się denerwowałam i pewno przez to mówiłam głupoty. Chociaż może „głupoty” to złe słowo, bo nie jest głupotą stwierdzenie, że Francja to gówno. Tylko może czymś trochę kanciastym czy coś takiego. JJ mógłby stworzyć taki jakby podjazd do moich słów, żeby pomóc ludziom zjeżdżać z nich na skateboardzie.

A denerwowałam się, bo wiedziałam, że mamy poznać Matty'ego, a z upośledzonymi to ja mam taki trochę problem. To nic osobistego, no i nie myślę, żebym była antyupośledzeniowa, gdyż wiem, że mają prawo do oświaty, jazdy autobusem za darmo i w ogóle; tylko że mi się przez nich czasami chce trochę rzygać. Przez to, że się musi udawać, że są tacy sami jak ty i ja, a przecież naprawdę wcale nie są, co nie? Nie chodzi mi o takich upośledzonych, co mają, przykładowo, tylko jedną nogę. Ci to są w porządku. Mam na myśli takich, co nie umieją stać prosto i krzyczą, i robią głupie miny. Jak można mówić, że są tacy sami jak ty i ja? Okay, też krzyczę i ro-

bię głupie miny, ale wiem kiedy. No, w każdym razie na ogół. Z nimi to się nie da przewidzieć, prawda? Ciągle coś kombinują.

No, ale trzeba przyznać, że Matty jest raczej spokojny. Jest jakby tak upośledzony, że jest w porządku, rozumiesz. Siedzi — i tyle. Z mojego punktu widzenia tak jest pewnie lepiej, ale zdaje się, że z jego punktu widzenia to chyba nie za dobrze. Chociaż kto wie, czy on ma jakiś punkt widzenia? A jeśli go nie ma, to wtedy mój musi się liczyć, co nie? Jest dość wysoki, siedzi na wózku i ma poduszki i takie różne upchane pod szyją, żeby mu się głowa nie kiwała na boki. W ogóle się na człowieka nie patrzy ani nic, więc prawie się nie ma czego bać. Szybko dosyć się o nim zapomina, więc sobie poradziłam lepiej, niż z początku myślałam. No, ale kurwa mać! Biedna stara Maureen. Powiem ci, że mnie toby się nigdy nie udało namówić na zejście z tego dachu. W życiu.

JJ już tam był, kiedyśmy przyjechali, więc jak weszliśmy, to się zrobił taki jakby rodzinny zjazd po latach, tyle że nikt na nikogo nie patrzył i nikt nie udawał, że się cieszy ze spotkania z resztą. Maureen przyniosła każdemu po filiżance herbaty, a Martin i JJ zadawali jej uprzejme pytania na temat Matty'ego. Ja się tylko trochę rozglądałam, bo mi się nie chciało słuchać. Naprawdę wysprzątała, tak jak mówiła. Nie było tam prawie nic, oprócz telewizora i czegoś do siedzenia. Wyglądało, jakby się co dopiero wprowadziła. Coś tak mi się wydało, że powynosiła i poprzesuwała rzeczy gdzie indziej, bo na ścianach było widać ślady. Ale wtedy Martin zapytał się, co myślę, więc musiałam przestać się roz-

glądać i włączyć do rozmowy. Mieliśmy do obmyślenia plany.

JJ

Nie chciałem jechać do Maureen z Martinem i Jess, bo potrzebowałem czasu do namysłu. W przeszłości udzieliłem paru wywiadów dziennikarzom z prasy muzycznej, ale oni trzymali z naszymi fanami; tacy fajni goście, co totalnie odjeżdżali, gdy im się dawało demówkę albo gdy się godziło przyjąć od nich drinka. Ale ci ludzie, tacy jak ta nawiedzona od domofonu... O nich to nic nie wiedziałem. Poza tym, że jakimś cudem mogą w ciągu doby odszukać mój adres, a skoro tak, to chyba są zdolni do wszystkiego. Jakby mieli nazwiska i adresy każdego, kto mieszka w Anglii — na wypadek, gdyby pewnego dnia któryś zrobił coś godnego uwagi.

No, w każdym razie przez nią to mało nie ześwirowałem. Jakby chciała, to mogła zdobyć informacje o kapeli w ciągu pięciu minut. Po czym dotarłaby do Eddie-go i Lizzy i by się dowiedziała, że na nic nie umieram — albo gdybym umierał, tobym to zachował dla siebie. I na dodatek dowiedziałyby się, że ta choroba, na którą umieram, nie istnieje.

Inaczej mówiąc, wystraszyłem się do tego stopnia, że stwierdziłem, że jestem w poważnych opałach. Pojechałem do Maureen autobusem, postanawiając po drodze, że się przyznam, że im powiem o wszystkim, a jak im się nie spodoba, to mogą spierdalać. Nie chciałem tylko, żeby się o tym dowiedzieli z gazet.

Trochę to trwało, zanim przywykliśmy do oddychania biednego Matty'ego, które było głośnie i brzmiało tak, jakby w nie wkładał strasznie dużo wysiłku. Wszyscy, zdaje się, myśleliśmy o tym samym, a mianowicie: czy na miejscu Maureen byśmy sobie poradzili; wszyscyśmy sobie wyobrażali, czy cokolwiek mogłoby nas nakłonić do zejścia z tego dachu.

— Jess — odezwał się Martin. — Chciałaś, żebyśmy się spotkali. To może być zaczęła.

— Okay — odparła, odchrząkując. — Zgromadziliśmy się tu dzisiaj... Martin roześmiał się.

— Do kurwy nędzy — powiedziała. — Ledwie zaczęłam zdanie. Co w tym takiego śmiesznego?

Martin pokręcił głową.

— Nie, no naprawdę! Jak jestem taka, kurwa, śmieszna, to chcę się dowiedzieć, dlaczego.

— Być może dlatego, że podobne rzeczy zwykle się mówi w kościele. Nastąpiła długa pauza.

— No. Wiem. Chodziło mi właśnie o te klimaty.

— Czemu? — spytał Martin.

— Maureen, ty chodzisz do kościoła, co nie? — zapytała Jess.

— Chodziłam — odpowiedziała Maureen.

— No. Widzisz. Chciałam, żeby się swobodnie Poczula.

— Jakaż ty jesteś troskliwa.

— Czemu, jak tylko się za coś biorę, to ty to musisz Wpierzdolić?



— Ach, Boże — powiedział Martin. — Poczulem już prawie kadzidło.

— Dobra, to sobie sam zaczynaj, ty pieprzony...

— Dosyć — rzekła Maureen. — W moim domu. Przy moim synu.

Martin i ja spojrzeliśmy na siebie, mrużąc oczy, wstrzymując oddech i łapiąc się za kciuki — ale to nic nie dało. Jess i tak postanowiła objawić oczywistą prawdę.

— Przy twoim synu? Ale on jest...

— Nie mam CCR — oznajmiłem. Nic innego nie przyszło mi do głowy. To znaczy, wiadomo, że trzeba to było powiedzieć, ale miałem zamiar jeszcze trochę nad tym popracować.

Zapadła cisza. Czekałem, kiedy się na mnie rzucą.

— Jejku, JJ! — wykrzyknęła Jess. — To cudownie!

Po bodaj minucie uświadomiłem sobie, że w dziwacznym świecie Jess nie tylko wynaleziono lekarstwo na CCR w święta Bożego Narodzenia, ale nawet jakiś anioł położył mi je pod drzwiami między sylwestrem a drugim stycznia.

— JJ, zdaje mi się, nie to chce powiedzieć — rzekł Martin.

— Tak — potwierdziłem. — Ja tego po prostu nigdy nie miałem.

— Nie?! Dranie.

— Kto?

— Ci popierdoleni lekarze. — U Maureen Jess szczególnie upodobała sobie właśnie to przekleństwo. — Musisz ich podać do sądu. Bo gdybyś tak skoczył? A oni się pomylili?

Stwierdziłem, że się, kurwa, zajebię. Czy to było naprawdę aż takie skomplikowane?

— O to chyba także mu nie chodzi — powiedział Martin.

— Nie o to — zgodziłem się. — Spróbuję to wyrazić najjaśniej jak potrafię: choroba CCR w ogóle nie istnieje, a nawet jeżeli, to na nią nie umieram. Wymyśliłem to, bo... Sam nie wiem. Poniekąd dlatego, że pragnąłem waszego współczucia, a poza tym nie myślałem, że zrozumiecie, co naprawdę jest ze mną nie tak. Przepraszam.

— Kutas — rzekła Jess.

— To okropne — rzekła Maureen.

— Duppek — dodała Jess.

Martin uśmiechnął się. Wyznanie, że się ma nieuleczalną chorobę, kiedy się jej nie ma, to w sumie coś takiego, jak uwiedzenie piętnastolatki, więc był z mojego wstydu bardzo zadowolony. Prócz tego pewnie też poczuł wyższość nade mną, bo doznawszy upokorzenia, zachował się przyzwoicie, wychodząc na dach Domu Skoczka i kiwając nogami nad krawędzią. Okay, wprawdzie nie skoczył, ale, no wiecie, pokazał, że ma poważny stosunek do świata. Tymczasem ja najpierw myślałem o skoku, a potem okryłem się hańbą. Stałem się jeszcze większym dupkiem, niż byłem w sylwestra, co raczej mnie przygnębiło.

— To czemuś tak mówił? — zapytała Jess.

— No, właśnie — powiedział Martin. — Co próbowałeś uprościć?

— Po prostu... Nie wiem. Dla was to było takie jakieś oczywiste. Martin i... no, wiadomo. Maureen i...

Ruchem głowy wskazałem Matty'ego.

— Dla mnie wcale nie było oczywiste — odparła Jess. — Pieprzyłam o Chasie i strasznie się motałam w zeznaniach.

— No, tylko... Bez obrazy, ale ty byłaś rypnięta. Gadałaś totalnie bez sensu.

— Więc na czym polegał twój problem? — spytała Maureen.

— Nie wiem. Depresja, tak się to chyba nazywa.

— Ależ my rozumiemy depresję — stwierdził Martin. — Wszyscy na nią cierpimy.

— No, wiem. Ale moja wydawała się mało... no, mało, kurwa, wyraźna. Wybacz, Maureen.

Jak to się dzieje, że niektórzy nigdy nie klną? W zdaniach jest tyle tych przerw, gdzie po prostu musi się wstawić „kurwa”. Powiem wam, że najbardziej to mi imponują prezenterzy wiadomości. Gdybym to ja czytał, toby brzmiało mniej więcej: „I, kurwa, skierowali samolot, chuje wyjebane, prosto w World Trade, kurwa, Center”. Bo czy, będąc człowiekiem, w ogóle się da inaczej? A może oni wcale nie są godni podziwu? Może to żywe trupy robotów?

— Wypróbuj nas — zachęcił Martin. — Jesteśmy wyrozumiali.

— Okay. Więc krótka wersja jest taka, że całe życie chciałem być w grupie rock'n'rollowej.

— Rock'n'rollowej? Czyli jak Bill Haley & His Comets? — zapytał Martin.

— Nie, stary. To nie... No, nie wiem. Coś jak Stonesi czy...

— Stonesi to nie rock'n'roll — powiedziała Jess. — To rock.

— Okay, okay, więc chciałem być w kapeli rockowej. Jak Stonesi czy, czy...

— No, grać obciachową muzykę — rzekła Jess. Nie chciała być niegrzeczna. Próbowwała tylko jakoś wyjaśnić używane przeze mnie terminy.

— Nieważne. Jeezu. I kilka tygodni przed Gwiazdką moja kapela w końcu naprawdę się rozpadła. A zaraz potem straciłem dziewczynę. Była Angielką. Dlatego tam poszedłem.

Zapadło milczenie.

— I tyle? — spytała Jess.

— Tyle.

— Żałosne. Teraz rozumiem całą tę ściemę z chorobą. Wolałbyś umrzeć, niż nie być w zespole, co gra jak The Rolling Stones? Ja bym miała odwrotnie. Jakbym należała do takiego zespołu, tobym się wolała zabić. Ktoś ich jeszcze lubi w Stanach? Bo tutaj to nikt.

— Mówicie o Micku Jaggerze, prawda? O Rolling Stonesach? — zainteresowała się Maureen. — Dobrzy byli, prawda? I nieźle im się wiodło.

— Jak widać, Mick Jagger nie je w tej chwili wyschniętych herbatników z supersamu jak JJ.

— Kupiłam je przed samymi świętami — powiedziała Maureen. — Może nie domknęłam pudełka.

Odniosłem wrażenie, że coraz mniej skupiamy się na moich sprawach.

— To ze Stonesami... Nie to jakby jest ważne. Posłużyłem się tylko takim przykładem, dla ilustracji. Chodziło mi o... numery, gitary, energię.

— Jagger ma koło osiemdziesiątki — powiedziała Jess. — I nie ma żadnej energii.

— Widziałem ich w dziewięćdziesiątym — oznajmił Martin. — Tamtej nocy Anglia przegrała z Niemcami w Mistrzostwach Świata przez karne. Jakiś facet z Guinnessa zabrał naszą paczkę, tak że przez cały wieczór wszyscy słuchali radia. No, tak czy siak, wtedy miał mnóstwo energii.

— Miał wtedy dopiero siedemdziesiątkę — rzekła Jess.

— Czy ty się wreszcie, kurwa, zamkniesz? Wybacz, Maureen. (Odtąd przyjmijcie po prostu, że zawsze, gdy się odzywam, mówię: „kurwa”, „zajebię się” i „kurewskie”, jak również „Wybacz, Maureen”. Okay?) Próbuję wam opowiadać o całym swoim życiu.

— Nikt cię nie zatrzymuje — powiedziała Jess. — Ale to musi być trochę ciekawsze. Dlatego żeśmy zoczyli na te herbatniki.

— Okay, dobra. Widzicie, ja nie mam perspektyw. Kompletnie na niczym się nie znam. Nie skończyłem ogólniaka. Ten zespół był dla mnie wszystkim, no i się rozleciał, a mnie to granie nie dało ani centa, więc zostaje mi już chyba tylko walenie kotletów.

Jess prychnęła.

— Ze co?!

— Na pewno się orientujesz, że u nich „walenie” nie znaczy to samo co u nas — wytłumaczył Martin. — JJ miał na myśli „tłuczenie”.

— Aha — odparła Jess.

— I boję się, że mnie to wykończy.

— Nikt jeszcze się nie wykończył od ciężkiej roboty — powiedziała Maureen.

— Nie mam nic przeciwko ciężkiej pracy, wiesz? Ale jak jeździliśmy w trasy i nagrywaliśmy... Byłem naprawdę, tak do końca sobą, więc..., więc czuję się teraz pusty i sfrustrowany, i... Rozumiesz, jak wiesz, że jesteś dobry, to myślisz, że to wystarczy, że dojdiesz na szczyt, a kiedy się tak nie staje... Co w takim razie masz z tym wszystkim począć? Kompletnie nie wiadomo, jak sobie z tym poradzić, no więc... Naprawdę, gryzło mnie to nawet, jak się wszystko zaczynało jako tako układać, bo nawet jak się układało, to i tak całymi dniami nie byłem na scenie ani nie nagrywałem, a nieraz miałem poczucie, że tego właśnie mi trzeba, bo inaczej eksploduję, rozumiesz? Więc teraz, teraz to jest kompletnie bez sensu. Graliśmy taki kawałek... — Nie mam pojęcia, po co się z tym wyrwałem. — Graliśmy taki kawałek, zrobiony trochę na Motown, *I Got Your Back*, napisany wspólnie przeze mnie i Eddiego, tak do końca wspólnie, co się nam prawie nie zdarzało, taki, no wiecie, w hołdzie dla naszej przyjaźni i ileśmy razem przeszli, te sprawy. Nieważne. No i ten kawałek wszedł na nasz pierwszy album i trwał dwie i pół minuty i nikt go właściwie nie zauważył, no, chodzi mi o to, że nie dostrzegli go nawet ludzie, którzy kupili album. Ale zaczęliśmy go grać na żywo, no i tak jakoś się wydłużył, a Eddie miał taką fajną solówkę. Ale jakby nie gitarową, tylko coś takiego, jak może by zagrał, nie wiem, Curtis Mayfield czy Ernie Isley. I nieraz, jak graliśmy w Chicago i przychodzili znajomi, 1 na scenie robiło się jam session, to ktoś zagrał solo na saksofonie, na fortepianie albo nawet na stalowej gitarze czy coś, tak że po paru latach zrobił się z tego prawie dwunastominutowy numer wieczoru. Zaczynaliśmy nim

albo kończyli, albo dawaliśmy gdzieś w środku, kiedyśmy grali dłuższego seta — i dla mnie miał on w sobie tę czystą, kurwa, radość, wybacz Maureen, no wiesz? Czystą radość. Jak surfing albo, albo coś, taki totalny odlot. Pływało się po tych akordach po prostu jak po falach. Odczuwałem to bodaj ze sto razy w roku, a niewielu coś takiego się zdarza choćby i raz w życiu. I z tego właśnie musiałem zrezygnować, z tej zdolności rutynowego tworzenia, gdy mi się tylko zachciało, w normalnym dniu roboczym i... Jak sobie teraz o tym myślę, to widzę, czemu wymyśliłem to gówno, wybacz Maureen, o umieraniu na jakąś, kurwa, chorobę, wybacz raz jeszcze. Bo to jest takie uczucie. Umieram na chorobę wysysającą z żył całą krew i w ogóle wszystkie soki i, i wszystko inne, co sprawia, że chce się żyć, i...

— No, i? — zapytał Martin. — Bo chyba opuściłeś fragment o konieczności targnięcia się na życie.

— To właśnie to — odrzekłem. — Choroba wysysająca całą krew z żył.

— Dokładnie to samo dzieje się każdemu — oznajmił Martin. — I nosi nazwę „starzenia”. Poczulem to jeszcze przed więzieniem. A nawet zanim się przespałem z tą dziewczyną. Jakby się tak zastanowić, to przypuszczalnie dlatego się z nią przespałem.

— Nie, ja to czaję — stwierdziła Jess.

— Taaa?

— No, jasne. Masz przejebane. — Skruszona pomachała ręką w stronę Maureen, jak tenisista po szczęśliwym necie. — Myślałeś, że będziesz kimś, ale teraz stało się oczywiste, że jesteś nikim. Nie masz takiego talentu, jak sobie z początku myślałeś, nie miałeś planu B,

nic nie umiesz i w ogóle nie masz wykształcenia, no i teraz czeka cię ze czterdzieści pięć lat nicości. A może i czegoś gorszego. Ciężka sprawa. To gorsze niż ta choroba mózgu, bo cię będzie zabijać o wiele, wiele dłużej. Masz do wyboru śmierć powolną i bolesną albo szybką i miłosierną.

Wzruszyła ramionami.

Miała rację. Świetnie to zrozumiała.

## MAUREEN

Zapewne uszłoby mi na sucho, gdyby Jess nie zachciało się skorzystać z toalety. Ale przecież nie można zabraniać ludziom korzystać z toalety. Byłam zupełnie zielona. Do głowy mi nie przyszło, że może zacząć wtykać nos w nie swoje sprawy.

Wróciła po dłuższej chwili, z głupkowatym uśmiechem — i plakatami.

W jednej ręce trzymała plakat z dziewczyną, a w drugiej ten z czarnoskórym piłkarzem.

— Czyje to? — zapytała. Wstałam i krzyknęłam na nią:

— Zostaw. To nie twoja własność.

— W życiu bym cię o coś takiego nie podejrzewała — odparła. — Czyli tak: jesteś lesbą z lekkim świrkiem na punkcie czarnych facetów z szerokimi biodrami. Zboczenie. Drugie dno.

„Cała Jess”, pomyślałam. Miewa jedynie plugawe myśli, co znaczy: nie miewa ich wcale.

— Wiesz chociaż, co to za jedni? — spytała.



To plakaty Matty'ego, nie moje. On naturalnie nie wie, że należą do niego, ale tak jest; sama mu je kupiłam. Wiedziałam, że dziewczyna nazywa się Buffy, bo tak było napisane na plakacie, ale kim jest, to za bardzo nie wiedziałam. Uznałam po prostu, że jest już w tym wieku, że byłoby mu miło mieć w domu atrakcyjną młodą kobietę. No i wiedziałam, że ten czarnoskóry gość gra w Arsenale, ale dosłyszałam tylko jego imię, Paddy. Poradził mi to John z kościoła, który co tydzień jeździ do Highbury. Więc jak mówił, że wszyscy kochają Paddy'ego, poprosiłam, żeby przywiózł jego zdjęcie mojemu synkowi na drugi raz, gdy się wybierze na mecz. John to taki miły człowiek; przywiózł wielkie zdjęcie z Paddym strzelającym gola i nawet nie chciał za nie zapłaty — ale później zrobiło się troszkę niezręcznie. Nie wiedząc czemu, stwierdził, że mój chłopak to chłopaczek, dziesięcio- czy dwunastoletni, i obiecał zabrać go na mecz. I nieraz w niedzielę rano, po sobotniej przegranej Arsenala, pytał mnie, jak Matty sobie z tym radzi, a czasem, jak wygrali jakiś ważny mecz, mówił, że mój chłopaczek na pewno się cieszy i tak dalej. Aż kiedyś w piątek rano, gdy wracaliśmy z Mattym ze sprawunków, wpadliśmy na niego z wózkiem. No, i mogłam się nie odzywać, ale czasami się musi powiedzieć i sobie, i wszystkim innym: „To Matty. To mój synek”. Więc powiedziałam i od tej pory John już ani razu nie wspomniał o Arsenale. Nie brakuje mi tego w niedzielne poranki. Jest wiele ważnych powodów, ażeby stracić wiarę.

Wybrałam te plakaty tak samo jak inne rzeczy, w których zapewne szperała Jess: taśmy i książki, i buty do gry w piłkę nożną, i gry komputerowe, i kasety wi-

deo. Terminarze i te modne notesy. (Notesy! Boże, co też takiego mnie naszło? Taśmy to jeszcze jakoś mogłam mu puszczać, w nadziei, że posłucha, no ale czyimi adresami bym miała wypełnić taki notes? Sama nie mam nawet jednego notesu). Pióra w krzykliwych kolorach, aparat fotograficzny i walkman. Całe mnóstwo zegarków. Toczy się tu cały nie istniejący nastoletni żywot.

Zaczął się to dawno temu, kiedy postanowiłam urządzić mu sypialnię. Miał osiem lat i nadal sypiał w pokoju dziecinnym — z zasłonami w klauny, z tapetą w króliczki i innymi rzeczami, które wybrałam, czekając na niego i nie wiedząc, jaki będzie. Wszystko to zaczęło już obłazić i wyglądało okropnie, ale nic nie zmieniałam, boby mi to jeszcze dobitniej uzmysłowiło, co się z nim nie dzieje; że w żaden sposób nie dorasta. Czym miałam zastąpić te króliczki? Skończył osiem lat, może więc najstosowniejsze byłyby pociągi, okręty z uzbrojeniem raketowym albo sylwetki piłkarzy — ale oczywiście on o tym wszystkim nie miał pojęcia, nie wiedział, co to jest, ani też, co znaczy. Z drugiej jednak strony nie wiedział, co to króliczek ani klaun. Więc co miałam począć? Wszystko polegało na udawaniu, prawda? Ażeby nie stwarzać świata iluzji, pozostało mi jedynie pomalować ściany na biało i kupić jakieś gładkie zasłony. Tym sposobem mogłam dać do zrozumienia jemu, sobie i innym wchodzącym do pokoju, że wiem, że jest warzywem, kapustą, i ja się z tym nie kryję. Ale skoro tak — myślałam — to gdzie się zaczyna granica? Czy wobec tego nigdy nie można mu kupić T-shirtu z napisem albo jakiegoś zdjęcia, bo nie umie czytać i nie rozumie obrazów? I kto wie, czy w ogóle docierają do niego jakieś

barwy czy wzory? Nie muszę chyba dodawać, że mówienie do niego jest śmieszne, podobnie jak uśmiechanie się i całowanie w czoło. Wiecznie tylko udaję, więc czemu by nie poudawać jak należy?

Ostatecznie zdecydowałam się na pociągi i abażur z bohaterem z *Gwiazdnych wojen*. I zaraz potem zaczęłam co jakiś czas kupować komiksy, po prostu żeby się przekonać, co czyta i czym się interesuje chłopak w jego wieku. Oglądaliśmy też razem telewizję w niedzielne poranki, toteż dowiedziałam się co nieco o piosenkarzach pop, których by mógł lubić, i o programach, jakie by oglądał. Wcześniej wspomniałam, że jedną z najgorszych rzeczy jest wieczne stanie w miejscu — a udawanie, że posuwasz się dalej, niczego nie zmienia. Ale pomaga. Bo co innego by robić? Tak czy owak, rozmyślanie o tym wszystkim dziwnie jakoś pomogło mi ujrzeć Matty'ego. Przypuszczam, że podobnie postępują ci, co wymyślają nową postać do *EastEnders*: na pewno zadają sobie pytania: „Co ta osoba lubi? Czego słucha? Z kim się przyjaźni? Której drużynie kibicuje?”. Tak to właśnie zrobiłam — wymyśliłam sobie syna. Jest kibicem Arsenalu i lubi wędkować, choć jak na razie jeszcze nie ma wędki. Lubi też muzykę pop, ale nie taką, gdzie występują półnago i ciągle przeklinają. Gdy — bardzo sporadycznie — ktoś mnie pyta, co by chciał dostać na Gwiazdkę albo na urodziny, to odpowiadam, i każdy już dobrze wie, jak nie udawać zdumienia. Najdalsi krewni nigdy go nie widują i nigdy też o to nie proszą. Wiedzą tylko, że coś z nim jest nie tak. Więcej wiedzieć nie chcą, toteż nigdy nie mówią: „Doprawdy, to on wędkuje?”-Albo jak wuj Michael: „Naprawdę umie nurkować i do

tego pod wodą spogląda na zegarek?". Są zadowoleni, że się im mówi, co mają robić. W końcu Matty zaanektował całe mieszkanie. Wiadomo, jak każdy dzieciak. Jego rzeczy są wszędzie.

— Nieważne, czy wiem, co za jedni — odparłam. Należą do Matty'ego.

— Aha, jest wielkim fanem...

— Bądź uprzejma odłożyć je na miejsce — powiedział Martin. — A jak nie, to wynocha. Czy może byś chciała wyjść na jeszcze większą francę?

Któregoś dnia — stwierdziłam — sama sobie tak powiem.

## MARTIN

Tego dnia nikt więcej nie wspomniał o plakatach Matty'ego. Rzecz jasna, wszystkich nas to ciekawiło, ale Jess postarała się, by ani mnie, ani JJ'owi nie udało się tej ciekawości wyrazić — ustawiła to mianowicie tak, że albo trzymało się z nią, albo było się przeciw, a w tej kwestii, jak zresztą w wielu innych, obaj byliśmy przeciwko niej, co oznaczało nieporuszanie tematu. Ponieważ jednak mocno nas uraziło, że musimy milczeć, to o wszelkich innych rzeczach, jakie tylko przychodziły nam do głowy, postanowiliśmy wypowiadać się agresywnie i obcesowo.

— Masz ojca po dziurki w nosie, mam rację? — spytałem ją.

— No, jasne. Bo to palant.

— Ale z nim mieszkasz.

— I co?

— Jak to się w ogóle da połączyć? — zapytał JJ.

— Nie stać mnie na to, żeby się wyprowadzić. Poza tym mają sprzątaczkę, kablówkę, antenę satelitarną i takie tam.

— Ach, młodym być, mieć ideały i zasady! — powiedziałem. — Czyli tak: antyglobalistka popierająca sprzątaczkę, he?

— Taaa, widzę, że od was, dwóch pacanów, dużo się jeszcze nauczę. No, i ta druga rzecz. Sprawa Jen. Oni się martwią.

Naturalnie: sprawa Jen. JJ i ja na moment się zawstydziliśmy. Jeśliby spojrzeć na poprzednią rozmowę z innej perspektywy, można by ją streścić w sposób następujący: facet, który niedawno odsiadywał karę za stosunek z nieletnią, i drugi, który sfabrykował śmiertelną chorobę, aby sobie zaoszczędzić trochę czasu i zachodu, a również by zachować twarz — szydzili z pogrążonej w bólu nastolatki, ponieważ zapragnęła być w domu, przy boku pogrążonych w bólu rodziców. Zakonotowałem to sobie, że bym potem mógł podać odmienne streszczenie.

— Z przykrością dowiedzieliśmy się o twojej siostrze — rzekła Maureen.

— Pewnie, tylko że to się nie stało wczoraj, co nie?

— I tak zrobiło się nam przykro — ze znużeniem odparł JJ.

Uprawomocnienie moralności Jess oznaczało po prostu, że może spokojnie srać na głowę całej naszej trójce, aż coś jej nie zbije z tropu.

— Już do tego przywykłam.

— Naprawdę? — zapytałem.

wiedzieć JJ.

— Nie możemy pogadać o tym, o czym żeśmy powinni?

— Mianowicie?

— O tym, co chcemy zrobić. O gazetach i w ogóle.

— To my mamy coś zrobić?

— Tak myślę — odrzekł JJ.

— Dajcie spokój, wkrótce o nas zapomną — stwierdziłem. — Nie ma chuja, wybaczyć Maureen, żeby się co rusz coś nowego nie działo, jak zwykle z początkiem roku.

— A jakby tak się nam nie zachciało, żeby o nas zapomnieli? — powiedziała Jess.

— A czemu, do jasnej cholery, mielibyśmy tego chcieć? — spytałem ją.

— Można by zarobić trochę kasy. No, a poza tym byśmy mieli coś do roboty.

— Co, jeśli można wiedzieć?

— Nie wiem. Po prostu... Czuję, że jesteśmy inni. Ze ludzie by nas polubili i by się nami interesowali.

— Odbiło ci.

— No. Dokładnie. Dlatego bym była dla nich interesująca. Jak chcecie, mogę to jeszcze tak trochę podkreślić.

— W moim przekonaniu nie będzie to konieczne ~~ zareplikowałem pospiesznie w imieniu naszej trójki

i zapewne również w imieniu całej ludności zamieszkującej Wielką Brytanię. — Teraz właśnie jesteś w sam raz.

Jess uśmiechnęła się uroczo, zdumiona nieoczekiwanym komplementem.

— Dzięki, Martin. Ty też. O tobie... Chcieliby się dowiedzieć, jak sobie przez tę dziewczuchę spierdoliłeś życie. A o tobie, JJ, chcieliby się dowiedzieć o pizzy i w ogóle. A Maureen by mogła wszystkim opowiedzieć, jakie gówniane jest życie z Mattym. Zobaczcie, bylibyśmy takimi superbohaterami, X-menami czy coś. Wszyscy mamy jakąś tajną supermoc.

— Taaa — odparł JJ — jasne. Ja mam supermoc dostarczania pizzy. A Maureen supermoc upośledzonego syna.

— No, dobra. Supermoc to złe słowo. Ale, no wiecie, pewną rzecz.

— A jakże. „Rzecz”. *Le motjuste*, bez zmian.

Jess nachmurzyła się, ale była za bardzo pochłonięta własnym wątkiem, by rzucić obraźliwą uwagę, na jaką zasłużyłem znajomością obcojęzycznego wyrażenia.

— I moglibyśmy mówić, że ciągle żeśmy się nie zdecydowali, czy w końcu mamy zrobić tego fikołka. Ludziom by się to podobało.

— A gdybyśmy tak sprzedali telewizji prawa do walentynkowej nocy... Może by z tego zrobili coś w stylu *Big Brothera*. Widzowie dopingowaliby osobę, która w ich przekonaniu powinna skoczyć — zaproponował JJ.

Jess najwidoczniej miała co do tego wątpliwości.

— No, nie wiem — powiedziała. — Ale, Martin, przecież ty masz pojęcie o gazetach i w ogóle. Moglibyśmy zarobić trochę forsy, co nie?

— Nie pomyślałaś przypadkiem, że mam już dosyć problemów z gazetami?

— Bo oczywiście zawsze chodzi o ciebie, prawda?

\_odparła Jess. — A jak my też byśmy mieli z tego po parę funciaków, to co?

— Ale z czego? — zapytał JJ. — Tu nie ma o czym pisać. Wyszliśmy, zeszliliśmy i tyle. Na pewno co chwilę ktoś to robi.

— Myślałam o tym. A gdybyśmy coś zobaczyli? — nalegała Jess.

— Co na przykład? Cośmy mieli tam widzieć?

— Okay. Przykładowo anioła.

— Anioła — beznamiętnie powtórzył JJ.

— No.

— Ja anioła nie widziałam — stwierdziła Maureen. — Kiedy go widzieliście?

— Nikt nie widział anioła — wyjaśniłem. — Jess sugeruje, żebyśmy wymyślili przeżycie duchowe dla korzyści materialnych.

— To straszne — powiedziała Maureen, bodaj dlatego, że ewidentnie spodziewano się usłyszeć od niej takie właśnie zdanie.

— To nie do końca stwarzanie, co? — zapytała Jess.

— Nie? A w jakim to niby sensie widzieliśmy anioła?

— Jak to się nazywa w wierszach?

— Słucham?



— No w wierszach, rozumiesz. I w angielskiej literaturze. Czasem się mówi, że coś jest jak coś, a czasem, że coś jest czymś. Moja miłość jest jak róża, kurwa, czerwona albo coś takiego.

— Porównania i metafory.

— No. Dokładnie. Wynałazł je Shakespeare, co nie? I dlatego był geniuszem.

— Nie.

— No to kto?

— Nieważne.

— Więc czemu Shakespeare był geniuszem? Co zrobił?

— Kiedy indziej.

— Okay. Wszystko jedno. Więc które to to, kiedy się mówi, że coś jest czymś, na przykład: „Jesteś chujem”, nawet jeśli naprawdę nim nie jesteś? W sensie, że penisem. Oczywiście.

Maureen najwyraźniej zaczęło zbierać się na płacz.

— Na Boga, Jess! — upomniałem ją.

— Sorry. Sorry. Nie byłem pewna, czy do dyskusji o gramatyce itede też stosujemy te zasady z przeklinaniem.

— Owszem, tak.

— Dobra. Przepraszam, Maureen. Okay, więc: „Jesteś świnią”, kiedy nie jesteś świnią.

— Metafora.

— Dokładnie. Dosłownie żeśmy anioła nie widzieli. Ale tak jakby metaforycznie.

— Tak jakby metaforycznie widzieliśmy anioła — powtórzył JJ.

Ton beznamiętnego niedowierzania wyraźnie przyswoił sobie na pamięć.

— No. Chodzi mi o to, że coś nas zawróciło. Coś ocaliło nam życie. Czemu niby nie anioł?

— Bo tam się taki nie pokazał.

— Okay, myśmy go nie widzieli. Ale można by powiedzieć, że coś tam było aniołem. To znaczy: jakaś dziewczyna. Ja czy nawet Maureen.

— Dziewczyna jakaś by mogła być aniołem — zawtórował JJ w opisany wyżej sposób.

— No. Bo anioły to dziewczyny, wiadomo.

— A słyszałaś ty kiedyś choćby o archaniele Gabrielu?

— Nie.

— Otóż on — on — był aniołem.

— Taaa?

Nie wiedzieć czemu, nagle straciłem cierpliwość.

— Co to za jakieś bzdury?! Czy ty się słyszysz, Jess?

— Co znowu nie tak powiedziałam?

— Nie widzieliśmy anioła, ani dosłownie, ani metaforycznie. I tak się składa, że zobaczyć coś metaforycznie, cokolwiek to oznacza, to nie to samo, co coś zobaczyć. Na własne oczy. Do stwierdzenia czego, jak rozumiem, usiłujesz nas tutaj namówić. To już nie ubarwianie faktów, tylko zwyczajne sranie w banię, wybaczone, Maureen. Szczerze mówiąc, na twoim miejscu zachowałbym to dla siebie. Nikomu bym nie wspominał o tym aniele. Nawet prasie ogólnokrajowej.

— Ale jakbyśmy przykładowo poszli do tiwi i mieli możliwość, no wiesz, rozpowszechnienia naszego przesłania?

Wszyscy spojrzeliśmy na nią równocześnie.

— A jakie to, do cholery, przesłanie?

— Właśnie. To już jakby zależy od nas, co nie? Jak mieliśmy się spierać z podobnym myśleniem?

Ponieważ nikomu z naszej trójki nie przyszło do głowy absolutnie nic sensownego, trzeba się było zadowolić sarkazmem i szyderstwem — niemniej przed wieczorem osiągnęliśmy milczące porozumienie co do tego, że skoro trzem czwartym z nas niespecjalnie przypadła do gustu chwila medialnej sławy, chętnie zgodzimy się, aby obecne zainteresowanie naszym zdrowiem psychicznym zmalowało do zera. I wtedy, parę godzin po powrocie do domu, odebrałem telefon od Theo, z zapytaniem, czemu mu nie powiedziałem, że widziałem anioła.

## JESS

Jakoś niezbyt się ucieszyli. A najgorzej było z Martinem: dostał normalnie, kurwa, szału. Zadzwoił do mnie do domu i nawijał chyba dziesięć minut. Ale wiedziałam, że będzie okay, bo odebrał tato, więc Martin w ogóle nic mu nie powiedział. Gdyby mu powiedział, to cała historia by się rozleciała. Wszyscy we czwórkę musieliśmy trzymać sztampę, gdyż tylko pod tym warunkiem mogliśmy mówić, żeśmy widzieli, co się nam żywnie spodoba. Bo to był po prostu za dobry pomysł, żeby go tak sobie zmarnować, prawda? I oni to wiedzieli, w związku z czym stwierdziłam, że w końcu się dadzą przekonać, no i się dali, tak jakby. A dla mnie to był pierwszy ważny sprawdzian naszej grupy. Wszyscy mieli podjąć prostą decyzję: czy ze mną trzymają, czy nie?

i szczerze mówiąc, jakby postanowili, że nie są, to wątpię, czyby mi się jeszcze chciało mieć z nimi do czynienia. Powiedziałyby to wiele o ich człowieczeństwie — z tym, że nic dobrego.

Przyznaję, że zachowałam się trochę podstępnie, przede wszystkim zapytałam JJ'a o imię tej kobiety, co do niego przyszła wtedy rano, a on mi powiedział, jak się nazywa i dla jakiej gazety pracuje, co było pewną premią. Myślałam, że tak sobie zwyczajnie rozmawiam, ale ja uznałam, że w którymś momencie to się może przydać. No, i jak wróciłam do domu, to zadzwoniłam do tej gazety. Powiedziałam, że chcę rozmawiać tylko z nią, a jak podałam swoje nazwisko, to zaraz mi dali jej numer komórki.

Miała na imię Linda i była bardzo przyjazna. Stwierdziłam, że może pomyśleć, że to wszystko jest trochę dziwne, ale niesamowicie się zainteresowała i tak mnie zachęcała, naprawdę. Jeśli jako dziennikarka miała w ogóle jakąś wadę, to według mnie była zbyt zachęcająca. Zbyt wierząca i ufna. Człowiek się spodziewa, że dobra dziennikarka to walenie coś w stylu, wiadomo: »Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę?«, ale mogłam jej powiedzieć byle co i też by to zapisała. Mówiąc między nami, była lekko nieprofesjonalna.

Więc tak mnie pyta: „Jak wyglądał ten anioł, Jess?“. »Jess" mówiła dużo razy, żeby pokazać, żeśmy się zakolegowały.

Myślałam o tym wcześniej. Głupio by było powiedzieć, że wyglądał — postanowiłam, że to będzie facet, z powodu Gabriela — jak anioł kościelny, ze skrzydła-

mi i tak dalej. Stwierdziłam, że to by było takie wypuszczanie niewłaściwych sygnałów.

„Nie tak, jak byś się spodziewała”, odparłam. A na to Linda: „Jak to: nie miał skrzydeł i aureoli, Jess?”. I się roześmiała, tak w stylu: „Jaka to palantka by powiedziała, że widziała anioła ze skrzydłami i aureolą?”. Więc poczułam, że podjęłam słuszną decyzję. Też się roześmiałam i mówię: „Nie, wyglądał całkiem współcześnie”, a ona tak coś jakby: „Naprawdę?”.

(Zawsze tak robię, kiedy opowiadam, co ktoś powiedział. Zawsze mówię tak coś jakby: „Więc ona tak coś jakby” i takie tam. Ale jak rozmowa trochę się przedłuża, to to wychodzi fatalnie, co nie? „Tak tego, ona na to, i wtedy ja”. Więc od tego momentu zrobię to jak w sztuce, okay? Nie jestem za dobra w sferach mówienia czy jakoś tak, ale pamiętam sztuki z czytania w szkole).

JA: No. Był ubrany współcześnie. Wyglądał, jakby był z jakiegoś zespołu albo coś takiego.

LINDA: Zespołu? Którego?

JA: Nie wiem. Radiohead czy innego takiego.

LINDA: Czemu Radiohead?

(Nie można było nic powiedzieć, zanim wcześniej nie zadała pytania. Powiedziałam Radiohead, bo oni w sumie do niczego nie są podobni. Tacy sobie faceci, no nie?).

JA: Nie wiem. Albo Biur. Albo... Jak on się nazywa? Ten co grał? Nie ten, co się nie ożenił z Jennifer Lopez, tylko ten drugi, co dostał Oscara, bo był dobry z matmy, chociaż tylko sprzątał... Ten blondyn. Matt.

LINDA: Anioł był podobny do Matta Damona?

JA: No, tak mi się zdaje. Trochę.

LINDA: Rozumiem. Przystojny anioł podobny do Matta Damona.

JA: Matt Damon wcale taki nie jest. Ale: no.

LINDA: A kiedy się ten anioł pojawił? JA: Kiedy?

LINDA: Tak, kiedy. To znaczy: jak bliscy... byliście skoku?

JA: Oj, bardzo bliscy, naprawdę. Przyszedł w ostatniej chwili.

LINDA: Niesamowite. Więc staliście na gzymsie? Wszyscy?

JA: No. Postanowiliśmy, że skoczemy razem. Tak jakby dla towarzystwa. Więc stanęliśmy tam, żegnając się ze sobą i w ogóle. No, i jak mieliśmy to zrobić na raz, dwa, trzy, to żeśmy usłyszeli ten głos za plecami.

LINDA: Na pewno potwornie was wystraszył.

JA: No.

LINDA: Cud, że nie spadliście.

JA: No.

LINDA: Więc wszyscy się obróciliście...

JA: No. Wszyscy żeśmy się obrócili, a on powiedział...

LINDA: Przepraszam, jak był ubrany?

JA: W taki... Coś jakby workowaty garnitur, mniej więcej. Biały workowaty garnitur. Taki dosyć modny. Zdaje się, sporo go on kosztował.

LINDA: Od dobrego projektanta?

JA: No.

LINDA: Miał krawat? JA: Nie. W ogóle.

LINDA: Anioł nieoficjalny.

JA: No. W każdym razie: taki trendy na sportowo.

LINDA: I od razu się zorientowaliście, że to nie człowiek?

JA: O, tak.

LINDA: A jak?

JA: Bo był taki... przymazany. Jakby nie całkiem dostrojony. No i można było go przejrzeć na wylot. Nie widziało się wątroby ani nic takiego. Tylko po prostu budynki z tyłu za nim. Aha, poza tym unosił się nad dachem.

ONA: Jak wysoko?

JA: Oj, powiem ci, że wysoko. Jak go spostrzegłam, to mi się wydało, że ma tak coś z pięć metrów wzrostu. Ale jak popatrzyłam na jego stopy, to były metr nad ziemią.

ONA: Czyli że mierzył koło czterech metrów?

JA: No to dwa metry nad ziemią.

ONA: Czyli że miał trzy metry.

JA: No. Obojętnie.

ONA: A więc mieliście jego stopy nad głowami.

JA (Coraz bardziej wkurzona, że się tak przypięła do tych metrów — lecz próbując tego nie okazywać): Z początku. Ale potem tak jakby stwierdził, że przedobrzył i, no wiesz, trochę się zniżył. Odniosłam wrażenie, że już od dłuższego czasu się nie unosił. Był lekko zarzewiały.

(Zmyślałam to wszystko w miarę opowiadania. To znaczy: już wiesz, że to zmyślałam. Ale biorąc pod uwagę, że do niej zadzwoniłam, choć sobie tego wcale po-

rzędnie nie obmyśliłam, to myślę, że szło mi całkiem nieźle. W każdym razie jej, na moje oko, się to podobało).

ONA: Niesamowite.

JA: No. Naprawdę.

ONA: No i co powiedział?

JA: Powiedział, no wiesz: „Nie skaczcie”. Ale powiedział to bardzo pokojowo. Spokojnie. Miał tę taką jakby wewnętrzną mądrość. Widać było, że jest posłańcem Boga.

ONA: Powiedział coś takiego?

JA: Nie w aż tylu słowach. Ale można się było kapnąć.

ONA: Przez tę wewnętrzną mądrość.

JA: No. Otaczała go ta taka aura, jakby poznał Boga osobiście. Po prostu super.

ONA: Tylko tyle powiedział?

JA: I coś tak jakby: „Wasz czas jeszcze nie nadszedł. Idźcie z powrotem na dół i przekazcie ludziom to posłanie radości i pociechy. Powiedzcie im też, że wojna była głupia”. W co zresztą osobiście wierzę.

(Ten ostatni kawałek, znaczy się: „W co zresztą osobiście wierzę”, nie należał do sztuki. Ale podaję dodatkowe informacje, żebyś sobie mogła lepiej wyobrazić, jaką jestem osobą).

ONA: I macie zamiar je krzewić?

JA: No. Jasne. Dlatego między innymi chcemy udzielić tego wywiadu. I jeżeli wśród waszych czytelników są jacyś światowi liderzy albo generałowie, albo terroryści, albo coś takiego, to powinni się dowiedzieć, że w chwili obecnej Bogu nie dopisuje humor. Jest on raczej wkurwiony tym, co się wyprawia.



ONA: Jestem przekonana, że nasi czytelnicy uznają tę myśl za niesłychanie inspirującą. I wszyscy to widzieliście?

JA: No, pewnie. Nie dało się go nie zauważyć.

ONA: Martin Sharp również?

JA: No, tak. Pewno. Widział... widział to lepiej niż my wszyscy.

(Nie do końca wiedziałam, co to znaczy, ale wyczałałam, że udział Martina w sprawie był dla niej naprawdę ważny).

ONA: A więc co dalej?

JA: No, musimy się zastanowić, co zrobimy.

ONA: Naturalnie. Będziecie też rozmawiać z innymi dziennikami?

JA: O, tak. Zdecydowanie tak.

Dobrze mi to wyszło. W końcu dociągnęłam aż do pięciu kafli. Ale musiałam przyrzec, że będzie miała możliwość porozmawiać ze wszystkimi.

JJ

Z początku nie wydawało się, że to będzie zbyt trudne. Okay, nikt nie oszalał ze szczęścia, że Jess nas wciągnęła w tę historię z aniołem, ale też w sumie nie było warto się o to kłócić. Postanowiliśmy zacisnąć zęby, mówić, że widzieliśmy anioła, wziąć forszę i starać się zapomnieć, że to się w ogóle zdarzyło. Tyle że potem na drugi dzień człowiek siedzi sobie naprzeciwko jakiegoś dziennikarza i jak reszta stwierdza z poważną miną, że ten pieprzony anioł przypominał Matta Damona, w poczuciu, że lojalność to najgłupsza z wszystkich cnót. A z drugiej

strony, skoro się miało ujrzeć anioła, nie można było całkiem udawać, że nic takiego się nie stało. Nie da się powiedzieć: „No, tak, bla, bla, anioł, obojętne”. Widok anioła to, ma się rozumieć, wielka rzecz, więc trzeba się odpowiednio do tego zachowywać: przez ekscytację i najwyższy szacunek mieć otwartą gębę — a trudno mówić z szacunkiem i otwartą gębą, kiedy się zaciska zęby. Przypuszczalnie tylko Maureen brzmiała przekonująco, bo ona jakoś tam w to wierzyła. Ale ponieważ w to wierzyła, najtrudniej przyszło jej kłamać.

— Maureen — powiedziała Jess cierpliwie i powoli, jak gdyby Maureen po prostu zgłupiała, a nie lękała się o swą nieśmiertelną duszę — chodzi o pięć tysięcy funtów.

Ci z gazety załatwili dla Matty'ego kogoś do opieki z ośrodka, tak że spotkaliśmy się z Lindą w tej kawiarni, gdzieśmy w noworoczny poranek jedli śniadanie. Zrobiono nam zdjęcia — w większości grupowe, ale też jeszcze ze dwa na ulicy; jak z opadniętymi ze zdumienia szczękami wskazujemy na niebo. Tych zdjęć ostatecznie nie wykorzystali, prawdopodobnie dlatego, że jedno czy dwoje z nas trochę to przedobrzyło, a któreś w ogóle nie chciało nic pokazywać. Następnie, po sesji, Linda zaczęła zadawać pytania.

Upatrzyła sobie Martina — to on miał być jej trofeum. Gdyby zdołała wyciągnąć od Martina Sharpa, że °d samobójstwa ocalił go anioł, to jest: gdyby go nakłoniła do oświadczenia: NIEWĄTPLIWIE JESTEM SZAJBNIĘTY, bankowo miałyby artykuł na pierwszą stronę. Martin wiedział o tym aż nadto dobrze, toteż

jego występ był nasycony heroizmem, na tyle, na ile to tylko możliwe, jeżeli jest się obleśnym prezenterem talk-show, który raczej nigdy nie zdobędzie się na cokolwiek związanego z prawdziwym heroizmem. Mówiąc Lindzie, jak to zobaczył anioła, przypomniał mi Sidneya Carltona z *Opowieści o dwóch miastach*, idącego na ścięcie, aby ocalić życie kumpłowi: miał wyraz twarzy faceta, któremu za chwilę obetną głowę dla szczytnego celu. Tyle że ten cały Sidney odnalazł w sobie szlachetność, więc pewno wyglądał godnie, podczas gdy Martin sprawiał wrażenie normalnie wkurwionego.

Najpierw gadała wyłącznie Jess, tak że zmęczona nią Linda zaczęła wypytywać bezpośrednio Martina.

— Więc gdy ta postać się uniosła... Bo się unosiła, prawda?

— Dokładnie — potwierdziła Jess. — Jak powiedziałam, z początku unosił się za wysoko, bo trochę wyszedł z wprawy, ale później sobie znalazł odpowiedni poziom.

Martin skrzywił się, jakby anielska odmowa wsparcia stóp na podłożu wprawiła go w jeszcze większe zażenowanie.

— A o czym myślałeś, Martinie, gdy anioł unosił się przed tobą?

— Myślałem? — powtórzył Martin.

— Tak za dużo to myśmy nie myśleli, co nie? — stwierdziła Jess. — Byliśmy za bardzo oszołomieni.

— To prawda — potwierdził Martin.

— Coś jednak musiałeś sobie pomyśleć — domagała się Linda. — Chociażby: „Cholera jasna, ciekawe,

czyby mi się go udało ściągnąć do *Kto rano wstaje z Martinem i Penny* — zachichotała zachęcająco.

— No, cóż — odparł Martin — pamiętaj, że już dawno nie prowadzę tego programu. Zapraszanie go byłoby zatem stratą czasu.

— Ale przecież masz swój program w kablówce.

— Owszem.

— Może więc tam by chciał wystąpić — znów zachichotała, aby go zachęcić.

— Zwykle staramy się zapraszać ludzi z show-biznesu. Komików, gwiazdy telenowel... Czasami jakiegoś sportowca.

— Więc mówisz, że jego byś nie zaprosił — przy-jąwszy tę metodę przesłuchiwania, Linda widocznie nie miała ochoty prędko z niej zrezygnować.

— Nie wiem.

— Nie wiesz? — prychnęła. — Dajże spokój, przecież to nie show Davida Lettermana, prawda? Nie macie tam tłumów chętnych do występu.

— Nie narzekamy.

Stwierdziłem, że Linda całkiem po prostu nie rozumie istoty sprawy. Anioł — kto wie, może nawet wysłannik Najwyższego? — nawiedził wieżowiec przy Archway, żeby nas wszystkich powstrzymać przed samobójstwem, tymczasem ona chciała się dowiedzieć, czemu nie został zaproszony do jakiegoś talk-show. Niebywałe. O coś podobnego to chyba by się raczej pytało Pod sam koniec takiego wywiadu.

— Tak czy owak, był on pierwszą osobą z tego dachu, o której w ogóle słyszeliśmy.

— To jużście o nim słyszeli, tak? — spytał Martin. — Właśnie o tym aniele? Co przypomina Matta Dantona?

— Słyszałam o aniołach — odrzekła.

— Nie wątpię, że słyszałaś o aktorkach — powiedział Martin. — Też u nas występowały.

— Do czego niby zmierza ta rozmowa? — odezwałem się. — Naprawdę chcesz napisać, jak to Anioł Matt nie gościł w programie Martina?

— To tak go nazywacie? — zapytała. — Anioł Matt?

— Przeważnie nazywamy go po prostu „anioł” — odparła Jess. — Ale...

— Zgodzisz się uprzejmie, by Martin odpowiedział na kilka moich pytań?

— Zadałaś mu już nie wiem ile — odpowiedziała Jess. — Maureen nie powiedziała ani słowa. Tak samo JJ prawie nic.

— Bo Martin jest znany większości — oświadczyła Linda. — Martin? Tak go nazywacie?

— Po prostu „anioł” — odrzekł Martin. Wyglądał radośniej niż tamtej nocy, gdy sobie próbował odebrać życie.

— Mogłabym tylko coś sprawdzić? — spytała Linda. — Martin, widziałeś go, prawda?

Martin drgnął na krześle. Najwyraźniej rozglądał się po zakamarkach swej głowy, ażeby się upewnić, czy nie ma tam przypadkiem dróg ucieczki, których wcześniej nie zauważył.

— Ależ tak — odpowiedział. — Oczywiście, że widziałem. Był... Był niesamowity.

I wypowiedziawszy to, w końcu wszedł do klatki, jaką przed nim otworzyła Linda. Publika na wolności mogła teraz bez skrupowania szturchać go i wyzywać — on zaś musiał spokojnie siedzieć i znosić to jak eksponat w galerii wybryków natury.

Ale odtąd już każde z nas było wybrykiem natury. Otwierając nazajutrz poranną gazetę, nasi przyjaciele i rodzina oraz byłe i byli mogli dojść wyłącznie do następujących wniosków: 1) wszystkim nam odwaliło albo 2) byliśmy artystami hochsztaplerami. Okay, ściśle rzecz biorąc, istniała też trzecia konkluzja, a mianowicie: mówiliśmy prawdę. Widzieliśmy anioła podobnego do Matta Damona, który z sobie jedynie znanych przyczyn namówił nas do zejścia z dachu. Muszę jednak powiedzieć, że nie znam nikogo, kto by w to uwierzył. No, może moja stryjeczna babka Ida, która mieszka w Alabamie i co niedzielę rano w swoim kościele ma do czynienia ze żmijami — lecz ona również jest jebnięta.

No więc w sumie — tak na moje oko — to mieliśmy do pokonania naprawdę długą drogę powrotną. Jakbyście mieli narysować mapę, to też byście przyznali, że kredyty hipoteczne, związki, praca i tym podobne sprawy, które się składają na normalne życie, były tak mniej więcej w Nowym Orleanie — tymczasem my przez ten cały kit umiejscowiliśmy się gdzieś na północy Alaski. Kto by zechciał zatrudnić gościa, który widuje anioły? I kto da robotę gościowi, co mówi, że widzi anioły, chcąc na tym zbić parę dolców? Nikt — więc jako poważni ludzie byliśmy skończeni. Sprzedaliśmy swą powagę za tysiąc dwieście pięćdziesiąt funtów szterlingów i według wszelkich znaków na niebie i ziemi miało nam to wy-

starczyć do końca naszych dni, chyba że byśmy nagle ujrzeli Boga, Elvisa albo Lady Di. Tyle że teraz musielibyśmy zobaczyć ich naprawdę i zrobić im zdjęcia.

Trochę ponad dwa lata temu przyszedł się z nami spotkać menadżer R.E.M., pytając, czybyśmy chcieli, żeby nas reprezentowała jego firma, na co stwierdziliśmy, że zadowala nas to, co mamy. R.E.M.! Dwa lata i dwa miesiące temu! Siedzieliśmy sobie w tym wypasionym biurze i ten gostek próbował nas, czujecie: nas, przekonywać. Teraz — siedziałem z osobami pokroju Maureen i Jess, uczestnicząc w żalostnej próbie wyciśnięcia paru dolców od kogoś rozpaczliwie pragnącego je nam dać, pod warunkiem że bez zastrzeżeń zgodzimy się totalnie zbłąźnić. Wspomniane dwa lata nauczyły mnie jednego: że nie ma takiej rzeczy, której by nie można było spierdolić, jeżeli się człowiek tylko odpowiednio postara.

Jedyną pociechą było, że nie miałem tu ani przyjaciół, ani rodziny; nie znał mnie nikt, oprócz może kilku fanów zespołu, a mam szczerą nadzieję, że nie należeli oni do tych, co czytują gazetę Lindy. No, i mogło ją gdzieś też widzieć paru gości z pizzerii, ale oni wyczuliby, że chodzi o szmolec i desperację, tak więc upokorzenie by im było kompletnie obojętne.

Wobec czego została tylko Lizzie, a ona mogła sobie spokojnie zobaczyć zdjęcie, gdzie wyglądam na szaleńca. Wiecie, dlaczego mnie rzuciła? Otóż dlatego, że w końcu nie chciałem zostać gwiazdą rock'n'rolla. Jesteście, kurwa, w stanie sobie coś takiego wyobrazić? W życiu, bo to poza wszelkim wyobrażeniem, a tym samym niewyobrażalne. „O, udupienie wszelakie, Niewiasty no-

sisz imię"- Tak sobie wtedy myślałem, wiecie, że świadomość, jak mi spała życie, jej nie sprawiłaby bólu. prawdę powiedziawszy, gdybym przez jakiś czas mógł być niewidzialny, to najpierw — po napadzie na bank, wejściu do damskiej łazienki w siłowni i podobnych akcjach — podsunąłbym jej tę gazetę przed oczy i przyglądał się, jak czyta.

Jak widzicie, nie miałem wtedy pojęcia o niczym. Sądziłem, że mam, ale było inaczej.

## MAUREEN

Stwierdziłam, że po tym wywiadzie z Lindą to już nigdy nie będę w stanie wrócić do kościoła. Myślałam o tym trochę dzień naprzód; okropnie mi go brakowało i zastanawiałam się, czy Bogu rzeczywiście by przeszkadzało, gdybym tak sobie usiadła gdzieś z tyłu, nie idąc do spowiedzi — i wymknęła się przed komunią. Odkąd jednak powiedziałam Lindzie, że widziałam anioła, czułam, że się muszę trzymać z dala od domu bożego i że aż do śmierci więcej się tam nie pokażę. Nie wiedziałam, jaki konkretnie grzech popełniłam, ale byłam pewna, że grzechy związane ze zmyślaniem aniołów to grzechy śmiertelne.

Nadal sądziłam, że się zabiję, kiedy już minie te półtora miesiąca, bo też niby czemu bym miała się rozmyślić? Pochłaniało mnie teraz znacznie więcej niż dotąd, chociażby wywiady dla prasy, no i te spotkania, Przez co, przypuszczam, oderwałam się od codzienności. Cała ta gonitwa była takim trochę zajęciem na ostatnia chwilę, jakbym miała do załatwienia pewne sprawy



przed wyjazdem na urlop. Zachowywałam się więc jak ktoś, kto zamierza zabić się wkrótce, w momencie, gdy już będę mogła przystąpić do rzeczy.

Chciałam powiedzieć, że w tym dniu, w dniu wywiadu z Lindą, ujrzałam pierwszy nikły promień światła, ale to nie do końca prawda. Było raczej tak, jakbym już podjęła decyzję, co mam ochotę obejrzeć w telewizji, i zaczęłam się na to cieszyć, po czym stwierdziłam, że nadają coś innego, co może być ciekawsze. Nie wiem jak tobie, ale możliwość wyboru nie zawsze mi służy. Bo nieraz się to kończy tak, że skacząc po kanałach, niczego nie oglądam od początku do końca. Nie mam pojęcia, jak sobie z tym radzą posiadacze telewizji kablowej.

Tak czy owak, po tym wywiadzie wdałam się w rozmowę z JJ'em. Wybierał się do domu, a że ja kierowałam się w stronę przystanku, kawałek przeszliśmy razem. Nie jestem przekonana, czy miał na to ochotę, ponieważ od czasu gdy w wigilię Nowego Roku trzepnęłam tego młodzieńca, prawieśmy nie rozmawiali, ale że sytuacja była taka trochę niezręczna, bo szłam parę kroków za nim — zatrzymał się, żebym go dogoniła.

— Dosyć to było trudne, prawda? — stwierdził, co mnie wprawiło w zdumienie, bo sądziłam, że tylko ja jedna tak uważam.

— Nie znoszę kłamstwa — odparłam.

Gdy na mnie spojrzał i się roześmiał, od razu sobie przypomniałam jego kłamstwo.

— Bez obrazy — powiedziałam. — Ja także skłamałam. O tym aniele. I okłamałam Matty'ego. Ze idę na sylwestra. Pracowników ośrodka również okłamałam— Myślę, że Bóg ci to wybaczy.

Chwilę szliśmy w milczeniu, gdy nagle — z niepojętej dla mnie przyczyny — zapytał:

— Co by mogło spowodować, żebyś zmieniła zdanie?

— Na jaki temat?

— Na temat... wiesz. Potrzeby Skończenia z Tym Wszystkim.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

— Gdybyś mogła wejść w układ z Bogiem, coś w tym stylu. Przy stole naprzeciw ciebie zasiada Ważny Gość i mówi tak: „Okay, Maureen, lubimy cię, ale naprawdę zależy nam, żebyś została na Ziemi. Jak mamy cię przekonać? Co zaproponować?”.

— Bóg prosi mnie osobiście?

— No.

— Gdyby Najwyższy poprosił mnie osobiście, nie musiałby mi proponować niczego.

— Serio?

— Gdyby Bóg w swej nieskończonej mądrości chciał, abym została na Ziemi, jakże bym mogła się czegokolwiek domagać?

JJ roześmiał się.

— No, dobra. Więc nie Bóg.

— A kto?

— Jakiś... Nie wiem. Jakiś kosmiczny, no wiesz, prezydent. Albo premier. Tony Blair. Ktoś, kto umie załatwiać sprawy. Nie musisz robić, co mówi Tony Blair, bez proszenia o coś w zamian.

— Umie wyleczyć Matty'ego?

— Nie. On umie tylko załatwiać.

— Chciałabym wakacji.

— Jeezu. Za droga to ty nie jesteś. Chciałabyś dożyć swych dni w zamian za tydzień na Florydzie?

— Chciałabym pojechać za granicę. Nigdy tam nie byłam.

— Nigdy nie byłaś za granicą?

Powiedział to w taki sposób, jakbym się powinna zawstydzić, więc się na chwilę zawstydziłam.

— Kiedy ostatnim razem miałaś urlop?

— Zaraz przed urodzeniem Matty'ego.

— A ile on ma lat?

— Dziewiętnaście.

— Okay. Więc jako twój menadżer zamierzam poprosić Ważnego Gościa o roczne wakacje. A może i dwuletnie.

— Nie ma mowy! — okropnie się zgorszyłam. Teraz widzę, że potraktowałam to wszystko zbyt poważnie, ale zabrzmiało tak prawdziwie — a roczny urlop wydał mi się stanowczo za długi.

— Zaufaj mi — rzekł JJ. — Znam rynek. Kosmiczny Tony nawet nie mrugnie okiem. Dalej, nie żałuj sobie!

— Ależ o nic więcej już prosić bym nie mogła.

— Powiedzmy, że ci daję dwa tygodnie urlopu na rok. Pięćdziesiąt tygodni to długo, żeby na to czekać, rozumiesz? A na następne spotkanie z Kosmicznym Tonym nie masz co liczyć. Teraz albo nigdy; o wszystko, co chcesz, musisz poprosić za jednym razem.

— Praca.

— Potrzebujesz pracy?

— Oczywiście, że tak.

— Jakiej?

— Bądź jakiej. Chociażby w sklepie. Czegoś, co by mnie wyrwało z domu.

Pracowałam, zanim urodził się Matty. Miałam robotę w sklepie z artykułami piśmiennymi dla firm przy Tufnell Park. Dobrze się tam czułam; podobały mi się te wszystkie pióra, papiery i koperty przeróżnych rozmiarów. Lubiałam szefa. Od tamtej pory nie pracowałam.

— Okay. No, dalej, dalej.

— Może trochę życia towarzyskiego. W kościele robią czasem quizy. Takie jak w pubie, tylko że nie w pubie. Chciałabym raz spróbować się w czymś takim.

— Dobra. Załatwimy ci quiz.

Próbowałam się uśmiechnąć, wiedząc, że JJ tak trochę żartuje, ale była to dla mnie trudna rozmowa. Prawie nic nie przychodziło mi do głowy, przez co się denerwowałam. A także czułam przedziwny lęk. Było to tak, jak odkrycie we własnym domu drzwi, których się nigdy wcześniej nie widziało. Chciałabyś wiedzieć, co się za nimi kryje? Zapewne tak, ja jednak nie. Nie chciałam, żebyśmy dalej rozmawiali o mnie.

— A ty? — zapytałam JJ'a. — Co ty byś powiedział Kosmicznemu Tony'emu?

— Ha. Sam nie wiem, stary. — Każdego nazywa »starym", nawet gdy się jest kobietą. Ale można się do tego przyzwyczaić. — Może, pojęcia nie mam... Żebym mógł na nowo przeżyć minione piętnaście lat czy coś takiego. Skończyć ogólniaka. Zapomnieć o muzyce. Stać się człowiekiem, którego zadowala to, co ma, a nie to, czym chciałby być, rozumiesz?

— Ale Kosmiczny Tony tego załatwić nie potrafi.

— Dokładnie.

— Więc twoje położenie jest dużo gorsze od mojego. Kosmiczny Tony może załatwić moje sprawy, a twoich nie.

— Nie, kurczę, nie, sorry, Maureen. Wcale nie o to mi chodziło. Masz... Masz bardzo ciężkie życie, ale całkiem nie z własnej winy, a wszystko, co mnie się dzieje, wynika zwyczajnie z mojej głupoty i... Nie ma co porównywać. Naprawdę. Przykro mi, że poruszyłem ten temat.

Ale mnie nie było przykro. Myślenie o Kosmicznym Tonym spodobało mi się o wiele bardziej niż myślenie o Bogu.

MARTIN

Nagłówek w gazecie Lindy — na tytułowej stronie, wraz ze zdjęciem przedstawiającym mnie leżącego twarzą do ziemi przed wejściem do nocnego klubu — brzmiał: W KWESTII HARF: MARTIN SHARP. Tyle że, wbrew obietnicy Lindy, bynajmniej nie zaakcentowała ona w artykule piękna i tajemnicy naszego doznania na dachu, skupiając się na zupełnie innym aspekcie historii, a mianowicie — niespodziewanym a uroczym obłędzie byłej gwiazdy telewizji. Jako dziennikarz sędzę, że w sumie spisała się nie najgorzej.

— Co to znaczy? — spytała mnie rano Jess przez telefon.

— Nawiązanie do starej reklamy piwa — odrzekłem. — HARFA: ZAWSZE PÓŁ TONU WYŻEJ.

— A co tu ma do rzeczy piwo?

— Nic. Ale piwo nazywało się Harfa, a ja Sharp, tak się to trochę łączy, no wiesz.

— Okay. Więc co mają z tym wspólnego harfy?

— Podobno grywają na nich anioły.

— Co ty?! To trzeba było powiedzieć, że on grał na harfie? Żeby było bardziej przekonująco?

Stwierdziłem, że moim zdaniem istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że dodanie harfy do portretu anioła Matta Damona, któryśmy stworzyli, mogłoby pomóc przekonać ludzi co do jego autentyczności.

— A tak w ogóle, to czemu pisze tylko o tobie? O nas, kurwa, ledwie w ogóle wspomina.

Tego ranka odebrałem jeszcze wiele innych telefonów. Najpierw od Theo, który oznajmił, że artykuł wzbudza ogromne zainteresowanie i stwierdził, że nareszcie dałem mu coś, nad czym ma szansę sobie popracować, o ile tylko odpowiada mi dzielenie się z szerokim odbiorcą tak intymnym przeżyciem duchowym. Potem zadzwoniła Penny, która chciała się spotkać i porozmawiać, jak również moje córki.

Nie było mi wolno widywać się z nimi od wielu tygodni, ale najwidoczniej instynkt macierzyński podpowiedział Cindy, że dzień, w którym tatuś pojawił się w gazetach, opowiadając o spotkaniu z wysłannikiem Pana Boga, to stosowny moment, aby ponownie nawiązać kontakt.

— Tatusiu, widziałeś anioła?

— Nie.

— Mamusia mówiła, że widziałeś.

— Niestety, ale nie.

— To dlaczego mamusia powiedziała, że widziałeś?

— Ją lepiej o to zapytajcie.

— Mamusiu, dlaczego powiedziałaś, że tatuś widział anioła?

Czekałem cierpliwie, aż po drugiej stronie słuchawki zakończy się krótka rozmowa.

— Mówi, że tego nie powiedziała. Mówi, że tak piszą w gazecie.

— Nabujałem, kochanie. Żeby troszkę zarobić.

— Aha.

— Żeby wam kupić coś ładnego na urodziny.

— Aha. Dlaczego dostaje się pieniądze za powiedzenie, że się widziało anioła?

— Powiem wam innym razem.

— Aha.

Następnie rozmawiałem też z Cindy, chociaż nie trwało to zbyt długo. W czasie naszej rozmowy odniosłem się do dwóch różnych typów udomowionych samic.

Zadzwoił również mój szef z Żyj z Wigorem. Aby mnie powiadomić, że zostałem wylany.

— Żartujesz.

— Niestety nie, Sharpy. Ale też nie zostawiłeś mi innego wyboru.

— A to mianowicie czemu?

— Widziałeś, co dziś napisali?

— I to ci niby przeszkadza?

— Mówiąc szczerze, przedstawili cię tam jako świra.

— No, a reklama dla kanału?

— Według mnie — całkowicie negatywna.

— Sądzisz, że w przypadku Żyj z Wigorem w ogóle można mówić o czymś takim, jak negatywna reklama?

— Jak to?

— Wziąwszy pod uwagę, że nikt nie ma pojęcia o naszym istnieniu. Prócz ciebie, ma się rozumieć.

Zapadła długa, długa cisza, podczas której można było usłyszeć obroty rdzewiejących kół zębatach mózgu nieszczęsnego Declana.

— Ach, tak. Bardzo sprytne. Nie przyszło mi to do głowy.

— Nie mam zamiaru błagać cię na kolanach. Aczkolwiek moim zdaniem byłoby to cokolwiek przewrotne. Zatrudniasz mnie w momencie, gdy absolutnie nikt na świecie nie chciałby mi dać tej szansy. Po czym zwalniasz mnie, kiedy jestem w samym centrum uwagi. Iluż to twoich prezenterów opisują dziś wszystkie gazety?

— Racja, racja. Czuję, o ci chodzi. Jeśli się nie mylę, chcesz powiedzieć, że nie ma czegoś takiego jak zła reklama dla... początkującej stacji kablowej.

— Na pewno nie umiałbym tego określić w sposób równie elegancki. Ale tak, o to właśnie, krótko mówiąc, chodzi.

— Okay, Sharpy. Przekonałeś mnie. Kogo dajemy dziś po południu?

— Dziś po południu?

— No. Jest czwartek.

— Hmm.

— Czyżbyś zapomniał?

— Właściwie to... No, tak jakby.

— Czyli nie mamy nikogo?

— Myślę, że mógłbym zaprosić JJ'a, Maureen i Jess.



— Co to za ludzie?  
— Pozostała trójka.  
— Jaka pozostała trójka?  
— Czytałeś artykuł?  
— Tylko ten, że widziałeś anioła.  
— Byli ze mną na górze.  
— Na jakiej górze?  
— Declan, cała historia z aniołem wyniknęła stąd, że chciałem popełnić samobójstwo. No i na szczycie wieżowca natknąłem się na trzy osoby, które miały zamiar zrobić dokładnie to samo. Po czym... No, krótko rzecz ujmując, ten anioł namówił nas do zejścia.  
— Ja pierdolę.  
— Dokładnie.  
— I myślisz, że ci się uda ściągnąć tych troje?  
— Prawie na pewno.  
— Chrystusie Nazareński. Jak sądzisz, ile to będzie kosztować?  
— Może z trzysta funciaków dla całej trójki. Plus koszty. Jedno z nich to... No cóż, sama wychowuje dzieciaka, który wymaga porządnej opieki.  
— Więc dobra. Pierdolić. Pierdolić te koszty.  
— Dec, konkretny z ciebie gościu.  
— Myślę, że to świetny pomysł. I bardzo mnie to cieszy. Poczciwy Declan wciąż w obiegu, mam rację?  
— Jasna rzecz. Jak chodzi o gorące tematy, prawdziwy z ciebie ogar. Po prostu Dziennikarski Pies Baskervillów.  
— Musicie jednak mieć świadomość — poinformowałem ich — że nikt tego nie będzie oglądał.

— To taka twoja zawodowa sztuczka na przynętę, co? — porozumiewawczo stwierdził JJ.

— Nie — odparłem. — Naprawdę. Nie będzie dosłownie ani jednego widza. W życiu nie spotkałem człowieka, który by widział mój program.

Światowa siedziba Żyj z Wigorem — kanału nie bez przyczyny nazywanego przez swych pracowników Żyj z Cycorem — znajduje się w czymś na kształt szopy w Hoxton. Szopa mieści niewielką recepcję, dwie garderoby i studio, gdzie powstają wszystkie cztery z naszych lokalnych programów. Co dzień rano niejaka Candy-Ann sprzedaje kosmetyki; ja dzielę czwartkowe popołudnia z Didżejem DobraNowina, który rozmawia ze zmarłymi — zazwyczaj w imieniu recepcjonistki, czyściciela okien, kierowcy taksówki zamówionej, żeby go odwiedzić do domu, lub kogokolwiek innego, kto się tam akurat nawinie: „Asifie, czy litera A coś może dla ciebie znaczyć?”, i tak dalej. Pozostałe popołudnia wypełniają stare taśmy ze Stanów z wyścigami psów: pewnego razu postanowiono zaproponować widzom możliwość obstawiania, ale nic z tego nie wynikło, a według mnie, jeśli nie można obstawiać, to wyścigi psów, a zwłaszcza stare wyścigi, poniekąd tracą swój urok. Wiezorami siadają i rozmawiają dwie kobiety w — i zazwyczaj o swej bieliźnie, odbierając i ignorując lubieżne esemesy od oglądających. I tak to mniej więcej wygląda. Declan kieruje Żyj z Wigorem w imieniu tajemniczego azjatyckiego biznesmena, więc my — pracownicy stacji — możemy tylko przypuszczać, że mamy do czynienia z handlem twardymi narkotykami i dziecięcą pornografią. Jedna z teorii głosi, że psy występujące w wyścigach przekazu-

ją handlarzom tajne informacje: jeżeli, na przykład, wygrywa pies na zewnętrznym torze, dla wtyczki w Tajlandii oznacza to, że nazajutrz rano, gdy tylko wstanie, ma wysłać parę kilo heroiny i cztery trzynastolatki. No, w każdym razie coś w tym stylu.

Gośćmi mego programu, zatytułowanego, jak się nietrudno domyślić, *Ostre Słowa (Sharp Words)*, są zazwyczaj pragnący mi pomóc starzy przyjaciele albo niegdysiejsze sławy, jadące na wózku podobnym do mojego, a więc — zmurszałym i gotowym się lada chwila rozlecieć. Od czasu do czasu zdołam zaprosić kogoś średniej świeżości i wtedy wszyscy strasznie się podniecają, zwykle jednak są to gwiazdy bardzo już dawno przebrzmiałe. Candy-Ann, Didżej DobraNowina i wspomniane dwie damy w negliżu pojawili się w moim show nie jeden, a kilka razy — aby widzowie mogli się z nimi nieco lepiej zapoznać. (*Ostre Słowa* trwają dwie godziny i chociaż dział reklamy, to jest Karen z recepcji, stara się jak może — rzadko się nam zdarza oddawać głos sponsorom. Jest więc wysoce nieprawdopodobne, że potencjalny widz poczuje się tak, jakbyśmy zdołali tylko musnąć temat rozmowy). Przedstawienie osób kalibru Maureen i Jess stanowiło zatem niemałe osiągnięcie: na palcach jednej ręki dałoby się zliczyć przypadki, gdy gościłem osoby, o których gazety pisały w ciągu tej samej dekady.

Szczyliłem się swymi wywiadami. To znaczy: szczycę się nimi nadal, ale w okresie, gdy przypuszczalnie nic innego nie umiałem robić jak należy, trzymałem się swej umiejętności pracy w studio jak konaru nad urwiskiem. W swoim czasie prowadziłem wywiady z pijany-

mi i rozlazłymi aktorami o ósmej rano, jak również z pijanymi i agresywnymi piłkarzami o ósmej wieczorem. Zmuszałem kłamiących polityków do mówienia czegoś bliższego prawdy i musiałem stawiać czoło matkom opowiadającym o swym cierpieniu w sposób deprymująco rozwlekły, ale ani razu nie dopuściłem, aby program nabrał cikliwego charakteru. Traktując swoją kanapę jak salę lekcyjną, nigdy nie tolerowałem krnąbrności. Nawet podczas desperackich miesięcy Żyj z Wigorem trwonionych na rozmowach z ludźmi, którzy zarówno przedtem, jak i wówczas byli nikim, nie mieli nic do powiedzenia i w ogóle nie posiadali umiejętności wyrażania czegokolwiek — świadomość, że istnieje w mym życiu coś, na czym się znam, dodawała mi otuchy. Toteż gdy Jess i JJ stwierdzili, że mój show to ścierna i zaczęli się zachowywać stosownie do tej konstatacji, dopadło mnie coś w rodzaju niewydolności poczucia humoru. Nie muszę podkreślać, jak ogromnie nad tym boleję; jak przykro mi, że się nie zdobyłem na mniejsze zadęcie i odrobinę luzu. Przyznaję, że ich zachęcałem do opowieści o niezapomnianym przeżyciu, którego nie mieli — o czym sam doskonale wiedziałem. Przyznaję też, że to wyimaginowane niezapomniane przeżycie było nedorzecznością. A jednak, mimo tych przeszkód, spodziewałem się z ich strony bardziej profesjonalnego podejścia do rzeczy.

Ale też bez przesady: prowadzenie wywiadu w telewizji to nie jakiś, cholera jasna, niezgłębiony kosmos. Najpierw gawędzi się chwilę z gośćmi i ustala tak mniej więcej kierunek rozmowy, a także przypomina się im 0 Prześmiesznych anegdotach, które powinni przyto-

czyć, jak również — w tym wypadku — o znanych już powszechnie pewnych faktach, które mieliśmy omówić, a więc informacjach podanych przez Jess w jej pierwszym wywiadzie, czyli że: anioł był podobny do Matta Damona, unosił się nad dachem i miał na sobie luźny biały garnitur. „Żeby się wam tylko coś nie popieprzyło — ostrzegłem ich — bo będą kłopoty”. I — proszę, co się dzieje już na samym początku? Pytam JJ'a o strój anioła, a on odpowiada, że był ubrany w reklamowy T-shirt filmu z Sandrą Bullock, pod tytułem *Ja cię kocham, a ty śpisz* — filmu, który przez przypadek widziała w telewizji Jess, wobec czego mogła go dość szczegółowo streścić.

— Spróbujmy jednak trzymać się tematu — upomniałem ich. — *Ja cię kocham, a ty śpisz* widziało wiele osób. Anioła z pewnością bardzo mało.

— Spierdalaj. I tak nikt tego nie ogląda. Sam mówiłeś.

— Ale to była tylko taka moja stara sztuczka na zachętę.

— No więc będziemy mieć kłopoty. Bo właśnie ci powiedziałam: „spierdalaj”. Dostaniesz za to kupę skarg.

— Myślę, że nasi widzowie są na tyle obyci, że zdają sobie sprawę, iż skrajne przeżycia nieraz wywołują skrajne wypowiedzi.

— Dobra. Spierdalajspierdalajspierdalaj — przepraszająco machnęła ręką do Maureen, a następnie do kamery, w stronę oburzonych brytyjskich widzów. — Poza tym oglądanie głównianych filmów z Sandrą Bullock to nie żadne skrajne przeżycie.

— Mówiliśmy o aniele, nie o Sandrze Bullock.

— Jakim aniele?

I tak dalej, i dalej, dopóki nie wszedł Declan, wprowadzając kobietę od kosmetyków, a nas wyprowadzając ze studia na ulicę, co w moim wypadku znaczyło również: na bruk.

JESS

Ktoś powinien napisać piosenkę albo coś takiego pod tytułem „Wkurwiają cię mama i tato”. Przykładowo: „Wkurwiają cię mama i tato i nic, do kurwy nędzy, zrobić nie możesz na to”. Bo tak jest. Zwłaszcza tato. Dlatego ten rym jest do niego dopasowany. Nie cieszyłby się, że tak mówię, ale gdyby nie ja i Jen, to w życiu by nikt o nim nie usłyszał. On wcale nie jest jakimś wielkim szefem od oświaty — nie to co sekretarz stanu. Istnieje cała kupa ministrów i on jest tylko jednym z wielu, więc, jak to się nazywa, takim jakby młodszym ministrem, czyli totalne jajo, bo młody to on nie jest w ogóle. Tak w sumie to polityk, co ma przerąbane, naprawdę. Nikomu by nie przeszkadzało, jakby mając przerąbane, trochę sobie odpuścił i stwierdził, co myśli o Iraku czy coś w tym stylu, ale on nie; nie dość, że mówi tylko to, co mu każą, to i tak guzik z tego ma.

Każdy generalnie ma taką linkę, co go z kimś tam łączy, i ta linka może być krótka albo długa. Chociaż się nie wie, jakiej jest długości. I to nie od nas zależy. Linka Maureen wiąże ją z Mattym, ma ze trzydzieści centymetrów i ją zabija. Linka Martina łączy go z córkami, a on, jak durny pies, myśli, że jej w ogóle nie ma. Poleci gdzieś — do nocnego klubu na dziewczynki, na dach,

obojętne — i wtedy nagle ta linka go ciągnie i dusi, a ten się niby dziwi, po czym na drugi dzień robi dokładnie to samo. Myślę, że JJ jest złączony z Eddiem, tym gościem, co o nim ciągle gada i co z nim był w zespole.

A ja coraz bardziej widzę, że jestem związana z Jen, a nie z mamą i tatą — nie z domem, gdzie ta linka powinna prowadzić. Jen też myślała, że jest z nimi związana, na stówę. Czuła się bezpieczna, bo po prostu była dzieciakiem z rodzicami, więc chodziła i chodziła, aż doszła do jakiejś skarpy albo na pustynię, albo do Teksasu ze swoim mechanikiem. Myślała, że ta linka ją szarpnie z powrotem, ale jej nie było. Dostała twardą lekcję. Więc teraz ja jestem związana z Jen, ale Jen nie jest solidna jak budynek. Gdzieś tam się buja, tylko że nikt nie wie, gdzie jest; tak w sumie to, kurwa, bez sensu, no nie?

Tak czy siak, mamie i tacie nic nie zawdzięczam. Mama to rozumie. Już nie pamiętam, kiedy przestała na cokolwiek czekać. Wciąż się miota z powodu Jen i nienawidzi taty, i ze mną też sobie dała spokój, więc jeśli o to chodzi, to wszystko jest na swoim miejscu. Ale tacie ciągle się zdaje, że ma do czegoś prawo, czyli totalna ścierna. Pokazywał mi przykładowo te artykuły, co o nim różni pisali, mówiąc, że powinien ustąpić, bo jego córka jest w takim, kurwa, stanie — kiedy mnie to normalnie waliło. Ja wtedy: „To sobie ustępuj. Albo nie. Obojętne”. Potrzebowałam rozmowy z jakimś doradcą od kariery, a nie z córką.

No, w każdym razie w gazetach to tak za długo żeśmy nie byli. Zarobiliśmy jeszcze spory kawałek forsy za występ w nowym talk-show piątki. Chcieliśmy się posta-

rać, żeby tym razem wyszło normalnie, ale ta baba, co z nami robiła wywiad, okropnie mnie wnerwiła, więc jej powiedziałam, żeśmy to wszystko zmyślili dla szmalu — to ona nas ochrzaniła i te bezmózgowe stare torby na widowni nas wybuczały. I na tym się skończyło. Nikt już nie chciał z nami rozmawiać. Musieliśmy sobie sami zapewnić rozrywkę. Co wcale nie było trudne. Miałam mnóstwo pomysłów.

Na przykład to ja wymyśliłam, żebyśmy się regularnie spotykali na kawie — albo u Maureen, albo gdzieś w Islington, kiedy by się dało znaleźć kogoś do pilnowania Matty'ego. Byliśmy gotowi wydawać trochę z tych pieniędzy na babysitterki, czy jak się tam je nazywa; udawaliśmy, że nam na tym zależy, bo chcemy, żeby Maureen sobie trochę odpoczęła, ale tak naprawdę to nie chcieliśmy ciągle chodzić do niej. Bez obrazy, ale Matty dołował tak, że naprawdę.

Oczywiście Martinowi się mój pomysł nie spodobał. Najpierw chciał wiedzieć, co znaczy „regularnie”, gdyż nie chciał się czuć zobowiązany. Wtedy ja coś tak: „Pewnie, kiedy się nie ma ani dzieci, ani żony, ani dziewczyny, ani roboty, to wiadomo, że trudno znaleźć chwilę czasu”, na co on, że to wcale nie kwestia czasu, a kwestia wyboru, więc mu musiałam przypomnieć, że się zgodził należeć do bandy. Wtedy on: „Co z tego?”, na co ja: „To jaki jest sens się zgadzać?”, na co on, że żaden — uznając, że to zabawne, bo coś mniej więcej w tym stylu sama powiedziałam na dachu w sylwestra. To stwierdziłam tak: „Jesteś ode mnie dużo starszy, a mój młody umysł jeszcze się w pełni nie uformował”, na co on: „Powtórz to, bardzo proszę”.



Następnie nie mogliśmy dojść do porozumienia, gdzie się będziemy spotykali. Ja chciałam chodzić do Starbucks, bo lubię frappuccino i w ogóle, ale JJ powiedział, że go nie interesują wielkie korporacje, a Martin przeczytał w jakimś pozerskim piśmie o szpanerskim barku kawowym między Essex Road i Upper Street, gdzie na poczekaniu hodują fasolę czy coś takiego. Więc żeśmy się tam spotkali, żeby mu zrobić radochę.

Jak się okazało, miejsce to właśnie zmieniło nazwę i klimat. Szpanerstwo im się nie sprawdziło, więc przestali szpanować. Do niedawna nazywali się Tres Marias, jak jedna tama w Brazylii, ale gościu, który to prowadzi, stwierdził, że ludzie nie do końca wiedzą, o co chodzi, bo co Maria ma wspólnego z kawą, a cóż dopiero trzy? A nie miał nawet jednej. Tak że teraz to się nazywało Captain Coffee, więc każdy wiedział, co sprzedają, ale w sumie niewiele to zmieniło. Dalej mieli puchy, choć klasy to już nie.

Weszliśmy, i ten właściciel miał na sobie stary mundur wojskowy i zsalutował do nas, mówiąc: „Captain Coffee do państwa usług”. Pomyślałam, że to fajne, ale Martin wtedy: „Chryste Panie”, i zaraz chciał wychodzić, ale Captain Coffee nie chciał nas wypuścić — taki był zdesperowany. Powiedział, że będąc u niego po raz pierwszy, jak chcemy, to możemy się napić kawy i zjeść ciastko za darmo. Więc żeśmy nie wyszli, tylko że, niestety, było tam koszmarnie ciasno. Mieli chyba ze trzy stoliki, a każdy piętnaście centymetrów od kontuaru, tak że pochylony nad nim Captain Coffee dokładnie słyszał każde nasze słowo.

A przez to, kim żeśmy byli i co się nam przydarzyło, chcieliśmy pomówić o sprawach osobistych, więc jak tam tak stał, to go żenowało.

Martin mówi tak: „Wypijmy i chodźmy”, i zaraz potem wstał. Ale na to Captain Coffee: „Ale dlaczego?”. Więc ja: „Chodzi o to, że musimy pomówić na osobności”, na co on, że to doskonale rozumie i że wyjdzie, i zaczeka, aż skończymy. Wtedy ja: „Ale naprawdę wszystko, o czym mówimy, jest osobiste, z powodów, w które nie mogę wchodzić”. To on, że to nie szkodzi; że i tak poczeka na zewnątrz, chyba żeby jeszcze ktoś przyszedł. I tak też zrobił, wobec czego odtąd musieliśmy się umawiać na kawę w Starbucks. Trudno się nam było skupić na naszym nieszczęściu, kiedy ten palant w mundurze zaglądał przez okno, sprawdzając, czy przypadkiem nie kradniemy mu „biskwitów”, jak je nazywał. Wszyscy mówią, że takie miejsca jak Starbucks są anonimowe itede, ale czy to coś złego, jak człowiek tego potrzebuje? Byłabym zgubiona, gdyby marzenia takich jak JJ się spełniły i na świecie by nie istniało nic anonimowego. Ja to się cieszę, że są takie wielkie miejsca bez okien, gdzie nikt się tobą nie zajmuje. Trzeba się czuć pewnie, żeby chodzić do małych miejsc ze stałą klientelą, do małych księgarń i małych sklepów muzycznych, i małych kawiarni i restauracji. Najlepiej mi jest w Virgin Megastore i w Borders, i w Starbucks, i w Pizza Express, gdzie nikt cię w ogóle nie zna i gównem ich obchodzisz. Mama z tatą ciągle powtarzają, jakie bezduszne są te miejsca. Totalnie bez sensu.

Kółko literackie wymyślił JJ. Stwierdził, że w Stanach to dosyć powszechne, że ludzie czytają książki

i potem o nich rozmawiają. Martin powiedział, że jego zdaniem tu też się to staje modne, ale ja o tym nigdy nie słyszałam, więc aż takie modne to chyba nie jest, bo raczej bym musiała o tym przeczytać w „Dazed and Confused”. Pomysł polegał na tym, żeby mówić tak jakby o Czymś Innym, a nie kłócić się, kto jest klarnetem, a kto palantem, gdyż zwykle w ten sposób kończyły się popołudnia w Starbucks. No więc postanowiliśmy, że będziemy czytać książki o ludziach, którzy się zabili. Byli tacy nasi, więc żeśmy uznali, że powinniśmy się dowiedzieć, co im się działo w głowie. Martin powiedział, że chyba jednak więcej można by się nauczyć od ludzi, którzy się nie zabili — że lepiej czytać o tym, jak wspaniale jest dalej żyć, a nie jak cudnie jest się przekreślić. Ale się okazało, że pisarzy, którzy się nie zabili, było coś chyba z miliard, a tych, co się zabili, to troje czy czworo, więc wybraliśmy opcję łatwiejszą, czyli mniejszą stertę książek. Po głosowaniu zgodziliśmy się, żeby na ich zakup przeznaczyć fundusze z naszych występów w mediach.

Tylko że się okazało, że to wcale nie taka łatwa opcja. Ja pierdolę! Żebyś tak sobie spróbowała poczytać książki tych, co się pozabijali! Zaczęliśmy od Virginii Woolf; przeczytałam może z dwie strony tej książki o latarni, ale więcej nie musiałam, żeby wiedzieć, czemu się zabiła: zrobiła to, bo nikt jej nie mógł zrozumieć. Wystarczy przeczytać jedno zdanie, żeby się o tym przekonać. Tak się trochę z nią utożsamiam, bo też na to czasem cierpię, ale jej błąd polegał na tym, że wyszła z tym do ludzi. Choć w sumie to może i dobrze, bo zostawiła po sobie jakby pamiątkę, żeby tacy jak my mogli się cze-

goś nauczyć z jej problemów i w ogóle, ale jej samej to na dobre nie wyszło. Naprawdę miała babka pecha, jakby się tak zastanović, bo w dawnych czasach każdy sobie mógł wydać książkę, bo nie było takiej wielkiej konkurencji. Więc można było spokojnie wejść do biura wydawcy, mówiąc: „Wiesz, chcę sobie to wydać”, na co oni, że jasne, nie ma sprawy. Tymczasem teraz to by ci powiedzieli: „Nie, moja droga, idź sobie, nikt cię nie zrozumie. Zapisz się lepiej na pilates albo na lekcje salsy”.

Tylko JJ uznał, że ta książka jest super, tak że na niego wsiadłam, a wtedy on wsiadł na mnie, bo mi się nie podobała. Pyta się mnie, czy to dlatego, że mój tato czyta książki? Czy przez to się stałam taką palantką? Na co nie było trudno odpowiedzieć, gdyż tato nie czyta książek, niestety, o czym go zaraz poinformowałam. Pytając następnie: „Czy to przez to, żeś nie chodził do szkoły? Czy dlatego uważasz, że wszystkie książki są świetne, nawet jeżeli są do dupy?”. Bo niektórzy ludzie tak mają, co nie? Nie wolno nic mówić o książkach, bo to książki, a książki to, wiadomo, Bóg wie co. W każdym razie niezbyt mu się to spodobało, co znaczy, że trafiłam go w czułe miejsce. Powiedział, że widzi, że zniszczę nasz klub literacki i że sam się sobie dziwi, że nie wpadł na to od razu. Na co ja: „Niczego nie chcę niszczyć. Jak książka będzie gówniana, to ja to powiem”. On wtedy: „No, tylko że przecież dla ciebie wszystkie będą gówniane, bo jesteś taka, kurwa, przeciwstawna, wybac Maureen”. To ja do niego: „No, a dla ciebie wszystkie będą super, bo taki już jesteś porąbany”. Na co on: „Wszystkie są super”, i wymienił tych wszystkich ludzi, o których żeśmy mieli dyskutować w naszym klubie: Sylwię Plath,

Primo Leviego, Hemingwaya. Więc się pytam: „To jaki sens ma klub literacki, jeśli się wie z góry, że wszyscy są genialni? Co w tym takiego fajnego?”. A on, że to nie *Idol* i że się nie głosuje na najlepszego; wszyscy są dobrzy, a my przyjmując to, omawiamy ich poglądy. To ja, że: „Jeżeli ona ma być na to przykładem, to ja nie przyjmuję, że wszyscy są super. Teraz to nawet przyjmuję coś całkiem odwrotnego”. I wtedy JJ po prostu dostał szału i zrobiło się trochę niemilo, tak że wkroczył Martin i postanowiliśmy chwilowo nie wracać do czytania. Czyli nigdy. No i wtedy stwierdziliśmy, żeby się dla odmiany zająć samobójcami ze świata muzyki. Maureen w życiu nie słyszała o Kurcie Cobainie — wyobrażasz sobie?

Ja naprawdę myślę. Wiem, że nikt w to nie wierzy, ale tak jest. Tylko że po prostu mój sposób myślenia jest inny. Zanim pomyślę, muszę się wściec, a nawet i zrobić trochę groźna, co oczywiście wszystkich drażni, ale chuj z tym. W każdym razie tamtej nocy, w łóżku, myślałam o JJ'u i o tym, jak powiedział, że nienawidzę książek, bo tato je czyta. A to prawda, co mówiłam, że nie czyta; nie do końca, chociaż ze względu na swoją pracę musi udawać, że czyta.

Ale Jen to czytała. Uwielbiała swoje książki, a mnie one przerażały. Bałam się ich, kiedy była w domu, i teraz też się boję, nawet jeszcze bardziej. Co w nich było? O czym jej mówiły, gdy była nieszczęśliwa i słuchała tylko ich i nikogo innego — przyjaciół, własnej siostry, nikogo? Wstałam z łóżka i poszłam do jej pokoju, w którym niczego nie zmieniono od dnia, kiedy odeszła. (Ciągle się coś takiego ogląda w filmach, myśląc: „Taa, jasne, że niby byś nie chciała, żeby ci, kurde, przynosili

rzeczy do sypialni dla gości czy gdzieś. Ale spróbuj tylko tani wejść i wszystko rozpierdolić). No więc jest tam to wszystko: *Tajemna historia, Paragraf 22, Zabić drozda, Buszujący w zbożu, No Logo, Szklany klosz* (zbieg okoliczności, a może nie, bo to była jedna z książek, na które nas namawiał JJ), *Zbrodnia i kara, Rok 1984, Dokąd najlepiej pójść, gdy się chce zniknąć...* Z tą ostatnią to ściemka.

Nie wydaje mi się, żebym miała w życiu jakoś dużo czytać, bo ona była tą mądrą, nie ja, ale jestem pewna, że byłoby z tym lepiej, gdyby mnie nie zniechęciła, znikając. Nie pierwszy raz byłam w jej pokoju i wiedziałam, że nie będzie ostatni; te wszystkie książki stoją tak i patrzą na mnie, i najgorsze jest poczucie, że któraś z nich mogłaby mi pomóc zrozumieć. Nie chodzi mi o to, że znajdę tam jakieś podkreślone przez nią zdanie, które mi wskaże, gdzie jest, chociaż już kiedyś szukałam. Kartkowałam to i owo, na wypadek gdyby przykładowo postawiła wykrzyknik przy słowie „Walia” albo zakreśliła „Texas”. Chodzi mi po prostu o to, że jeśli przeczytam wszystko, co wielbiła, i wszystko, czym się interesowała przez te ostatnie kilka miesięcy, to wtedy mi wyjdzie jakiś obraz tego, co miała w głowie. Nie wiem nawet, czy te książki są poważne, czy smutne, czy straszne. A tobie się pewno zdaje, że bym się chciała dowiedzieć przez to, jak bardzo ją kochałam i w ogóle, prawda? Ale nie chcę. Nie mogę. Nie mogę, bo jestem za leniwa i za głupia i nawet nie mogę się starać, bo coś mnie powstrzymuje. Stoją tak i patrzą na mnie dzień w dzień, i wiem, że kiedyś ułożę z nich wielki stos i go podpalę.

Tak że: nie, za dużo to ja nie czytam.

JJ

Programem kulturalnym musiałem się zająć samodzielnie, ponieważ żadne z nich nie miało o niczym pojęcia. Maureen pożyczała książki z biblioteki dwa razy w miesiącu, ale, jak się domyślacie, nie czytała rzeczy, o których byśmy mogli mówić — chyba żebyśmy chcieli rozmawiać o tym, czy pielęgniarka powinna wyjść za złego bogacza czy dobrego biedaka. A Martin nie za bardzo przepadał za Literaturą. Stwierdził, że dużo czytał w więzieniu, ale głównie biografie ludzi, którzy pokonywali wielkie przeciwności losu, jak Nelson Mandela i tego typu goście. Podejrzewam, że Nelson Mandela nie uznałby Martina Sharpa za swą bratnią duszę. Jakbyście się uważnie przyjrzeni ich życiu, tobyście zobaczyli, że trafili do więzienia z całkiem innymi powodów. A jak chodzi o Jess, to naprawdę lepiej, żebyście nie wiedzieli, co sądziła o książkach. Boby to was uraziło.

Chociaż na mój temat to w sumie miała rację. No, ale czy mogła się mylić? Całe życie spędziłem wśród ludzi, którzy nie czytają — moich starych, siostry, prawie całej kapeli, a *zwłaszcza* sekcji rytmicznej — a przez to po jakimś czasie naprawdę się przyjmuje postawę defensywną. Ile można słuchać, że się jest pedałem, nie tracąc panowania? Nie żebym miał coś przeciwko temu, że mnie nazywają pedałem blablą, bo przecież wielu moich najlepszych przyjaciół blablą, ale dla mnie bycie pedałem polega na tym, że się komuś podobają faceci, a nie że się komuś podoba Don DeLillo — który co prawda jest facetem, ale mnie podobają się jego książki, a nie tyłek. Dlaczego czytanie tak strasznie przeraża lu-

dzi? Pewnie, jak jeździliśmy w trasę, bywałem dosyć antyspołeczny, ale jakbym godzinami grał na gameboyu, to nikt by się nie doczepiał. W moim kręgu towarzyskim wysadzanie w powietrze potworów z kurwa, kosmosu jest społecznie dopuszczalne, tymczasem *Amerykańska sielanka* już nie.

Najgorzej miałem z Eddiem. Byliśmy tak jakby małżeństwem, więc biorąc się co wieczór za książkę, tak trochę dawałem mu do zrozumienia, że mnie boli głowa. I, jak to bywa w małżeństwie, im dłużej byliśmy razem, tym gorzej się między nami działo; ale jak sobie teraz o tym pomyślę, to im dłużej byliśmy razem, tym gorzej się działo ze wszystkim. Wiedzieliśmy, że nam się nie uda, z zespołem, a może też i z przyjaźnią, więc obaj panikowaliśmy. A przez to, że czytałem, Eddie panikował jeszcze bardziej, bo chyba sobie ubzdurał, że czytanie ma mi pomóc urządzić się na nowo. Bo niby w życiu to tak się po prostu dzieje. „Ej, stary, lubisz Updike'a? Fajny z ciebie facet. Więc w naszej agencji reklamowej dostaniesz sto tysięcy rocznie”. Najpierw latami gadaliśmy o tym, ile nas łączy, a w ostatnich miesiącach zaczęliśmy zauważać wszystko to, co nas dzieli

— tak że obu nam pękło serce.

Może trochę przynudzam, ale to po to, żeby jakoś wytłumaczyć, dlaczego wsiadłem na Jess. Nie po to, kurwa mać, rozstałem się z grupą agresywnych analfabetów, żeby dołączyć do następnej. Jak człowiek się smuci, to chyba totalnie wszystko — czytanie, jedzenie i spanie

— ma w sobie gdzieś coś takiego, że się ten smutek pogłębia.



Więc przyszło mi do głowy, że z muzyką może być łatwiej, co, wzięwszy pod uwagę, że jestem muzykiem, nie było szczególnie lotne. W książki inwestuję sporo, ale w muzykę — całe życie. Stwierdziłem, że najlepiej sprawdzi się Nick Drake, zwłaszcza w pokoju pełnym osób, które wiedzą, co to prawdziwy ból. Jeżeli go nie znacie... Kurczę, to jest coś takiego, jakby kondensując melancholię ludzkiego istnienia, wszelkie cierpienie i nie spełnione marzenia, wlał esencję do małej buteleczki i zatkał korkiem. A gdy zaczyna śpiewać i grać, wyciąga ten korek — i się to po prostu czuje. Jego muzyka wbija w siedzenie jak ściana dźwięku, a przecież nią nie jest: jest spokojna i cicha, tak że człowiek boi się odetchnąć, żeby jej nie wystraszyć. Słuchaliśmy go u Maureen, bośmy w Starbucks nie mogli puścić nic własnego, a u Maureen wszędzie słyhać to oddychanie Matty'ego, jak taki jebnięty dodatkowy instrument. No, więc siedziałem tam sobie, myśląc, że to im musi zmienić życie na zawsze.

Pod koniec pierwszej piosenki Jess zaczęła wsadzać sobie palce w gardło i robić miny.

— Ale to straszny smutas — powiedziała. — Poeta czy coś takiego.

Miała to być obelga: trwonilem życie z kimś, kto uważał, że poeci to istoty, które można spotkać we własnym jelicie grubym.

— Mnie nie przeszkadza — odezwał się Martin. — Jakby go grali w winiarni, na pewno bym nie wyszedł.

— A ja tak — oświadczyła Jess.

Zastanawiałem się, czyby się dało strzelić oboje jednocześnie, porzuciłem jednak tę myśl, uznając, że w ten sposób koniec nastąpiłby za szybko i nie był wystarczająco bolesny. Postanowiłem im dołożyć dopiero, jak się zdołują, to jest: każdemu osobno. Jest to szal muzyki, trochę jak szal autostrady, tyle że szlachetniejszy. W wypadku szalu autostrady gdzieś mimo wszystko wiadomo, że się jest palantem — ale ogarnięty szalem muzyki człowiek spełnia wolę Boga, a Bóg pragnie ich śmierci.

I wtedy zdarzyło się coś dziwnego — jeśli głęboki odbiór *Five Leaves Left*\* można nazwać dziwnym.

— Czy wy nie macie uszu? — spytała nagle Maureen. — Nie słyszycie, jak cierpi i jakie piękne są te piosenki?

Spojrzeliśmy na nią, po czym Jess popatrzyła na mnie.

— Ha, ha — powiedziała. — Lubisz coś, co Maureen.

To drugie wyśpiewała jak dzieciak: na-na, na-na, na-na.

— Jess, nie udawaj głupszej, niż jesteś — rzekła Maureen. — Bo jesteś już wystarczająco głupia. — Aż się w niej gotowało. Też dopadł ją szal muzyki. — Posłuchaj go chociaż chwilę i przestań mówić od rzeczy.

Jess poczuła, że naprawdę tak uważa, i się zamknęła, tak że w ciszy wysłuchaliśmy albumu do końca, a jakby się bliżej przypatrzeć Maureen, w jej oczach zaszklily się łzy.

**\*Album Nicka Drake'a z 1969 roku.**

— Kiedy umarł?

— W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym. Miał dwadzieścia sześć lat.

— Dwadzieścia sześć.

Chwilę milczała zamyślona, a ja miałem wielką nadzieję, że współczuje jemu i jego najbliższemu. Druga opcja była taka, że mu zazdrości, bo sobie oszczędził tych niepotrzebnych dodatkowych lat. Zawsze się chce reakcji, ale niektórzy z tym przesadzają, wiadomo.

— Ludzie nie chcą tego słuchać, prawda? — zapytała.

Nikt się nie odezwał, bo nie byliśmy pewni, do czego zmierza.

— Tak właśnie czuję się codziennie, a ludzi to nie interesuje. Chcą, żebym się czuła tak, jak po słuchaniu Toma Jonesa. Albo tej Australijki\*, co kiedyś grała w *Sąsiadach*. Ale czuję coś takiego, a tego, co ja czuję, nie puszcza w radiu, bo smutni ludzie nigdzie nie pasują.

Nigdy dotąd nie słyszeliśmy od niej czegoś podobnego, nie mieliśmy pojęcia, że ją na to stać, tak że nie przerywała jej nawet Jess.

— Zabawne, bo każdy sądzi, że nie mogę się przystosować przez Matty'ego. Ale on nie jest zły. To ciężka robota, jednak... Nie umiem się przystosować ze względu na to, co przez niego przeżywam. Wszystko się ciągle miesza i trzeba się domyślać, czy ci ciężko, czy lekko, zwłaszcza jak chodzi o te sprawy w środku, no i się mylisz, co działa na ludzi odstręczające Jestem tym wykończona.

\* **Kylie Minogue.**

I tak oto Maureen stała się jakby moją dziewczyną, bo miała to samo, no a poza tym odczuwała szal muzyki; wobec tego chciałem jej powiedzieć coś takiego na miejscu.

— Potrzebujesz wakacji.

Powiedziałem to, bo chciałem jej okazać współczucie, ale też zaraz mi się przypomniał Kosmiczny Tony i uświadomiłem sobie, że teraz Kosmiczny Tony ma gotówkę.

— Co wy na to? Fajnie by było, nie? — zwróciłem się do reszty. — Weźmy Maureen gdzieś na wakacje.

Martin wybuchnął śmiechem.

— Akurat — odparła Jess. — A co to my niby jesteśmy? Ochotnicy do domu starców czy jak?

— Maureen nie jest stara — oświadczyłem. — Ile masz lat, Maureen?

— Pięćdziesiąt jeden — odpowiedziała.

— Okay, więc nie dom starców, tylko dom nudziarzy.

— A ty niby czemu masz się za najbardziej intrygującą osobowość na świecie? — zapytał Martin.

— Przede wszystkim tak nie wyglądam. A tak w ogóle to myślałam, że trzymacie ze mną.

Wtedy niemal niepostrzeżenie, pośród śmiechów i pogardliwych uwag, Maureen się rozplakała.

— Przykro mi, Maureen — rzekł Martin. — Nie chciałem być niegrzeczny. Całkiem po prostu nie umiałem sobie wyobrazić, jak we czwórkę siedzimy na leżakach nad jakimś basenem.

— Nie, nie — odpowiedziała Maureen — ja się nie obraziłam. No, w każdym razie nie bardzo. Wiem, że

nikt nie chce ze mną jechać na wakacje, i w porządku. Tak mi się tylko trochę zachciało płakać, bo JJ to zaproponował. Już tak dawno... Nikt... Nie miałam... To miło z jego strony; tyle.

— Chyba się zajebię — wyszeptał Martin.

No, kurde, coś takiego może, jak wiecie, oznaczać rzeczy najrozmaitsze, ale w tej sytuacji nie zabrzmiało ani trochę dwuznacznie: wszyscy zrozumieliśmy. Otóż w tym kontekście chodziło mu o to, że — jeśli mogę wyjaśnić jedną nieprzyzwoitość za pomocą innej — ma całkiem przejebane. Bo trzeba by było być nie wiem jakim dupkiem, żeby na coś takiego powiedzieć Maureen: „No, dobra, przecież liczą się intencje. Już ci na pewno lepiej”.

I bodaj pięć dni później lecieliśmy na Teneryfę.

## MAUREEN

To oni postanowili, nie ja. Nie czułam się do końca uprawniona, by podejmować decyzje, chociaż ćwierć tych pieniędzy należała do mnie. No, ale skoro wspomniałam JJ'owi o wakacjach, kiedyśmy rozmawiali o Kosmicznym Tonym — uznałam, że nie byłoby w porządku włączać się do głosowania. Wstrzymałam się, tak to chyba nazywają.

Niemniej nie wyniknął z tego poważniejszy konflikt. Wszyscy byli za. Zastanawiano się tylko, czy lepiej jechać już, czy może w lecie, ze względu na pogodę, stwierdzono jednak zgodnie, że — wzięwszy pod uwagę pewne okoliczności — rozsądniej będzie jechać teraz, przed walentynkami. Z początku myśleli, że stać nas na

Karaiby, Barbados czy gdzieś, ale Martin zauważył, że kwota, którą dysponujemy, nie pokryłaby nawet kosztów pobytu Matty'ego w ośrodku.

— To jedźmy bez Maureen — powiedziała Jess, co mnie dotknęło, na chwilę, aż się okazało, że to tylko żart.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz płakałam ze szczęścia. Nie mówię tak, żeby wzbudzić litość, a dlatego, że było to dziwne uczucie. Gdy JJ powiedział, że ma pomysł, a potem wyjaśnił jaki, nawet mi przez myśl nie przeszło, że coś z tego może wyniknąć.

Zabawne, ale do tego momentu przeważnie byliśmy wobec siebie dosyć nieprzyjemni. Można by pomyśleć, że, biorąc pod uwagę, jak doszło do naszego spotkania, jest to wpisane w tę opowieść. Można by uznać, że to historia o czterech osobach, które się spotkały, ponieważ były nieszczęśliwe i pragnęły sobie nawzajem pomóc. Jednak aż do tej chwili wcale — bynajmniej — to tak nie wyglądało, wyjąwszy może to, jak razem z Martinem siedziałam Jess na głowie. A i to nawet stanowiło uprzejmość wymuszoną, a nie spontaniczną i zwykłą. Dotychczas więc była to opowieść o czwórce ludzi, którzy się spotkali, bo cierpieli, po czym zaczęli się obrzucać przekleństwami. No, ściśle mówiąc, przeklinało troje.

Raz po raz cichutko szlochałam, wprawiając w zażenowanie wszystkich, w tym również siebie samą.

— Ku... mać — rzekła Jess. — To tylko tydzień na syfiastych Wyspach Kanaryjskich. Byłam tam. Same Plaże, kluby itp.

Chciałam jej powiedzieć, że odkąd Matty przestał chodzić do szkoły, nie widziałam nawet plaży w Anglii;

co roku zabierali ich do Brighton, więc pojechałam ze dwa razy. Nie odezwałam się jednak słowem. Może i nie mam pojęcia o wielu sprawach, ale w tym wypadku było inaczej, toteż zachowałam to dla siebie. Okropnie jest nie móc podzielić się z innymi najzwyklejszym zdarzeniem z własnego życia tylko dlatego, że uznają, że się od nich domagamy litości. Zapewne też przez to w końcu człowiek odczuwa taki dystans wobec innych: absolutnie wszystko, co by się w danej chwili chciało im powiedzieć, sprawi, że się poczują koszmarne.

Chciałabym opisać każdy szczegół tej podróży, gdyż wydawała się ogromnie ekscytująca, ale pewnie to także byłoby pomyłką. Jeżeli jesteś taka jak wszyscy, to z pewnością już wiesz, jak wygląda lotnisko, jaki ma zapach i jakie tam słychać dźwięki, i gdybym ja tobie o nim miała opowiadać, to wyszłoby po prostu coś takiego, jakbym od dziesięciu lat nie widziała morza. Odebrałam paszport ważny rok w okienku na poczcie i już samo to przysporzyło mi ogromnych emocji, ponieważ w kolejce widziałam ze dwie osoby z kościoła, a one wiedzą, że naprawdę nieczęsto podróżuję. Jedną z tych osób była Bridgid, która nie zaprosiła mnie na noworoczne przyjęcie, na które nie poszłam. Pomyślałam sobie, że pewnego dnia powiem jej, jak to się przyczyniła do podjęcia przeze mnie pierwszej w życiu podróży za granicę. Chociaż zanimby do tego doszło, musiałabym się lepiej rozeznąć w wadze spraw istotnych.

Pewnie wiesz, że się siedzi w rzędzie trzyosobowym. Pozwolili mi zająć miejsce przy oknie, bo wszyscy już mieli za sobą podróż samolotem. Martin usiadł

w środku, a przez parę minut siedział obok niego JJ, przy przejściu. Ale zaraz Jess musiała się z nim zamienić miejscem, bo wdała się w kłótnię ze swoją sąsiadką — na temat torebki orzeszków, którą się tam dostaje — tak że doszło do małej przepychanki.

Wiesz również zapewne, że przy starcie jest straszny hałas i czasem samolot trzęsie się w powietrzu. No, więc ja naturalnie nie miałam o tym wszystkim pojęcia, toteż żołądek podszedł mi do gardła, więc Martin musiał mnie trzymać za rękę i do mnie przemawiać.

Wiesz także z pewnością, że kiedy się patrzy przez okno samolotu i widzi, jak świat się tak kurczy, to nie sposób nie myśleć o całym życiu, od początku do obecnej chwili, jak również o wszystkich, których się dotąd poznało. I wiesz, że myśląc tak, czuje się wdzięczność wobec Najwyższego, że nam to wszystko ofiaruje, a także gniew, że Najwyższy nie pomaga się w tym wszystkim rozeznaczyć, co powoduje zamęt w głowie i konieczność rozmowy z księdzem. Postanowiłam, że w drodze powrotnej nie usiądę przy oknie. Zupełnie nie rozumiem, jak ci odlotowi ludzie, którzy muszą latać ze dwa razy w roku, dają sobie z tym radę.

Lecieć samolotem bez Matty'ego to jakby się nie miało nogi. Takie dziwne mi się to wydało. Ale też radowała mnie ta lekkość, więc chyba jednak wcale nie było to jak brak nogi, bo nie przypuszczam, by ludzie, którym odjęto nogę, jakoś szczególnie cieszyli się wynikającą z tego faktu lekkością. I miałam zamiar powiedzieć, że bez Matty'ego jest dużo łatwiej się przemieszczać, ale znacznie trudniej przemieszczać się z jedną nogą, Prawda? Może zatem o wiele prawdziwsze byłoby stwier-



dzenie, że podróż samolotem bez Matty'ego jest jakby się nie miało trzeciej nogi, ponieważ taka trzecia noga z pewnością musiałaby ciążyć, a poza tym by zawadzała, tak że po jej odjęciu, odczułoby się ulgę. Najbardziej brakowało mi go, kiedy samolot trząsł; myślałam, że umrę, nie zdążywszy się z nim pożegnać. Toteż strasznie się bałam.

Nie pokłóciliśmy się pierwszego wieczoru. Wtedy wszyscy się radowali, nawet Jess. Hotel był miły i czysty, a każde miało do dyspozycji własną toaletę i łazienkę, czego się nie spodziewałam. A gdy otwierałam okiennice, pokój zalał potężny strumień światła, jak gdyby pękła jakaś tama, tak że niewiele brakowało, a bym się przewróciła. Na sekundę straciłam władzę w nogach, więc musiałam się oprzeć o ścianę. Było tam również morze, ale nie gwałtowne i dzikie jak to światło; błękitne i spokojne szumiało sobie cichutko. Niektórzy umieją zobaczyć coś takiego, kiedy tylko zechcą, pomyślałam sobie, ale zaraz musiałam tę myśl porzucić, bo by mi przeszkadzała w myśleniu o sprawach, o których chciałam pomyśleć. Był to czas, aby odczuwać wdzięczność, a nie pożądać żony bliźniego swego ani żadnego widoku morza, który jego jest.

Posiłek zjedliśmy w nadmorskiej restauracji nieopodal hotelu. Spożyłam ładny kawałek ryby, mężczyźni — kałamarnice i homara, a Jess — hamburgera. Wypiłam też ze trzy kieliszki wina. Nie powiem wam, kiedy ostatni raz jadłam w lokalu, jak również, kiedy piłam wino do obiadu czy kolacji, ponieważ staram się tego nie robić. Nawet nie próbowałam mówić o tym reszcie, bo

samej mi to ciążyło, i czułam, że dźwigać aż tak dużo to by nie mieli ochoty. W każdym razie zdążyli się zorientować, że Bóg wie, ile już lat nie robiłam zupełnie nic, wyjąwszy to, co robię każdego dnia. Przyjęli to za pewnik.

Niemniej pragnę to powiedzieć i obojętne mi, jak to zabrzmiał: był to najprzyjemniejszy posiłek, jaki jadłam w życiu, i chyba też najmilszy wieczór, jaki dotąd przeżyłam. Czy to takie straszne, mieć do czegoś tak pozytywne nastawienie?

## MARTIN

Pierwszy wieczór upłynął nie najgorzej. Rozpoznano mnie bodaj ze dwa razy, tak że musiałem naciągnąć na oczy baseballową czapkę JJ'a, co podziało na mnie przygnębiająco. Nie jestem typem kolesia w czapce do baseballu, a poza tym każdy, kto jedząc kolację, nie zdejmuje nakrycia głowy, napawa mnie obrzydzeniem. Zjedliśmy dosyć średnie owoce morza w typowo turystycznej knajpie na nabrzeżu, tak że od narzekań powstrzymał mnie tylko i wyłącznie wyraz twarzy Maureen: rozanielonej flądą z mikrofalówki i ciepłym białym winem. Psując to, zachowałbym się prostacko.

Maureen nigdy nigdzie nie wyjeżdżała, a ja byłem na urlopie kilka miesięcy wcześniej. Razem z Penny wybraliśmy się na parę dni na Majorkę po moim wyjściu z więzienia. Zatrzymaliśmy się w prywatnej willi pod Deya, no i miałem nadzieję, że będzie to najlepsze parę dni w moim życiu, jako że najgorsze trzy miesiące miałem już za sobą. Ale oczywiście nic podobnego się nie

stało; nazwać więzienie najgorszymi trzema miesiącami życia to tak, jakby nazwać wypadek samochodowy najgorszymi dziesięcioma sekundami. Brzmi to logicznie i zgrabnie, krótko mówiąc: prawdziwie. Nie ma jednak w sobie prawdy, bo najgorsze jest to, co następuje potem, kiedy człowiek budzi się w szpitalu, słysząc, że mu zmarła żona albo że mu amputowano nogi — jednym słowem: najgorsze dopiero się zaczyna. Zdaję sobie sprawę, że to dość ponury sposób opowiadania o miniwakacjach spędzonych na uroczej wyspie na Morzu Śródziemnym, ale właśnie na Majorce uświadomiłem sobie, że najgorsze bynajmniej się nie skończyło i może nie skończy się nigdy. Pobyt w więzieniu był przeraźliwie upokarzający, oślepiający i wpłynął na mnie tak destrukcyjnie, że określenie „niszczący duszę” traci tu wszelki sens. Wiecie, co to są „kwizy”? Ja też nie miałem pojęcia — do mojej pierwszej nocy. Otóż kwizy polegają na tym, że naćpani psychole z przeciwległych bloków na cały głos zadają sobie pytania oscylujące wokół tego, co w ich mniemaniu należałoby zrobić niepopularnym bądź też sławnym nowym. Pierwszej nocy stałem się przedmiotem kwizu, nie chce mi się jednak podawać nawet najwymyślniejszych sugestii, niech więc wystarczy stwierdzenie, że nie spałem wtedy najlepiej, jak również, że po raz pierwszy w życiu miałem najpotworniejsze fantazje na temat zemsty. Skupiłem się wyłącznie na dniu, kiedy stamtąd wyjdę, ale — choć przeżyłem wtedy niesłychaną ulgę — uczucie to nie trwało długo.

Kryminaliści odsiadują swoje, ale — z całym szacunkiem wobec moich kolegów ze Skrzydła B — ja nie byłem do końca kryminalistą, tylko prezydentem z tele-

wizji, który popełnił błąd, co paradoksalnie oznaczało, że nie odsiedzę swego nigdy. Była to kwestia klasy i przepraszam bardzo, ale nie ma się tu co oszukiwać. Rzecz w tym, że wszyscy inni więźniowie mieli ostatecznie wrócić do złodziejstwa, handlu narkotykami albo kładzenia dachówek, czy jeszcze innych rzeczy, jakimi się, cholera jasna, zajmowali, dopóki im nie przerwano; więzienie nie stanowi tu żadnej przeszkody, ani w sensie socjalnym, ani zawodowym. W istocie pobyt tam może nawet wzmocnić ich pozycję społeczną i otworzyć przed nimi nowe perspektywy.

Ale po wyjściu z pudła nie ma mowy o powrocie do klasy średniej. Koniec, kropka. Nie można się spotkać z dyrektorką Telewizji Diennej, oznajmiając, że już się jest gotowym wrócić za swe biurko w *Kto rano wstaje*. Nie wstępuje się do przyjaciół, mówiąc, że oto znów się przyjmuje zaproszenia na kolacje. I nawet nie ma sobie co zawracać głowy informowaniem żony, że się znowu chce widywać dzieci. Wątpię, czy żona Wielkiego Joego próbowałaby mu odmówić kontaktów z dziećmi i zapewne też niewielu jego kumpli stanęłoby w kacie pubu, mruczając pod nosem słowa dezaprobaty. Mogę się założyć, że by mu postawili drinka i pewnie na dodatek jeszcze jakąś panienkę. Długo i intensywnie nad tym rozmyślałem, dochodząc do pewnej radykalnej konstatacji w kwestii reformy karnej. Mianowicie nikogo, kto zarabia, powiedzmy, ponad siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów rocznie, pod żadnym pozorem nie należy zamykać w więzieniu, ponieważ kara zawsze będzie surowsza od Przepięstwa. Powinno się tylko chodzić do terapeuty



bie robić nadzieję, że się jeszcze trochę utrzyma na powierzchni.

JESS

Nie myślę, żeby wszystko, co się stało na następny dzień, było przeze mnie. Trochę się czuję winna, ale jak coś idzie nie tak, to przeginaniem się to tylko pogarsza, no nie? A moim zdaniem parę osób przegięło. Mój tato należy do Nowych Laburzystów i w ogóle, tak że bez przerwy głądzi o tolerancji dla odmiennych kultur, no i myślę, że po prostu pewne osoby, to znaczy się Martin, nie były tolerancyjne wobec mojej kultury, w której się pije, bierze dragi i pieprzy jednak trochę częściej niż w jego kulturze. Uważam, że ja jego kulturę szanuję. Nie mówię mu, żeby się narębał i naćpał, i wyrywał laski. Więc powinien mieć większy szacunek dla mojej. Gdybym była Żydówką, toby mi nie kazał jeść wieprzowiny, więc czemu ma mi zabraniać innych rzeczy?

Między pierwszym i ostatnim albumem Beatlesów było tylko siedem lat. Siedem lat to nic, gdy pomyśleć, jak im się zmieniały fryzury i muzyka. Teraz to niektóre zespoły istnieją siedem lat i prawie w ogóle na nic nie mają ochoty. No, w każdym razie po tych siedmiu latach pewno im się już chciało rzygać na swój widok, więc wiadomo, że każdy miał ochotę robić co innego. John chciał siedzieć w worku czy coś, a Paul chciał siedzieć na farmie czy coś, a raczej trudno stwierdzić, jak utrzymać związek, kiedy się jest tak odmiennym i na dodatek jedno siedzi w worku. Okay, nie chodziliśmy ze sobą nawet siedem tygodni, ale już na początku byliśmy od-

mienni, podczas gdy John i Paul lubili tę samą muzykę, chodzili do tych samych szkół itede. My żeśmy nic takiego nie mieli. I nawet nie byliśmy wszyscy z tego samego kraju. Więc w pewnym sensie nic dziwnego, że nasze siedem lat skondensowało się w coś koło trzech tygodni.

No, więc jedliśmy razem śniadanie i żeśmy ustalili, że każde się zajmie sobą aż do wieczora, kiedy wszyscy się spotkamy w hotelowym barku, wypijemy koktajl, a potem gdzieś coś zjemy. Po czym JJ i ja poszliśmy się kąpać w hotelowym basenie, a Maureen usiadła i nas obserwowała — i wtedy stwierdziłam, że wolę się bawić sama.

Mieszkaliśmy na północy wyspy, w takim miejscu, co się nazywa Puerto de la Cruz i jest okay. Jak tu byłam przedtem, to żeśmy mieszkali na południu, gdzie jest naprawdę czadowo, ale zdaje się za czadowo dla Maureen, a skoro to miały być jej wakacje, to się nie czepiałam. Ale chciałam kupić trochę koki, a że tu było ją trudniej załatwić niż tam, to wpadłam w tarapaty, czego moim zdaniem Martin nie umiał uszanować.

Weszłam do dwóch barów, szukając ludzi, którzy by mogli sprzedawać trawę, no i w tym drugim barze zobaczyłam dziewczynę, co wyglądała dokładnie jak Jen. Wcale nie przesadzam; jak na mnie popatrzyła i mnie nie poznała, stwierdziłam, że się wygłupia, ale potem zauważyłam, że nie ma takich dużych oczu i że ma utlenione włosy; Jen w życiu by się nie utleniła, choćby nie wiem jak się chciała zakamufłować. No, w każdym razie tej dziewczynie się nie spodobało, że się na nią gapić więc musiałam jej powiedzieć parę słów, a ona była An-

gielką i niestety te słowa zrozumiała, tak że mi rzuciła niezłą wiąchę i wtedy ja tak jakby nie chciałam jej być dłużna. Trochę się to ciągnęło, aż nas obie stamtąd wyprosili. Powiem prawdę, że zdążyłam już wypić dwa bacardi breezery, chociaż jeszcze było dosyć wcześnie, i od nich chyba się zrobiłam agresywna, chociaż ona nie przyjęła propozycji walki. I wtedy stało się to, co zawsze: brat Niejen, ten bar, ten gość, forsa, marycha i ze dwie ecstasy, wszystko miało być później, ale było od razu, ludzie z Nantwich, ten facet, zaczęłam świrować i zostawili mnie samą. Rzygałam, spałam na plaży, obudziłam się, zaczęłam świrować, odwieźli mnie do hotelu policyjnym autem. Nie myślę, żebym wcześniej poznała kogoś z Nantwich i to wszystko się zdarzyło w ciągu dnia, a tak poza tym to było dosyć typowe nocne wyjście. Powiedziałam policji, że Maureen i Martin to moi rodzice, co nie ucieszyło Martina. Chociaż moim zdaniem kompletnie bez sensu, że się wymeldował. Przez to się wszystko skićkało.

Na drugi dzień rano czułam się koszmarnie, głównie dlatego, że poszłam spać całkiem na głodnego, choć na pewno te ecstasy i te breezery, i to przypalanie zrobiły swoje. W ogóle wpadłam w doła. Miałam to takie straszne uczucie, kiedy sobie uświadamiasz, że już taka po prostu jesteś, i nic na to nie można poradzić. To znaczy: można sobie wymyślić postać, co zrobiłam w sylwestra, jak się stałam taka jakby Jane Austenowska — i wtedy się ma trochę wolnego. Ale nie da się tak długo ciągnąć, a i tak zawsze się kończy na rzyganiu przed jakimś podejrzanym klubem i robieniu rozróby. Mój tato nie rozumie, czemu postanowiłam być taka, ale, mówiąc



prawdę, nie ma się wyboru i przez to się ma ochotę popełnić samobójstwo. Gdy sobie próbuję wyobrazić życie, w którym nie trzeba rzygać przed podejrzanym klubem, to mi się nie udaje; w ogóle nic nie widzę. Oto ja; oto mój głos, moje ciało, moje życie. Jess Crichton, oto twoje życie, a tu parę osób z Nantwich, co potem będą o tobie gadały.

Kiedyś spytałam tatę, czym by się zajmował, gdyby nie pracował w polityce, a on odpowiedział, że by pracował w polityce, i myślę, że chodziło mu o to, że obojętne, gdzie by był w świecie, obojętne, jaką by miał pracę, to i tak by zawsze umiał znaleźć drogę powrotną, tak jak koty podobno umieją znaleźć drogę powrotną, kiedy właściciel się przeprowadzi. Byłby w miejscowej radzie albo rozdawał broszury, albo coś takiego. Na pewno by siedział w tych klimatach. Mówiąc to, był trochę smutny; powiedział mi, że to koniec końców niewydolność wyobraźni.

I też mam właśnie coś takiego: cierpię na niewydolność wyobraźni. Mogłabym robić, co bym tylko chciała, bez przerwy, no a ja najwyraźniej chcę się nawalać do nieprzytomności i robić rozróby. Mówienie mi, że mogę robić, co tylko zechcę, jest jak wyciąganie korka z wanny i mówienie wodzie, że sobie może płynąć, gdzie jej przyjdzie ochota. Spróbuj, a zobaczysz, co się wtedy stanie.

JJ

Miałem dobry dzień, zaraz po przyjeździe. Rano czytałem przy basenie *The Sportswriter*, a to naprawdę zajebi-

sta książka. Potem zamówiłem kanapkę, a później... No, prawdę powiedziawszy, stwierdziłem, że najwyższy czas rozbudzić libido, które bodajże cztery czy pięć miesięcy działało na respiratorze, nie wykazując żadnych oznak życia. Czytaliście może tę książkę, którą jeden gostek napisał powieką? Musiał nią mrugać za każdym razem do tego, kto mu tam pomagał znajdować odpowiednie litery alfabetu. Powaga. No więc moje pieprzone libido w życiu by tej książki nie mogło napisać. Ale tak sobie siedząc nad basenem w szortach, gdy słońce zaczęło przygrzewać pewne części mego ciała, które przez długi czas trwały w stanie zamrożenia, i to takiego, że już bardziej się nie da, poczułem słabe, acz niewątpliwe oznaki życia.

Nie żebym wychodził wieczorem tylko i wyłącznie po to, aby się z tym uporać. Po prostu stwierdziłem, że się przejdę i trochę rozejrzę, a przy okazji może odnowię kontakty z tą sferą istnienia. Najpierw jednak wróciłem do pokoju, żeby się ubrać. Nie należę do gości, co chodzą z gołą klatą. Ważę koło sześćdziesięciu kilo, chudy jestem jak cholera i blady jak upiór, a z takim wyglądem nie można się pokazywać przy opalonych facetach z brzuchami kulturysty. Nawet gdyby się trafiło na laskę lubiącą chude upiory, to w tym kontekście ona i tak by zapomniała, że jej się podoba ten typ, prawda? Gdybyście lubili Dolly Parton, a ktoś by nagle puścił jej płytę na koncercie hip-hopu, to przecież by to było bez sensu. Zresztą i tak pewnie byście jej nawet, kurwa mać, nie usłyszeli. Tak więc, aby mnie usłyszały właściwe osoby, założyłem spłowiałe czarne dżinsy i stary T-shirt Drive By Truckers.

I wiecie co? Nie dość, że zostałem usłyszany, jeśli się mogę posłużyć eufemizmem, to jeszcze przez kogoś, kto widział kapelę i nas lubił. No, bo naprawdę: jakie są szanse na coś takiego? Okay, może tak całkowicie to nas nie pamiętała i jakby musiałem jej powiedzieć, że nas lubi, ale — wiadomo. Więc, dobra. Znalazłem w miasteczku taki ekstrabasen ze słoną wodą, zaprojektowany przez miejscowego artystę, i zaraz naprzeciwko wstałem sobie na piwo i kanapkę. No, i przy stole obok siedziała laseczka z Anglii, czytając powieść *Bel Canto*, więc jej powiedziałem, że też ją znam i zaczęliśmy o niej rozmawiać, i przesiadłem się do jej stolika. A potem zaczęliśmy mówić o muzyce, bo *Bel Canto* w sumie jest o muzyce — no, w każdym razie o operze, a według niektórych to muzyka — i ona stwierdziła, że od opery woli rock'n'rolla, więc ja: „jakie kapele?”. Wtedy wymieniła całą kupę, między innymi Clockersów, grupę, z którą parę lat temu graliśmy trasę. I właśnie wtedy ich widziała, w Manchesterze, gdzie mieszka. Powiedziała, że dotarła na miejsce trochę przed czasem, tak że chyba nawet jeszcze zdążyła na suport, na co jej oświadczyłem: „To byliśmy my”. I wtedy ona: „Ach, tak, pamiętam, byliście cool. Wiem, wiem, ale wtedy przechodziłam w życiu taki okres, że brałam, co się nawinie”.

Skończyło się na tym, że wspólnie spędziliśmy popołudnie, po czym olałem rodzinną kolację i wieczór też spędziliśmy razem, i ostatecznie też noc w hotelu u mnie, bo z nią mieszkała koleżanka. I po raz pierwszy zdarzyło mi się cokolwiek od ostatniej nocy z Lizzie, kiedy skądinąd uprawialiśmy raczej nekrofilie niż miłość.

Nazajutrz rano Kathy i ja zjedliśmy razem śniadanie w jadalni, a to nie tylko dlatego, że hotel nie miał dość gwiazdek, by zapewnić gościom room service: już się nie mogłem doczekać przypadkowego spotkania z resztą. Tak sobie pomyślałem, że dadzą mi jakieś wskazówki — okay, może nie Maureen, ale Martin to na pewno, bo jak chodzi o laseczki, to on ma świetne oko. I nawet stwierdziłem, że to zrobi pewne wrażenie na Jess. Wyobrażałem sobie, jak cała trójka siedzi w drugim końcu sali, a ci dwoje szepczą do siebie świńskie dowcipy

— wtedy to znowu bym się poczuł fajowo.

Pierwsza zeszła Maureen. Pomachałem do niej, gdy się pojawiła, tak by okazać sympatię, ale widocznie błędnie to sobie zinterpretowała, to znaczy — uznała za zaproszenie, podeszła i się do nas przysiadła. Podejrzliwie spojrzała na Kathy.

— Czy kogoś nie będzie na śniadaniu? — nie była niegrzeczna, tylko zakłopotana.

— Nie, rozumiesz... — ale nie miałem pojęcia, co jej odpowiedzieć.

— Kathy — przedstawiła się Kathy, która również była zmieszana.  
— Jestem znajomą JJ'a.

— Tylko że przy tym stole nie zmieści się pięć osób

— powiedziała Maureen.

— Jak przyjdzie ktoś jeszcze, ja z Kathy się przesiądziemy — odparłem.

— „Ktoś jeszcze”, czyli kto? — spytała Kathy, i chyba dosyć słusznie.

— Martin i Jess — odpowiedziała Maureen. — Ale Jess wczoraj w nocy przywiozła policja. Więc może sobie jeszcze poleguje.

— Aha — powiedziałem. Jasne, że chciałem się dowiedzieć, czemu Jess przywiozła policja i w ogóle. Tylko akurat nie w tej chwili.

— Co ona takiego zrobiła? — spytała Kathy.

— A czegoż to nie zrobiła? — odrzekła Maureen. Kelnerka zaczęła nam nalewać kawę, a Maureen

poszła do bufetu, żeby sobie przynieść croissanty.

Kathy spojrzała na mnie. Ewidentnie, by zadać kilka pytań.

— Maureen to... — kompletnie nie wiedziałem, jak dokończyć zdanie. Ale też wcale się nie musiałem nad *tym* zastanawiać, bo w tym momencie weszła Jess i usiadła przy stole.

— Ja pierdolę — powiedziała. Tak w ramach zapoznania. — Czuję się chujowo. Normalnie jak się dobrze wyrzygam, to od razu mi lepiej. Ale w nocy wyrzygałam całe wnętrze. Nic nie zostało.

— Kathy — przedstawiła się Kathy.

— Heja — odpowiedziała Jess. — Jestem w takim stanie, że nawet się nie zorientowałam, że cię nie znam.

— Jestem znajomą JJ'a — powiedziała Kathy, na co oczy Jess zapłonęły złowieszczo.

— Jaką znajomą?

— Właśnie poznaliśmy się wczoraj.

— I jecie razem śniadanie?

— Przymknij się, Jess.

— A co ja takiego powiedziałam?

— Chodzi o to, co chcesz powiedzieć.

— Co chcę powiedzieć?

— Nie mam pojęcia.

— Kathy, poznałaś już naszą mamę i naszego tatę?

Mrugając nerwowo, Kathy przeniosła wzrok na Maureen.

— Jesteś odważniejszy ode mnie, JJ — oznajmiła Jess. — Ja to bym nie przyprowadziła jednorazówki na rodzinne śniadanie. No stary, to, kurwa, odlot!

— To wasza matka? — zapytała Kathy. Starła się, aby to zabrzmiało jak najbardziej niezobowiązująco, ale widziałem, że jest lekko wystraszona.

— Skądże. Przecież pochodzimy z innych krajów. Jess po prostu...

— Powiedział ci, że jest muzykiem? — spytała Jess. — Mogę się założyć. Wszystkim to mówi. Tylko w ten sposób może cokolwiek poderwać. Stale mu powtarzamy, żeby sobie dał z tym spokój, bo każda i tak się w końcu dowiaduje prawdy. I potem są rozczarowane. Założę się, że ci powiedział, że jest wokalistą, co nie?

Kathy kiwnęła głową i popatrzyła na mnie.

— Ale jaja. To jej coś zaśpiewaj. Powinnaś go usłyszeć. Ja pierdolę.

— Kathy widziała mój zespół — oświadczyłem. Ale w tej samej chwili przypomniało mi się, że to ja powiedziałem Kathy, że widziała kapelę, a to jednak nieco zmienia postać rzeczy; Kathy spojrzała na mnie, najwyraźniej przypomniawszy sobie dokładnie to samo. O, kurde.

Maureen z croissantami usiadła przy stole.

— Co zrobimy, jak przyjdzie Martin? Już nie ma miejsca.

— O, nie — jęknęła Jess. — Łaaaaa. Ratunku. Pewno nie będzie wesoło.

— Może powinnam się przesiąść — powiedziała Kathy. Wstając, pospiesznie wypila łyk kawy. — Anna pewnie się już o mnie niepokoi.

— Możemy się przenieść do innego stołu — zaproponowałem, wiedząc jednak, że to już skończone, zniszczone wrogą mocą, nad którą nie byłem zdolny zapanować.

— Na razie — wesoło pożegnała ją Jess.

I potem już nigdy więcej nie spotkałem Kathy. Na jej miejscu do tej pory odtwarzałbym sobie w myślach całą tę rozmowę, zapisując wszystko na kartce i prosząc znajomych, żeby mi ją odgrywali, by jakoś jednak rozwikłać to zagadkowe śniadanie.

Z Jess nigdy nie wiadomo, kiedy się wyzłośliwia, a kiedy jest miła. Gdy się kłapie szczęką jak ona, bez przestanku jak karabin maszynowy, to jasne, że prędzej czy później się w coś trafi. Ale w sumie miała rację: bez muzyki to by się nie zdarzyło. Kathy miała być takim trochę numerkiem, pierwszym, odkąd się rozpadł zespół — totalnie pierwszym od czasu, gdy przestałem się zajmować graniem, bo dziewictwo straciłem, będąc już muzykiem, no a od tamtej pory nie robiłem nic innego. Więc kiedy Kathy odeszła, ogarnął mnie niepokój, jak się to wszystko dalej ma układać; że może za lat czterdzieści znajdzie się w jakimś, kurwa, domu starców, opowiadając bezzębnej staruszce, że menadżer R.E.M. chciał reprezentować mój zespół. Kiedy w ogóle stanę się kimś, kto ma jakąś pracę, jak również osobowość, która by mogła odpowiadać ludziom? Bez sensu jest, kurwa, z czegoś rezygnować, kiedy się nie ma czym tego zastąpić. Powiedzmy, że bym nawijał tylko o tych książ-

kach, cośmy je czytali, nie wspominając o muzyce... Czy wtedy tak samo byśmy poszli do łóżka? Trudno mi to było sobie wyobrazić. Stwierdziłem, że nie żyjąc tak jak dawniej, w ogóle nie mam życia. Tak oto generator morale doprowadził mnie do totalnej, kurwa, ruiny i rozpaczy.

## MAUREEN

Prawdę powiedziawszy, wcale nas nie przejęło, że Martin opuścił śniadanie, choć było ono wliczone w cenę. Stopniowo zaczęłam się oswajać z myślą, że ze dwa razy na dzień zdarza się coś, czego nie rozumiem. Nie rozumiałam, co minionego wieczoru porabiała Jess, jak również — czemu jakaś dziwna kobieta, a raczej dziewczyna, usiadła z nami przy śniadaniu. Nie wiedziałam także, gdzie się podziewa Martin. Ale ten brak pojęcia nie był chyba aż tak istotny. Czasami, gdy się ogląda w telewizji film o policjantach i złodziejach, nie rozumie się początku, ale się wie, że nie jest to konieczne. Ogląda się dalej, bo na końcu ktoś zawsze coś wyjaśni, jeżeli się tylko człowiek dobrze skupi. Starłam się traktować życie z Jess, JJ'em i Martinem jak film o policjantach i złodziejach, uznając, że jeśli nie wszystko zrozumie, to nie powinnam wpadać w panikę. Zaczekam, aż ktoś coś mi podpowie. A zresztą, powoli zaczęło do mnie docierać, że nawet jeśli się nie rozumie prawie nic, to i tak jest to bez znaczenia. Nie do końca pojęłam, dlaczego musieliśmy mówić, że widzieliśmy anioła, jak również czemu z tego powodu wystąpiliśmy w telewizji. Ale najwidoczniej teraz już należało to do przeszło-



ści, więc czym się miałam przejmować? Muszę przyznać, że mnie zaniepokoiło, czy wszyscy pomieścimy się przy tym stole, ale to dlatego, że byłam zmieszana. Nie chciałam po prostu, żeby Martin uznał nas za źle wychowanych.

Po śniadaniu chciałam zadzwonić do ośrodka, ale sama nie mogłam sobie z tym poradzić. W końcu poprosiłam o pomoc JJ'a, a on mi wytłumaczył, że trzeba wykręcić mnóstwo dodatkowych numerów, tylko że niektóre należy opuścić, i nie pamiętam już, co jeszcze. Korzystając z telefonu, nie zachowałam się bezczelnie, bo mi powiedzieli, że mogę dzwonić raz dziennie, bez względu na koszt — w przeciwnym razie, stwierdzili, porządnie się nie odprężę.

I ten telefon... Wszystko zmienił. W czasie dwóch czy trzech minut, bo chyba tyle trwała ta rozmowa, doznałam więcej niż podczas całego pobytu na dachu. Nie chodzi o to, że dowiedziałam się czegoś złego, czy w ogóle czegoś nowego. Matty miał się świetnie. Co wcale mnie nie zdziwiło. Wymagał opieki, którą mu zapewniano, no a nic poza tym powiedzieć mi nie mogli, prawda? Staralam się nieco przedłużyć rozmowę i, chcąc być wobec niego w porządku, pielęgniarz próbował mi w tym pomóc, niech Bóg ma go w swej opiece. Oboje jednak nie mieliśmy sobie za wiele do powiedzenia. W ciągu dnia Matty nie robi nic, toteż i tego dnia nic nie zrobił. Wcześniej wywieźli go na spacer, więc rozmawialiśmy o tym, aczkolwiek głównie zajęliśmy się pogodą i ogrodem.

Podziękowałam mu i odłożywszy słuchawkę, rozmyślałam chwilę, starając się nie uzalać nad sobą. Mi-

łość i troska, i reszta, to, co może zapewnić tylko matka... Pierwszy raz, odkąd się pojawił na świecie, zrozumiałam wreszcie, że jemu w ogóle nic to nie daje. Podeszłam do sprawy dokładnie tak samo jak pracownicy ośrodka. Chociaż z pewnością, ze względu na praktykę, byłam w tym od nich lepsza. Ale z drugiej strony całą tę wiedzę mogłabym im przekazać w dwa tygodnie.

Chodzi mi mianowicie o to, że gdybym umarła, Matty miałby się świetnie. Co znaczy, że to, czego się najbardziej obawiałam, odkąd przyszedł na świat, ani trochę już mnie nie napawało strachem. I wobec tego nie wiedziałam, czy chcę się zabić mniej, czy bardziej. Nie wiedziałam, czy całe życie trwoniałam czas, czy też nie.

Zeszłam na dół i przy recepcji spotkałam Jess.

— Martin się wymeldował — powiedziała.

Uśmiechnęłam się do niej grzecznie i zaraz ruszyłam w swoją stronę. Było mi obojętne, że Martin się wymeldował. Gdyby nie ten telefon, toby mnie to obeszło, ponieważ odpowiadał za nasze pieniądze. Ale gdyby się z nimi ulotnił, cóż by to właściwie zmieniło? Zostałabym albo nie; jadłabym albo nie; wróciłabym do domu, albobym nie wróciła, bo jakież by to dla kogo w ogóle miało znaczenie? Tak że spacerowałam sobie prawie cały dzień. Czy na wakacjach ludzie się czasem smucą? Przypuszczam, że mając tyle czasu na rozmyślanie, to chyba raczej tak.

Do końca tego tygodnia starałam się nie wchodzić nikomu w drogę. Martina i tak nie było, a JJ'owi chyba to nie przeszkadzało. Jess nie za bardzo się to podobało i bodajże dwa razy próbowała mnie namawiać, żebym z nią jadła albo posiedziała na plaży. Ale ja się tylko

uśmiechałam, mówiąc: „Nie, dziękuję”. A nie: „Przecież ty zawsze jesteś wobec mnie taka nieprzyjemna! To niby czemu teraz nagle masz ochotę rozmawiać?”.

Z szafki przy recepcji pożyczyłam książkę, takie byle co w jaskraworóżowej okładce, pod tytułem *Pazury bez tchu*, o samotnej dziewczynie, której kot zmienia się w przystojnego młodzieńca. I ten młodzieniec chce ją wziąć za żonę, ale ona się waha, bo przecież on jest kotem, więc ona musi sobie to jakiś czas przemyśleć. Trochę to czytałam albo sobie drzemałam. Samej zawsze mi jest dobrze.

A w przededniu odlotu do Anglii poszłam na mszę świętą, chyba pierwszy raz od miesiąca. W miasteczku był uroczy stary kościółek — o wiele sympatyczniejszy niż nasz, który jest nowoczesny i kwadratowy. Nieraz się zastanawiałam, czy Najwyższy go w ogóle kiedy zauważy, ale teraz to już chyba na pewno. Wejście do środka i zajęcie miejsca w ławce okazało się łatwiejsze, niż myślałam, ale to głównie przez to, że nikogo tam nie znałam. Później jednak zrobiło się nieco trudniej, bo ci ludzie wyglądali tak zagranicznie, a poza tym ze względu na język nic nie mogłam zrozumieć.

Ale dało się do tego przywyknąć. Jakby się wchodziło do ciemnego pomieszczenia — a było tam ciemno, o wiele ciemniej niż u nas. Po chwili w mroku dało się rozróżnić kształty, no więc ujrzałam swoich krajanów. Rzecz jasna, niezupełnie ich, tylko takie tutejsze wersje. Widziałam kobietę podobną do Bridgid, która znała wszystkich zgromadzonych i spoglądając na ławki, uśmiechała się i kłaniała. Zauważyłam też gościa,

który, mimo wczesnej pory, dość niepewnie trzymał się na nogach — i to był Pat.

Następnie zobaczyłam siebie. Była w moim wieku, samotna, z siedzącym na wózku dorosłym synem, który nie miał pojęcia, jaki to dzień; tak że trochę im się przyglądałam i ta kobieta mnie na tym przyłapała, stwierdziwszy zapewne, że to niegrzeczne. Dopóki jednak nie zaczęłam o tym myśleć, wydawało się to niesamowicie dziwne; taki zbieg okoliczności. A pomyślałam tak, że pewnie w każdym kościele na całym świecie można by spotkać kobietę w średnim wieku, najwidoczniej bez męża, pchającą przed sobą chłopaka na wózku inwalidzkim. Zapewne z tej między innymi przyczyny wynaleziono kościoły.

## MARTIN

Nigdy nie miałem szczególnych skłonności do introspekcji i nie widzę w tym niczego nagannego. Zdaniem niektórych introspekcja jest przyczyną większości problemów na świecie. Nie chodzi mi o takie problemy, jak wojny, głód, choroby czy straszne zbrodnie. Chodzi mi raczej o coś takiego, jak irytujące rubryki w dziennikach, gości cikliwych talk-show itd. Teraz jednak zaczynam rozumieć, że trudno się ustrzec przed introspekcją, nie mając do roboty nic poza siedzeniem i rozmyślaniem o sobie. Przypuszczalnie można by się starać pomyśleć o innych, ale inni, o których usiłowałem myśleć, w większości byli mi znani, natomiast rozmyślając na ich temat, od razu wracałem właśnie tam, gdzie mi nie było po drodze.

Tak więc wymeldowując się i decydując na samotny urlop, w gruncie rzeczy popełniłem błąd, bo choć Jess denerwowała mnie jak jasna cholera, a Maureen wprawiała w przygnębienie, to jednak obie zajmowały część mego istnienia, której nie wolno pozostawiać nie zamieszkaną i nie umeblowaną. To jednak nie wszystko: dzięki nim czułem się względnie spełniony. Coś tam osiągnąłem, a skoro tak — potencjalnie byłem w stanie osiągnąć coś jeszcze. One nie dokonały absolutnie niczego i nietrudno było sobie wyobrazić, że w dalszym ciągu nic nie dokonają, tak że za ich sprawą wyglądałem i czułem się jak światowy lider, który wieczorami kieruje międzynarodowym koncernem, a w weekendy — drużyną skautów.

Wprowadziłem się do pokoju niemal identycznego jak poprzedni, tyle że teraz zafundowałem sobie balkon i widok na morze. I całe dwa dni przesiedziałem na balkonie, wpatrując się w morski pejzaż i oddając introspekcji. Nie powiem, żeby ta introspekcja była specjalnie natchniona; pierwszego dnia doszedłem do wniosku, że w zasadzie kompletnie nic mi nie wychodzi i że lepiej by mi było nie żyć, a gdybym umarł, to nikt by za mną nie tęsknił ani po mnie nie płakał. Po czym się urzynałem.

Drugi dzień przyniósł refleksję niewiele bardziej konstruktywną: stwierdziwszy minionego wieczoru, że gdybym umarł, nikogo by to nie obeszło, cokolwiek późno uświadomiłem sobie, że większość trosk zawdzięczam innym: nie mieszkalem z własnymi dziećmi przez Cindy i ona też doprowadziła do rozpadu małżeństwa. Popełniłem jeden błąd! No dobrze: dziewięć błędów.

Dziewięć na, powiedzmy, sto możliwych! Miałem dziewięćdziesiąt jeden procent i mimo to oblałem sprawdzian! Zamknęli mnie w więzieniu a) przez zasadzkę i b) ponieważ społeczeństwo ma przestarzałe podejście do seksualności osób nastoletnich. Straciłem pracę przez hipokryzję i nielojalność szefów. Toteż pod koniec drugiego dnia, zamiast siebie miałem ochotę zabijać innych — a czy to aby na pewno zdrowsze?

Jess znalazła mnie trzeciego dnia. Siedziałem w kawiarni, czytając „Daily Express” sprzed dwóch dni i popijając *café con leche*; usiadła naprzeciw mnie.

— Jest coś o nas? — spytała.

— Pewnie tak — odparłem. — Ale na razie przeczytałem tylko kolumnę sportową i horoskopy. Jeszcze nie patrzyłem na pierwszą stronę.

— Dziwne. Mogę się dosiąść?

— Nie.

I tak się dosiadła.

— Więc o co ci w sumie chodzi, co?

— Jakiej sumie?

— Wielka obraza i w ogóle.

— Myślisz, że się dąsam?

— No, to jak byś to nazwał?

— Wychodzi mi już bokiem!

— A co myśmy takiego zrobili?

— Nie „wy”, tylko ty. *Toi*, nie *vous*.

— Przez tamten wieczór?

— Tak właśnie, nie inaczej.

— Nie spodobało ci się, jak powiedziałam, że jesteś moim tatą, co nie? Wiekowo to możliwe.

— Mam tego świadomość.

- No. To sobie odpuść. Weź coś na uspokojenie.
- Odpuściłem. Wziąłem.
- Akurat.
- Jess, ja się wcale nie dąsam. Myślisz, że bym się wyniósł z hotelu, bo ty powiedziałaś, że jestem twoim ojcem?
- Ja bym się wyniosła.
- Bo go nienawidzisz? Czy dlatego, że byś się wstydziła własnej córki?
- I to, i to.
- Cała Jess. Gdy stwierdza, że człowiek się wycofuje, udaje zamyśloną
- a mówiąc ściśle: „pełną odrazy do siebie”, gdyż, jak się przekonałem, w jej wypadku jakakolwiek dłuższa myśl prowadzi wyłącznie do tego. Postanowiłem nie dać się oszukać.
- Nie dam się zbajerować. Spadaj.
- No, co ja znów zrobiłam? Zaraz się zajebię.
- Udajesz skruszoną?
- Co to znaczy „skruszona”?
- Znaczą, że jest ci przykro.
- Czemu?
- Odejdź.
- Czemu?
- Jess, chcę mieć chwilę urlopu. Przede wszystkim od ciebie.
- Czyli chcesz, żebym się zalewała i brała prochy?
- Owszem. Z całego serca.
- Pewnie. A potem się będziesz czepiał.
- Nie będę. Tylko już odejdź.
- Nudzę się.
- To poszukaj JJ'a albo Maureen.

- Oni są nudni.
- A ja nie?
- Jakie znasz sławne osoby? Znasz Eminema?
- Nie.
- Na pewno, tylko mi nie chcesz powiedzieć.

— Na miły Bóg!

Zostawiwszy na stole jakieś drobne, wstałem i wyszedłem. Jess poszła za mną ulicą.

— Masz ochotę na bilard?

— Nie.

— A seks?

— Nie.

— Nie podobam ci się?

— Nie.

— Niektórym się podobam.

— Więc rób to z nimi. Jess, przykro mi bardzo, ale myślę, że to koniec naszego związku.

— Jak tak za tobą pochodzę cały dzień, to nie.

— Myślisz, że na dłuższą metę to by się sprawdziło?

— W nosie mam dłuższą metę. Pamiętasz, co mówił tato, żebyś mnie miał na oku? Myślałam, że jednak zechcesz. Mogłabym ci zastąpić te stracone córki. I przez to byś może osiągnął wewnętrzny spokój, czujesz? Jest mnóstwo takich filmów.

Ostatnią uwagę podała rzeczowo, jak gdyby to miało potwierdzać, a nie przeczyć prawdziwości wyobrazonego przez nią scenariusza.

— No, a co z tą twoją propozycją seksu? Jak to by się niby miało do zastępowania córek?



— To by była, wiesz, inna rzecz. Droga. Inny kierunek.

Minęliśmy koszmarną kawiarnię o nazwie New York City.

— Stąd mnie wyrzucili za rozróbę — oznajmiła z dumą Jess. — Zabiją mnie, jak jeszcze raz tam wejdę.

Jakby dla potwierdzenia tej myśli w drzwiach stał siwy właściciel o morderczym wejrzeniu.

— Muszę się załatwić. Nigdzie się stąd nie ruszaj.

Wszedłem do New York City, gdzieś w okolicy Lower East Side znalazłem toaletę, obłożyłem sedes stronami „Expressu”, usiadłem i zarygnowałem drzwi. Dobre dwie godziny musiałem słuchać przez ścianę, jak Jess mnie nawołuje, ale w końcu wrzaski ustały; uznałem, że sobie poszła, mimo to jednak zostałem w klozecie, na wszelki wypadek. Zasuwę podniosłem o jedenastej, a wyszedłem o trzeciej po południu. Nie dbając o czas. Takie to były wakacje.

JJ

Ostatnia kapela, do której należałem, rozpadła się po koncercie w Hope and Anchor w Islington, dość niedaleko bloku, gdzie teraz mieszkam. O rozpadzie było wiadomo, jeszcze zanim wyszliśmy na scenę, ale się o tym nie mówiło. Poprzedniego wieczoru graliśmy w Manchesterze, przed nieliczną widownią, tak że wracając do Londynu, każdy był trochę zły, ale w sumie raczej ponury i milczący. Dokładnie jak to się dzieje przy rozstaniu z ukochaną kobietą — ssanie w żołądku i świadomość, że cokolwiek się powie, i tak, kurwa, nic nie zmieni,

a nawet jeśli zmieni, to najwyżej na pięć minut. Z zespołem jest to dziwniejsze, bo jakoś tam wiadomo, że się z tymi ludźmi nie straci kontaktu tak jak z dziewczyną. Na drugi dzień wieczorem mógłbym się spokojnie spotkać z całą trójką w barze, a grupa i tak przestałaby istnieć. To było coś więcej niż nasza czwórka; to był dom, któryśmy zamieszkiwali i który sprzedaliśmy, tak że już do nas nie należał. Wiadomo, że wyrażam się tu metaforycznie, bo nikt by nam za niego nie dał złamanego centa.

W każdym razie po koncercie w Hope and Anchor — a miał on w sobie coś smętnie mocnego, jak desperackie bzykanie przed rozejściem — poszliśmy do tej gównianej garderoby, siedliśmy rzędem i Eddie stwierdził: „To chyba tyle”. I zrobił coś takiego zupełnie, ale to totalnie nie w swoim stylu: jedną ręką chwycił i uściśnął dłoń mnie, a drugą Jesse'emu. Wtedy Jesse chwycił za rękę Billy'ego, tak żebyśmy się wszyscy po raz ostatni, połączyli, a Billy na to: „Spadaj, pedałku”, i zaraz wstał, ; co właściwie mówi o perkusistach wszystko, co powinno się wiedzieć.

Z moim wakacyjnym towarzystwem znałem się ledwie parę tygodni, ale w drodze z hotelu na lotnisko miałem takie same żołądkowe sensacje. Wyczuwało się rychłe rozstanie, więc nikt nie odzywał się słowem. I to z tych samych przyczyn, to znaczy: zaszedliśmy już tak I daleko, że nam zabrakło kierunku. Dlatego też chyba wszyscy się rozstają: kapele, przyjaciele, mężowie i żony. I przez to kończą się imprezy i wesela. W ogóle wszystko. Dziwne, ale gdy się rozpadł zespół, zdołowało mnie między innymi to, że zacząłem się martwić o resztę: „Co

teraz, kurwa, będą robić?"; no, wiadomo. Żaden z nas tak za wiele nie umiał. Billy nie był jakimś orłem w czytaniu i pisaniu, rozumiecie. Eddie też nie za długo by wytrzymał w robocie, przez ten taki jakby porywczy charakter, no a Jesse po prostu lubił sobie przypalić... Tak do końca to się nie martwiłem jedynie o siebie. Wiedziałem, że dam radę. Byłem rozgarnięty i stanowczy, no i miałem dziewczynę, więc choć czułem, że mi będzie, kurwa, brakowało tego grania od nocy do świtu, to i tak jednak mogłem coś osiągnąć. I co się dalej dzieje? Kilka tygodni później Billy i Jesse grają w Stanach koncert z kapelą, która straciła sekcję rytmiczną, Eddie wraca pracować u swojego ojca, a ja rozwożę pizzę i mała, kurwa, nie skaczę z dachu.

Tak że tym razem postanowiłem się nie roztkliwiać nad resztą grupy, uznawszy, że na pewno sobie dadzą radę. Może niesłusznie, no ale przecież póki co wszyscy się trzymali, a poza tym to i tak nie była moja sprawa.

W taksówce, po drodze na lotnisko gadaliśmy trochę, co kto robił i przeczytał, i o tym, czym się będziemy zajmować po powrocie do domu, takie pieprzenie o niczym. A w samolocie wszyscyśmy drzemali, bo było wcześniej rano. Potem z Heathrow pojechaliśmy metrem do King's Cross i tam wsiedliśmy w autobus. Wtedy ktoś stwierdził, że może nie powinniśmy tak często przebywać razem.

— Niby czemu? — spytała Jess.

— Bo nic nas nie łączy — odpowiedział Martin. — Czego dowiodł ten wyjazd.

— Myślałam, że było okay.

— W ogóle nie rozmawialiśmy — prychnął Martin.

— Prawie cały czas chowałeś się w toalecie — powiedziała Jess.  
— A jak myślisz, dlaczego? Bo jesteś mi bratnią duszą? Czy może związek z tobą nie zadowala mnie w stu procentach?  
— No, a jaki cię w stu zadowala?  
— A ciebie?  
Zastanowiwszy się chwilę, Jess wzruszyła ramionami.  
— Z wami — odparła.  
Zapadło milczenie — dostatecznie długie, byśmy się mogli zorientować, ile prawdy zawiera ta uwaga w odniesieniu do jej osoby. I na nasze szczęście Martin przerwał ciszę dokładnie wtedy, gdy zaczęliśmy się zastanawiać, czy przypadkiem my również nie utożsamiamy się z tym stwierdzeniem.  
— A przecież nie powinien.  
— Chcesz mnie wykopać?  
— Skoro tak to nazywasz... Jess, wakacje się skończyły i najwyższy czas się rozejść.  
— A walentynki?  
— Możemy się wtedy spotkać, jeśli ci na tym zależy. W końcu się umówiliśmy.  
— Na dachu?  
— Wciąż masz ochotę skakać?  
— Nie wiem. To mi się ciągle zmienia.  
— Ja chętnie się tam z wami spotkam — oświadczyła Maureen.  
— Dla ciebie, Maureen, walentynki to na pewno bardzo ważny dzień — zwróciła się do niej Jess. Powiedziała to jakby dla podtrzymania rozmowy, ale Mau-

reen wyczuła ukrytą złośliwość i nie zareagowała. Niemal każdą wypowiedź Jess dało się spokojnie obrócić na jej niekorzyść, ale żadne z nas nie miało już na to siły. Patrzyliśmy przez okno na samochody w deszczu, a przy Angel pożegnałem się i wysiadłem. **Obróciwszy** się, zdążyłem zobaczyć, jak Maureen częstuje pozostałych — nawet Jess — swoimi miętówkami, i to mnie jakoś tak rozczuliło.

Następny tydzień nie robiłem w zasadzie nic. Dużo czytałem i włączyłem się po Islington, żeby sprawdzić, czy przypadkiem ktoś nie ma dla mnie jakiej bądź roboty. Któregoś wieczoru przepuściłem dziesięć funtów na kapelę Fat Chance. Koncert był w Union Chapel. Zaczynali mniej więcej w tym czasie co my, a teraz mieli przyzwoity kontrakt i sporo się o nich mówiło, ale moim zdaniem byli słabi. Wyszli i zagrali, a potem oklaski, żadnych bisów; tyle. Tak że nie powiedziałbym, by kogokolwiek z nas — słuchaczy — doświadczenie to wzbogaciło duchowo.

Wychodząc, zostałem rozpoznany przez jednego gościa, tak myślę: po czterdziestce.

— I jak tam, JJ? — zapytał.

— Czy my się znamy?

— Widziałem was w zeszłym roku w Hope and Anchor. Podobno się rozeszliście. Mieszkasz tu?

— No, na razie.

— Co robisz? Może coś solowego?

— No. Dokładnie.

— Ekstra.

Spotkaliśmy się w walentynki o ósmej wieczór. Wszyscy przyszli na czas. Jess chciała się spotkać później, o północy czy coś takiego, aby to miało w pełni tragiczny wydźwięk, ale nikt z reszty nie uznał tego za najlepszy pomysł, a Maureen nie chciała jechać do domu o tak późnej porze. Natknąwszy się na nią na schodach, w drodze na górę, powiedziałem, że miło mi słyszeć, że planuje powrót do domu.

— A gdzie bym miała chodzić?

— Nie, no po prostu... Zeszłym razem miałaś nie wracać do domu, wiesz? A już na pewno nie autobusem.

— Autobusem?

— Ostatnim razem chciałaś sobie skoczyć z dachu — palcami zademonstrowałem w powietrzu kilka kroków, a następnie gwałtowny lot w dół. — Ale z tego, co słyszę, widać, że jednak chyba dłuższa droga bardziej ci pasuje.

— Aha. No tak. Posunęłam się trochę naprzód — odparła. — W sensie myślenia.

— To wspaniale!

— Dotąd odczuwam korzyści z tego wyjazdu.

— I świetnie.

Wtedy jednak przerwała rozmowę, bo ze względu na liczbę pięter dostała zadyszki.

Parę minut później przybyli Martin i Jess, i tak sobie staliśmy.

— Właściwie po cośmy tutaj przyszli? — odezwał się Martin.

— Mieliśmy się spotkać i zobaczyć, jak się kto czuje, i w ogóle — odpowiedziała Jess.

— Ach, tak — zaczęliśmy przestępować z nogi na nogę. — Więc jak się kto czuje?

— Maureen znakomicie — odparłem. — Prawda, Maureen?

— Tak. Właśnie mówiłam JJ'owi, że dotąd odczuwam korzyści z tego wyjazdu.

— Jakiego wyjazdu? Naszego? — spojrzawszy na nią, pokręcił głową ze zdumieniem i podziwem równocześnie.

— A ty, Mart? — zapytałem. — Jak się miewasz? — choć trochę się domyślałem, jaką usłyszę odpowiedź.

— No, wiesz. *Comme ci, comme ça.*

— Palant — stwierdziła Jess. Przestępowanie z nogi na nogę przybrało na intensywności.

— Przeczytałem coś, co by was mogło zainteresować — powiedział Martin.

— Naprawdę?

— I tak sobie myślę, że... Może dobrze by było pogadać o tym gdzie indziej. Chociażby w jakimś pubie.

— Czemu nie? — odparłem. — I przy okazji można by też to uczcić, jak myślicie?

— Uczcić? — zapytał Martin tak, jakby mnie powaliło.

— No. Ze żyjemy i, i...

Tu spis okazji jak gdyby się wyczerpał. Ale za to, żeśmy pozostali przy życiu, warto chyba było wypić kilka kolejek. Warto było to uczcić, no — oczywiście chyba że się nie chciało zostawać wśród żywych, bo w takim wypadku... A, kurwa, obojętne. I tak miałem ochotę na

drinka. Skoro nie umieliśmy wymyślić nic innego, to już ta moja ochota była godna uczczenia. Zwyczajna ludzka potrzeba, co się wyłoniła z oparów depresji i niezdecydowania.

— Maureen?

— Tak, chętnie.

— Coś mi się nie wydaje, że ktoś ma zamiar skoczyć — powiedziałem. — Nie dzisiaj. Zgadzasz się, Jess?

Nie słuchała.

— Ja pierdołę — rzekła. — Chryste Panie. Wpatrywała się w kąt dachu, w miejsce, w którym

Martin w sylwestra rozciął drut. Dokładnie tam, gdzie wtedy Martin, siedział jakiś facet i się nam przyglądał. Był z parę lat starszy ode mnie i najwidoczniej przerażony.

— Hej, stary — wyszeptałem. — Siedź tam spokojnie.

Wolno ruszyłem ku niemu.

— Proszę cię, bliżej nie podchodź — powiedział. Owładnięty panicznym strachem, bliski płaczu, palił, wściekle się zaciągając.

— My tu już wszyscy byliśmy — powiedziałem. — Chodź tu i dołącz do nas. Mamy taki zjazd.

Zrobiłem jeszcze ze dwa kroki. Milczał.

— No, zobacz — rzekła Jess. — Nic się nam nie stało. Myślisz sobie, że na pewno nie przetrwasz wieczoru, ale to możliwe.

— Nie chcę — odparł facet.

— Powiedz nam, o co chodzi — zachęciłem, przybliżając się do niego. — No, bo my jesteśmy specami w tej właśnie, kurwa, dziedzinie. Ta oto Maureen...



Nie zdążyłem jednak dokończyć. Gość skiepował fajkę na gzymsie i wydając cichy jęk, rzucił się z dachu. Zapadła cisza i zaraz potem dobiegł nas odgłos uderzenia ciała o ziemię. Odtąd co dnia przypominam sobie te dwa dźwięki: jęk i łomot — i wciąż nie wiem, który z nich jest straszniejszy.

## **CZEŚĆ TRZECIA**

## MARTIN

Skok faceta wywarł na nas wszystkich głęboki, acz sprzeczny wpływ. Po pierwsze, za jego sprawą uzmysłowiliśmy sobie, że nie jesteśmy zdolni targnąć się na życie. Po wtóre — świadomość ta znów nastroiła nas samobójczo.

Jeżeli macie jakieś pojęcie o wpisanej w ludzką naturę przekorze, to nie uznacie tego za paradoks. Przed laty pracowałem z alkoholikiem, którego nazwisko muszę tu jednak przemilczeć, bo z pewnością obito się wam o uszy. Otóż powiedział mi, że pierwszy raz, gdy odniósł porażkę, próbując skończyć z chlaniem, był najstraszniejszym dniem jego życia. Dotąd zawsze uważał, że jest w stanie przestać, kiedy się tylko weźmie w garść, więc zawsze gdzieś tam w podświadomości miał w odwodzie inną opcję. Ale gdy do niego dotarło, że musi pić i że w zasadzie nigdy nie miał wyboru... Cóż, postanowił się zabić, jeśli mi tu wolno poczynić małą dygresję.

O co dokładnie mu chodziło, pojąłem dopiero, widząc, jak ten facet skoczył z dachu. Do tej pory zawsze traktowałem skok jako pewną opcję czy wyjście; coś jak gotówkę odkładaną w banku na czarną godzinę. I nagle

ta gotówka się wyczerpała, a raczej — ściśle rzecz ujmując — nigdy jej nie mieliśmy. Należała do tego gościa i jemu podobnych, ponieważ kiwanie nogami nad przepaścią to nic, chyba że się jest gotowym przesunąć ten centymetr do przodu, a na to nikt z naszej czwórki jednak gotowy nie był. Mogliśmy mówić sobie i reszcie: „Ależ na pewno bym to zrobił, gdyby się ona czy on tam nie zjawili albo gdyby ktoś mi nie usiadł na głowie” — lecz w istocie wciąż żyliśmy, a przecież każde z nas miało wielką szansę to zmienić. Dlaczego pamiętnej nocy zeszliśmy na dół? Stało się tak, ponieważ stwierdziliśmy, że należy poszukać głupka imieniem Chas, który się okazał niezbyt związany z naszym tematem. Nie sądzę, aby tego zawodnika, który skoczył, udało się nam namówić na poszukiwanie Chasa. Za bardzo był zajęty czym innym. Ciekawe, ile punktów by zaliczył według Skali Intencji Samobójczych Aarona T. Becka. Przypuszczalnie niemało, chyba że Aaron T. Beck coś tam gdzieś źle powyliczał. No, bo intencja była niewątpliwa.

Po wiadomym zdarzeniu pospiesznie wynieśliśmy się z dachu. Stwierdziwszy, że lepiej się tam nie kręcić, żebyśmy nie musieli tłumaczyć naszego udziału — czy też jego braku — w zejściu tego biedaka. W końcu każde z nas miało już za sobą pewne doświadczenia związane z Domem Skoczka, wobec czego nie należało mieszać się w tę sprawę. Gdyby ktoś się dowiedział, że tam wtedy byliśmy, to historia nieszczęśnika, który skacze z dachu, zostałaby zaciemniona i mogłaby zostać odebrana opacznie. A tego nie chcieliśmy.

Toteż pędem zbiegliśmy na dół, nie bacząc na wątle płuca ani na żyłki, po czym każde udało się w swoją

stronę. Byliśmy za bardzo zdenerwowani, żeby pójść się czegoś napić w okolicy, no i zbyt zdenerwowani, żeby razem jechać taksówką, więc wybiegłszy na ulicę, natychmiast się rozproszyliśmy. Wracając do domu, zastanawiałem się, jak też wygląda wieczorem pub w sąsiedztwie Domu Skoczka. Czy pełno tam nieszczęśników w drodze na górę, czy istot na poły zmieszanych i uspokojonych, które dopiero co zeszły z dachu? A może klientelę stanowi osobliwa mieszanka obu tych grup? Czy właściciel zdaje sobie sprawę, jak wyjątkowych przyjmuje gości? I czy wykorzystuje ich nastroje w celach zarobkowych, proponując im na przykład Ponurą Godzinę? Czy zdarza mu się miksować Odłot — w tym kontekście: najbardziej pograżonych — z Dołem? Albo — Odłot z Odłotem? Czy choć raz narodził się tam związek spuentowany ślubem, a może i przyjściem na świat potomka?

Kolejne nasze spotkanie odbyło się nazajutrz po południu w Starbucks. Wszyscy mieliśmy kiepski nastrój. Parę dni wcześniej, zaraz po powrocie z wakacji, stało się oczywiste, że na nic więcej już się sobie nie możemy przydać, gdy tymczasem teraz każdemu z nas trudno było sobie wyobrazić odpowiedniejsze towarzystwo. Rozejrzawszy się wokół, zobaczyłem młode mamy z wózkami, chłopców w garniturach i dziewczyny w garsonkach, z komórkami i notesami, zagranicznych studentów. .. Próbowałem sobie wyobrazić rozmowę z którymś z nich, jednak zupełnie bez skutku. Nikt ze zgromadzonych nie miałby ochoty słuchać o samobójcach. Nikt oprócz osób, z którymi siedziałem.

— Całą noc, kurwa, myślałem o tym gościu — powiedział JJ. — Nie zmrużyłem oka. Co to w ogóle było?

— Taka pewnie, no wiesz, królowa tragedii. Męska królowa. Król — odrzekła Jess. — Coś tak mi on wyglądał.

— Jakaż ty jesteś przenikliwa — zwróciłem się do niej. — Widziałem go wprawdzie tylko w przelocie, ale nie odniosłem wrażenia, aby się zmagał z poważnym problemem. No, w każdym razie nie według twoich kryteriów.

— Będzie o tym w lokalnej gazecie — stwierdziła Maureen. — Jak zwykle. Czytywałam takie doniesienia. Zwłaszcza przed sylwestrem. Porównywałam je z moją sytuacją.

— I co ci wychodziło?

— Zasadniczo okay — odparła Maureen. — Niektórych nie mogłam zrozumieć.

— To znaczy?

— Mam na myśli pieniądze.

— Jestem winna forszę kupie ludzi — oznajmiła dumnie Jess.

— No to może powinnaś pomyśleć, czyby się nie zabić — powiedziałem.

— Niedużo — odpowiedziała — tak ze dwadzieścia tu, ze dwadzieścia tam.

— Dług to jednak dług. Więc skoro nie jesteś w stanie oddać... Może by się trzeba zastanowić nad rozwiązaniem honorowym.

— Ej, słuchajcie — odezwał się JJ — skupmy się trochę, co?

- Na czym? Czyż to nie jest problem: nie mieć się na czym skupić?
  - Skupmy się na tym facecie.
  - Kompletnie nic o nim nie wiemy.
  - Owszem, ale, no, kurczę. Mnie on się wydaje ważny. Mieliśmy zrobić to samo.
  - Doprawdy?
  - Ja tak — stwierdziła Jess.
  - Aleś tego nie zrobiła.
  - Usiadłeś mi na głowie.
  - Tylko że od tamtego czasu nic w tej kwestii nie zmieniasz.
  - Bo żeśmy poszli na imprezę. A potem był wyjazd. No, wiadomo. Ciągłe się coś dzieje.
  - Coś strasznego, prawda? Będziesz sobie to musiała ująć w terminarzu. Żeby ci przypadkiem życie nie stanęło na przeszkodzie.
  - Zamknij się.
  - Ludzie, naprawdę...
- Kolejny raz dałem się wciągnąć w obrzydliwą sprzeczkę z Jess, więc postanowiłem się zachowywać z większą godnością.
- Podobnie jak JJ, minionej nocy oddawałem się głębokiej refleksji
  - powiedziałem.
  - Kutas.
  - Dochodząc do wniosku, że nie jesteśmy poważni. Nigdy zresztą nie byliśmy poważni. Zbliżyliśmy się bardziej niż inni, aczkolwiek nie aż tak bardzo. I to w pewnym sensie nas łączy.
  - Zgadzam się. Mamy przejebane — rzekł JJ. — Wybacz, Maureen.

— Czegoś mi brak — oświadczyła Jess.  
— O, właśnie — powiedziałem. — Oto, co nam zostało.  
— Co?  
— To — wskazałem miejsce, w którym się znajdowaliśmy, towarzystwo i deszcz za oknami, jakże wymownie świadczące o naszym obecnym położeniu. — Tyle. Nie mamy wyjścia. Dla nas już nawet wyjście nie stanowi wyjścia.  
— Chuj z tym — rzekła Jess. — I nie przepraszam, Maureen.  
— Pamiętacie może, jak chciałem wam opowiedzieć, co czytałem w jakimś tygodniku? O samobójcach. No, więc według tego gościa kryzys trwa dziewięćdziesiąt dni.  
— Jakiego gościa? — zapytał JJ.  
— Tego suicydologa.  
— To tym też się zajmują?  
— Zajmują się wszystkim.  
— No i? — spytała Jess.  
— No i z dziewięćdziesięciu przetrwaliśmy czterdzieści sześć.  
— A co się dzieje po tych dziewięćdziesięciu dniach?  
— Nic się nie dzieje — odparłem. — Po prostu... wszystko jest inaczej. Wszystko się zmienia. Konfiguracja spraw, przez które życie wydaje ci się nie do wytrzymania. .. Tak jakoś się to przemieszcza. Jakby astrologię przenieść na życie.  
— Tobie to nic się nie zmieni — powiedziała Jess. — Dalej będziesz palantem z tiwi, który się przespał



z piętnastolatką i poszedł siedzieć. Ludzie ci tego nigdy nie zapomną.  
— Cóż... Zapewne te dziewięćdziesiąt dni rzeczywiście nie dotyczy  
mojego przypadku — potwierdziłem.

— Jeżeli ci to ma poprawić humor.

— Maureen to też nie pomoże — stwierdziła Jess.

— Ani JJ'owi. Ale ja może bym się mogła zmienić. Dosyć często się  
zmieniam.

— Tak czy inaczej, według mnie dobrze by było znów przedłużyć ten  
termin. Ponieważ... Nie wiem, jak wy, ale ja dziś rano uświadomiłem  
sobie, że nie jestem jeszcze, no wiecie, gotów działać w pojedynkę. To  
dziwne, bo właściwie to w ogóle za wami nie przepadam. Ale w jakimś  
sensie jesteście... mi niezbędni. Wiecie, jak to jest, kiedy wiadomo, że  
powinno się częściej jeść kapustę? Albo pić więcej wody? To właśnie  
coś takiego.

Nastąpiło ogólne przestępowanie z nogi na nogę, które  
zinterpretowałem jako niepewną deklarację solidarności.

— Dzięki, stary — rzekł JJ. — Strasznie się wzruszyłem. Kiedy  
upływa te dziewięćdziesiąt dni?

— Trzydziestego pierwszego marca.

— To trochę taki zbieg okoliczności, co nie? — stwierdziła Jess. —  
Dokładnie trzy miesiące.

— O co ci chodzi?

— No, że to nienaukowe, prawda?

— Bo niby osiemdziesiąt osiem by było naukowe?

— No, bardziej.

— Nie, rozumiem — powiedział JJ. — Po prostu trzy miesiące brzmi  
w sam raz. Trzy miesiące to jak pora roku.

— Zdecydowanie — zgodziłem się. — Wziąwszy pod uwagę, że w roku mamy cztery pory i dwanaście miesięcy.

— Więc razem przechodzimy zimę. Czad. Bo w zimie człowiek ma doły — oznajmił JJ.

— Na to wygląda — potwierdziłem.

— Ale powinniśmy czymś się zająć — rzekł JJ.

— Nie możemy tak sobie usiąść i przeczekać te trzy miesiące.

— Typowy Amerykanin — stwierdziła Jess. — A co byś chciał zrobić? Może zbombardować jakieś biedne państewko?

— Jasne. Trochę bym się mógł przez to oderwać od rozmyślań.

— Co proponujesz? — spytałem go.

— Nie wiem, stary. Po prostu uważam, że spędzając sześć tygodni na kłótniach i narzekaniu, za bardzo sobie nie pomożemy.

— Jess ma rację — powiedziałem. — Typowy Amerykanin, cholera jasna. „Pomagać sobie”. Samopomoc. Można osiągnąć wszystko, jeśli się tylko człowiek postara, tak? Można by zostać prezydentem.

— O co wam, kurde, chodzi? Nie mówię, żeby zostać prezydentem. Tylko żeby sobie znaleźć jakąś robotę. Chociażby pokelnerować.

— Super — powiedziała Jess. — Nie zabijajmy się, bo ktoś nam dał pięćdziesiąt pensów napiwku.

— W tym pojebanym kraju to, kurwa, niemożliwe

— stwierdził JJ. — Sorry, Maureen.

— Zawsze możesz sobie wrócić tam, skąd przyjechałeś — odparła Jess. — I to by coś zmieniło. Poza tym u was domy są chyba wyższe, prawda?

— A zatem — oznajmiłem — zostało nam jeszcze czterdzieści cztery dni.

We wspomnianym przeze mnie artykule było coś jeszcze: wywiad z człowiekiem, który przeżył skok z mostu Golden Gate w San Francisco. Otóż wyznał on, że dwie sekundy po skoku uzmysłowił sobie, że w jego życiu nie ma niczego takiego, z czym by się nie umiał uporać; żadnej nierozwiązywalnej sprawy — wyjąwszy problem, który sobie właśnie zadał, rzucając się z mostu. Nie wiem, czemu im o tym nie powiedziałem, bo — rzecz jasna — byłoby to jak najbardziej zasadne. Na razie jednak postanowiłem to zatrzymać dla siebie, uznawszy, że bardziej na miejscu zabrzmi później, gdy ta historia dobiegnie końca. Jeżeli w ogóle się to kiedyś stanie.

## MAUREEN

Na drugi tydzień podali to w lokalnej gazecie. Wycięłam artykuł, schowałam go i co jakiś czas sobie czytałam, żeby po prostu lepiej zrozumieć tego nieszczęśnika. Bez przerwy o nim myślałam. Nazywał się David Fawley i skoczył ze względu na problemy z żoną i dziećmi. Ona poznała kogoś i się do niego wyprowadziła, zabierając dzieciaki. Mieszkał dwie przecznice ode mnie, co mi się wydawało niesłychanym zbiegiem okoliczności, dopóki sobie nie uprzytomniłam, że ludzie opisywani w lokalnej gazecie mieszkają na miejscu, chyba że ktoś nas czasem odwiedzi, żeby otworzyć szkołę czy coś takiego. Do szkoły Matty'ego na przykład raz przyjechała Glenda Jackson.

Martin miał słuszość. Widząc, jak skacze ten człowiek, zrozumiałam, że w sylwestra jeszcze nie byłam gotowa. Wtedy byłam gotowa czynić przygotowania, bo przez to miałam zajęcie — tak jakoś dziwnie wyczekiwałam tego Nowego Roku. A gdy poznałam kilkoro ludzi, z którymi mogłam porozmawiać, to zamiast skakać, z radością wdałam się w rozmowę. Sądzę, że gdybym im powiedziała, po co tam wyszłam, na pewno by mi pozwolili skoczyć. Nie przeszkadzaliby mi ani nie siadali na głowie. Ale mimo to zesłam na dół i pojechałam na przyjęcie. W moim przekonaniu ten biedny David nie miał ochoty na rozmowę z nami. Wyszedł tam, żeby skoczyć, nie by poplotkować. Tymczasem ja poszłam skakać, a skończyło się na pogawędce.

Jakby się tak zastanowić, to ten David i ja stanowiliśmy przeciwieństwa. On popełnił samobójstwo, bo stracił dzieci, podczas gdy ja chciałam się zabić, gdyż nadal miałam syna. Coś podobnego musi być na porządku dziennym. Z pewnością są ludzie, którzy się zabijają ze względu na rozpad małżeństwa, a inni robią to, bo się nie umieją z małżeństwa wyswobodzić. Zastanawiałam się, czy to dotyczy każdego; czy każde nieszczęśliwe położenie ma swą nieszczęśliwą odwrotność. Chociaż moim zdaniem nie stosuje się to do osób zadłużonych. Nikt jeszcze nie zabił się z powodu nadmiaru pieniędzy. Tacy szejkowie naftowi popełniają samobójstwo dość rzadko. A jeżeli już, to w ogóle się o tym nie mówi. W każdym razie z tym przeciwieństwem coś chyba jest na rzeczy. Ja kogoś miałam, a David nie miał nikogo — on skoczył, a ja nie. Kiedy już dojdzie do popełnienia

samobójstwa, to nikt nikogo, że tak powiem, nie próbuje prześcigać. Nie przytrzyma cię żadna linka.

Modliłam się za duszę Davida, choć wiedziałam, że nic mu to nie pomoże, bo popełnił grzech zwątpienia, więc moje modły nie zostaną wysłuchane. A potem, gdy Matty usnął, zostawiwszy go samego na kilka minut, wyszłam, żeby spojrzeć na dom, gdzie mieszkał David. Nie wiem, co mną powodowało ani co miałam nadzieję tam zobaczyć, ale oczywiście nie było tam nic. Ot, jedna z tych ulic pełnych wielkich domów, które zamieniono na mieszkania, więc tyle się dowiedziałam, że mieszkał w mieszkaniu. A później to już musiałam wracać.

Tamtego wieczoru obejrzałam w telewizji program o szkockim detektywie, któremu się niezbyt dobrze układa z żoną, toteż znów zaczęłam myśleć o Davidzie, nie przypuszczam bowiem, by jemu się układało pomyślnie. Nie mam pewności, czy w tym programie chodziło akurat o to, ale niezbyt wiele miejsca poświęcono tam nie kończącym się sprzeczkom między szkockim detektywem a jego żoną, gdyż prawie przez cały czas był on zajęty dochodzeniem, kto zabił tę kobietę i zostawił jej zwłoki przed domem jej byłego męża, aby to wyglądało tak, jakby to ten ją zabił. (To był inny były mąż). Tak więc w godzinnym programie może z dziesięć minut poświęcono jego kłótniom z byłą żoną, a pozostałe pięćdziesiąt — próbom ustalenia, kto włożył ciało tej kobiety do śmietnika. No, może czterdzieści, gdyby usunąć reklamy. Zwróciłam na to uwagę, ponieważ kłótnie zaciekały mnie troszkę bardziej niż ciało, a nie pojawiały się często.

Ostatecznie uznałam, że dziesięć minut na godzinę to właściwie w sam raz. A już na pewno w wypadku tego programu, bo przecież tam chodziło o detektywa, więc tak dla niego, jak i dla widzów było ważne, żeby jak najwięcej czasu poświęcił rozwiązywaniu tych zbrodni. Sadzę jednak, że nawet jak się nie występuje w programie w telewizji, to dziesięć minut na godzinę w sam raz starcza na problemy. Ten David Fawley był bezrobotny, więc całkiem możliwe, że rozmyślanie o byłej żonie zajmowało mu sześćdziesiąt minut na godzinę, a coś podobnego musi się skończyć na dachu Domu Skoczka.

Już ja to dobrze wiem. Obecnie mi są sprzeczki, ale przeżyłam wiele sytuacji, gdy chcąc nie chcąc myślałam o Mattym sześćdziesiąt minut na godzinę. Poza nim nie miałam żadnego tematu do rozmyślań. Ostatnio nachodzą mnie też inne myśli, ze względu na JJ'a, Martina i Jess, jak również ich wcześniejsze i obecne przeżycia. Ale dotąd przeważnie zajmowałam się tylko sobą i synem, to znaczy: problemami.

No więc tamtego wieczoru plątało mi się w głowie od myśli. Leżałam w łóżku na wpół uśpiona, rozmyślając o Davidzie, o tym szkockim detektywie, jak również o zejściu z dachu celem szukania Chasa, aż w końcu mi się to wszystko udało rozwikłać, tak że gdy wstałam rano, stwierdziłam, że dobrze by się było dowiedzieć, gdzie mieszka żona Martina z dziećmi i pójść tam z nimi porozmawiać, aby się przekonać, czy jest jakaś szansa na zejście się rodziny. Bo gdyby się to udało, pewne sprawy już by tak nie gryzły Martina, poza tym miałyby kogoś, a nie w zasadzie nikogo, no i mogłabym się czymś zająć

ze czterdzieści czy pięćdziesiąt minut na godzinę, tak że wszyscy by byli zadowoleni.

Ale byłam beznadziejnym detektywem. Wiedziałam, że żona Martina ma na imię Cindy, więc w książce telefonicznej szukałam Cindy Sharp, a gdy jej tam nie znalazłam, zabrakło mi pomysłów. Więc poprosiłam o to Jess, uznawszy, że JJ'owi ten plan by się nie spodobał, no i ona wyszukała wszelkie niezbędne nam informacje w ciągu dosłownie pięciu minut — w komputerze. Potem jednak chciała iść do Cindy razem ze mną i ja się zgodziłam. Wiem, wiem. Ale spróbuj tylko jej powiedzieć, że nie dostanie, czego się domaga.

## JESS

Siadłam przy komputerze taty, wpisałam w Google „Cindy Sharp” i znalazłam wywiad, którego udzieliła jakiemuś kobiecemu pismu, gdy Martin siedział w więzieniu. „Cindy Sharp po raz pierwszy opowiada o swym zawodzie miłosnym” i takie tam. Nawet można było kliknąć zdjęcie przedstawiające ją i jej dwie córki. Cindy wyglądała jak Penny, tylko że była starsza i trochę grubsza, ze względu na porody i w ogóle. I mogę się założyć, że Penny wyglądała jak ta piętnastolatka, tylko że ta piętnastolatka była jeszcze szczuplejsza niż Penny i miała większe cycki. Tacy faceci jak Martin to naprawdę kutafony. Myśli sobie jeden z drugim, że kobieta to, kurwa, jak taki laptop, bo kiedy mu „stara padnie”, to przecież teraz można dostać takie, co są chudsze i robią coraz więcej.

Więc przeczytałam ten wywiad, no i tam pisali, że mieszka w takiej wiosce Torley Heath, coś koło sześćdziesięciu kilometrów od Londynu. I jeśli myślała, że się uchroni przed tym, że tacy jak my ją odwiedzą, żeby ją namówić do powrotu do męża, to się grubo pomyliła, bo dziennikarka opisała dokładnie, gdzie mieszka — naprzeciwko starodawnego sklepu na rogu, w drugim domu za wiejską szkołą. Napisała to wszystko, bo chciała nam dać do zrozumienia, jakie to niby idealistyczne życie prowadzi Cindy. Prócz tego, że jej były mąż siedział w pudle, bo się przespał z piętnastolatką.

Postanowiłyśmy nic nie mówić JJ'owi. Byłyśmy prawie pewne, że by nas powstrzymywał z takich czy innych pokreconych przyczyn. Powiedziałby: „To nie wasza sprawa” albo: „Spierdolicie mu jeszcze tę ostatnią szansę”. Ale Maureen i ja żeśmy stwierdziły, że mamy mocny argument. Argument nasz wyglądał tak. Może Cindy nienawidziła Martina, bo był dziwkarzem i stukał, co popadnie. Ale teraz miał fazę samobójczą, więc pewnie by nie stukał, przynajmniej chwilowo. Tak że skoro nie chciała go z powrotem przyjąć, musiała go nienawidzić tak, że pragnęła jego śmierci. A to jest okropna nienawiść. Wprawdzie nigdy nie mówił, że chce do niej wrócić, ale potrzebował być w bezpiecznym domowym otoczeniu, takim jak Torley Heath. Lepiej było nic nie robić w miejscu, gdzie nie ma nic do roboty, niż w Londynie, gdzie same problemy — nastolatki i nocne kluby, i wieżowce. Tak nam się wydało.

No więc miałyśmy dzień za miastem. Maureen zrobiła koszmarnie takie jakieś staromodne kanapki z jajkiem i innymi rzeczami, których nie byłam w stanie



jeść. Najpierw pojechałyśmy metrem do Paddington, potem pociągiem do Newbury, a później autobusem do Torley Heath. Martwiłam się, że ja z Maureen to sobie raczej nie pogadamy i że będzie okropnie nudno, i w końcu z tej nudy zrobię coś głupiego. Ale wcale tak nie było, głównie przeze mnie i wysiłek, jaki w to włożyłam. Stwierdziłam, że będę taka jakby bardziej dziennikarska, no i całą drogę wypytywałam Maureen o jej życie, choćby nie wiem jakie to było nudne albo dołujące. Tylko że niestety było to zbyt nudne i dołujące, żeby się tego dało słuchać, więc jak opowiadała, trochę się wyłączałam i wymyślałam następne pytanie. Kilka razy dziwnie na mnie spojrzała, więc podejrzewam, że parę razy już mi coś powiedziała, a ja pytałam drugi raz. Przykładowo, w którymś momencie znów włączyłam odbiór i do mnie dotarło, że cośtamcośtamcośtam poznała Franka. Więc pytam: „Kiedy poznałaś Franka?”, ale ona chyba właśnie powiedziała: „Wtedy poznałam Franka”. Tak że jakbym kiedyś miała zamiar prowadzić wywiady, tobym musiała nad tym popracować. Ale bez przesady: nie rozmawiałabym z ludźmi, co nic nie robią i mają upośledzonego syna, prawda? Więc łatwiej by się było skoncentrować, boby opowiadali o swoich nowych filmach i innych rzeczach, które by się naprawdę chciało wiedzieć.

No, w każdym razie całą podróż na to zadupie nie spytałam jej, czy się kochała na pieska, czy coś w tym stylu. I wtedy sobie uświadomiłam, że od tego sylwestra to naprawdę poszłam do przodu. Dojrzałam jako człowiek. Co mi dało do myślenia, że nasza historia tak jakby się zbliża do końca i że to będzie szczęśliwe zakoń-

czenie. Ponieważ dojrzałam jako człowiek, no i nadszedł ten okres, kiedy się sobie nawzajem rozwiązuje problemy. Już żeśmy nie siedziały i nie mękoły. Wtedy historie się kończą, co nie? Gdy ludzie pokazują, że się czegoś nauczyli, i problemy zostają załatwione. Widziałam dużo takich filmów. Dzisiaj trzeba się było zająć Martinem, później JJ'em, potem mną, a potem Maureen. No i potem, za dziewięćdziesiąt dni, mieliśmy się wszyscy spotkać na dachu, uśmiechnąć i uściskać oraz stwierdzić, żeśmy poszli do przodu.

Przystanek był zaraz przed wiejskim sklepem, co go opisała ta dziennikarka. Więc żeśmy wysiadły i tam stanęły, żeby sprawdzić, czy naprzeciwno w ogóle coś się zobaczy. No i od razu zobaczyłyśmy taki domek z niskim murem. Można też było zajrzeć do ogrodu, a w ogrodzie siedziały dwie dziewczynki, opatulone w czapki i szaliki, i bawiły się z psem. Więc się pytam Maureen: „Wiesz, jak mają na imię dzieciaki Martina?”. A ona na to, że Polly i Maisie, co moim zdaniem dosyć pasowało. Bo tak sobie myślałam, że Martin i Cindy to powinni mieć córki o imionach Polly i Maisie, czyli trochę takich staromodnych i eleganckich, żeby wszyscy mogli udawać, że ich sąsiadem jest pan Darcy czy coś w tym stylu. Więc krzyknęłam: „U-u, Polly, Maisie!”. A one się popatrzyły i podeszły do nas — i tu się skończyła moja detektywistyczna robota.

Zapukałyśmy do drzwi i Cindy otworzyła, patrząc na mnie tak, jakby mnie trochę rozpoznała, więc ja wtedy, że: „Jestem Jess. Należę do Czwórki z Domu Skoczka i byłam, no wiesz, wiązana w gazetach z twoim mę-

zem i w ogóle. Co zresztą nieprawda". Jej to powiedziałam, że nieprawda, nie tobie. Okropnie bym chciała wiedzieć, gdzie się daje znaki przestankowe, czy jak się to nazywa. Widzę teraz, że są naprawdę ważne.

A ona, że były mąż, tak że się zaczęło dosyć nieprzyjemnie i niezbyt poręcznie.

Na co ja: „I o to właśnie chodzi”.

Na co ona: „Doprawdy?”.

Na co ja: „Tak, bo nie musi być twoim byłym”.

Na co ona, że ależ musi.

I nawet żeśmy nie przekroczyły progu.

W tym momencie Maureen mówi tak: „Czy mogłybyśmy wejść i porozmawiać? Jestem Maureen. Również znajoma Martina. Przyjechałyśmy z Londynu, pociągiem”.

„I autobusem”, dodałam. Chciałam, żeby widziała, żeśmy się postarały.

A na to Cindy: „Przepraszam, wejdźcie”. Nie: „Przepraszam, wypierdalajcie do domu”, jak sobie pomyślałam, że na pewno powie. Przeprosiła za to, że tak nietaktownie kazała nam stać w drzwiach. Więc stwierdziłam, że to łatwo pójdzie, że w dziesięć minut ją zmuszę, żeby przyjęła go z powrotem.

No więc weszłyśmy do domku i było tam bardzo przytulnie, ale nie tak, jak w tygodnikach, czego się spodziewałam. Meble nie całkiem do siebie pasowały i były stare, i trochę śmierdziało psem. Wprowadziła nas do salonu i tam przy kominku siedział sobie taki facio. Ładny i młodszy od niej, tak że pomyślałam: „Oho, zadomowiony”. Bo słuchał walkmana bez butów, a w cu-

dzym domu to raczej się nie słucha walkmana bez butów, jak się jest tylko gościem, prawda?

Cindy podeszła do niego, klepnęła w ramię i powiedziała: „Mamy gości”, na co on: „O, przepraszam. Słuchałem *Harry'ego Pottera* w wykonaniu Stephena Frya. Dzieci to uwielbiają, więc uznałem, że też muszę poznać. Słyszałyście może?”.

Na co mówię: „Jasne, to ja wyglądam na dziewięć lat?”. I on nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Zdjął słuchawki i zgasił sprzęt.

Wtedy Cindy, że dziewczynki bawią się z psem Paula. „No i?”, myślę sobie, ale się nic nie odezwałam.

Cindy wytłumaczyła mu, że jesteśmy znajomymi Martina, i on się wtedy zapytał, czy woli, żeby wyszedł, a ona na to: „Skądże. Chcę, byś usłyszał wszystko, co mają do powiedzenia”. Więc wtedy ja: „No, to mamy do powiedzenia Cindy, że się powinna zejść z Martinem, tak że możesz nie chcieć tego słuchać”. I tak samo nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

Maureen spojrzała na mnie i mówi tak: „Martwimy się o niego”. A Cindy: „Bynajmniej mnie to nie dziwi”. No to Maureen powiedziała jej o tym gościu, co się przekręcił, i że to przez to, że go zostawiła żona z dziećmi, na co Cindy: „A wiecie, że to Martin nas zostawił, a nie my jego?”. I ja wtedy: „No, dlatego żeśmy przyjechały. Bo jakbyś to ty go zostawiła, to ta cała wycieczka by była kompletnie po nic. Ale wiesz. Przyjechałyśmy, żeby ci powiedzieć, że tak jakby zmienił zdanie”. Na co Maureen: „W moim przekonaniu wie, że popełnił błąd”. A Cindy: „Nigdy nie wątpiłam, że w końcu to sobie uświadomi, jak i nie miałam wątpliwości, że wtedy już

będzie za późno". Na co ja, że moim zdaniem powinna mu dać jeszcze jedną szansę i że się nie zgadzam, że ona się z tym nie zgadza, na co ona, że musimy się pogodzić z tym, że się nie zgadzamy. To ja: „Więc pragniesz jego śmierci?”

Wtedy się trochę uspokoiła, więc stwierdziłam, że dalej już będzie z górki. Ale zaraz mówi tak: „Jakiś czas temu, kiedy się działo bardzo źle, też myślałam o samobójstwie. Ale nie miałam możliwości, ze względu na dziewczynki. Tymczasem, jak widać, on tę możliwość posiada. Nie należy do rodziny. Nigdy tego nie znośli. Dlatego też stwierdziłam, że to jego sprawa. Skoro mu wolno pieprzyć się z kim popadnie, to wolno mu się zabijać. Nie sądzicie?”

Wtedy ja: „No, rozumiem”. Co się okazało trochę bezsensu.

Cindy spytała: „Powiedział wam, że mu nie pozwalam widywać się z dziewczynkami?”

Na co Maureen, że owszem, że wspominał. Wtedy Cindy: „Nieprawda. Nie chcę tylko, żeby się z nimi spotykał tutaj. Mógłby je zabierać na weekendy do Londynu, ale tego nie robi. Albo mówi, że zabierze, po czym przeprosza, że nie może. Widocznie na aż tyle go nie stać. Za duży wysiłek. Woli przyjechać do domu, od czasu do czasu poczytać im bajkę, a w święta obejrzyć je w szkolnym przedstawieniu. Reszta go nie interesuje”. I dodała: „Nie wiem, po co wam to mówię”. Na co ja: „Ale kutas, nie?”. To się wtedy roześmiała i mówi: „Popełnił mnóstwo błędów i popełnia je nadal”.

Wtedy ten cały Paul mówi tak: „Gdyby był komputerem, toby się powiedziało, że został wadliwie zapro-

gramowany", to ja: „A cóż to ciebie obchodzi?". Na co Cindy: „Słuchajcie, cierpliwość cierpliwością, ale wszystko ma swoje granice. Nachodzą mnie w domu dwie obce osoby, żeby mnie nakłonić do zejścia się z byłym mężem, mężczyzną, który mnie mało nie wykończył, a ja je zapraszam i jeszcze ich słucham. Kiedy moim partnerem, prawdziwym członkiem rodziny i cudownym ojczymem jest Paul — i to właśnie go obchodzi".

Na co Paul wstał i mówi tak: „Może jednak posłucham *Harry'ego* na górze", no i prawie że się potknął o moją nogę, a Cindy skoczyła z krzykiem: „Ostrożnie, kochanie!", i wtedy się zorientowałam, że jest ślepy. Ślepy! Ja pierdołę! Dlatego ten pies! Dlatego Cindy próbowała mi p o w i e d z i e ć, że ma psa (przez te takie moje, że nie wyglądam na dziewięć lat itd.). Więc po to żeśmy się wlokły tyle kilometrów, żeby kazać Cindy zostawić ślepego faceta i wracać do gościa, co bzyka piętnastolatki i traktuje ją jak gówno. Chociaż w zasadzie to obojętne, prawda? Bez przerwy powtarzają, że chcą być traktowani tak samo jak inni. No, więc pominę tę ślepotę. Powiem po prostu, żeśmy się wlokły tyle kilometrów, żeby kazać Cindy zostawić spoko faceta, który jest dobry dla niej i dla dzieci i wracać do dupka. A to też nie wyglądało najlepiej.

Ale powiem ci, co mnie najbardziej trzepnęło. Jedynym dowodem na to, że Martin ma cokolwiek wspólnego z Cindy, była nasza wizyta w jej domu. Jak również te dzieciaki, tyle że one by mogły być dowodem tylko, jakby się je wzięło na testy DNA. W każdym razie mam na myśli coś takiego, że jeśli chodzi o Cindy, to on by równie dobrze mógł w ogóle nie istnieć. I tak by one

wszystkie poszły do przodu. Cindy żyła teraz całkiem nowym życiem. Jadąc tam, myślałam sobie, jak strasznie poszłam do przodu, ale w zasadzie to nie zrobiłam nic poza tym, że się przejechałam pociągiem i autobusem, nie pytając Maureen o ulubione pozycje. Kiedy poznałam Cindy, przestało mi się to wydawać taką wielką drogą. Cindy pozbyła się Martina, poszła do przodu i kogoś poznała. Jej przeszłość była już w przeszłości, a nasza przeszłość, nie wiem... Wciąż się pętała wokół. Było ją widać co dzień po przebudzeniu. Trochę tak, jakby Cindy mieszkała w nowoczesnym mieście w stylu Tokio, a my — w starym, jak Rzym czy coś takiego. Tylko że nie do końca, bo Rzym to pewnie miejsce, gdzie się mieszka super, chociażby przez te stroje i lody, i chłopaków-ciacha — tak samo super jak Tokio. A my żeśmy nie mieszkali w żadnym supermiejscu. A raczej: ona tak jakby mieszkała w nowoczesnym apartamencie na ostatnim piętrze, a my w zasranej dziurze, która się od lat nadawała do rozbiórki. Mieszkaliśmy w miejscu pełnym otworów w ścianach, przez które każdy mógł sobie spokojnie wetknąć łeb i stroić do nas miny. Tymczasem Maureen i ja próbowałyśmy namówić Cindy, żeby się przeniósła z superapartamentu do naszej nory. Nie była to za ciekawa propozycja, jak się teraz przekonałam.

Jak żeśmy wychodziły, Cindy mówi tak: „Miałabym wobec niego więcej szacunku, gdyby sam mnie poprosił”. Wtedy ja: „O co?”. A ona na to: „Pomogę mu, jak będę mogła. Ale nie wiem, o jaką pomoc mu chodzi”.

I gdy to powiedziała, stwierdziłam, że spędziłyśmy to popołudnie kompletnie bez sensu, bo można się było zająć czymś o wiele lepszym.

JJ

Problem w tym, że Amerykanin od samopomocy nie miał, kurwa mać, bladego pojęcia, jak pomóc samemu sobie. I, szczerze mówiąc, im więcej myślałem o tej teorii dziewięćdziesięciu dni, tym mniej mi pasowała do mojej osoby. Bo najwidoczniej miałem mieć przejebane znacznie dłużej niż dziewięćdziesiąt dni. Postanowiłem na zawsze porzucić granie, a to się raczej nie zapowiadało jak rzucanie palenia. Wyglądało, że z każdym dniem będzie coraz gorzej i coraz trudniej. Pierwszy dzień pracy w Burger Kingu nie byłby może najgorszy, bobym sobie powiedział, no wiecie... Właściwie, kurwa mać, nie wiem, co bym sobie powiedział, no ale coś bym wymyślił. Ale piątego dnia byłbym nieszczęśliwy, a po trzydziestu latach... W trzydziestą rocznicę walenia kotletów lepiej ze mną nie gadajcie. Zrobię się upierdliwy. I skończę sześćdziesiątkę.

I nagle, kiedy sobie to wszystko przemieliłem w głowie, to jakby się podniosłem, w sensie psychicznym, stwierdzając: „Pierdolę. Jednak się zabiję”. Po czym przypomniał mi się ten gościu, więc znowu usiadłem, w stanie koszmarnym, o wiele gorszym, niż gdy się podnosiłem. Samopomoc okazała się kupą gówna. Nie mogłem się poczęstować gratisowym drinkiem.

Kiedy się znowu wszyscy spotkaliśmy, Jess opowiedziała, jak to razem z Maureen pojechały na wieś do Cindy.

— Moja była żona miała na imię Cindy — powiedział Martin. Popijając latte, czytał „Telegraph” i w ogóle nie słuchał jej opowieści.



— No, to ci zbieg okoliczności — rzekła Jess. Martin dalej spokojnie sączył kawę.

— Pacan — stwierdziła Jess.

Martin odłożył gazetę i spojrzał na nią.

— Co?

— Chodzi o twoją Cindy, ty tłumoku. Popatrzyl na nią.

— W życiu nie poznałaś mojej Cindy. Eks-mojej Cindy. Mojej eks.

— Właśnie, że tak. Pojechałyśmy z Maureen, żeby z nią pogadać.

Do... jak to się tam nazywa?

— Torley Heath — oznajmiła Maureen.

— Przecież ona tam mieszka — stwierdził z oburzeniem Martin.

Jess westchnęła.

— Pojechałyście się spotkać z Cindy?

Jess zaczęła niedbale kartkować „Telegraph”, tak niby jak on przed chwilą. Wyrwał jej gazetę.

— Po co, cholera jasna, żeście to zrobiły?

— Chciałyśmy jakoś pomóc.

— Jak?

— Pojechałyśmy ją spytać, czy by cię nie przyjęła z powrotem. Ale nie chciała. Żyje na kocią łapę z jednym ślepym facetem. Nieźle się urządziła. Co nie, Maureen?

Maureen miała dość wyczucia, aby wbić wzrok w swoje buty.

Martin wgapił się w Jess.

— Czyś ty oszalała? — wrzasnął. — A kto cię do tego upoważnił?

— Sama się upoważniłam. Żyjemy w wolnym kraju.

— A co byś zrobiła, gdyby się rozpląkała i stwierdziła, że, no wiesz, przyjmie mnie z otwartymi ramionami?

— Pomogłabym ci się spakować. A ty byś, kurwa, zrobił, co byśmy ci kazały.

— Ale... — chwilę bełkotał coś w podnieceniu. — Chryste Panie.

— No, ale nie ma mowy. Bo cię uważa za drania.

— Gdybyś choć raz posłuchała, co mówiłem o mojej byłej żonie, darowałabyś sobie tę wycieczkę. Myślałaś, że ona mnie przyjmie? Myślałaś, że ja bym wrócił?

Jess wzruszyła ramionami.

— Warto było spróbować.

— Maureen — rzekł Martin — na podłodze nic nie ma. Spójrz na mnie. Byłaś z nią?

— Ona to wymyśliła — oznajmiła Jess.

— Więc jesteś jeszcze głupsza od niej.

— Wszyscy wymagamy pomocy — powiedziała Maureen. — Żadne z nas nie wie, czego mu trzeba. Wyście mi pomogli, to i ja chciałam pomóc. I uznałam, że tak właśnie będzie najlepiej.

— A jakim cudem by się to udało teraz, skoro nie wyszło przedtem?

Maureen nie odpowiedziała, więc zrobiłem to ja.

— Czy ktoś z nas nie miałby ochoty sobie teraz poukładać spraw, które dotąd nie wychodziły? Wiedząc, że mamy do wyboru potężne, kurwa, nic.

— A co byś chciał, żeby wróciło, JJ? — zapytała Jess.

— Po prostu wszystko. Kapela. Lizzie.

— Głupota. Zespół był obciachowy. No... — dodała prędko, widząc moje spojrzenie — obciachowy to nie. Ale... sam wiesz.

Kiwnąłem głową. Wiedziałem.

— A Lizzie puściła cię kantem.

To również wiedziałem. Ale jej nie przytaknąłem, uświadamiając sobie, jakie to, kurwa, żalosne, że gdyby się dało cofnąć czas, to zaraz bym się cofnął do ostatnich tygodni istnienia kapeli, a także do ostatnich tygodni z Lizzie, choć wszystko się pierdoliło. Dalej grałem muzykę i dalej się z nią spotykałem, więc chyba nie było powodu do narzekań? Okay, wszystko umierało. Jednakże nie umarło.

Nie wiem dlaczego, ale wypowiedzenie, czego by się naprawdę chciało, mimo że się tego mieć nie mogło, było takie dosyć wyzwalające. Wymyślając dla Maureen Kosmicznego Tony'ego, ograniczyłem jego supermoce, stwierdziwszy, że może się zorientujemy, jak jej należy pomóc. I, jak się okazało, potrzebowała wakacji, co byliśmy w stanie jej załatwić, więc Kosmiczny Tony okazał się gościem wartym poznania. Ale jeśli nie ma żadnego limitu supermocy, trzeba się zajmować rozmaitym innym głównem, chociażby, nie wiem, własnymi problemami. Wszyscy trwonimy tyle czasu, nie mówiąc, czego chcemy, bo wiemy, że nam to nie będzie dane. Dlatego, że to brzmi niewdziecznie, nielojalnie, banalnie czy dziecinnie. Albo dlatego, że tak strasznie chcemy udawać, że wszystko jest okay, że przyznanie się do tego przed sobą wydaje się nam niedobrym posunięciem. Nie żałujcie sobie, mówcie, czego pragniecie. No, może nie na głos, gdybyście mieli przez to mieć kłopoty. „Żałuję,

że za niego nie wyszłam". „Szkoda, że dotąd nie umarła". „Żałuję, że mam z nią dzieci". „Ależ bym chciał mieć kupę szmalu". „Ach, żeby tak wszyscy Albańczycy wypierdolili z powrotem do Albanii". Powiedzcie to sobie, cokolwiek by to było. Prawda zapewni wam wolność. Ewentualnie cios w nocha. Chcąc przetrwać życie, jakie by ono nie było, musi się kłamać, a kłamstwa korodują duszę, więc odpuście je sobie chociażby na chwilę.

— Chcę, żeby wróciła kapela — oświadczyłem. — I dziewczyna. Chcę, żeby wróciła moja kapela i moja dziewczyna.

Jess spojrzała na mnie:

— Przecież już powiedziałaś.

— Ale nie dość dobitnie. Chcę, żeby wróciła moja kapela i moja dziewczyna. **CHCĘ, ŻEBY WRÓCIŁA MOJA KAPELA I MOJA DZIEWCZYNA.** Czego ty chcesz, Martinie?

Martin wstał.

— Chcę jeszcze jedno latte — powiedział. — Może ktoś ma ochotę?

— Ależ ty jesteś burak. Czego chcesz naprawdę?

— Jak powiem, to co z tego będę miał?

— Nie wiem. Powiedz, to się zobaczy. Usiadł, wzruszywszy ramionami.

— Możesz wyrazić trzy życzenia.

— Okay. Chciałbym móc utrzymać to małżeństwo.

— No, to by ci się w życiu nie udało — stwierdziła Jess. — Ponieważ nie umiałeś trzymać ptaszka w spodniach. Wybacz, Maureen.

Martin zlekceważył tę uwagę.

— I oczywiście chciałbym się nigdy nie przespać z tą dziewczyną.  
— No, więc... — odezwała się Jess.  
— Cicho bądź — upomniałem ją.  
— Sam nie wiem — rzekł Martin. — I może też chciałbym nie być takim dupkiem.  
— I proszę: jakoś sobie poradziłeś, prawda?  
Tak trochę zażartowałem, ale nikogo to nie rozśmieszyło.  
— A czemu byś nie chciał się z nią przespać i nie dać się złapać? — spytała Jess. — Ja na twoim miejscu tego bym sobie życzyła. Mnie się wydaje, że dalej kłamiesz. Życzysz sobie takich rzeczy, żeby zrobić dobre wrażenie.  
— Ale to, co proponujesz, nie byłoby żadnym wyjściem. Dalej bym był dupkiem i by mnie złapali za coś innego, prawda?  
— No, to czemu sobie nie zażyczysz, żeby cię nie złapali nigdy w życiu? Czemu nie... Jak to się mówi z tym tortem?  
— Co ty pleciesz?  
— No, że się go zjada.  
— Że się go chce i trzymać, i zjadać, tak? Jess sprawiała wrażenie zakłopotanej.  
— Jesteście pewni, że to tak? Jak można zjeść kawałek tortu całkiem bez przytrzymywania?  
— Chodzi o to — wyjaśnił Martin — że się chce i tego, i tego. Jesz tort, który jednak pozostaje nie ruszony.  
— Chore!  
— W istocie.

— Jak to możliwe?

— Niemożliwe. Stąd też to powiedzenie.

— A jak się do tego ma ten pieprzony tort? Skoro i tak się go nie zje?

— Odbiegliśmy chyba od tematu — powiedziałem. — Chodzi o to, żeby sobie życzyć czegoś, co nas uszczęśliwi. A rozumiem, czemu Martin chciałby być, no wiecie, innym człowiekiem.

— Ja bym chciała, żeby Jen wróciła — oświadczyła Jess.

— No, tak. Wiadomo. I?

— I tyle. Martin prychnął:

— A może byś nie chciała być aż taką francą?

— Gdyby Jen wróciła, toby się zmieniło.

— A trochę mniej szurnięta?

— Nie jestem szurnięta. Tylko, no wiesz. Pogubiona.

Zapadło głębokie milczenie. Najwidoczniej część towarzystwa nie była co do tego przekonana.

— Więc masz zamiar zmarnować dwa życzenia? — zwróciłem się do Jess.

— Nie. Jakoś je wykorzystam. Hmm... Może dożywotnia dostawa koki? I, nie wiem... No, w sumie to mogłabym się nauczyć grać na fortepianie.

Martin westchnął.

— Chryste Panie. To twój jedyny problem? Nie umiesz grać na fortepianie?

— Gdybym była mniej pogubiona, miałabym czas na granie.

Postanowiliśmy nie drążyć tematu.

— Maureen, a ty?  
— Już ci mówiłam. Kiedy powiedziałaś, że tylko Kosmiczny Tony  
umie załatwiać sprawy.  
— No, to powtórz.  
— Chciałabym, żeby się jakoś dało wyleczyć Mat-ty'ego.  
— Nie stać cię na coś więcej? — zapytała Jess. Skrzywiliśmy się.  
— A na co?  
— Nie, no, po prostu byłam ciekawa, co powiesz. Bo mogłabyś sobie  
zażyczyć, żeby się urodził normalny. Wtedy byś sobie oszczędziła tych  
lat czyszczenia sraki.  
Maureen chwilę milczała.  
— A kim bym wtedy była?  
— Hm?  
— No, nie wiem, kim bym była.  
— Dalej byś była Maureen, ty stara głupia torbo.  
— Nie o to jej chodzi — wyjaśniłem. — A o to, że jesteśmy tym, co  
się nam wydarza. Więc jak odejmiesz „co się nam wydarza”, to wiesz...  
— Niestety, kurwa, nie wiem — odrzekła Jess.  
— Gdyby ci się nie zdarzyła Jen i, i te inne sprawy.  
— Znaczą się: Chas i w ogóle?  
— Dokładnie. Zdarzenia tego formatu. Więc kim byś wtedy była?  
— Kim innym.  
— Właśnie.  
— No, to by było, kurwa, zajebiście.  
I w tym momencie przerwaliśmy grę w życzenia.

## MARTIN

W zamierzeniu był to, zdaje się, spektakularny gest ogarnięcia całości, jakby ta całość w ogóle była możliwa do ogarnięcia. Ale też taką teraz mamy młodzież, prawda? Oglądają stanowczo za dużo szczęśliwych zakończeń. Wszystko musi się domykać uśmiechem, łzami i radosnym pożegnaniem. Każdy zdobywa doświadczenie, odnajduje miłość, uświadamia sobie, że dotąd błędził, i odkrywa uroki monogamii, ojcostwa, synostwa albo po prostu życia. Za moich czasów na końcu filmu bohaterowie ginęli, uświadamiając sobie uprzednio jedynie to, że życie jest puste, ponure, brutalne i krótkie.

\*\*\*

Od pamiętnej rozmowy w Starbucks o życzeniach upłynęły bodaj dwa, trzy tygodnie. Dziwnym zrzędzeniem Jess udało się wtedy przymknąć jadaczkę — co zakrawa na wyczyn, wzięwszy pod uwagę, że zwykła jej technika konwersacji polega na opisywaniu wszystkiego, co się napatoczy, za pomocą możliwie największej liczby słów, tak jak gdyby była radiowym sprawozdawcą. Później jednak co jakiś czas podejmowała, a raczej chciała podejmować tę grę, bo nikt z nas nie miał pojęcia, że toczy się ona nadal.

Któregoś popołudnia, gdy Maureen powiedziała, że powinna wracać, żeby spojrzeć na Matty'ego — tłumiąc śmiech, Jess stwierdziła tajemniczo, że to już niedługo.

Maureen popatrzyła na nią.



— Zobaczą go za dwadzieścia minut, jak zdążę na autobus — powiedziała.

— No, ale później — rzekła Jess.

— Niedługo, ale później? — spytałem.

— No.

— Oglądam go całymi dniami — powiedziała Maureen.

I zapomnieliśmy o tym, jak to się dzieje w wypadku większości wypowiedzi Jess.

Bodaj tydzień później zaczęła przejawiać skrywane dotąd zainteresowanie Lizzie, eks-dziewczyną JJ'a.

— Gdzie mieszka Lizzie? — spytała JJ'a.

— Przy King's Cross. I zanim coś powiesz: nie, nie jest prostytutką.

— Ze kim jest? prostytutką. Ha, ha. Tak się tylko wygłupiam.

— Rzeczywiście, wyśmienity dowcip.

— No, to gdzie się mieszka na King's Cross? Jak się nie jest prostytutką?

JJ wzniosł oczy ku niebu.

— Nie powiem ci, gdzie mieszka. Jeszcze mi nie odbiło.

— Ale ja wcale nie chcę z nią gadać. Głupia zdzira.

— A czemu to niby zdzira? — zwróciłem się do niej. — Jeśli nam wiadomo, spała w życiu tylko z jednym mężczyzną.

— Zaraz, zaraz, jak to się mówi? Chujowa? Sorry, Maureen.

— „Metaforycznie” — odparłem. Gdy ktoś użyje wyrazu „chujowa” i od razu wiadomo, że traktuje go jako synonim słowa „metaforycznie”, to mamy prawo

wątpić, czy dobrze znamy tę osobę, a nawet — czy w ogóle ją znać powinniśmy.

— O, właśnie. Jest zdziwą metaforyczną. Rzuciła JJ'a i pewnie sobie poszła do innego.

— No, nie wiem — rzekł JJ. — To, że mnie rzuciła, jeszcze jej nie skazuje na wieczny celibat.

Po czym przeszliśmy do dyskusji na temat najwłaściwszych kar dla naszych byłych, zastanawiając się, czy śmierć byłaby dla nich zbyt dobra i tak dalej — wobec czego kwestia Lizzie, jak wiele innych w tym czasie, została zignorowana. Istniała jednak nadal, gdyby tylko chciało się nam trochę poszperać w zaśmieconym umyśle Jess.

W tym też znamionym dniu jadłem lunch z Theo — mimo że oczywiście jedząc lunch z Theo, nie miałem pojęcia, że dzień okaże się tak znamionym. Już sam lunch z Theo był doniosłym wydarzeniem. Odkąd wyszedłem z więzienia, rozmawialiśmy przecież tylko przez telefon.

Chciał się ze mną zobaczyć, bo prestiżowe wydawnictwo złożyło mu, jak się wyraził, „konkretne” zamówienie na moją autobiografię.

— Ile?

— Na razie nie było mowy o pieniądzach.

— Czy zatem mogę spytać, na ile jest to „konkretne”?

— No, wiesz. Faktyczne.

— Mianowicie?

— Realne, nie zmyślane.

— Co wobec tego faktycznie znaczy „realne”?

— Nie obraż się, Martin, ale ostatnio co rusz stwarzasz jakieś problemy. Nie mówiąc o tym, że z takich czy innych względów od początku nie byłeś najłatwiejszym klientem. Kiedy ja wkładałam w ten projekt naprawdę dużo pracy.

Na chwilę straciłem wątek, uświadomiwszy sobie, że mam pod nogami słomę. Umówiliśmy się w restauracji Farma, więc wszystkie nasze dania pochodziły z farmy właśnie. Genialne, co? Mięso! Kartofle! Sałata! To się nazywa pomysłowość! Zapewne bez tej słomy padłaby cała koncepcja. Aczkolwiek — jak się należało spodziewać — zamiast tęgich, rumianych i jowialnych kelnerów w fartuszkach, obsługiwały nas chude, blade i opryskliwe istoty w czerni.

— A cóż takiego masz do roboty? Skoro, jak powiadasz, ktoś zadzwonił z nieopisanie konkretną propozycją wydania mojej autobiografii?

— Tak właściwie to ja do nich zadzwoniłem z tą sugestią.

— Aha. I jakoś się zainteresowali?

— Oddzwonili.

— Z konkretną propozycją.

Theo uśmiechnął się protekcjonalnie.

— Ty chyba mało wiesz o kręgach wydawniczych...?

— Istotnie niewiele. Poza tym, co usłyszałem w czasie tego lunchu. To znaczy: ktoś tam dzwonił z jakąś konkretną ofertą. Najwyraźniej dlatego się spotkaliśmy.

— Jak się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy. Ja natomiast — zacząłem się denerwować.

— Okay. Dobra. To już niech będzie powoli.

— Nie, bo rozumiesz... Za wolno też się nie da. Polega to raczej na, no wiesz, strategii.

\_???

— Co nagle, to po diable.

— Chryste Panie, Theo!

— Niestety, że tak powiem, to też niewłaściwa reakcja. Stanowczo zbyt popędliwa.

Więcej na temat propozycji nie zdołałem się dowiedzieć; nigdy też nie było mi dane pojąć sensu tego spotkania.

Jess zwołała nadzwyczajne zebranie o czwartej, w ogromnej i niezmiennie pustej suterenie Starbucks przy Upper Street, w jednej z sal pełnych kanap i stołów, gdzie właściwie moglibyście się poczuć jak we własnym salonie, pod warunkiem że wasz salon jest pozbawiony okien i pije się tam tylko z papierowych kubków, nigdy ich nie sprzątajac.

— Dlaczego w suterenie? — spytałem, gdy do mnie zadzwoniła.

— Mam do obgadania pewne sprawy intymne.

— To znaczy?

— Seksualne.

— Chryste. Przecież przyjdzie też i Maureen, i JJ, prawda?

— Myślisz, że tylko z tobą bym mówiła o intymnych sprawach seksualnych?

— Nie, mam nadzieję, że nie.

— Bo ci się pewno zdaje, że bez przerwy fantazjuję na twój temat.

— To na razie, dobra?

Z West Endu pojechałem dziewiętnastką na Upper Street. Musiałem autobusem, bo już całkiem wyczerpała mi się gotówka. Dotychczas jakoś udawało nam się wiązać koniec z końcem, dzięki drobnym otrzymanym za występy w telewizji i od ministra oświaty. Niestety, wciąż byłem bezrobotny. Więc chociaż któregoś dnia Jess stwierdziła, że taksówki to najtańsza forma komunikacji, bo za darmo można się nimi dostać, gdzie tylko dusza zapagnie, a forsa jest niezbędna dopiero, gdy już się dotrze na miejsce — uznałem, że nie powinienem narzucać się taksiarzom z moim ubóstwem. Poza tym całą drogę trzeba by rozmawiać o tym, jak niesłusznie mnie posadzili, bo w końcu nic takiego nie zrobiłem; bo wyglądając, jak wyglądała, sama sobie była winna i tak dalej. Od pewnego czasu wolę takich, co jeżdżą na dziko, bo o mieszkańcach Londynu mają tak samo zerowe pojęcie, jak o jego topografii. W autobusie zostałem rozpoznany dwukrotnie, w tym raz przez kogoś, kto chciał mi przeczytać stosowny i najwyraźniej zbawienny *passus* z Biblii.

Dotarwszy do Starbucks, zobaczyłem przed sobą jakąś parkę, która od razu skierowała się na dół. Najpierw mnie to — rzecz jasna — ucieszyło, bo wobec tego Jess byłaby zmuszona objawiać swe seksualne rewelacje *sottovoce*, a może i w ogóle by z nich zrezygnowała. Czekaając w kolejce po herbatę, uświadomiłem sobie jednak, że, biorąc pod uwagę jej odporność na wstyd, jest to myślenie niesłuszne, toteż w moim żołądku zaczęło się dziać coś, co się tam nieraz dzieje, odkąd skończyłem czterdziestkę. Nie buzowało — to pewne. W starych żołądkach nie buzuje. To raczej coś takiego, jakby

jedna ścianka była językiem, a druga baterią, no i w chwilach napięcia stykają się one ze sobą, z katastrofalnym skutkiem.

Na dole wpierw zobaczyłem Matty'ego, na wózku. Stało przy nim dwóch krzepkich pielęgniarzy, którzy zapewne go tam znieśli; jeden był pochłonięty rozmową z Maureen. Gdy się zacząłem zastanawiać, co też sprowadza Matty'ego do Starbucks, podbiegły do mnie dwie blondyneczki, wołając: „Tatuś! Tatuś!”, a jednak nie od razu się zorientowałem, że to moje córki. Podniósłszy je i przytuliwszy, tłumiąc łzy, rozejrzałem się po sali. I ujrzałem Penny, która się do mnie uśmiechała, jak również — w odległym kącie — Cindy, bynajmniej nie uśmiechniętą. JJ obejmował tę parę, która weszła przede mną, a Jess stała w towarzystwie ojca i jakiejś kobiety. Uznałem, że to na pewno jej matka, bo miała wygląd stuprocentowej żony laburzystowskiego ministra oświaty: wysoką i świetnie ubraną, szpecił paskudny uśmiech, w najmniejszym stopniu nie związany z żadnym ludzkim uczuciem, prawdziwy uśmiech wieczoru wyborczego. Na ręce miała zawiązany czerwony sznurek, taki jak nosi Madonna, więc — choć cała reszta zdawała się temu przeczyć — ewidentnie była istotą głęboko uduchowioną. Wziąwszy pod uwagę słabość Jess do sytuacji melodramatycznych, wcale bym się nie zdziwił, widząc tam również jej siostrę, ale sprawdziłem to i wiem, że była nieobecna. Jess miała na sobie żakiet i — rzecz niecodzienna — aby się wystraszyć jej makijażu, trzeba było do niej podejść bardzo blisko.

Postawiłem dziewczynki i zaprowadziłem do matki. Po drodze jednak pomachałem do Penny, tak po prostu, żeby się nie poczuła zlekceważona.

— Witam — nachyliłem się, by pocałować w policzek Cindy, która jednak wykonała zręczny unik. — Co cię tu sprowadza? — zapytałem.

— Ta szalona dziewczyna przypuszczalnie sądzi, że to jakoś pomoże.

— Aha. Powiedziała ci, jak?

Cindy prychnęła. Czując, że zamierza prychnąć na wszystko, co tylko powiem, że prychnanie będzie odtąd jej ulubioną formą komunikacji, przykląknęłam, by porozmawiać z córkami.

Klasnąwszy w dłonie, Jess wystąpiła na środek sali.

— Czytałam o tym w internecie — oznajmiła. — To się nazywa interwencja. Amerykanie to robią cały czas.

— Cały czas! — wrzasnął JJ. — Wyłącznie, nic poza tym.

— Po prostu, jak komuś odjebie... pomiesza się od ćpania, chlania czy coś takiego, no to wtedy przyjaciele i rodzina, i w ogóle, się zbierają, żeby go skonfrontować, i mówią, wiecie, „Daj sobie, kurwa, siana”. Wybacz, Maureen. Sorry, mamie i tacie, sorry dziewczynki. Tak nie całkiem do końca. W Ameryce ma się wykwalifikowanego.. . Cholera, zapomniałam, jak się to nazywa. Ten ze strony, co na nią weszłam, miał na imię Steve.

Z kieszeni zakietu wygrzebała kawałek papieru.

— Facylitatora. Powinno się mieć wykwalifikowanego facylitatora, a my go nie mamy. Naprawdę nie wiedziałam, kogo poprosić. Nie znam nikogo z kwalifikacjami. Poza tym ta interwencja jest tak jakby na odwrót. Bo my was prosimy o interwencję. My przychodzimy do was, a nie wy do nas. My wam mówimy, że wymagamy pomocy.

Pielęgniarze, którzy przyszli z Mattym, zaczęli się niepewnie rozglądać — i Jess to zauważyła.

— Nie wam — powiedziała. — Wy nie musicie nic robić. Tak naprawdę jesteście tu tylko po to, żeby zwiększyć ekipę Maureen, bo przecież wiadomo, że ona nikogo nie ma, co nie? Stwierdziłam, że was dwóch i Matty to lepiej niż nic, rozumiecie. Chybaby ci było trochę smutno, Maureen, że się tak wszyscy łączą, a ty stoisz całkiem sama.

Jednego nie sposób było odmówić Jess. Złapawszy wiatr w żagle, wypuszczała go nad wyraz niechętnie. Maureen starała się wdzięcznie uśmiechnąć.

— Dobra. To teraz, żeby każdy wiedział, kto jest kto. W rogu JJ'a mamy jego byłą, Lizzie, i jego kumpla Eda, co z nim grał w tej dupianej kapeli. Ed przyleciał specjalnie z Ameryki. Ja jestem z mamą i tatą, a ich to w jednym pokoju za często się nie spotyka, hahaha. Z Martinem jest jego eks-żona, córki i była dziewczyna. Kto wie zresztą: może nie była? Bo może pod koniec zachce mu się wrócić do jednej i do drugiej.

Wszyscy się roześmiali i spojrzeli na Cindy, po czym przestali się śmiać, widząc, że może to pociągnąć za sobą pewne konsekwencje.

— Po tamtej stronie Maureen z synem Mattym i dwoma gostkami z ośrodka. I teraz, o co chodzi. Każdy najpierw rozmawia ze swoimi, żeby podłapać klimat. Potem się zamieniamy i każdy gada z cudzą ekipą. No, coś jak skrzyżowanie tego, co robią w Ameryce, z wieczorkiem zapoznawczym rodziców w szkole, bo przyjaciele i rodzina tak trochę siedzą w kącie, czekając, aż ktoś ich odwiedzi.



— Po co? — spytałem. — Dlaczego?

— Nie wiem. Obojętne. Tak dla jaj. I czegoś się dowiemy, co nie? O innych. I o sobie.

Szczyśliwe zakończenie: że też od razu na to nie wpadłem. Wprawdzie rzeczywiście dowiedziałem się czegoś o innych, nie dowiedziałem się jednak absolutnie nic istotnego. Mogłem więc powiedzieć Edowi, jak się nazywał jego zespół, a Crichtonom, jak ma na imię ich zaginiona córka, tyle że uznałem za wysoce nieprawdopodobne, by im się to na coś mogło przydać, czy też ich jakoś pocieszyć.

Czy w życiu tak naprawdę dowiadujemy się czegokolwiek poza rozkładem jazdy i nazwiskiem premiera Hiszpanii? Mam nadzieję, że nauczyłem się nie sypiać z piętnastolatkami, ale że to naganne, wiedziałem już parędziesiąt lat przed faktem. Kłopot w tym, że mi powiedziała, że skończyła szesnaście. Więc czy w związku z tym nauczyłem się nie sypiać z szesnastolatkami, czy w ogóle atrakcyjnymi młodymi kobietami? Nie. A przecież prawie wszyscy, z którymi prowadziłem wywiady, twierdzili, że robiąc to czy tamto — wychodząc z raka, zdobywając górski szczyt, grając seryjnego mordercę — dowiadawali się czegoś na swój temat. Ja tylko przytakuję i refleksyjnie się uśmiecham, gdy tak naprawdę chętnie bym im dał do wiwatu: „A czegoż to niby cię nauczył rak? Ze nie lubisz chorować? Ze nie masz ochoty umrzeć? Ze od peruki swędzi głowa? Bez kitu, chcę konkretów”. Podejrzewam, że sobie coś wmawiają, próbując to doświadczenie zmienić w rzecz pozornie wartościową, aby nie mieć poczucia, że zmarnowali czas.

W ostatnich miesiącach siedziałem w więzieniu, straciłem godność do najdrobniejszej cząsteczki, zostałem odseparowany od dzieci i bardzo poważnie myślałem o samobójstwie. Coś takiego to chyba można uznać za psychiczny odpowiednik raka, prawda? A już na pewno jest to rzecz poważniejsza niż, cholera jasna, granie w jakimś filmie. Więc jakim, kurwa, cudem nie wyciągnąłem z tego żadnej lekcji? I czego się miałem nauczyć? Owszem, w pewnym momencie odczułem silną więź z własną wartością i żałuję, że okazało się to przejściowe. Ponadto stwierdziłem, że więzienie i bieda są całkiem nie w moim stylu. Ale, wiadomo, równie dobrze mógłbym się o tym przekonać, dźgając kogoś nożem w ciemnej ulicy. Może uznacie mój sposób myślenia za zbyt uproszczony, ale podejrzewam, że nie chorując na raka, ludzie poznawaliby siebie lepiej. Mieliby więcej czasu i jeszcze więcej energii.

— Więc — podjęła Jess — gdzie kto idzie?

W tej samej chwili ujrzeliśmy grupę francuskich punków z kubkami kawy, kierującą się w stronę wolnego stołu, obok którego siedział na wózku Matty.

— Ej! — krzyknęła Jess. — Gdzie niby się wybieracie? Na górę, wszyscy!

Spojrzeli na nią.

— No, szybko. Nie mamy czasu. Raz, raz, raz! *Schnell. Plus vilement.*

Przegnała ich pod same schody, więc wynieśli się pokornie, uznając zapewne, że mają do czynienia z kolejną niezrozumiałą, agresywną istotą, rodem z niepojętego, pełnego agresji kraju. Usiadłszy przy stole mojej byłej żony, znów pomachałem do Penny. Był to rodzaj

wielofunkcyjnego gestu rozrywkowego, stanowiący jakby skrzyżowanie „Już idę po drinka” z „To zadzwonię”, doprawione szczyptą „Można prosić rachunek?”. Penny skinęła głową, jak gdyby to zrozumiała. Po czym, równie niestosownie do okoliczności, zatarłem ręce, jakby nie mogąc już się doczekać pierwszego smakowitego i pożywnego kęsa samopoznania.

## MAUREEN

Nie sądziłam, że będę miała za wiele do powiedzenia. A już na pewno nie Matty'emu. Ale też nie przypuszczałam, że się da pogawędzić z tymi dwoma chłopcami z ośrodka. Spytałam, czyby się może nie napili herbaty, ale odmówili. Potem zapytałam, czy im się ciężko znosiło Matty'ego po schodach, to odpowiedzieli, że wcale, że we dwóch dali radę spokojnie. Na co stwierdziłam, że mnie by się to nie udało, nawet gdybym była dziesięć razy większa, a oni się roześmieli, no i tak sobie staliśmy, spoglądając na siebie. Później ten niższy, co przyjechał z Australii i przypominał takiego zabawkowego cyborga Matty'ego, z kwadratową głową i korpusem, spytał, co to za zgromadzenie. Nie przyszło mi do głowy, że się nie domyślą.

— Bo tak się zastanawiam, no i dalej nie wiem.

— Cóż — odpowiedziałam. — Istotnie, może to wyglądać dosyć osobliwie.

— No, to nas proszę oświecić. Steve mówi, że pewno wszyscy macie problemy z forszą.

— Niektórzy tak. Ja nie.

Jak żyję, nigdy się nie musiałam martwić o pieniądze. Dostaję zasiłek na opiekę i mieszkam w domu po mamie, która zresztą też coś mi tam zostawiła w spadku. A jak się nigdzie nie bywa i nic nie robi, to życie jest niedrogie.

— Ale macie kłopoty — powiedział kwadratowy.

— Owszem, mamy — potwierdziłam. — Tyle że każdy inne.

— No, wiem, że on ma kłopoty — stwierdził drugi, Stephen. — Ten gościu z telewizji.

— Owszem, ma — przyznałam.

— A jak się poznaliście? Bo pewnie nie bywacie w tych samych nocnych klubach.

I skończyło się na tym, że im wszystko opowiedziałam. Choć wcale nie miałam zamiaru. Tak jakoś samo wyszło. Jak raz zaczęłam, to potem już nie myślałam, co by może pominąć. No i dopiero potem uświadomiłam sobie, że nie należało w ogóle nic mówić, mimo że podeszli do tego tak sympatycznie, wyrazili współczucie i tym podobne rzeczy.

— Tylko nie powtarzajcie tego w ośrodku, dobrze? — poprosiłam.

— A po co by o tym gadać?

— Bo gdyby się dowiedzieli, że chciałam zostawić tam Matty'ego na zawsze, mogliby go już nie przyjąć. Uznaliby może, że zawsze, gdy dzwonię, żebyście go zabrali, planuję skoczyć z dachu.

Zawarliśmy więc układ. Oni podali mi adres innego ośrodka w okolicy, prywatnego i według nich lepszego, a ja obiecałam, że gdy postanowię ze sobą skończyć, to wtedy tam zadzwonię.

— Nie chodzi o to, że nie chcemy wiedzieć — powiedział kwadratowy, Sean. — Ani nie o to, że potem ci u nas by mieli strupa z Mattym. Wolimy po prostu nie myśleć, że za każdym razem, kiedy do nas dzwonisz, masz jakiś problem.

Nie wiem czemu, ale wprawiło mnie to w euforię. Dwaj zupełnie mi nie znani mężczyźni poprosili, abym do nich nie dzwoniła w chwilach samobójczego zwątpienia, tak że miałam ochotę ich wyściskać. Broń Boże, nie chciałam niczyjej litości. Pragnęłam natomiast od ludzi pomocy, nawet gdyby ta pomoc miała polegać na oświadczeniu, że mi jej nie udziela, jeżeli mogę to tak zawile ująć. Zabawne, że coś takiego właśnie chciała osiągnąć Jess, gdy organizowała nasze spotkanie. Choć się nie spodziewała, że coś z niego wyniknie dla mnie, bo zaprosiła tych dwóch gości tylko dlatego, że bez ich pomocy Matty by tu nie dotarł — tymczasem oni już w pięć minut poprawili mi samopoczucie.

Stephen, Sean i ja jakiś czas obserwowaliśmy pozostałych, żeby zobaczyć, jak się dogadują. Najlepiej szło JJ'owi, bo jeszcze się nie zdążył pokłócić z przyjaciółmi. Martin i jego była żona patrzyli w milczeniu, jak ich córki coś rysują, a Jess z rodzicami krzyczeli na siebie. Co wróżyłoby pomyślnie, gdyby krzyczeli do rzeczy, tylko że Jess raz po raz strasznie głośno wyrzaskiwała swe zdanie na różne tematy, najwyraźniej odbiegając od tematu. Na przykład: „W życiu, cholera jasna, nie ruszałam tych głupich kolczyków”. Usłyszeli to wszyscy zgromadzeni, a Martin, JJ i ja spojrzeliśmy na siebie. Nikt z nas nie wiedział o sytuacji z kolczykami, więc nie

chcieliśmy tego osądzać, trudno jednak było sobie wyobrazić, że stanowią one podstawową przyczynę problemów Jess.

Zrobiło mi się żal Penny, która dalej stała sama, więc do niej podeszłam, proponując, żeby może do nas dołączyła.

— Z pewnością macie sobie wiele do powiedzenia

— stwierdziła.

— Nie — odparłam. — Już skończyliśmy. Naprawdę.

— No, no, dostał ci się najprzystojniejszy tutaj facet — powiedziała.

Miała na myśli Stephena, tego wysokiego pielęgniarza — i gdy na niego spojrzałam z drugiego końca sali, nie mogłam się z nią nie zgodzić. Miał długie, gęste blond włosy i jasnoniebieskie oczy, a przy tym uśmiech, od którego aż się robiło cieplej. Przykro, że sama tego nie zauważyłam, no ale ja już dawno przestałam myśleć o takich rzeczach.

— Więc podejdź i go zagadnij. Chętnie cię pozna

— zachęciłam ją.

Nie miałam co do tego pewności, ale kiedy się nie ma do roboty nic oprócz stania przy chłopcu na wózku inwalidzkim, to w moim przekonaniu chyba chętnie by się poznało powabną kobietę, która występuje w telewizji. Ale nie powinnam sobie przypisywać wielkich zasług, bo też — poza tym, co powiedziałam — nie zrobiłam nic szczególnego. Chociaż niesamowite, ile się wydarzyło przez to, że Penny przeszła koło barku, żeby pomówić ze Stephenem.

## JESS

Zdaje się, że wszyscy mieli niezłą zabawę, tylko ja nie. Ja się bawiłam do dupy. Co było nie w porządku, bo organizowanie tej całej rodzicielskiej interwencji zajęło mi po prostu wieki. Najpierw szukałam po internecie, no i w końcu znalazłam mail tego gościa, co był menadżerem zespołu JJ'a. On mi dał telefon Eda, więc musiałam siedzieć chyba do trzeciej rano, żeby go złapać, jak wróci z pracy. A jak mu powiedziałam, że JJ'owi się całkiem kitwasi, to stwierdził, że zaraz przyjeżdża, i zadzwonił do Lizzie i jej to powiedział, no i ona też, że już zaraz jedzie. Potem miałam różne akcje z Cindy i z jej dziećmi, i to było normalnie tak, jakbym, kurwa, tydzień pracowała po osiem godzin dziennie, i co mi z tego przyszło? Gówno. A czemu mi się wydawało, że z rozmowy z własnym pieprzonym ojcem i z własną pieprzoną matką w ogóle coś, kurwa, wyniknie? Rozmawiam z nimi codziennie i nigdy się nic, kurwa mać, nie zmienia. I teraz sobie nagle ubzdurałam, że może jednak coś zmienię? Bo zwołam do Starbucks Matty'ego i Penny, i całą resztę? Miałam chyba nadzieję, że może mnie posłuchają, zwłaszcza kiedy im powiem, żeśmy się tam zeszli, bo wymagamy ich pomocy; ale jak mama wywlekała to z kolczykami, to stwierdziłam, że już bym wołała ściągnąć kogoś z ulicy i poprosić, żeby mnie zaadoptował. I w ogóle.

W życiu nie zapomnimy o tych kolczykach. Będzie się o nich mówić jeszcze na łożu śmierci mamy. Są dla niej czymś takim jak przekleństwo. Jak się na nią wkurzę, zaczynam rzucać mięsem, a jak ona na mnie, to

w kółko o tych kolczykach. Choć wcale nie były jej, tylko Jen, i tak jak jej mówiłam, w życiu się ich nie tykałam. Mama wymyśliła sobie, że przez te koszarne kilka tygodni, kiedyśmy bez przerwy siedzieli i czekali na telefon z policji, że już znaleźli ciało, kolczyki leżały na nocnym stoliku Jen. Mówi, że co wieczór siadała na łóżku, a że ma tę taką pamięć fotograficzną do rzeczy, które wtedy widziała, to jak dziś pamięta, że leżały koło filiżanki po kawie, no i jakiejś książki. A później, kiedyśmy już zaczęli wracać do pracy i szkoły, i do jako takiej normalności, to te kolczyki zniknęły. Więc oczywiście na pewno wzięłam je ja, bo ja to ciągle coś kradnę. I zgoda: kradnę. Ale głównie gotówkę — im. Kolczyki były Jen, a nie ich, a poza tym kupiła je na Camden Market za chyba pięć funtów.

Nie jestem tego całkiem pewna i nie mam zamiaru się nad sobą użalać czy coś w tym stylu. Ale rodzice to muszą mieć ulubionego dzieciaka, co nie? No, bo jak inaczej? Jak państwo Minogue by mogli nie woleć Kylie od tej drugiej? Jen nigdy nie podkradała; cały czas czytała, miała dobre stopnie, gadała z tatą o przetasowaniach i tych różnych innych politycznych rzeczach, nigdy się nie wyrzygała na podłogę przy ministrze skarbu i w ogóle. Przykładowo to rzyganie. Nieświeży falafel i tyle. Raz na wagarach spaliło się dwa skręty i obaliło ze dwa breeze, tak że naprawdę bez szaleństw. No i przed samym powrotem zjadłam ten falafel. Zaczął mi podchodzić do góry, jak tylko włożyłam klucz do zamka, więc wiadomo, że od niego te mdłości. Dolecieć do klopa nie było szans. W kuchni siedział tato z tym całym od skarbu, więc choć chciałam do zlewu, to już nie zdą-



żyłam. Zarzygałam wszystko. Breezery z tym falafelem. Puściłabym pawia, gdyby nie falafel? Nie. Uwierzył mi, że to miało coś wspólnego z falafelem? Nie. A uwierzyliby Jen? Tak, tylko przez to, że nie piła ani nie przypalała. Sama nie wiem. Tak to już bywa — kolczyki i falafele. Każdy wie, jak mówić, a nikt nie wie, co powiedzieć.

Jak się znowu zaczęło o tych kolczykach, mama mówi: „O co ci chodzi?”. Więc ja wtedy: „Czy coś do ciebie dociera?”, na co ona: „I cóż to mi umknęło?”. To ja, że: „W przemówieniu, czy jak to się nazywa, stwierdziłam, że wymagamy waszej pomocy”, a ona: „A czegoż to niby nie robimy, choć robić powinniśmy?”.

I tego nie wiedziałam. Karmią mnie i ubierają, dają forszę i kształcę, i tak dalej. Jak mówię, to słuchają. Pomyślałam sobie, że jakbym im powiedziała, że mi mają pomagać, toby pomagali. Nie przyszło mi do głowy, że nie mam im co powiedzieć, więc oni też nie mają nic do powiedzenia ani do roboty.

Tak że w momencie, gdy mama się spytała, jak by mi mogli pomóc, poczułam się trochę jak wtedy, kiedy ten facet skoczył z dachu. Znaczący, nie było to takie straszne i przerażające, no i nikt nie umarł, poza tym byliśmy w środku budynku et cetera. Ale wiesz, jak się tak jakby upycha różne rzeczy do pudełka w mózgu tak trochę na gorsze czasy? Myślisz sobie, przykładowo: „Jak dłużej nie wytrzymam, to się przekręcę”. Albo: „Jak kiedyś mi całkiem odjebie, to wyluzuję i poproszę mamę z tatą, żeby mnie z tego wyciągnęli”. No, w każdym razie to takie moje umysłowe pudełko było teraz puste i, co gorsza, nigdy do niego nic nie włożyłam.

Więc zrobiłam to, co zawsze robię w takiej sytuacji. Powiedziałam mamie, żeby się odpiardoliła, i tacie, żeby się też odpiardoliła, i się wyniosłam, chociaż miałam potem rozmawiać z rodzinami i przyjaciółmi reszty. A jak już wylazłam na samą górę, to się poczułam głupio, ale było za późno, żeby wracać, więc wyszłam na ulicę. Upper Street poszłam do stacji metra Angel i wsiadłam w pierwszy lepszy pociąg. Nikt mnie nie gonił.

JJ

Ujrzawszy Eda i Lizzie, poczułem taki jakby promyk nadziei. Ze: Aha! Przybyli mnie ocalić! Reszta kapeli próbuje przed wieczornym koncertem, więc najpierw się zagra, a potem ja z Lizzie wrócimy do przytulnego gniazdka, które dla nas wynajmuje! Czyli przez ten czas zajmowała się szukaniem i urządzaniem mieszkania! I... Co to za starszy gościu rozmawia z Jess? Czyżby dyrektor firmy płytowej?! To Ed załatwił nam nowy kontrakt?! Niestety. Starszy gościu był ojcem Jess, a — jak się potem okazało — Lizzie znalazła sobie nowego faceta z domem w Hampstead i własną firmą reklamową.

Dość prędko pozbyłem się złudzeń. Widać było i słysząc, że ich to spotkanie specjalnie nie podnieca, więc się domyśliłem, że nie mają mi do zakomunikowania nic ciekawego, żadnej wielkiej nowiny na temat mojej przyszłości. Wyczułem z ich strony miłość i troskę, co, szczerze mówiąc, trochę mnie wzruszyło; długo ich obejmowałem, żeby nie widzieli, że się rozkleiłem. Ale do Starbucks przyszli, bo im tam przyjść kazano — zupełnie nie wiedząc po co.

— Co tam u ciebie, stary? — zapytał Ed. — Słyszałem, że nie najlepiej.

— Taaa, no — odparłem — coś się na pewno znajdzie.

Miałem zamiar wspomnieć o Micawberze<sup>1</sup>, ale nie chciałem, żeby Ed mi mieszał szyki na dzień dobry.

— Tutaj się nic nie znajdzie — stwierdził. — Wracaj ty lepiej do domu.

Nie chciałem się wdawać w dyskusje o tych całych dziewięćdziesięciu dniach, więc zmieniłem temat.

— Spójrz na siebie — powiedziałem.

Był ubrany w zamszową marynarkę, która z pewnością kosztowała немало, i białe sztruksy. Włosy dalej miał długie, ale takie jakieś zdrowe i błyszczące. Przypominał jednego z tych dupków, co się umawiają z laskami w *Seksie w wielkim mieście*.

— Nigdy nie chciałem wyglądać jak za naszych czasów. Po pierwsze byłem bez forsy. Poza tym nigdy nie było gdzie się porządnie wykapać.

Lizzie uśmiechnęła się uprzejmie. Rozmowa z nimi była trudna — jakby człowieka odwiedziły w szpitalu pierwsza i druga żona równocześnie.

— W życiu bym nie pomyślał, że tobie się odechce — rzekł Ed.

— Ej, uważaj, co mówisz. Tu wszystkim się odechciało.

---

<sup>1</sup>Bohater powieści Charlesa Dickensa. Wiecznie bez pieniędzy i po uszy w długach, ale pogodny, pełen optymizmu i wiary w lepszą przyszłość.

— Jasne, stary. Ale z tego, co wiem, to tamci mieli poważne powody. A ty co masz? Nic nie masz.

— No. Tak też właśnie to czuję.

— Nie o to mi chodziło.

— Napijcie się kawy? — spytała Lizzie. Nie chciałem, aby odeszła.

— Pójdę z tobą — powiedziałem.

— Chodźmy wszyscy — powiedział Ed.

Więc poszliśmy. Dalej nie zamieniłem słowa z Lizzie, a Ed mówił bez przerwy, jakby się teraz skumulowały ostatnie lata mego życia.

— Dla takich jak my rock'n'roll to ogólniak — stwierdził Ed, kiedyśmy zamówili. — Jesteśmy z klasy pracującej. Nie obijamy się, kurwa, jak studenci, chyba że się założy kapelę. Pograsz parę lat, najpierw cię zaczyna wkurwiać kapela, potem coraz bardziej wkurwiają cię trasy, no a już najbardziej wkurwiający robi się brak forsy. Więc się bierzesz do roboty. Normalne życie, stary.

— Znaczy... ten moment, że wszystko tak zaczyna wkurwiać... Jest dla nas zakończeniem nauki? Wręczeniem świadectw?

— Dokładnie.

— To kiedy wszystko zacznie wkurwiać Dylana? Albo Springsteena?

— Pewnie jak się zatrzymają w motelu, gdzie nie wolno korzystać z gorącej wody do szóstej po południu.

Faktycznie w ostatniej trasie zatrzymaliśmy się w takim motelu, w Południowej Karolinie. Ale ja pamiętam koncert — gdzie się aż kurzyło, Ed natomiast łazienki — gdzie nie palono wcale.

— Zresztą poznałem Springsteena. A w każdym razie widziałem go na koncercie z E Street Bandem, jak się zeszli po latach. A ty, senatorze JJ, Springsteenem raczej nie jesteś.

— Wielkie dzięki, kolego.

— To co ci mam, kurde, powiedzieć? Okay, jesteś Springsteenem. Jesteś jednym z największych w historii tej branży. W jednym tygodniu byłeś na okładkach „Time'a” i „Newsweeka”. Dzień w dzień zapełniasz, kurwa mać, stadiony. Proszę. Lepiej ci? Jeeezu. Bądźże dorosły.

— Aha, a ty niby jesteś taki dorosły, bo zlitował się nad tobą stary i cię zatrudnił do podłączania ludziom trefnej kablówki?

Kiedy Ed się szykuje, żeby komuś przysolić, czerwienieją mu uszy. Informacja ta jest w zasadzie bezużyteczna dla całej światowej populacji, wyjąwszy mnie, bo Ed raczej się nie przywiązuje do ludzi, którzy od niego dostają, więc też nie mają okazji wyrobić w sobie skutecznego odruchu. Przypuszczalnie ja jeden wiem, kiedy się trzeba uchylić.

— Czerwienieją ci uszy — powiedziałem.

— Spierdalaj!

— Leciałeś tyle godzin, żeby mi to powiedzieć?

— Spierdalaj.

— Przestańcie — odezwała się Lizzie.

Jak przez mgłę przypomniałem sobie, że gdy się wszyscy troje widzieliśmy ostatnim razem, powiedziała dokładnie to samo.

Facet nalewający kawę uważnie się nam przypatrywał. Znałem go z widzenia; był w porządku; studiował,

no więc czasem gadaliśmy trochę o muzyce. Uwielbiał The White Stripes, a ja go chciałem zachęcić do słuchania Muddy'ego Watersa. Patrzył na nas lekko wystraszony.

— Słuchaj — zwróciłem się do Eda — dość często tutaj bywam. Jak mi chcesz dokopać, to lepiej stąd wyjdźmy.

— Dzięki — powiedział facet od The White Stripes. — To znaczy, no wiecie. Gdyby było pusto, to nie ma problemu, bo jesteś tu bywalcem, a my się staramy dbać o stałych klientów. Ale... — wskazał na kolejkę za nami.

— Jasne, rozumiem, stary — odparłem. — Dzięki.

— To może zostawię te kawy tu na ladzie, dobra?

— Jasne. To długo nie potrwa. Normalnie, jak dostanie, zaraz się uspokaja.

— Nie pierdol! — rzekł Ed.

Więc wyszliśmy wszyscy na ulicę. Było zimno, ciemno i mokro, ale uszy Eda rozjaśniały mrok jak dwie latarki.

## MARTIN

Nie widziałem się i nie rozmawiałem z Penny od dnia, kiedy dzienniki opisały spotkanie z aniołem. Zawsze myślałem o niej z sympatią, ale nie brakowało mi ani seksu z nią, ani jej towarzystwa. Moje libido wzięło sobie urlop (przy czym należało być przygotowanym, że ewentualnie zechce przejść na wcześniejszą emeryturę i nigdy nie wrócić do pracy); moje życie towarzyskie składało się z JJ'a, Maureen i Jess, a to, że ta trójka na

razie w zupełności mi wystarczała, mogło wskazywać, że jest ono równie słabowite jak mój popęd płciowy. A jednak, widząc, jak Penny kokietuje jednego z pielęgniarzy Matty'ego, poczułem nieopanowaną wściekłość.

Jeżeli macie jakieś pojęcie o wpisanej w ludzką naturę przekorze, to nie uznacie tego za paradoks. (Zdaje się, że wcześniej raz posłużyłem się tą kwestią, w związku z czym pewnie już nie brzmi tak wiarygodnie i wnikliwie w sensie psychologicznym. Następnym razem wspomnę więc tylko o przekorze i niekonsekwencji, pomijając ludzką naturę). Nigdy nie wiadomo, kiedy człowieka dopadnie zazdrość, a ten pielęgniarz był wysoki, młody, opalony, i do tego blondyn. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że wprowadziłby mnie w niepohamowaną furję, stojąc samotnie w Starbucks czy gdziekolwiek indziej.

W każdym razie na pewno szukałem pretekstu, aby opuścić łono rodziny. Rzecz jasna, podczas minionych kilku minut dowiedziałem się na swój temat bardzo niewiele. Ani pogarda mojej byłej żony, ani kredki moich córek nie okazały się tak pouczające, jak zapewne życzyłyby sobie tego Jess.

— Dzięki — powiedziałem do Penny.

— Ależ nie ma o czym mówić. Nic nie robiłam, więc Jess pewnie sądziła, że to coś pomoże.

— Nie — odparłem natychmiast, aby ją postawić w sytuacji moralnie niekorzystnej. — Nie za to ci dzięki. Dzięki, że sobie tak po prostu flirtujesz na moich oczach. Inaczej mówiąc: dzięki za nic.

— Stephen — przedstawiła pielęgniarza Penny. — Opiekuje się Mattym. Nie miał z kim pogadać, to podeszłam i się przywitałam.

— Cześć — rzekł Stephen. Spiorunowałem go wzrokiem.  
— Pewnie ci się zdaje, że jesteś taki świetny — powiedziałem.  
— Słucham? — zapytał.  
— Martin! — krzyknęła Penny.

— O, już ty dobrze słyszałeś — odparłem. — Nadęty buc.

W kącie, gdzie dziewczynki kolorowały obrazek, objawił mi się na moment inny Martin, Martin życzliwszy i łagodniejszy, obserwujący wszystko z najwyższym przerażeniem — i przemknęło mi przez głowę, czy może by się nie dało z nim znowu połączyć.

— Idź stąd, zanim znów zrobisz z siebie idiotę — powiedziała Penny.

Uwaga ta świadczy o bezgranicznej wielkoduszności Penny: widząc, że gdzieś z oddali zmierza ku mnie idiotyzm, wskazała, że jeszcze mógłbym zdążyć zejść mu z drogi. Obserwatorzy mniej stronniczy stwierdziliby tymczasem, że idiotyzm rozgniół mnie na miazgę. Było to jednak bez znaczenia, bo nie zmieniłem pozycji.

— Łatwo być pielęgniarzem, prawda?

— Nie bardzo — odparł Stephen. Popęłnił elementarny błąd, odpowiadając na moje pytanie tak, jakbym je zadał zwyczajnie, bez żółci. — To znaczy... Jasne, że daje satysfakcję, ale... Siedzi się długo, źle płacą, poza tym — nocne zmiany. Zdarzają się też kłopotliwi pacjenci — wzruszył ramionami.

— Zdarzają się kłopotliwi pacjenci — powtórzyłem jękliwie. — Źle płacą. Nocne zmiany. Pitolenie.



— Sean — Stephen zwrócił się do kolegi. — Ja poczekam na górze. Ten facet coś mać.

— Tu lepiej poczekaj i posłuchaj, co chcę ci powiedzieć. Skoro ja łaskawie wysłuchałem, jaki to z ciebie bohater narodowy, teraz ty mnie masz słuchać.

Najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu, aby tam zostać jeszcze parę minut. Wiedziałem, że tak sensacyjnie niestosowne zachowanie jest niesłychanie intrygujące, toteż mam nadzieję, że nie wyjdę tu na nieskromnego, gdy powiem, że moja sława — a raczej to, co z niej zostało — rozstrzygnęła o powodzeniu widowiska: znane osoby z telewizji na ogół zachowują się niestosownie tylko w nocnych klubach, gdzie je otaczają inne znane osoby z telewizji, więc doczepiając się po trzeźwemu do pielęgniara w Starbucks, wykazałem się wielką odwagą, a może i dokonałem pewnego przełomu. Stephen nie za bardzo mógł to wziąć do siebie, podobnie jak nie mógłby wziąć do siebie, gdybym mu postanowił narobić na buty. Zewnętrzne przejawy wewnętrznego wrzenia nigdy nie są ukierunkowane.

— Nie znoszę takich ludzi — oświadczyłem. — Powozi taki chwilę upośledzonego dzieciaka i już się domaga orderu. Ile to trzeba wysiłku, co?!

Mówiąc to, wstyd się przyznać, chwyciłem wózek z Mattym i chwilę go popopychałem. Stwierdziłem, że świetnie będzie oprzeć przy tym rękę na biodrze, celem wskazania, że popychanie wózków osób niepełnosprawnych to zajęcie niemęskie.

— Mamusiu, patrz na tatusia! — wrzasnęła uradowana jedna z moich córek (przykro mi — nie wiem która). — Ale śmieszny, prawda?

— I jak? — zwróciłem się do Penny. — Teraz ci się bardziej podobam?

Penny wbiła we mnie takie spojrzenie, jakbym rzeczywiście narobił Stephenowi na buty, spojrzenie będące odpowiedzią na moje pytanie.

— Uwaga! — ryknąłem, mimo że udało mi się już zwrócić na siebie uwagę, o jakiej nigdy nawet mi się nie śniło. — Czyż nie jestem wspaniały? Myślisz, że to trudne, Blondasku? Już ci mówię, co jest trudne, Słoneczko Kaprawe! Trudne...

Ale tu opuściła mnie wena. Jak się okazało, nie miałem na podorędziu żadnych przykładów trudności z życia zawodowego. Natomiast wszelkie kłopoty, jakie przeżywałem w ostatnim czasie, spowodowało to, że się przespałem z nieletnią, tak że większego współczucia przysporzyć mi nie mogły.

— Trudne to jest... — potrzebowałem czegoś, żeby zakończyć zdanie. Wystarczyłoby cokolwiek, choćby coś, czego nie przeżyłem osobiście. Poród? Szachowy turniej? Nic jednak nie przyszło mi do głowy.

— Skończyłeś, stary? — zapytał Stephen.

Kiwnąłem głową, usiłując jakoś zawrzeć w tym geście cały gniew i niesmak, które mi uniemożliwiały kontynuowanie wywodu. Po czym, wykorzystując jedyną w tej sytuacji dostępną mi opcję, jak Jess i JJ skierowałem się ku drzwiom wyjściowym.

## MAUREEN

Jess bez przerwy skądś wychodziła, więc to jej wyjście specjalnie mnie nie obeszło. Ale gdy wyszedł JJ, a po-

tem Martin... No, mówiąc naprawdę szczerze, wtedy to już się troszeczkę zdenerwowałam. Uznałam, że to niegrzeczne, wzięwszy pod uwagę, jak wiele trudu musiał sobie każdy zadać, żeby tam dotrzeć. A Martin zachował się tak cudacznie, popychając Matty'ego w tę i z powrotem, i pytając wszystkich, czy im się podoba. I komu miał się niby podobać? W ogóle nie wyglądał atrakcyjnie. Wyglądał jak wariat. Co do JJ'a, to trzeba przyznać, że zachował się fair, gdyż wychodząc, zabrał swoich gości ze sobą — a nie zostawił przy barku, tak jak to zrobili Jess i Martin. Ale później okazało się, że wziął ich wszystkich na zewnątrz, aby się z nimi pobić, tak że właściwie trudno stwierdzić, czy był niegrzeczny, czy nie. Niby ich nie opuścił, ale z drugiej strony chciał się z nimi wdać w bójkę. Wydaje mi się, że to mimo wszystko niegrzeczne, aczkolwiek nie tak bardzo, jak w wypadku reszty.

Zostawieni samym sobie, a więc: pielęgniarze, rodzice Jess oraz rodzina i znajomi Martina, chwilę jakby czekali, ale potem, kiedyśmy się wszyscy zorientowali, że tamci — nawet JJ z przyjaciółmi — jednak już nie wrócą, to nikt z nas nie wiedział, co dalej.

— Myślisz, że to już wszystko? — spytał mnie ojciec Jess. — To znaczy, nie chcę... Nie chciałbym być niemiły. I wiem, że Jess włożyła sporo wysiłku, żeby to zorganizować. Ale, cóż... Wszyscy już chyba wyszli, prawda? Chcesz, żebyśmy zostali? Czy jako zespół możemy jeszcze coś zdziałać? Bo naturalnie, jeżeli... To znaczy, co według ciebie chciała osiągnąć Jess? Może moglibyśmy jej w tym pomóc *in absentia*?

Wiedziałam, co chciała osiągnąć Jess. Liczyła, że jej rodzice przyjdą i zmienią wszystko na lepsze, bo tego się przecież oczekuje od rodziców. Lata temu, gdy zostałam z Mattym sama, często śnił mi się taki sen, który przypuszczalnie miewa każdy. A już na pewno każdy, komu się w życiu układa bardzo niepomyślnie.

Więc powiedziałam ojcu Jess, że moim zdaniem Jess liczyła po prostu na większe zrozumienie, i że jest mi przykro, jeżeli wyszło inaczej.

— To te cholerne kolczyki — odparł, wobec czego zapytałam o te kolczyki i on mi opowiedział, co się stało.

— Były dla niej ważne? — spytałam.

— Dla Jen czy dla Jess?

— Dla Jen.

— Sam do końca nie wiem.

— To były jej ulubione — powiedziała pani Crichton. Miała dziwną twarz. Cały czas, gdy rozmawialiśmy, uśmiechała się, ale wyglądało to tak, jakby dopiero tego popołudnia poznała, co to uśmiech, jak gdyby raczej nie nawykła do wesołości. Zmarszczki najwidoczniej porobiły się jej od gniewu z powodu skradzionych kolczyków, a usta miała wąskie i zaciśnięte.

— Wróciła po nie — powiedziałam. Nie wiem, czemu to powiedziałam, i nie wiem, czy tak to było naprawdę. Ale uznałam, że to uwaga jak najbardziej na miejscu.

— Kto? — zapytała pani Crichton. Jej twarz zmieniła wyraz: miała do czynienia ze sprawami, z którymi radzić sobie nie przywykła, bo nagle ujrzałam w niej desperację — po tym, co powiedziałam. Zdaje się, że nie

przywykła słuchać jak należy. Miło było patrzeć na coraz to nowe jej miny, dlatego też poniekąd rozwinęłam temat. Czułam się tak, jakbym kierowała kosiarką, wycinając ścieżkę w zarośniętym trawniku.

— Jen. Skoro tak kochała te kolczyki, to pewnie po nie wróciła. Wiesz, jakie są dziewczyny w jej wieku.

— Boże — odezwał się pan Crichton — w życiu by mi to nie przyszło do głowy.

— Mnie też. Ale... To całkiem możliwe. Bo pamiętasz, Mark? Wtedy też poginęło kilka innych rzeczy. Wtedy zginęły pieniądze.

Nie zgadzałam się z nią co do tych pieniędzy. W moim odczuciu mogło to mieć nieco inne uzasadnienie.

— I wtedy też powiedziałam, że chyba zginęło parę książek, przypominasz sobie? A wiemy, że Jess ich nie wzięła.

Po czym oboje się roześmiali, jakby z sympatii do Jess i radości, że prędzej by skoczyła z wieżowca, niż przeczytała książkę.

Czułam aż nadto dobrze, czemu tak się uradowali myślą, że Jen mogła przyjść do domu po swoje kolczyki. Znaczyłoby to, że zniknęła, że się przeniosła do Teksasu albo do Szkocji, albo do Nothing Hill Gate, a nie że została zamordowana albo się sama zabiła. Wobec tego mogli się zastanawiać, gdzie teraz jest i jak żyje. Mogli snuć domysły, że urodziła dziecko, którego nigdy nie widzieli i może nie zobaczą, albo że znalazła zajęcie, o jakim nigdy nie słyszeli. Mogli więc sobie wyobrazić, że dalej są zwyczajnymi rodzicami. Coś takiego robiłam,

kupując Matty'emu plakaty i płyty — w moim wyobrażeniu byłam zwyczajną matką, choć przez moment.

Bez trudu dałoby się zburzyć im to wszystko w jednej chwili, pokazać, że ta historia nijak nie trzyma się kupy. Jen mogła wrócić, bo chciała włożyć kolczyki przed śmiercią. Albo też w ogóle nigdy nie wróciła. I czyby wróciła na pięć minut, czy nie wróciła wcale, to nadal jej nie było. Ale już ja wiem, czego potrzeba, żeby się jakoś trzymać. Co pewnie brzmi dziwnie, wzięwszy pod uwagę powód, dla któregośmy się wszyscy znaleźli w tej kawiarni. Ale nie zmienia to faktu, że póki co jakoś się trzymałam, chociaż musiałam się po to wspiąć na dach Domu Skoczka. Czasem po prostu musi się przeżyć drobny wstrząs. Wystarczy tylko pomyśleć, że może ktoś wziął sobie swoje własne kolczyki — i świat zaraz jawi się człowiekowi jako miejsce, gdzie trochę jeszcze można sobie pożyć.

Ale to się odnosiło do państwa Crichtonów, nie do Jess. Jess nie miała pojęcia o teorii kolczyka, a to jej świat wymagał odmiany. To ona była ze mną na tym dachu. Państwo Crichton mieli pracę, przyjaciół i całą resztę, można by więc powiedzieć, że opowieści o kolczykach nie są im do niczego potrzebne. Ze w ich sytuacji to zwykłe marnotrawstwo.

Można by tak powiedzieć, tyle że nie byłoby to prawdą. Bo oni potrzebowali tych historii — widać to było w ich twarzach. Znam tylko jedną osobę na całym świecie, która do tego, by się trzymać, nie potrzebuje żadnych opowieści; osobą tą jest Matty. (A może i potrzebuje. Nie wiem, co się dzieje w jego głowie. Każą mi do niego ciągle mówić, więc mówię, ale skąd mam wie-

dzieć, czy on jakoś z tego korzysta?) Istnieją też inne sposoby umierania; wcale się do tego nie trzeba zabijać. Można sobie uśmiercić pewną część ciała. Matka Jess uśmierciła swoją twarz — i ja patrzyłam, jak znów wraca ona do życia.

JESS

Pierwszy lepszy pociąg jechał na południe, więc wysiadłam przy moście Londyńskim i poszłam się przejść. Gdybyś widziała, jak się opieram o mur i patrzę w wodę, stwierdziłabyś: „No, myśli”, ale nie myślałam. To znaczy, miałam w głowie różne wyrazy, ale to, że się ma w głowie wyrazy, wcale nie musi znaczyć, że się myśli, tak jak to, że się ma całą kieszeń pensów, nie znaczy, że się jest przy forsie. Wyrazy w stylu: „gnój”, „franca”, „kurwa”, „cholera”, „kutas”, kręciły się tam bardzo szybko, za szybko nawet jak na mnie, żebym z nich mogła zrobić jakieś zdanie. To chyba raczej nie myśl, prawda?

Więc tak sobie chwilę patrzyłam na wodę, a potem poszłam do stoiska przy moście, żeby kupić tytoń, bibułki i zapalki. Później wróciłam tam, gdzie sobie siedziałam, i skręciłam parę fajek, tak żeby się czymś zająć. Szczerze mówiąc, nie wiem, czemu nie palę więcej. Pewnie zapominam. Bez sensu. Bo jakbyś mnie zobaczyła, tobyś się chciała zakładać, że palę, kurwa, jak lokomotywa. A wcale nie. Noworoczne postanowienie: więcej palić. Musi to być lepsze od skakania z dachu.

Nieważne. No i gdy tak sobie siedziałam plecami do ściany, kręcąc skręty, zobaczyłam swojego wykładowcę z plastyka. Dosyć wiekowy, jeden z tych artystycz-

nych typów, co się tak pałętają od lat sześćdziesiątych. Uczy chyba typografii, bo byłam na paru zajęciach, ale mi się znudziło. Colin. W sumie mi nie przeszkadza. Nie ma siwego końskiego ogona, nie nosi spłowiałej dżinsowej marynarki. I nigdy nie próbował się z nami zakumpłować, tak że na pewno już ma jakichś przyjaciół. A to o nauczycielach nieczęsto da się stwierdzić.

Żeby to opowiedzieć tak zgodnie z prawdą, powinnam chyba powiedzieć, że zauważył mnie pierwszy, bo jak się oderwałam od skręcania, to już szedł w moją stronę. I żeby to było tak faktycznie do końca prawdziwe, muszę też powiedzieć, że chyba niektóre z tych niby--myśli, to znaczy: umysłowe przekleństwa, nie były tylko umysłowe — no, rozumiesz. Miały być umysłowe, ale część wychodziła ustami, przez to po prostu, że się tyle nazbierało. Tak się ze mnie wylewało, jakby z kranu do wiadra (= mojej głowy), a gdy wiadro już było całkiem pełne, to mi się tego kranu nie chciało zakręcać.

Tak to wyglądało z mojego punktu widzenia. Z jego punktu widzenia wyglądało tak, że siedzę na chodniku, kręcę fajki i klnę pod nosem, czyli chyba raczej nie za dobrze, co nie? No, i on do mnie jakby podszedł i kucnął, tak że był na tej samej wysokości, i zaczął cicho mówić. Coś w stylu: „Jess, pamiętasz mnie jeszcze?”.

Widziałam go z dwa miesiące temu, więc pewno, że pamiętałam. To mówię: „Nie” — i się roześmiałam, co miało być dowcipne, ale tak chyba nie wyszło, bo wtedy on, dalej szeptem: „Jestem Colin Wearing, uczyłem cię w szkole plastycznej”. Na co ja: „Jasne, jasne!”, a on na to: „Naprawdę”, więc widzę, że to moje „jasne, jasne” odebrał jako „akurat”, ale to nie było takie „Jasne, ja-



sne". Powiedziałam „jasne" dwa razy, żeby zrozumiał, że przedtem tak sobie zażartowałam, no ale to tylko pogorszyło sprawę. Wyszło to tak, że stwierdziłam, że udaje Colina Wearinga, co przecież by było totalnie bez sensu. I cała rozmowa od razu zbacza z drogi. Coś tak, jak ze sklepowym wózkiem z rozklekotanym kółkiem, bo cały czas mi się wydawało, że pójdzie łatwo, a tu — co tylko powiem, ciągnie nie tam, gdzie trzeba.

Więc on się pyta: „Czemu tak tutaj siedzisz na chodniku?". Na co ja, że się pokłóciłam z moją, kurwa, matką o jakieś kolczyki, a on: „I teraz nie możesz wrócić do domu?". To mu powiedziałam, że jak mi się zechce, to mogę; mogę sobie najpierw podjechać do Angel i tam wsiąść w autobus, ale nie mam ochoty. On na to: „To jednak niedobrze, żebyś tu siedziała. Nie masz dokąd iść?". I wtedy sobie uświadomiłam, że według niego pewno mi odbija, więc wstałam szybko, tak że aż podskoczyłam, posłałam mu sporą wiąchę i sobie stamtąd poszłam.

Ale wtedy zaczęłam myśleć, nie klęłam umyślowo. I najpierw chyba pomyślałam, że łatwo by mi było być świruską. Nie chodzi mi o to, że takie życie to pikuś — nie. Tylko o to, że miałam dużo wspólnego z takimi, co to się nieraz widzi, jak siedzą na chodniku, klną i kręcą papierosy. Widać, że niektórzy z nich to nienawidzą ludzi, a ja nienawidziłam prawie wszystkich. Na pewno też wkurzają przyjaciół i rodzinę, i ja w zasadzie tak samo. Kto wie: może Jen została świruską? Może to się ma w genach — chociaż tato jest ministrem oświaty, więc chyba to coś takiego, co omija następne pokolenie.

No więc nie wiedziałam, dokąd prowadzi to całe myślenie, ale nagle poczułam, że mam większy problem,

niż mi się wydawało. Wiem, że to brzmi głupio, biorąc pod uwagę, że myślałam o samobójstwie, ale to było tylko tak dla jaj, i jakbym skoczyła, to tak samo dla jaj. A jeśli miałam na tej ziemi jakąś przyszłość? To wtedy co? Ile tak naprawdę osób bym mogła wkurzyć i ile miejsc opuścić, zanimbym się znalazła nad rzeką, siedząc i klnąc zewnątrznie? Odpowiedź była taka, że już nie za wiele.

Więc trzeba było wracać — do Starbucks, do domu czy gdzieś — byle nie do przodu. Jak się gdzieś idzie i się natrafi na mur, to musi się wrócić tą samą drogą.

Ale wtedy jakby wpadłam na to, jak można przeleźć przez mur. Albo znalazłam w nim dziurę, przez którą się dało przecisnąć. Spotkałam jednego gostka z takim fajnym psem, poszłam i się z nim przespałam.

JJ

No, więc stanąłem na tym chodniku i powiedziałem Edowi, żeby mi przywalił, skoro mu to choć trochę ma poprawić humor.

— Nie chcę cię uderzyć pierwszy — odparł Ed. Przyglądał się nam facet sprzedający pismo dla bezdomnych.

— Uderz go — zachęcił mnie.

— Ty, kurwa mać, siedź cicho — zwrócił się do niego Ed.

— Ja tylko chciałem zagaić — wyjaśnił bezdomny.

— Leciałeś tu, cholera, aż zza Atlantyku, bo ci powiedziałam, że JJ ma kłopoty — powiedziała do Eda

Lizzie. — I co teraz wyprawiasz? Bierzesz się do bicia po jednej rozmowie.

— Ma być tak, jak trzeba — stwierdził Ed.

— W sensie: „Musi się robić to, co robić należy”? Bo ja mam wrażenie, że dla nas to jest zupełnie pozbawione sensu — powiedziała Lizzie. Stała oparta o wystawę lumpeksu w pozie wyrażającej znudzenie, ale ja wiedziałem, że wcale się nie nudzi. Była też wściekła, choć starała się to ukryć.

— On trzyma ze mną — oświadczył Ed. — Więc nieważne, co się tobie wydaje. On rozumie.

— Nieprawda — powiedziałem. — Lizzie ma rację. To niby po toś tu jechał, żeby mi przyładować?

— Jak Butch Cassidy i Sundance Kid, tak? — zapytała Lizzie. — Chcecie się ze sobą przespać, ale to niemożliwe, bo przecież obaj jesteście tacy męscy.

Uwaga ta bardzo rozbawiła bezdomnego. Zaczął się śmiać jak hiena.

— Czytaliście może, co Pauline Kael pisała o *Butchu Cassidym*? Rany, jak jej się to strasznie nie podobało!

Ani Lizzie, ani Ed nie mieli, kurwa, bladego pojęcia, kim jest Pauline Kael, ale ja mam dwie czy trzy jej książki. Trzymałem je w klozecie, bo super się w nie zagłębić, siedząc wiadomo na czym. No, ale jej nazwiska to się nie spodziewałem usłyszeć od tego akurat gościa w tym konkretnym momencie. Spojrzałem na niego.

— No, pewno, że znam Pauline Kael — powiedział. — Wiadomo, że nie urodziłem się bezdomny.

— Wcale a wcale nie chcę się z nim przespać — stwierdził Ed. — Bardzo bym chciał mu przyłożyć. Ale on mnie musi walnąć pierwszy.

— Nie mówiłam? Homoerotyzm lekko zaprawiony sadomasochizmem. Pocałuj go i dajcie już spokój — powiedziała Lizzie.

— Pocałuj go — zachęcił Eda bezdomny. — Pocałuj albo uderz. Ale, na litość boską, niech coś się w końcu zacznie dziać!

Uszy Eda poczerwieniały tak, że jeszcze chwila, a buchnęłyby płomieniem i się zwęgły. Wtedy choć raz w życiu mógłbym się pochwalić, że czegoś podobnego jeszcze nie widziałem.

— Zależy ci, żeby mnie zabił, tak? — zapytałam Lizzie.

— A może byście się po prostu zeszli? — zasugerowała Lizzie. — Moglibyście przynajmniej stać razem przy mikrofonie i mieć te wielkie elektryczne substytuty członka.

— A więc to dlatego nie chciałaś, żeby był w kapeli — stwierdził Ed. — Z zazdrości.

— Kto ci powiedział, że nie chciałam, żeby był w kapeli? — spytała go Lizzie.

— No, stary, totalnie źle to zinterpretowałeś — zwróciłem się do Eda. — Aż taka głęboka nie była. Rzuciła mnie właśnie przez to, że nie byłem w kapeli. Nie interesował jej związek ze mną, chyba żebym został gwiazdą rocka i zarabiał kupę kasy.

— Naprawdę tak ci się wydaje? — zapytała Lizzie.

I nagle zaczęło mi się składać przed oczami całe życie. Wszystko okazało się jednym wielkim nieporozumieniem, które teraz miało zostać wyjaśnione przy wtórze śmiechu i łez. Lizzie wcale nie chciała ze mną zrywać. Ed też się nie chciał rozchodzić. Wyszedłem na

ulicę, żeby mi nakopano do tyłka, gdy tymczasem miałem dostać wszystko, o czym tylko marzyłem.

— Czyli nie będzie rozróby? — smutno zapytał bezdomny.

— No, chyba że zaraz tu wszyscy wpiemy tobie — odparł Ed.

— Ale dajcie mi posłuchać do końca — poprosił tamten. — Jeszcze nie wchodźcie z powrotem. Jestem tu uwiązany, więc nigdy, jasna cholera, nie słyszę zakończenia.

Czułem, że koniec tej historii musi być szczęśliwy. I to dla całej naszej czwórki. Pierwszy koncert po reaktywacji można by zadedykować Bezdomnemu Gościowi. Który by nam mógł przecież organizować trasy! A nawet wznieść jeden z toastów na weselu.

— Wszyscy się zawsze powinni z sobą schodzić — stwierdziłem, głęboko o tym przekonany. Była to moja wielka przemowa na koniec. — Każdy rozpadający się zespół, każda para... Tyle nieszczęść na świecie, a ludzie się rozchodzą co dziesięć sekund.

Ed popatrzył na mnie, jakby mi odwaliło.

— Chyba nie mówisz poważnie — powiedziała Lizzie.

Zdaje się, że błędnie oceniłem klimat oraz moment. Świat jeszcze nie był przygotowany na moją wielką przemowę.

— Nieee — odrzekłem. — Wiesz, tak tylko... głośno sobie myślałem. To pewna teoria, nad którą ciągle pracuję. Tak że się muszę jeszcze nad tym i owym pogłowieć.

— Spójrzcie na niego — powiedział Bezdomny Gość. — Widać, że nie żartuje.

— A jak to się ma do kapel, które powstają z innych? — spytał Ed. — Weźmy na przykład Nirvanę. Gdyby się znowu zesli, to Foo Fighters musieliby się rozpaść. Więc byliby nieszczęśliwi.

— Nie wszyscy — zauważyłem.

— A następne małżeństwa? Istnieje przecież mnóstwo szczęśliwych takich związków — powiedziała Lizzie.

— W ogóle nie byłoby The Clash. Bo Joe Strummer by musiał zostać w swoim pierwszym zespole.

— A kto był twoją pierwszą dziewczyną?

— Kathy Górecki! — odrzekł Ed. — I co ty na to?

— Dalej byście byli razem — stwierdziła Lizzie.

— No, tak — wzruszyłem ramionami. — Owszem. Z nią to by nie było najgorzej.

— Ale z nią nigdy do niczego nie doszło! — powiedział Ed. — Nawet sobie nie dała włożyć ręki do stanika!

— Mnie to już by się dawno udało. Bylibyśmy razem od piętnastu lat.

— Ech, stary — zwrócił się do mnie Ed tonem, jakiego używaliśmy zawsze, gdy Maureen mówiła coś poruszającego. — Nie umiem cię uderzyć.

Przeszliśmy się kawałek i wstąpiliśmy do pubu, gdzie Ed postawił mi guinnessa, a Lizzie kupiła w automacie paczkę fajek, kładąc ją na stole, tak żeby się każdy mógł częstować. A kiedyśmy usiedli, oboje zaczęli

mi się przyglądać, jakby czekając, aż znowu mi wróci oddech.

— Nie miałem pojęcia, że z tobą jest tak kiepsko — po chwili odezwał się Ed.

— I to, no wiesz, samobójstwo nic ci nie podsunęło?

— Taaa. Wiedziałem, że chcesz się zabić. Ale nie wiedziałem, że jesteś w aż takim stanie, że chcesz się godzić z Lizzie i z kapelą. To jednak całkiem inny poziom nieszczęścia, od samobójstwa dużo, dużo wyższy.

Lizzie próbowała wstrzymać śmiech, ale wyszło z tego dziwne prychnięcie, ja zaś wciągnąłem głębszy łyk guinnessa.

I niespodziewanie, na chwilę, poczułem się dobrze. Pomogło, że uwielbiam zimnego guinnessa. Pomogło, że uwielbiam Eda i Lizzie. Czy że ich kiedyś kochałem, tak jakby kochałem, kochając i nienawidząc zarazem, obojętne. I chyba po raz pierwszy od kilku miesięcy tak naprawdę coś sobie uzmysłowiłem, coś skrywającego się głęboko w trzewiach czy też może w głowie — no, w każdym razie gdzieś, gdzie było dotąd niegodne uwagi. Ze mianowicie chciałem się zabić nie dlatego, że znienawidziłem życie, a przez to, że je kochałem. I prawda, moim zdaniem, jest taka, że wiele osób, które myślą o samobójstwie, odczuwa dokładnie to samo — sądzę, że tak właśnie czują to Maureen, Jess i Martin. Kochają życie, ale totalnie im się spierdoliło, i przez to też ich spotkałem, i przez to wciąż się trzymaliśmy. Znaleźliśmy się na tym dachu, nie umiejąc zawrócić, a takie wyłączenie to... normalnie, kurwa, wykańcza. Więc jest to bardziej akt rozpacz, a nie akt nihilizmu. Nie zbrodnia, lecz eu-

tanazja. Nie wiem, jak na to wpadłem. Może dlatego, że siedziałem w pubie z najdroższymi mi ludźmi, pijąc sobie guinnessa, bo — choć już o tym wspomniałem — guinnessa to ja, kurwa, kocham, podobnie jak każdy inny alkohol; kocham bezgranicznie jako jedno z większych dzieł boskiego stworzenia. Poza tym zrobiliśmy tę głupią scenę na ulicy, i to też w sumie było ekstra, bo nieraz w takich właśnie momentach, w momentach zajmujących, człowiek uświadamia sobie, że nawet najgorsze chwile mają w sobie coś takiego, od czego chce się żyć. No i muzyka, i dziewczyny, i dragi, i bezdomni czytający Pauline Kael, i gitary wah-wah, i angielskie smaki chrupek ziemniaczanych, i to, że jeszcze nie czytałem *Martina Chuzzlewita*, i... No wybór, że naprawdę.

Ale nie bardzo wiedziałem, jak ten nagły przebłysk spożytkować. Bo jakoś nie miałem ochoty zwierać się z życiem w namiętym uścisku, dopóki mnie samo nie wypuści z objęć. W zasadzie to nie polepsza, a wręcz pogarsza sprawę. Wystarczy przestać udawać, że świat jest do dupy i że się nie można doczekać jego pożegnania, co sobie od dłuższego czasu powtarzałem, a wtedy ból nie słabnie, tylko się nasila. Powiedzieć sobie, że życie jest posrane, to tak, jakby zażyć środek przeciwbólowy, a dopiero odstawiając ibuprom, można naprawdę poczuć, jak i gdzie okropnie boli. No więc taki ból to chyba mało komu wychodzi na zdrowie.

Tak że w sumie dość fajnie się złożyło, że akurat w tym momencie znalazłem się z byłą dziewczyną i eks-bratem. Kochałem ich i miałem kochać zawsze. Tylko że teraz już do niczego mi nie pasowali, więc w ogóle nie miałem z kim się tym wszystkim dzielić. Ja nie wiedzia-



łem, co robić z nimi; oni — co robić ze mną, czyli, mówiąc krótko, tak jak to bywa w życiu.

— Nigdy nie mówiłam, że skończę z tobą, bo nie zostaniesz gwiazdą rocka — po chwili odezwała się Lizzie. — I dobrze o tym wiesz, prawda?

Pokręciłem głową. Prawda, że nie wiedziałem? Opowiadając to wszystko, ani razu — umyślnie czy nienaumyślnie — nie przyznałem się do żadnego nieporozumienia. W moim przekonaniu odeszła, bo jako muzyk byłem nieudacznikiem.

— To co mówiłaś? Powtórz. Tym razem postaram się skupić.

— Teraz to już nic nie zmieni, bo wszyscy idziemy do przodu, prawda?

— Tak jakby — nie miałem zamiaru stwierdzać ani że stoję w miejscu, ani też, że się cofam.

— Okay. Mówiłam, że nie mogłabym być z tobą, gdybyś nie był muzykiem.

— Wtedy aż tak ci na tym nie zależało. Zresztą i tak nie szalejesz za muzyką.

— Nie słuchasz mnie, JJ. Jesteś muzykiem. Nie chodzi tylko o to, co robiłeś. Chodzi o to, kim jesteś. Nie mówię, że jako muzyk odniesiesz sukces. I nawet nie mam pojęcia, czy jesteś w tym dobry. Po prostu doszłam do wniosku, że kończąc z graniem, kompletnie się pogubisz. I widzisz, do czego doszło. Rozwiązujesz zespół i za chwilę stoisz na dachu wieżowca. Tkwisz w tym i bez tego giniesz. Przynajmniej potencjalnie.

— Więc... okay. Nie ma to nic wspólnego z niepowodzeniem.

— Boże, za kogo ty mnie uważasz?

Ale ja nie mówiłem o niej; mówiłem o sobie. Nigdy dotąd nie patrzyłem na to w ten sposób. Myślałem, że to wszystko przez moją porażkę, tymczasem wcale nie. I zaraz tak mnie wzięło na płacz, że kurwa, szkoda gadać. Chciało mi się płakać, bo wiedziałem, że ma rację, a prawda czasem tak działa. Chciało mi się płakać, bo miałem znowu wrócić do grania, a tak strasznie mi tego brakowało. I chciało mi się płakać dlatego, że czułem, że jako muzykowi nigdy mi się nie powiedzie, tak więc Lizzie właśnie skazała mnie na kolejne trzydzieści pięć lat nędzy, wykorzenienia, rozpaczki, moteli z zimną wodą, braku opieki zdrowotnej i badziewnych hamburgerów. Choć tyle dobrze, że miałem je jeść, nie walić.

## MARTIN

Wróciłem do domu, wyłączyłem telefon i zaciągnąwszy zasłony, kolejne dwie doby spędziłem pijąc, śpiąc i oglądając wszystko, co tylko się dało, na temat antyków. W czasie tych czterdziestu ośmiu godzin groził mi pewnie los Marie Prévost, hollywoodzkiej aktorki, którą jakiś czas po śmierci znaleziono nieco uszkodzoną, gdyż pewne części ciała zdążył pożreć jej jamnik. Toteż świadomość, że nie posiadam jamnika ani innego zwierzątka, stanowiła w tej sytuacji niemałą pociechę. Rzecz jasna, umarłbym w samotności, więc kiedy by mnie znaleziono, moje zwłoki byłyby już w stanie rozkładu, wciąż jednak kompletne, wyjąwszy te kawałki, które by odpadły z przyczyn naturalnych. Tak że właściwie w porządku.

Na czym polega mój problem? Otóż jego przyczyna mieści się w mojej głowie, jeżeli tam właśnie znajduje się moja osobowość. (Cindy i inne stwierdziłyby, że zarówno osobowość, jak i źródło problemów mam umiejscowione raczej poniżej, a nie ponad pasem, ale mnie wysłuchajcie). Dostawałem w życiu rozmaite możliwości i wszystkie co do jednej kolejno odrzucałem, podejmując katastrofalne decyzje, z których absolutnie każda wydawała się wtedy mnie — i mojej głowie — jak najzupełniej słuszna. Tymczasem jedynym narzędziem, za pomocą którego mogłem naprawić moje najwyraźniej pokopane życie, była ta sama głowa, która mi przysporzyła tych wszystkich kłopotów. Czy wobec tego miałem jakąś szansę?

Parę tygodni po urządzonych przez Jess potyczkach Jerry'ego Springera, przeczytałem zapiski, jakie poczyniłem w ciągu wspomnianych dwóch dni. Skłamałbym, twierdząc, że urznałem się tak, że o nich zapomniałem, a poza tym leżały sobie wszędzie na widoku. Ale dopiero po upływie dwóch tygodni zdobyłem się na odwagę, aby je przeczytać, a zrobiwszy to, poczułem się niemal zmuszony znów zasłonić okna i sięgnąć po whisky.

Celem tego manewru było przeanalizowanie — za pomocą jedynej dostępnej mi głowy — dlaczego tamtego popołudnia zachowałem się tak niedorzecznie, jak również spisanie wszelkich możliwych reakcji na to zachowanie. Należałoby tutaj oddać sprawiedliwość mej głowie — zagrać z nią fair, jak by to określili entuzjaści sportu — stwierdzając, że przynajmniej udało się jej dostrzec niedorzeczność tego zachowania. Ale, by coś na

to poradzić, stać jej jednak nie było, przypuszczalnie dlatego, że po prostu nie umie. Wszystkie są takie czy też tylko moja?

Na odwrocie kilku nie otwartych kopert, zawierających głównie rachunki, znalazłem przygnębiająco dobitne świadectwa cykliczności ludzkich zachowań. CZEMU STRASZNY DLA PIELEŃNIARZA? — napisałem. A pod spodem:

- 1) DUPEK? ON? JA?
- 2) DOWALANIE SIĘ DO PENNY?
- 3) PRZYSTOJNY I MŁODY — WKURZAJĄCE?
- 4) IRYTACJA LUDŹMI

Ta ostatnia uwaga, która — gdy mi zaświtała — miała, zdaje się, zawierać porażająco głęboki komunikat, teraz okazała się zdumiewająco szczerą w swej ogólnikowości.

Gdzie indziej nagryzmołem PRZEKLEŃSTWA DZIAŁANIA (warto tu zwrócić uwagę na przejście od liczb do liter, zmianę przypuszczalnie wskazującą na naukowy charakter rozprawy):

- a) ZABIĆ SIĘ
- b) POPROSIĆ MAUREEN, ŻEBY Z TYM PIELEŃNIARZEM DAŁA SOBIE SPOKÓJ
- c) NIE

I na tym c) się kończyło — dlatego zapewne, że popadłem w stupor albo też, że „nie” najbardziej zwięźle wyrażało głębokie rozwiązanie wszystkich moich problemów. Pomyślcie: o ile to lepiej by mi się ułożyło,

gdybym niczego nie podjął, nie próbował i nawet nie zamierzał.

Jeśli chodzi o wiarę w moje zdolności percepcyj-ne, to ani jeden, ani drugi kawałek papieru raczej mnie w niej nie utwierdził. Oba najwyraźniej zostały zapisane przez człowieka usiłującego zakomunikować grupie wybrańców — w tym również własnym córkom — że wszyscy pielęgniarze są zniewieściali i zadufani w sobie: byle psycholog sądowy stwierdziłby zapewne, że niezbitcie świadczy o tym słowo DUPEK. Poza tym człowiek, który próbował spędzić sylwestra, zastanawiając się, czy ma skoczyć z wieżowca, był dokładnie typem, który na Liście Spraw Do Załatwienia zapisałby: ZABIĆ SIĘ? Gdyby myślenie było sportem olimpijskim, zdobyłbym więcej medali niż Carl Lewis.

Toteż zdecydowanie potrzebne mi były dwie głowy — co dwie, to nie jedna, jak powszechnie wiadomo. Pierwszą musiałaby być ta dawna, przez to po prostu, że zna rozmaite nazwiska i telefony, wie, które płatki śniadaniowe wolę i tak dalej, druga natomiast potrafiłaby obserwować i interpretować zachowania pierwszej, tak jak czynią to badacze przyrody w filmach dokumentalnych. Domaganie się od głowy, którą mam teraz, wyjaśnień na temat jej myślenia jest równie bezcelowe, jak próba dodzwonienia się do siebie z własnego aparatu — w obu wypadkach słychać sygnał: zajęte. Albo pocztę głosową, jeżeli przypadkiem macie taki model.

Żenująco dużo czasu poświęciłem na odkrycie, że inni również posiadają głowy, z których to głów każda o wiele prędzej umiałaby wyjaśnić przyczynę mego wybuchu. Zapewne dlatego niezmiennie popularne jest po-

jęcie „przyjaciele”. Ja straciłem wszystkich, kiedy mnie zamknęli, znałem jednak mnóstwo osób gotowych mi objawić swe zdanie na mój temat. W istocie skłonność do zawodzenia i opuszczania innych mogła mi się teraz okazać przydatna. Przyjaciele i kochanki mogliby spojrzeć na wiadomy epizod z większą życzliwością, ale mając obecnie jedynie byłych przyjaciół i byłe kochanki — znajdowałem się w idealnym położeniu. Znałem wyłącznie osoby chętne wypalić do mnie z obu luf jednocześnie.

Wiedziałem też, od czego zacząć. Trzeba przyznać, że moja pierwsza rozmowa telefoniczna udała się tak, że właściwie nie potrzebowałem już rozmawiać z nikim innym. Eks-żona zachowała się tak cudownie — bezpośrednio, wymownie i rozsądnie — że w efekcie zrobiło mi się żal wszystkich żyjących z kimś, kto ich kocha, gdy tak oczywistym rozwiązaniem było nie żyć z kimś, kto nas nie cierpi. Kiedy ma się w życiu taką Cindy, nie brnie się w żadne przyjemności: istnieją same nieprzyjemności, a nieprzyjemności stanowią kluczowy element procesu poznawczego.

— Skąd dzwonisz?

— Z domu. Zalany.

— Odsłuchałeś wiadomości?

— Nie. Czemu pytasz?

— A, bo ci zostawiłam parę uwag na temat tego popołudnia.

— No widzisz, właśnie na ten temat chciałem z tobą pogadać. Jak sądzisz, z czego się to wzięło?

— Z tego, że ty jesteś niezrównoważony! Niezrównoważony i jadowity. Niezrównoważony, jadowity palant.

Zaczął się niezłe, acz trochę niekonkretnie.

— Słuchaj, cenię sobie twoje uwagi, więc nie chciałbym być niegrzeczny, ale to o niezrównoważonym palancie ciekawi mnie mniej niż to o jadzie. Powiedziałaś coś więcej?

— Może lepiej, żeby zrobił ci to ktoś odpłatnie — powiedziała Cindy.

— Masz na myśli terapeutę? Prychnęła.

— Terapeutę? Nie, tylko jakąś babę, co cię zleje za odpowiednią opłatą. Bo ty przecież o tym marzysz.

Chwilę się zastanowiłem. Nie chciałem czegoś pochopnie zlekceważyć.

— Chyba nie — odparłem. — Dotąd nigdy mnie to nie kręciło.

— Użyłam przenośni.

— Przepraszam. Nie bardzo rozumiem.

— Widać, że czujesz się tak koszmarnie, że pewnie już nawet dałbyś się poniżyć. Nie na tym polega ich problem?

— Czyj?

— Mężczyzn, co potrzebują kobiet, żeby... Nieważne.

Powoli zaczęło mi świtać, do czego zmierza. Istotnie — lubiłem obelgi. A raczej uważałem je za stosowne.

— Wiesz, czemu się przyczepiłeś do tego biedaka, prawda?

— Nie! Widzisz, przez to właśnie zadzwoniłem. Gdyby Cindy wiedziała, jak wielką szkodę mogłaby mi wyrządzić, kończąc rozmowę w tym momencie,

z całą pewnością uległaby takiej pokusie. Na szczęście jednak postanowiła iść na całość.

— Był wprawdzie piętnaście lat od ciebie młodszy i dużo przystojniejszy, ale nie w tym rzecz. Dokonał tego popołudnia więcej niż ty w całym życiu.

— Tak! Tak!

— Ty się mizdrzysz w telewizji i pieprzysz z uczennicami, a on wozi upośledzone dzieciaki na wózkach, i to w dodatku za marne pieniądze. Nic dziwnego, że Penny chciała go poderwać. Było to dla niej w sensie moralnym jak przejście od monstrum Frankensteina do Brada Pitta.

— Dzięki ci. Wspaniale.

— I żebyś się teraz nie ważył odkładać słuchawki! Bo to dopiero początek. Przez dwanaście lat dosyć się naoglądałam takich rzeczy.

— Bądź pewna, że zadzwonię, żeby posłuchać więcej. Ale na ten czas to już mi wystarczy.

Nie mówiłem? Naprawdę każdy powinien mieć przynajmniej jedną byłą żonę.

## MAUREEN

Trochę mi głupio opowiadać, co się zdarzyło pod koniec dnia interwencji, bo to wszystko wydaje się jakoś za bardzo zbieżne. Ale może tylko mnie się takie wydaje. Jak już wspominałam, uczę się wyczuwać wagę sytuacji, to jest: co należy, a czego nie wolno mówić na wypadek, aby kogoś nie urazić. Mówiąc, że dokąd ich nie poznałam, w moim życiu nie działo się nic, bynajmniej nie chcę, aby to zostało odebrane jako zrzęczenie. Po prostu



tak to było. Kiedy sobie od rana do nocy siedzisz w cichutkim pokoju, a nagle ktoś za tobą stanie, krzyząc: „Łuuu!", to podskakujesz. Jeśli cały czas przebywasz tylko wśród niskich, to dwumetrowy policjant wydaje ci się olbrzymem. A gdy nic się nie zdarza, a potem coś się stanie, to to coś wydaje się szczególne, niemal jak klęska żywiołowa. To coś, to zdarzenie, ulega przez to nic zupełnej deformacji.

A więc było tak. Stephen z Seanem pomogli mi zawieźć Matty'ego do domu; zatrzymawszy czarną taksówkę, jakoś pomieściliśmy się w niej we czwórkę, chociaż ja siedziałam wciśnięta między dwóch pielęgniarzy. A to już chyba coś. Kilka miesięcy naprzód wróciłabym do domu i opowiedziała o tym Matty'emu, gdyby nie było go ze mną. Ale oczywiście, gdyby go ze mną nie było, nie byłoby co opowiadać. Nie potrzebowałabym Stephena i Seana, ani byśmy nie jechali taksówką. Jechałabym autobusem, sama, i może nawet skądś. Tak że to chyba jasne, co mam na myśli, mówiąc o czymś i niczym?

Gdy się już wszyscy usadowiliśmy, Stephen zapytał Seana: „Masz jeszcze kogoś?”. A Sean odparł: „Nie, i chyba już nie da rady”. Wtedy Stephen spytał: „Czyli tylko nas troje? Masakra”. Na co Sean wzruszył ramionami i wszyscy chwilę w milczeniu patrzyliśmy za okno. Nie mam pojęcia, o czym rozmawiali.

Po czym Sean spytał mnie, czy jestem dobra w quizach, dodając: „Masz się ochotę przyłączyć? Jak nie wiesz nic, to nie szkodzi. Jesteśmy zdesperowani”.

Zdumiewające, prawda? Słucham Jess, JJ'a i Martina, i im podobne historie zdarzają się bez przerwy. Po-

znają kogoś w windzie albo w barze i ten ktoś mówi: „Masz ochotę na drinka?“, a nawet: „Masz ochotę na stosunek?“. A może w danej chwili myśleli sobie, że by mieli ochotę na stosunek, więc może myślą, że propozycja stosunku, właśnie gdy myśleli, że mieliby na niego ochotę, to zdumiewający zbieg okoliczności. Chociaż mam wrażenie, że jednak ani oni, ani wielu innych tak nie myśli. Tak to już bywa w życiu. Ktoś na kogoś wpada, no i ta druga osoba czegoś chce albo zna inną, która czegoś chce, w wyniku czego coś się dzieje. Czy też, innymi słowy, jak się nie wychodzi i z nikim nie widuje, to się nie dzieje nic. Bo niby jak? Ale na chwilę niemal odebrało mi mowę. Zawsze chciałam wziąć udział w quizie, a im był potrzebny ktoś jeszcze do zespołu, więc aż mnie przeszedł dreszcz.

Toteż zamiast do domu, wzięliśmy Matty'ego do ośrodka. Sean i Stephen w tym dniu nie pracowali, ale się przyjaźnili ze wszystkimi, którzy akurat pracowali, więc im po prostu powiedzieli, że Matty zostanie na wieczór — i nikt nie zgłosił pretensji. Umówiliśmy się w pubie, gdzie oni się zwykle spotykają na quizy, po czym wróciłam do domu, aby się przebrać.

Nie wiem, którą część historii mam teraz opowiedzieć. Wystąpił jeszcze jeden zbieg okoliczności, wobec tego nie wiem, czy go umieścić tutaj, w odcinku poświęconym zbiegom okoliczności, czy dopiero kiedy już opowiem o quizie. Może jeśli porozdzielam te zbiegi okoliczności, rozmieszczając je w pewnych odstępach, to bardziej w nie uwierzysz. Chociaż z drugiej strony wszystko jedno, czy uwierzysz, bo są one prawdziwe. A poza tym dalej nie jestem pewna, czy to rzeczywiście

zbiegi okoliczności: może otrzymanie czegoś, czego się pragnie, nie jest żadnym zbiegiem okoliczności. Kiedy się chce kanapkę z żółtym serem i się ją dostaje, to chyba nie zbieg okoliczności, prawda? Tak samo, gdy chce się dostać pracę i się ją dostaje, to też nie może być zbieg okoliczności. Takie rzeczy mogą być zbieżne tylko wówczas, gdy się myśli, że się w ogóle nie panuje nad swoim życiem. Więc już to powiem teraz: prócz nas w zespole był starszy pan imieniem Jack, który prowadzi kiosk z gazetami nieopodal Archway, i on zaproponował mi pracę.

Ta praca to nic wielkiego — trzy poranki w tygodniu. Nie jest też za dobrze płatna — cztery funty siedemdziesiąt pięć pensów za godzinę. Powiedział też, że najpierw mnie weźmie na okres próbny. Ale ma już swoje lata, więc chciałby się kłaść z powrotem o dziewiątej, po otwarciu kiosku, posegregowaniu gazet i uporaniu się z rannym szczytem. Zaproponował mi to w taki sam sposób, jak Stephen i Sean spytali, czy się chcę do nich przyłączyć — dla żartu, z desperacji. Między rundą sportową i rundą telewizyjną zapytał, czym się zajmuję, więc mu powiedziałam, że w zasadzie niczym, tylko opieką nad Mattym, a on na to: „To może byś popracowała?”. I znów przeszedł mnie dreszcz.

Nie wygraliśmy quizu. Zespołów grało jedenaście, a my zajęliśmy czwarte miejsce, ale chłopcy byli z tego całkiem zadowoleni. Wiedziałam kilka rzeczy, których oni nie wiedzieli. Wiedziałam na przykład, że szef Mary Tyler Moore nazywa się Lou Grant. Wiedziałam, że syn Johna Majora ożenił się z Emmą Noble i że o Tilly Trotter i Mary Ann Shaughnessy pisała Catherine Cookson.

Tak że tych trzech punktów by nie zdobyli, więc może przez to powiedzieli, że mogę przyjść następnym razem. Ten ich czwarty gość jest, zdaje się, niesolidny, bo od niedawna ma nową sympatię. Powiedziałam, że ja jestem najbardziej solidną osobą, jaką by sobie tylko mogli wymarzyć.

Parę miesięcy temu czytałam książkę z biblioteki o dziewczynie, która się zakochuje w swoim lata nie widzianym bracie. Ale naturalnie okazuje się, że to wcale nie jest lata nie widziany brat i tylko tak jej powiedział, bo mu wpadła w oko. Okazuje się też, że nie jest biedny. Tylko bardzo bogaty. Na dodatek jego pies ma szpik odpowiadający szpikowi jej psa, chorego na białaczkę, więc jego pies ratuje jej psu życie.

Prawdę mówiąc, nie jest to aż tak dobre, jak się może wydawać, gdy to opowiadam. Trochę cikliwe. Ale chodzi mi o to, że mówiąc o tej pracy i o udziale w quizie, chyba niestety zaczynam popadać w podobny ton. W związku z powyższym chciałabym zwrócić uwagę na dwie sprawy. Po pierwsze, chcę zwrócić uwagę, że godzina opieki nad Mattym kosztuje więcej niż cztery funty siedemdziesiąt pięć pensów, tak że teraz już mi się tak dobrze nie powodzi, a historia, gdzie na końcu komuś nie powodzi się jak dawniej, to chyba raczej nie bajka, prawda? Po drugie, chcę zwrócić uwagę, że ten czwarty gość do quizów czasem się jednak pokaże, więc nie będę grała co tydzień.

W pubie piłam gin z gorzką cytryną, a oni mi nie dali zapłacić nawet za jedną kolejkę; powiedzieli, że jestem rezerwowa, więc to mnie trzeba stawiać. Może przez ten alkohol poczułam się tak pozytywnie — ale

pod koniec wieczoru wiedziałam, że gdy się znów spotkamy trzydziestego pierwszego marca, to ani przez chwilę nie będzie mi się chciało rzucić z tego dachu. I to poczucie, poczucie, że póki co sobie radzę... Chciałam się tego trzymać możliwie jak najdłużej. Na razie wszystko się układa.

Na drugi dzień rano z powrotem poszłam do kościoła. Od naszych wakacji nie odwiedziłam żadnego kościoła, a swojego to już od wielu tygodni — odkąd spotkałam na dachu Martina, JJ'a i Jess. Ale teraz mogłam tam wrócić, bo — według mnie — od pewnego czasu nie popełniałam grzechu zwątpienia, tak że mogłam wrócić i prosić Boga o wybaczenie. Najwyższy może pomóc tylko wtedy, gdy się przestanie wątpić, co, jakby się tak zastanowić... No, ale zastanawianie się nad tym nie należy do mnie. Był piątkowy poranek, cicho i prawie pusto. Przyszła ta stara Włoszka, która nigdy nie opuszcza mszy, i dwie panie z Afryki, których nigdy tam nie widziałam. Nie było mężczyzn ani też młodzieży. Przystępując do spowiedzi, denerwowałam się, ale naprawdę poszło świetnie. Szczerze powiedziałam, jak długo już się nie spowiadałam, wyznając też grzech zwątpienia, a za pokutę dostałam do odmówienia piętnaście różańców, co mi się wydało pewną przesadą, nawet wzięwszy pod uwagę grzech zwątpienia, nie będę jednak się skarżyć. Czasem się zapomina, że Bóg jest nieskończony w swoim miłosierdziu. Zwracam uwagę, że nie byłby taki, gdybym skoczyła, no ale nie skoczyłam.

Potem ojciec Anthony spytał: „Czy możemy ci jakoś pomóc? Czy jakoś możemy zmniejszyć twoje brze-

mię? Bo musisz pamiętać, Maureen, że należysz tu do wspólnoty".

A ja odpowiedziałam: „Dziękuję, ojczy, ale mam do pomocy przyjaciół". Nie powiedziałam mu jednak, do jakiej wspólnoty należą moi przyjaciele. Jak i tego, że wszyscy są wątpięcymi grzesznikami.

Pamiętasz psalm pięćdziesiąty? „Wzywaj Mnie w dniu utrapienia: Ja cię uwolnię, a ty Mnie uwielbisz". Poszłam do Domu Skoczka, bo wzywałam, wzywałam i wzywałam, i nie przyszło żadne uwolnienie, a moje dni utrapienia trwały jakoś za długo, nie wykazując oznak kresu. W końcu jednak Najwyższy mnie usłyszał i zesłał Martina, JJ'a i Jess, później zesłał mi Stephena i Seana z quizem, a potem mi zesłał Jacka z kioskiem. Innymi słowy, dowiódł mi, że słuchał. Jakże więc, mając tyle dowodów, mogłabym dalej wątpić? Tak że Go powinnam uwielbiać, jak tylko potrafię.

## JESS

Więc ten gościu z psem nie miał imienia. To znaczy, pewno kiedyś tak, ale mi powiedział, że go już nie używa, bo imiona mu przeszkadzają. Stwierdził, że nie pozwalają być, kim się chce, i zaraz jak mi to wytłumaczył, to tak jakby zobaczyłam, czemu. Powiedzmy, że masz na imię Toni albo Joanna. No, takie samo to imię było wczoraj i takie będzie jutro. Więc masz naprawdę prze-jebane. Ciągłe ci ktoś będzie mógł powiedzieć: „Jasne, tak to już jest z Joannami". Ale ten gość to w jednym dniu mógł być nawet setką ludzi. Powiedział, że mogę

go nazywać, jak mi się spodoba, no więc najpierw był Psem, z powodu tego psa, a potem Bezpssem, bo jak żeśmy się poszli czegoś napić do pubu, zostawił psa na ulicy. Tak że w ciągu pierwszej wspólnie spędzonej godziny miał dwie totalnie różne osobowości, bo Pies i Bezpies to takie jakby odwrotne typy, nie? Facet z psem to co innego niż facet bez psa. Facet z psem ma inny image od faceta w pubie. Więc nie można powiedzieć: „Wiadomo, jak każdy Bezpies pozwolił swojemu psu nasrać komuś w ogrodzie”. Przecież by to było bez sensu. Jakim cudem Bezpies może mieć psa, który komuś sra w ogrodzie, albo, jak się tak zastanowić, w ogóle jakiegoś psa? No, więc on mówi, że wszyscy możemy być Psami i Bez-psami w ciągu jednego dnia. Tato, przykładowo, kiedy jest w pracy, mógłby być Nietatą, bo w pracy to Tata nie jest. Wiem, że to wszystko jest dosyć głębokie, ale jak się tak poważnie zastanowić, naprawdę się zgadza.

No, i w tym samym dniu był Kwiatkiem, bo zerwał dla mnie kwiatek, jak żeśmy szli przez taki mały park zaraz przy moście Southwark, a potem Popielniczką, bo taki miał smak, a Kwiatek to tak samo przeciwieństwo Popielniczki. Czujesz? Istoty ludzkie są w jednym dniu milionami rzeczy i on to ma opracowane dużo lepiej, niż się to pojmuje w kulturze Zachodu. Później nazwałam go jeszcze tylko jednym imieniem, ale było świńskie, więc nie mogę powiedzieć. Jak mówię, że było świńskie, to w tym sensie, że tak jakby bez kontekstu ty byś je wzięła za świńskie. Świńskie jest tylko wtedy, jak się nie ma szacunku do męskiego ciała, tak że, moim zdaniem, to ty byś wyszła na świńską, nie my.

Więc ten gościu... W sumie to widzę jeden plus kultury Zachodu, taki, że jak ktoś ma imię, to wie się, jak go nazywać, prawda? To tylko jeden plusik, a istnieją miliony wielkich minusów, łącznie z największym ze wszystkich — takim, że imiona są okropnie faszystowskie i nie pozwalają nam wyrazić własnego człowieczeństwa, tylko nas sprowadzają do jednego. Ale skoro tak dużo o nim opowiadam, to może już zostanę przy jednym. Bezpies pasuje, bo jest bardziej niezwykle, a poza tym już wiesz, o kogo chodzi, no i brzmi lepiej niż Pies, bobyś mogła pomyśleć, że mówię o jakimś, kurwa mać, psie, a przecież nie o psie mówię.

Więc jak żeśmy się napili, to Bezpies wziął mnie do siebie. Szczerze mówiąc, nie myślałam, że ma jakąś chatę, no bo ten pies i w ogóle. Wyglądał na faceta, co nie zawsze ma chatę, ale, jak widać, poznałam go w dobrym momencie. Mieszkał w sklepie na tyłach dworca Rotherhithe. Tylko że ten sklep nie był przerobiony — po prostu sklep, chociaż już całkiem nieczynny. Kiedyś to był taki jakby staromodny sklep na rogu, tak że miał półki i lady, no i dużą wystawę, którą Bezpies zasłaniał prześcieradłem. Jego pies miał na zapleczu osobną sypialnię, gdzie pewno dawno temu trzymali towary. Sklepy są w sumie całkiem wygodne, jak tylko ci nie przeszkadza lekka niewygodność. Można dać ubrania na półki, telewizor na ladę, z której by trzeba tylko ściągnąć kasę, materace na podłogę — i po sprawie. Mają też toalety i wodę, ale wanien albo pryszniców to nie.

Zrobiliśmy to zaraz po wejściu, żeby już było z głowy. Tak porządnie to robiłam to wcześniej tylko z Chasem i było bez sensu, no, ale z Bezpsem to spoko. Wy-



szło o wiele fajniej, rozumiesz, bo Chasowi pewne części nie zadziały do końca, no i moje tak samo, więc musieliśmy się trochę postarać. Nieważne. Tym razem to części Bezpsa i moje zadziały naprawdę super, więc dużo łatwiej było zrozumieć, czemu każdy chce to robić jeszcze raz. Wszyscy mówią, że pierwszy raz jest taki ważny, ale tak naprawdę ważny jest ten drugi. No, a już na pewno ta druga osoba.

Zobacz, jaka ja za pierwszym razem byłam durna: dół, ryki, paranoja. I widzisz, gdybym się tak samo zachowała za drugim razem, tobym wiedziała, że będą problemy. Ale mnie naprawdę waliło, czy się jeszcze spotkam z Bezpsem, więc to na pewno postęp, co nie? Tak to mniej więcej powinno wyglądać, jak się chce mieć w życiu jakieś powodzenie.

Jak żeśmy skończyli, włączył czarno-biały telewizor i leżeliśmy na materacu, coś tam oglądając, a potem zaczęliśmy gadać, co się skończyło na tym, że mu opowiedziałam o Jen, o Domu Skoczka i o reszcie. No i on nie był zdziwiony ani mi nie współczuł, w ogóle nic z tych rzeczy. Tylko kiwał głową, a potem mówi tak: „Ja to się ciągle próbuję przekręcić”. Na co ja: „Czyli, że ci chyba za bardzo nie wychodzi”, a on: „Ale nie o to chodzi, no nie?”. To ja: „Co ty?!”. Wtedy stwierdził, że to polega na tym, że się tak jakby stale ofiaruje siebie bogom Życia i Śmierci, którzy są pogańscy, więc nie mają nic wspólnego z kościołem. I jak cię pragnie bóg Życia, to żyjesz, a jak bóg Śmierci, to nie. Tak że według niego w sylwestra zostałam wybrana przez boga Życia, więc dlatego nie skoczyłam. To ja wtedy, że: „Nie skoczyłam, bo mi usiedli na głowie”, a on mi wytłumaczył, że prze-

mawiał przez nich bóg Życia — i to mi się super zgodziło. Bo jakby nie kierowały nimi niewidzialne moce, to niby z jakiej racji by sobie zawracali głowę? A potem mi powiedział, że ludzie z martwicą mózgu, jak George Bush, Tony Blair i ci jurorzy z *Idola*, nigdy się nie ofiarują bogom Życia i Śmierci, przez co nigdy nie mogą dowieść swojego prawa do życia, więc nie powinniśmy przestrzegać ich praw ani uznawać decyzji (tych, przykładowo, z *Idola*. Więc jak nam każą, to nie musimy bombardować innych krajów, a jak mówią, że Gruba Michelle czy jakaś inna zwyciężyła *Idola*, to nie musimy słuchać. Możemy powiedzieć, że wcale nie).

I wszystko, co mówił, było takie prawdziwe, że jakby trochę pożałowałam paru zeszłych tygodni, bo chociaż JJ, Maureen i Martin byli dla mnie mili, dosyć, to mózgowcami by się ich raczej nie nazwało, prawda? Nie chodzi o to, że nie mieli odpowiedzi, a że Bezpieś je miał. Ale można też na to popatrzeć tak, że nigdy bym nie spotkała Bezpsa, bobym sobie nie zawracała głowy interwencją, tak, że by nie było skąd wychodzić.

I to chyba też przemawia bóg Życia, jak się tak chwilę człowiek zastanowi.

Jak wróciłam do domu, mama z tatą mieli ze mną do pogadania. Więc najpierw mówię: „A, dobra”, no ale im na tym strasznie zależało, i mama zrobiła mi herbatę i mnie usadziła przy kuchennym stole, a potem powiedziała, że chce mnie przeprosić za te kolczyki i że wie, kto je buchnął. To ja wtedy: „Kto?”. A ona, że Jen, więc się w nią wgapiłam. Na co ona, że tak, że poważnie. Więc się pytam: „Jakim cudem?”. I wtedy zaczęła głądzić, jak

to Maureen im uzmysłowiła coś, co, jak tak pomyśleć, jest przeraźliwie oczywiste. Były ulubionymi kolczykami Jen, więc skoro zginęły, a nie wziął ich nikt inny, to to nie mogło być przypadkiem. Z początku nie bardzo wiedziałam, co to za różnica, bo Jen i tak dalej nie było

— ale jak zobaczyłam, jaka różnica to dla niej, jak to ją niesamowicie uspokaja, stwierdziłam, że mnie to wali. Najważniejsze, że chciała być dla mnie miłsza.

I wtedy byłam Bezpsu jeszcze bardziej wdzięczna. Bo on mnie nauczył tego głębokiego, jasnego sposobu myślenia, takiego, że zaczęłam widzieć rzeczy, jakimi są naprawdę. Więc chociaż mama nie widziała rzeczy, jakimi są naprawdę, i nie wiedziała, że przykładowo jurorzy z *Idola* nie mogą dowieść, że mają prawo do życia, to jednak zobaczyła coś, co by jej choć trochę pomogło, tak że może wreszcie by przestała być taką francą.

Więc przez nauki Bezpsa miałam teraz taką trochę mądrość, żeby to przyjąć i jej nie powiedzieć, że to bez sensu czy głupie.

MARTIN

Kto, jak wam się wydaje, nazwałby dziecko Pacino? Jego rodzice, rzecz jasna, Harry i Marcia Cox.

— Czy mogę wiedzieć, czemu masz tak na imię?

— spytałem go przy okazji pierwszego spotkania.

Spojrzał na mnie zdumiony, choć powinienem zaznaczyć, że Pacino zdumiewało właściwie każde pytanie. Był gruby i miał wystające zęby oraz zeza, więc brak inteligencji zdecydowanie mu nie służył. Jeżeli komu-

kolwiek na świecie należała się rekompensata za brak charyzmy i urody — to z całą pewnością Pacino.

— Znaczy się jak?

— Skąd wzięło się twoje imię?

Myśl, że imiona skądś się biorą, okazała się dla niego nowością; równie dobrze mogłem zapytać, skąd wziął swoje palce u nóg.

— Pewien sławny aktor filmowy nazywa się Pacino. Znowu popatrzył.

— Naprawdę?

— Nie wiedziałeś?

— Nie.

— Więc myślisz, że dano ci to imię po kimś innym?

— Nie wiem.

— Nigdy nie pytałeś?

— Nie. Nigdy się nikogo nie pytam o imiona.

— Rozumiem.

— A twoje?

— Martin?

— No.

— Skąd się wzięło?

— No.

Na moment mnie zatkało. Do oczywistej odpowiedzi — że wzięło się od moich rodziców, tak jak w wypadku Pacino (choć i ta informacja zapewne by go zdumiała) — mogłem dodać jedynie to, że pochodziło z Francji, jego natomiast — z Włoch. W związku z czym byłoby mi trudno mu wyłuszczyć, czemu jego imię brzmi komicznie, a moje ani trochę.

— Widzisz? To trudne pytanie. Żebyś nie myślał, że jak nie umiem odpowiedzieć, znaczy zaraz, że jestem tuman.

— Ależ nie. Oczywiście.

— Bo wtedy sam byś był tuman.

Stwierdziłem, że takiej możliwości zupełnie wykluczyć nie mogę. Najwyraźniej z różnych przyczyn powoli zacząłem tumanieć.

Pacino był ósmoklasistą w jednej ze szkół w sąsiedztwie, a ja miałem mu udzielać korepetycji z czytania. Zgłosiłem się do tego ochotniczo po rozmowie z Cindy i przeczytaniu ogłoszenia w lokalnej gazecie: Pacino stanowił mój pierwszy krok na drodze do szacunku wobec samego siebie. Wiem, że to długa droga, ale miałem cichą nadzieję, że może Pacino lokuje się na niej odrobinę dalej. Gdyby przyjąć, że szacunek wobec samego siebie mieści się, powiedzmy, w Sydney, a ja rozpocząłem podróż na stacji metra Holloway Road, to w moim przekonaniu Pacino powinien być nocną przerwą w podróży, przerwą na powtórne tankowanie samolotu. Miałem wprawdzie na tyle rozsądku, by się zorientować, że dzięki niemu nie dotrę do kresu tej drogi, ale ochotnicze odsiadanie godziny z głupim i nieładnym dzieckiem na pewno jest porównywalne z wieloma tysiącami mil powietrznych. Jednak podczas pierwszej lekcji, kiedyśmy się potykali na najprostszycy słowach, uświadomiłem sobie, że Pacino to nie Singapur, a raczej Caledonian Road, tak że będę musiał przejechać dwadzieścia kilka przystanków metra, zanim dotrę dopiero na to cholerne Heathrow.

Zaczęliśmy od wybranej przez niego koszmarnej książki o futbolu, z dużą czcionką, o tym, jak pewna dziewczyna bez nogi pokonuje kalectwo i seksizm kolegów z drużyny, by w końcu zostać jej kapitanem. Trzeba tu przyznać Pacino, że zobaczywszy, gdzie wiatr wieje, od razu zareagował ze stosowną pogardą.

— Strzeli zwycięskiego gola w ważnym meczu, nie? — zapytał z pewnym niesmakiem.

— Obawiam się, że chyba tak.

— Ale ma tylko jedną nogę.

— Istotnie.

— Poza tym to dziewczyna.

— W rzeczy samej.

— To co to w ogóle za szkoła?

— Pytanie.

— Więc się pytam.

— Chcesz wiedzieć, jak się nazywa?

— No. Chcę tam iść z kumplami i ich wyśmiać, że mają w drużynie dziewczuchę z jedną nogą.

— Nie jestem pewien, czy to prawdziwa szkoła.

— I ta historia też nieprawdziwa?

— Mhm.

— To mnie to, kurwa, wali.

— Dobrze. Idź, wybierz co innego.

Sapiąc, powlókł się z powrotem do biblioteczki, ale nie umiał tam znaleźć zupełnie nic dla siebie.

— A co właściwie cię interesuje?

— Woglenic.

— Naprawdę?

— No, dosyć lubię owoce. Mama mówi, że jestem mistrzem w jedzeniu owoców.

— Rozumiem. Będzie więc sobie nad czym popracować.

Do końca lekcji zostało czterdzieści pięć minut.

I co byście z tym zrobili? Jak tu polubić siebie na tyle, by chciało się pożyć trochę dłużej? I czemu godzina z Pacino nie załatwiła sprawy? Po części to jego wina. N i e chciał się uczyć. Ani też nie był dzieckiem, o jakie mi chodziło. Liczyłem na kogoś obdarzonego wybitną inteligencją, ale społecznie upośledzonego przez sytuację w domu — kogoś, kogo dodatkowa godzina nauki w tygodniu zmieniłaby w cudowne dziecko klasy pracującej. Chciałem, żeby tego kogoś, dzięki mojej godzinie w tygodniu, nie czekał heroinowy nałóg, a wydział literatury w Oxfordzie. Marzyłem o kimś takim, gdy tymczasem dano mi osobnika, który się pasjonował jedzeniem owoców. Na co mu więc się miało przydać czytanie? Męską toaletę wszędzie na świecie oznacza się tak samo, a o to, co jest w telewizji, zawsze przecież mógł zapytać matkę.

A może miało to być właśnie tak wkurzająco bezsensowne. Może wiedząc, że robi się coś w tak oczywisty sposób bezwartościowego, lubi się siebie bardziej niż ktoś, kto bezsprzecznie pomaga innym. Może koniec końców poczułbym się lepiej od tego pielęgniarza blondyna i mógłbym znów go wyszydzić, tyle że teraz przyznano by mi rację. Poczucie własnej godności to wartość jak każda inna. Zbieracie to całe lata, żeby potem przepuścić w jeden wieczór, gdy wam się spodoba. Ja przepuściłem czterdzieści parę lat zaledwie w kilka miesięcy, musiałem więc teraz oszczędzać od nowa. Według moich szacunków Pacino przedstawiał sobą wartość około

dziesięciu pensów tygodniowo, tak że nieprędko miałem sobie móc pozwolić na kolejną balangę.

Proszę bardzo. Teraz potrafię dokończyć tamto zdanie: „Trudne jest uczenie Pacino czytania”. Czy nawet: „Trudno jest próbować odbudować siebie, część po części, bez instrukcji obsługi i bez pojęcia o tym, co się robi z różnymi ważnymi elementami”.

JJ

W jednym z tych takich supersklepów na Denmark Street Lizzie i Ed kupili mi gitarę i harmonijkę z chomątem, a w drodze na Heathrow Ed zaproponował, że mi kupi bilet powrotny.

— Stary, nie mogę jeszcze wracać.

Chciałem powoli przejść do pożegnania, ale jazda metrem tak się nam, kurwa, wlokła, że nie sposób było gadać tylko o tym, który główniany tygodnik ma mi kupić w kiosku.

— Nic tu po tobie. Wracaj i załóż zespół.

— Ale ja już mam grupę. -Jaką?

— No przecież wiesz, tych moich.

— Traktujesz ich jako zespół? Tę bandę nieudaczników i, kurwa... zboczeńców, których poznaliśmy w Starbucks?

— Już mi się raz zdarzyło być w grupie ofiar losu i zboczeńców.

— Ja żadnego zboczeńca w kapeli nie miałem.

— A Dollar Bill?



Dollar Bill był naszym pierwszym basistą. Był od nas starszy i musieliśmy się go pozbyć po zejściu z synem woźnego ogólniaka.

— On to się przynajmniej, kurwa, znał na graniu. A wy co niby umiecie?

— To zespół innego rodzaju.

— W ogóle żaden zespół. I co, to ma tak być już wiecznie? Musisz się z nimi trzymać aż do śmierci?

— Nie, stary. Tylko aż wszystkim się polepszy.

— Polepszy? Dziewucha jest chora na głowę. Gość w życiu się nie odważy pokazać publicznie. A stara ma dzieciaka, co, kurwa, ledwo zipie. Więc kiedy im się polepszy? Ty sobie lepiej pomyśl, kiedy im się pogorszy. Niech sobie, kurwa, wszyscy skaczą z tego dachu, a ty spokojnie wracaj. Dla ciebie jest to jedyne szczęśliwe zakończenie.

— No, a ty?

— A co to, kurwa, w ogóle ma wspólnego ze mną?

— Jakie ma być twoje szczęśliwe zakończenie?

— O czym ty mówisz?

— Chcę się dowiedzieć, jakie szczęśliwe zakończenie ma do dyspozycji reszta populacji. Oświeć mnie, bardzo proszę. Bo Maureen, Martin i Jess mają przerąbane, ale ty... Ty podłączasz ludziom kabel. Gdzie cię to zaprowadzi?

— Tam, gdzie mi się spodoba.

— Jasne. Więc powiedz dokąd.

— Spierdalaj, stary.

— Próbuję ci coś pokazać.

— Kumam. Że skończę tak szczęśliwie, jak twoi przyjaciele. Dzięki. Mam sobie palnąć w łeb dopiero jak wrócę, czy może wolisz już teraz?

— Co ty, nie o to mi chodzi.

Ale chyba to właśnie chciałem mu powiedzieć. Kiedy się znajdziecie tam, gdzie byłem ja w sylwestra, myślicie sobie, że każdy, kogo nie ma na dachu, jest kilometry stąd, daleko za oceanem — tymczasem wcale nie. Nie ma żadnego morza. Ludzie ci w większości znajdują się na suchym lądzie, tak blisko, że by ich można dotknąć. Nie chodzi mi o ten kit, że szczęście jest w zasięgu ręki i trzeba się tylko rozejrzeć, czy coś w tym stylu. Ani nie o to, że potencjalni samobójcy nie są wcale daleko od tych, którzy sobie radzą. Tylko — że ci, którzy sobie radzą, nie są tak daleko od samobójczych myśli. A może to mi się tylko wydaje tak pocieszające.

Wkrótce upływało te dziewięćdziesiąt dni, tak że suicydolog Martina chyba znalazł się na rzeczy. Wszystko uległo zmianie. Nie za szybko ani niezbyt radykalnie, i może też nie za bardzo się do tego przykładaliśmy. A w moim wypadku to nawet się nie zmieniło na lepsze. Prawdę powiedziawszy, trzydziestego pierwszego marca moja sytuacja i widoki na przyszłość zapowiadały się jeszcze słabiej niż w sylwestra.

— Naprawdę chcesz dać sobie spokój? — zapytał Ed, gdy dotarliśmy na lotnisko.

— Z czym?

— Nie wiem. Z życiem.

— Nie widzę przeciwwskazań.

— Naprawdę? Kurde, stary. To chyba ty jeden na świecie ich nie widzisz. To znaczy, zrozumielibyśmy,

jakbyś skoczył. Powaga. Nikt by nie pomyślał, wiesz: „Szkoda. Tak wiele miał przed sobą”. Bo w sumie co ty masz przed sobą? Nic. Żadna strata.

— Dzięki, stary.

— Nie ma za co. Mówię, co myślę. Tyle. Uśmiechał się i ja się uśmiechałem, i tak po prostu,

jak zwykle, gadaliśmy sobie o swoich kłopotach, tyle że teraz trochę bardziej złośliwie. Dawniej to Ed powiedziałby mi, że laska, która mi łamie serce, i tak w sumie woli jego, a ja jemu, że numer, nad którym siedział miesiącami, jest całkiem do dupy — ale teraz chodziło o coś poważniejszego. Miał jednak słuszność, jak chyba nigdy dotąd. Nie byłoby żadnej straty. Sztuka tylko w tym, żeby zobaczyć, że mimo wszystko ma się prawo do tych swoich siedemdziesięciu lat.

Granie na ulicy nie jest takie złe. Okay, jest niedobre, ale nie aż tak straszne. No, dobra, jest straszne, ale nie... Czymś afirmującym życie i równocześnie prawdziwym dokończę tę myśl innym razem. Pierwszego dnia wydawało się, kurwa, rewelacyjne, bo przecież już dość długo nie miałem w ręku gitary, drugiego też całkiem fajnie, bo mi już szło mniej chropawo, poprzy-pominałem sobie różne akordy i numery, no i wróciła mi pewność. Potem nabrałem nawet ochoty do takiego grania, stwierdzając, że jest to lepsze niż rozwożenie pizzy.

A ludzie naprawdę coś zostawiają na tym kocu. Za wykonanie *Losing My Religion (Tracę wiarę)* przed gromadą dzieciaków z Hiszpanii pod Muzeum Figur Woskowych zarobiłem koło dziesięciu funtów; i niewiele mniej, grając na drugi dzień dla grupy, zdaje się, Szwec-

dów *William, It Was Really Nothing (Williamie, nic się takiego nie stało)* pod Tate Modern. Gdybym tylko mógł zabić takiego jednego gościa, granie na ulicy byłoby dla mnie wymarzoną robotą. A już na pewno wymarzoną robotą będącą graniem na gitarze na chodniku. Facet nazywa się Jerry Lee Trotuar i robi coś takiego, że zasadza się koło ciebie i gra dokładnie to samo co ty, tylko że tak z dwa takty później. No więc, zaczynam grać *Losing My Religion* i on zaczyna *Losing My Religion*, więc przerywam, bo to brzmi koszmarnie, i on też przerywa, i wszyscy się śmieją, bo to takie, kurwa, zabawne, haha-ha, po czym przenosisz się gdzie indziej — to on zaraz lezie za tobą. I nieważne, jaki gracie numer, co, trzeba przyznać, jest dosyć niesamowite. Myślałem, że się odczepi, jak zagram *Skyway* The Replacements — numer wybrany, żeby go wkurzyć, który na świecie zna może jeszcze z dziewiętnaście osób — też jednak sobie poradził. Nie mówiąc o tym, że forszę rzucają jemu, bo oczywiście to on jest genialny, nie ja. Raz próbowałem się wstrzelić na Leicester Square, no to mnie wygwizdali — tak go wszyscy kochają.

Ale chyba każdy ma w pracy coś takiego, z czym sobie nie daje rady. Więc jeżeli przypadkiem brakuje wam metafor bezsensu i głupoty, jakimi was częstują w życiu zawodowym — to musicie się ze mną zgodzić, że Jerry Lee Trotuar jest raczej nie do przebiccia.

MAUREEN

By uczcić Dziewięćdziesiąty Dzień, spotkaliśmy się w pubie naprzeciwko Domu Skoczka. Chcieliśmy się

czegoś napić, wyjść na dach, nad tym i owym pomyśleć, a następnie skoczyć na Holloway Road, do Oceanu Indyjskiego, na curry. Do tego curry to nie byłam do końca przekonana, ale powiedzieli, że znajdą coś w moim stylu.

Na dach jednak iść nie chciałam.

— A czemu? — spytała Jess.

— Bo tam zabijają się ludzie — odparłam.

— Pacanka — rzekła Jess.

— Aha, więc w walentynki tobie to się podobało? — zwrócił się do niej Martin.

— Nie żeby się aż podobało. Ale wiesz.

— Niestety, nie wiem — odpowiedział.

— To też jest takie życiowe, no nie?

— Zawsze się tak mówi o nieprzyjemnych sprawach: „Ach, w tym filmie pokazują wyłupywanie oczu korkociągiem, no ale to też jest takie życiowe”. Powiem ci, co jeszcze też jest życiowe: walenie kupy. Nikt tego nie chce oglądać, prawda? I nikt nie pokazuje w filmach. To może chodźmy dziś i pooglądajmy, jak sobie ludzie srają.

— Kto by nam pozwolił? — spytała Jess. — Każdy się zamyka na klucz.

— Ale w przeciwnym razie chętnie byś popatrzyła.

— W przeciwnym tak, boby to było bardziej życiowe, nie? No więc bym popatrzyła.

Jęknąwszy, Martin wznosił oczy ku niebu. Można by sądzić, że jest od Jess dużo bardziej bystry, ale nigdy jakoś z nią nie wygrywał — i teraz znów go pokonała.

— Ale ludzie się zamykają, ponieważ chcą prywatności — odezwał się JJ. — A może chcą prywatności, myśląc o samobójstwie.

— Czyli chodzi ci o to, żebyśmy im nie przeszkadzali? — chciała wiedzieć Jess. — Bo ja nie myślę, że to jest w porządku. Może dziś wieczór dałoby się kogoś powstrzymać.

— A jak to się ma do koncepcji twojego przyjaciela? Jeżeli dobrze rozumiem, obecnie wyznajesz pogląd, że jak chodzi o samobójstwo, to decyduje rynek — rzekł Martin.

Nieco wcześniej rozmawialiśmy o bezimiennym mężczyźnie imieniem Bezpieś, który powiedział Jess, że rozważanie samobójstwa jest absolutnie zdrowe, i powinni robić to wszyscy.

— W życiu nic takiego, ku..., nie mówiłam.

— Wybacz. To była parafraza. Myślałam, że nie wolno nam się wtrącać.

— Nie, nie. Wtrącać się możemy. Wtrącanie się też należy do sprawy, rozumiesz. Musi się tylko o tym myśleć, a potem to obojętne. Jak kogoś powstrzymamy, to przemawiają bogowie.

— A gdybym ja był bogiem — powiedział Martin — to na rzeczniczkę wybrałbym właśnie kogoś takiego jak ty.

— Obrażasz mnie?

— Przeciwnie, komplementuję. Jess widocznie to uradowało.

— To kogoś poszukamy? — zapytała.

— A gdzie ty byś chciała szukać? — spytał JJ.

— Choćby już tutaj.

Rozejrzeliśmy się wokół. Dopiero minęła siódma, więc w pubie nie było dużo ludzi. W kącie przy męskiej toalecie dwaj chłopcy w garniturach, śmiejąc się, spo-

glądali na telefon komórkowy. Przy stole najbliższej baru siedziały trzy młode kobiety, ze śmiechem przeglądając fotografie. Obok nas młoda para śmiała się z niczego, a przy barze siedział gość w średnim wieku, czytając gazetę.

— Za bardzo się śmieją — oznajmiła Jess.

— Ktoś, kto uważa, że esemesy są zabawne, w życiu się nie zabije — powiedział JJ. — Za ciasna przestrzeń duchowa.

— Widziałam parę śmiesznych esemesów — powiedziała Jess.

— Hmm — odezwał się Martin. — To chyba wcale się nie kłóci z poglądem JJ'a.

— Siedź cicho — rzekła Jess. — A ten gościu z gazetą? Sam siedzi. Już lepszy się nam nie trafi.

JJ i Martin spojrzeli na siebie, wybuchając śmiechem.

— Lepszy się nam nie trafi? — powtórzył Martin. — Więc według ciebie kogoś z tu obecnych powinniśmy zniechęcić do samobójstwa bez względu na to, czy o nim myśli, czy też nie?

— No, te śmiejące się kretynki to raczej tam nie pójda, nie? On jest jakby taki głęboki.

— Czyta kolumnę wyścigową pier... „Sun” — stwierdził Martin. — Za chwilę przyjdzie jego kumpel i sobie wezmą piętnaście piw i curry.

— Ty snobie!

— A komuż to się wydaje, że aby się zabić, należy być głębokim?

— Nam wszystkim — odparł JJ. — Co nie?

Wszyscy zamówiliśmy sobie po dwa drinki. Martin wypił dużą whisky z wodą, JJ guinnessa, Jess wódkę z red bullem, a ja białe wino. Trzy miesiące temu pewno by mi się zakręciło w głowie, ale teraz piję dosyć sporo, więc kiedyśmy wstali, by pójść na drugą stronę ulicy, zrobiło mi się tylko ciepło i radośnie. W zeszłą niedzielę nastąpiła zmiana czasu, więc choć gdy wyszliśmy z pubu, było już dosyć ciemno, to na dachu wyglądało tak, jakby jeszcze gdzieś w mieście zostało trochę światła. Oparłszy się o mur, zaraz koło tego miejsca, gdzie Martin rozciął druty, patrzyliśmy na południe, w stronę rzeki.

— No więc — powiedziała Jess. — Kto pierwszy do skoku?

Nie odezwał się nikt, bo pytanie to przestało już brzmieć poważnie, i tylko się uśmiechnęliśmy.

— Skoro dalej żyjemy, to musi być fajny wieczór, nie? — spytał JJ.

— Baran — rzekła Jess.

— Nie — odparł JJ — to nie było pytanie retoryczne.

Rzucając mu przekleństwo, Jess zapytała, co to niby ma znaczyć.

— To znaczy, bardzo chciałbym wiedzieć — powiedział JJ — chciałbym wiedzieć, czy... Sam nie wiem.

— Lepiej, że jesteśmy tutaj, czy też nie? — dokończył Martin.

— No. Chyba coś takiego.

— Dla twoich dzieci tak — powiedziała Jess.

— Zapewne — zgodził się Martin. — Choć w ogóle ich nie widuję.



— I dla Matty'ego tak samo — stwierdził JJ, a ja się nie odezwałam, co uzmysłowiło wszystkim, że tak naprawdę to ani trochę.

— Każde z nas ma jakichś bliskich — oświadczył Martin. — A oni by woleli, żebyśmy jednak żyli. Dla równowagi.

— Myślisz? — spytała Jess.

— Pytasz mnie, czy moim zdaniem twoi rodzice chcą, abyś żyła. Tak, Jess, oni pragną, byś żyła.

Jess zrobiła taką minę, jakby mu nie uwierzyła.

— Jak to się stało, że nie wpadliśmy na to wcześniej? — zapytał JJ.  
— W sylwestra. W życiu ani raz nie pomyślałem o rodzicach.

— Bo pewnie wtedy układało się gorzej — odparł Martin. — Z rodziną jest jak... Nie wiem. Jak z grawitacją. Czasami bywa silniejsza.

— Taaa, w sumie rzeczywiście. Przez to rano człowiek się jakby unosi, a pod wieczór to się nawet nie chce podnieść nogi.

— Więc to bardziej jak fale. Nie zauważa się tego wpły... Zresztą nieważne. Rozumiesz.

— Gdyby ktoś tu teraz przyszedł, co byście mu powiedzieli? — spytał JJ.

— O tych dziewięćdziesięciu dniach — odparła Jess. — Bo to prawda, co nie?

— No — przytaknął JJ. — Prawda, że nikt z nas nie ma dzisiaj ochoty się zabijać. Ale... Jakby zapytał, czemu; jakby się spytał: „Co się wam takiego super przydarzyło, odkąd stwierdziliście, żeby jednak nie skakać?”, co byście mu powiedzieli?

— Ja bym powiedziała o mojej pracy w kiosku — oświadczyłam. — I o quizie.

Wszyscy popatrzyli na buty. Jess coś chyba chciała powiedzieć, ale napotkawszy spojrzenie JJ'a, rozmyśliła się.

— No, tobie to idzie całkiem nie najgorzej — odezwał się po chwili JJ. — Ale ja gram, ku..., na ulicy. Wybacz, Maureen.

— A mnie się nie udaje pomóc w czytaniu najbardziej tępemu dziecku świata — powiedział Martin.

— Ty już tak znowu nie jęcz — rzekła Jess. — Nie udaje ci się strasznie dużo rzeczy. Nie udaje się z żoną ani ze związkami...

— Ach, tak, tymczasem tobie... Ty, Jess, to, ku... mać, odnosisz same sukcesy!

— Wybacz, Maureen — rzekł JJ.

— Właśnie: przepraszam, Maureen.

— Dziewięćdziesiąt dni temu nie znałam Bezpsa — powiedziała Jess.

— A jakże — powiedział Martin — Bezpies. Jedyne prawdziwe osiągnięcie, jakim ktokolwiek tutaj może się poszczycić. Wyjąwszy, rzecz jasna, udział w quizie Maureen.

Nie przypomniałam mu o kiosku. Wiem, że to nic wielkiego, ale mogłoby wyglądać, że trochę się z tym narzucam.

— Powiedzmy naszemu przyjacielowi samobójcy o Bezpsie: „Ta oto Jess poznała człowieka, który nie uznaje imion i uważa, że wszyscy powinniśmy ciągle się zabijać”. Na pewno go to rozweseli.

— Wcale nie tak uważa. A ty, JJ, to się, ku..., tylko wydurniasz. Po coś to w ogóle zaczynał? Miała być fajna impreza, a teraz to, ku..., wszyscy mamy doła.

— Jasne — rzekł JJ. — Sorry. Tak się po prostu zastanawiałem, co my tu jeszcze w ogóle robimy.

— Dzięki — powiedział Martin. — Wielkie, wielkie dzięki.

W oddali widać było światełka tego dużego koła nad rzeką, Londyńskiego Oka.

— Poza tym, nie musimy się decydować już teraz, prawda? — spytał JJ.

— Jasne, że nie — odparł Martin.

— To może by tak sobie dać jeszcze z pół roku? Zobaczyć, co dalej, wiecie?

— Czy to się w ogóle kręci? — spytał Martin. — Bo nie widzę.

Patrzyliśmy bardzo długo, próbując się zorientować. Rzeczywiście — jakby się nie ruszało, aczkolwiek mnie się zdaje, że jednak raczej tak.

*Przekład dedykuję Teresie Żurkowskiej  
i Pawłowi Kaźmierczakowi  
PŁ*